

*świat Akademii wampirów*  
RICHELLE MEAD



*Kroniki krwi*

*Złota lilia*



**Richelle Mead**

# **Kroniki krwi 02**

## **Złota lilia**

*Świat Akademii wampirów*

*The Golden Lily*

Przełożyła Monika Gajdzińska

**Sydney sądziła, że zaprowadziła względny spokój w Palm Springs. Jednak gdy ma się pod opieką morojską księżniczkę i jej nieumarłych przyjaciół, nic nie jest proste. Zwłaszcza że do alchemiczki dołącza również Dymitr Bielikow. Adrian nie jest tym zachwycony. Nie przepuszcza też żadnej okazji, by dogryźć Braydenowi, który wydaje się wręcz stworzony dla Sydney.**

**Dziewczyna ma jednak większy kłopot. Nauczycielka pod pozorem pracy semestralnej nakłania ją do eksperymentowania z magią. A posługiwanie się czarami jest wbrew wszelkim zasadom, jakie jej wpojono. Poza tym Sydney nie wie, na jaką zażyłość może sobie pozwolić względem nowych przyjaciół, a szczególnie Adriana. Komu powinna zaufać – zwierzchnikom czy własnemu sercu?**



*Mojemu pięknemu synkowi, który urodził się w dniu,*

*kiedy skończyłam pisać tę książkę*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

WIĘKSZOŚĆ LUDZI byłaby śmiertelnie przerażona, gdyby w burzliwą noc zaprowadzono ich do podziemnego bunkra. Ja się nie bałam.

Nie czuję lęku przed tym, co da się zbadać i racjonalnie wytłumaczyć, więc schodząc coraz głębiej, powtarzałam sobie same fakty dotyczące tego miejsca. Bunkier był pozostałością z okresu zimnej wojny. Miał służyć jako schron w czasach, gdy ludzie obawiali się nieoczekiwanego ataku jądrowego. Powyżej znajdował się zwykły zakład optyczny. Burza z kolei jest normalnym zjawiskiem atmosferycznym, chociaż hałaśliwym. Poza tym jeśli ktoś się boi uderzenia pioruna, powinien zejść pod ziemię.

Wszystko dawało się logicznie wytłumaczyć, a ja jestem w tym specjalistką. Zatem nie, ta pozornie złowróźbna wędrówka nie przerażała mnie w najmniejszym stopniu. Prawdziwym problemem było moje zadanie.

W porównaniu z nim samotne włóczęgi w czasie burzy to błahostka. Kiedy żyjesz wśród wampirów, wozisz je na karmienie i troszczysz się, żeby nikt się nie dowiedział, kim są... cóż, inaczej patrzysz na świat. Byłam świadkiem krwawych walk tych stworzeń oraz pokazów ich magii, która przeczy prawom fizyki. Od dawna musiałam panować nad strachem przed niewytłumaczalnym, jednocześnie desperacko próbując znaleźć wyjaśnienie dla zjawisk rozgrywających się na moich oczach.

– Patrz pod nogi – poinstruował mnie mój przewodnik, gdy znów stanęliśmy przed betonowymi schodami prowadzącymi do kolejnego poziomu.

Wszystko tutaj było z betonu: ściany, podłoga, stropy. Szare płaszczyzny wchłaniały jarzeniowe światło lamp. Znajdowaliśmy się w ponurym, zimnym i przejmująco pustym wnętrzu.

Chłopak chyba czytał w moich myślach.

– Przebudowaliśmy i nieco unowocześniliśmy ten bunkier. Przekonasz się, gdy wejdziemy do głównych pomieszczeń.

Schody nareszcie się skończyły i znaleźliśmy się na korytarzu. Po

obu stronach były zamknięte drzwi. W nieotynkowanych murach zainstalowano nowoczesne framugi, a obok nich zamki elektroniczne migoczące zielonymi i czerwonymi diodami. Zatrzymaliśmy się przed drugim wejściem po prawej, przy którym zobaczyłam zieloną lampkę. Po chwili znalazłam się w typowym pokoju w rodzaju tych, jakie urządza się w nowoczesnych biurach, żeby pracownicy mieli gdzie odpocząć podczas przerw. Zielony dywan miał pewnie kojarzyć się z trawnikiem, a pomalowane brązową farbą ściany dawać złudzenie przytulności. Naprzeciwko wejścia ustawiono miękką kanapę i dwa fotele przy stoliku zarzuconym czasopismami. Najlepszy jednak był ekspres do kawy na blacie obok zlewu.

– Rozgość się – rzucił mój przewodnik. Domyślałam się, że jest mniej więcej w moim wieku (mam osiemnaście lat), ale mimo że usiłował (z marnym efektem) zapuścić brodę, wyglądał sporo młodziej.  
– Niedługo po ciebie przyjdą.

Gapiałam się na ekspres do kawy.

– Mogę się napić?

– Oczywiście – odparł. – Czuj się jak u siebie.

Wyszedł, a ja podbiegłam do blatu. Kawa wyglądała na zwietrzałą, jakby przeleżała tu od czasów zimnej wojny. Uznałam jednak, że nie ma to znaczenia. Miałam za sobą nocny lot z Kalifornii i chociaż pozwolono mi chwilę odpocząć, wciąż czułam się senna i otępiała. Włączyłam ekspres i przeszłam się po pokoju.

Nie znoszę bałaganu, więc najpierw poukładałam czasopisma na stoliku. Potem usiadłam na kanapie i czekałam na kawę, zastanawiając się, w jakim celu wezwano mnie na to spotkanie. Większą część popołudnia tu, w Wirginii, musiałam poświęcić na oficjalną rozmowę z dwójką alchemików, którym złożyłam szczegółowy raport z mojej służby. Mieszkam w Palm Springs i udaję uczennicę w szkole z internatem, a w rzeczywistości opiekuję się Jill Mastrano Dragomir. Jill jest księżniczką z rodu wampirów i musi się ukrywać. Dopóki nikt nie wie, gdzie przebywa, jej pobratymcom nie grozi wojna domowa – wydarzenie, które niechybnie wzbudziłoby sensację wśród ludzi niemających pojęcia, że wampiry żyją we współczesnym świecie. Alchemicy traktują moją misję jako sprawę wielkiej wagi. Nie

zdziwiłam się więc, gdy zażądali ode mnie raportu, choć zaskoczyło mnie, że nie wystarczyła im rozmowa telefoniczna. Chyba po to właśnie wezwali mnie do tego bunkra.

Kawa była już gotowa. Napelniłam ekspres na trzy filiżanki – powinno wystarczyć, bym przetrwała wieczór. Trzymałam w rękach pierwszy styropianowy kubek i dzbanek, gdy otworzyły się drzwi. Na widok wchodzącego mężczyzny omal nie wylałam kawy.

– Pan Darnell – mruknęłam, odstawiając pełny dzbanek drżącą ręką. – Mi... miło pana znowu widzieć.

– Ciebie również, Sydney – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Wyrosłaś.

– Dziękuję – bąknęłam, nie wiedząc, czy traktować to jako komplement.

Tom Darnell był w wieku mojego ojca. W jego brązowej czuprynie pojawiły się siwe włosy. Od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni, przybyło mu również zmarszczek, a niebieskie oczy nabrały wyrazu niepewności, która do niego nie pasowała. Tom Darnell był bowiem wysoko postawioną figurą wśród alchemików. Zdobył pozycję dzięki zdecydowaniu, solidnej pracy i nieposzlakowanej opinii. Kiedy byłam młodsza, wydawał mi się kimś naprawdę wielkim, budził mój podziw. Teraz to on wydawał się onieśmielony moją obecnością, co uznałam za absurdalne. Z drugiej strony, to przeze mnie alchemicy aresztowali i uwięzili jego syna.

– Dziękuję, że przyjechałaś – dodał po chwili niezręcznego milczenia. – Wiem, że odbyłaś długą podróż, w dodatku podczas weekendu.

– To drobiazg, sir – zapewniłam, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. – Zawsze chętnie pomagam... w potrzebie. – Wciąż nie wiedziałam, czego ode mnie chcą.

Tom przyglądał mi się bacznie przez kilka sekund, a potem skinął szybko głową.

– Jesteś bardzo oddana sprawie – zauważył. – Tak jak twój ojciec.

Nie odpowiedziałam. Ta ostatnia uwaga z pewnością była komplementem, ale z mojej strony wyglądało to inaczej.

Tom odchrząknął.

– Cóż, przejdźmy od razu do rzeczy. Naprawdę nie chciałbym przetrzymywać cię tutaj dłużej niż to konieczne.

Zaniepokoiłam się. Dlaczego tak nagle zależy mu na mojej wygodzie? Po tym, co zrobiłam jego synowi, Keithowi, spodziewałam się raczej pretensji.

Tom otworzył przede mną drzwi i zaprosił gestem na zewnątrz.

– Czy mogę zabrać kawę, proszę pana?

– Oczywiście.

Wyszliśmy na betonowy korytarz z szeregiem zamkniętych drzwi. Ścisnęłam w dłoni kubek niczym amulet ochronny i czułam się nieswojo. Darnell zatrzymał się przed drzwiami, przy których paliła się czerwona lampka. Zawahał się.

– Chciałbym ci powiedzieć... że wykazałaś się niezwykłą odwagą – mruknął, unikając mojego wzroku. – Wiem, że ty i Keith się... przyjaźniliście. Na pewno nie było ci łatwo go wydać. Dowiodłaś lojalności. Niełatwo o taką postawę, zwłaszcza gdy w grę wchodzi uczucia.

Keith i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, lecz wiedziałam, skąd się wzięły przypuszczenia Toma. Jego syn spędził kiedyś lato w moim rodzinnym domu, a później pracowaliśmy razem w Palm Springs. Tak naprawdę zdemaskowanie go wcale nie przyszło mi trudno. Przeciwnie, zrobiłam to z satysfakcją. Widząc poważną minę mężczyzny, pomyślałam jednak, że nie mogę mu o tym powiedzieć.

Przełknęłam ślinę.

– Cóż. Zadanie przede wszystkim, sir.

Posłał mi smutny uśmiech.

– O, tak. Z pewnością.

Wystukał kilka cyfr w zamku elektronicznym i drzwi otworzyły się z kliknięciem. Weszłam za nim do środka. Pusty pokój był słabo oświetlony. Nie rozglądałam się specjalnie, bo czekała już na nas trójka ludzi. Zapewne alchemików. Kogo innego miałam się spodziewać w tym miejscu? Poza tym od razu zwróciłam uwagę na znaki, które rozpoznałabym nawet w największym tłumie. Byli ubrani w oficjalne stroje w stonowanych kolorach, a na lewym policzku nosili tatuaże w kształcie złotych lilii. Wszyscy wyglądamy podobnie. Jesteśmy tajną

armią.

Zebrani trzymali podkładki do pisania z klipsem i wpatrywali się w jedną ze ścian. Dopiero teraz zorientowałam się, do czego służy to pomieszczenie. W ścianie było okno wychodzące na inny pokój, o wiele jaśniej oświetlony.

W pokoju tym znajdował się Keith Darnell.

Nagle rzucił się na oddzielającą nas szybę i zaczął w nią walić pięściami. Serce zabiło mi szybciej, instynktownie cofnęłam się kilka kroków w przekonaniu, że zaraz mnie dopadnie. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Keith mnie nie widzi i nieco się uspokoiłam. To było lustro weneckie. Chłopak przyciskał ręce do szyby, usiłując zobaczyć przez nią twarze ludzi, których obecność wyczuwał.

– Proszę, proszę! – wołał. – Wypuście mnie. Wypuście mnie stąd.

Keith wyglądał dużo gorzej, niż gdy widziałam go ostatnio. Miał potargane włosy, których nie strzygł chyba od miesiąca. Nosił szary kombinezon przypominający te, w które ubierano więźniów lub pacjentów szpitali psychiatrycznych. Pasował do betonowego wnętrza bunkra. Przede wszystkim jednak uderzyła mnie rozpacz bijąca z jego jedyne zdrowego oka. Drugie stracił w walce ze strzygami, które zresztą sama na niego nasłałam. Żaden z alchemików o tym nie wiedział, ale nie mieli też pojęcia, że Keith zgwałcił moją starszą siostrę, Carly. Wątpię, czy Tom Darnell chwaliłby mnie za lojalność, gdyby dowiedział się o mojej zemście. Patrząc na Keitha, który naprawdę był w opłakanym stanie, poczułam coś na kształt współczucia, choć bardziej żałowałam jego ojca, którego twarz wyrażała w tej chwili czysty ból. Ale nie miałam wyrzutów sumienia. Także z powodu oka. Mówiąc wprost, Keith Darnell był złym człowiekiem.

– Z pewnością poznałaś Keitha – odezwała się alchemiczka z podkładką w ręku.

Siwe włosy miała związane w schludny kok.

– Tak, proszę pani – potwierdziłam.

Nie musiałam mówić więcej, bo Keith znów zaczął bębnić pięściami w szybę.

– Błagam! Zrobię wszystko, co chcecie! Przysięgam! Powiem



wszystko. Uwierzę. Tylko proszę, nie odsyłajcie mnie tam z powrotem!

Oboje z Tomem byliśmy wstrząśnięci, lecz pozostali alchemicy obserwowali więźnia obojętnie i zapisywali coś na swoich podkładkach. Kobieta z kokiem spojrzała na mnie, jakby nic się nie wydarzyło.

– Młody pan Darnell przebywa w jednym z naszych ośrodków reedukacyjnych. To niefortunne rozwiązanie, lecz konieczne. Handlował nielegalnym towarem, to jedno, ale fakt, że kolaborował z wampirami, uznaliśmy za niewybaczalny. On sam twierdzi, że nic go z nimi nie łączy... lecz nie mamy pewności, czy mówi prawdę. Poza tym istnieje niebezpieczeństwo, że zadawał się także ze strzygami. Pobyt w ośrodku nie pozwoli mu zejść na złą drogę.

– Naprawdę działamy dla jego dobra – dorzucił trzeci z alchemików. – Robimy mu przysługę.

Ogarnęło mnie przerażenie. Główną misją alchemików jest utrzymywanie istnienia wampirów w tajemnicy przed ludźmi. Uważamy je za zwyrodniałe stwory, które nie powinny mieć żadnej styczności z naszą rasą. Szczególne zagrożenie stanowią strzygi – bestie złe do szpiku – biorące sobie ludzi na służbę w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Nawet pokojowo nastawieni moroje oraz ich towarzysze, dampiry, budzą nasz niepokój. Często jesteśmy zmuszeni współpracować z obiema grupami, ale choć przywykliśmy traktować je z pogardą, niektórzy alchemicy nie tylko zbliżają się do morojów lub dampirów, lecz co gorsza zaczynają ich lubić.

Najdziwniejsze wydawało się to, że Keith był ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o bratanie się z obcą rasą. Nigdy nie ukrywał, że czuje do wampirów odrazę. Słyszałam to wielokrotnie. Doprawdy, jeśli ktoś zasłużył sobie na podobne oskarżenia to...

...taką osobą byłam ja.

Teraz wątek podjął drugi alchemik.

– Pani, panno Sage, jest godnym podziwu przykładem osoby, która utrzymuje szerokie kontakty ze światem wampirów, a mimo to zachowuje dystans. Pani oddanie dla sprawy nie zostało niezauważone przez zwierzchników.

– Dziękuję panu – bąknęłam, zastanawiając się, ile razy jeszcze usłyszę tego wieczoru o lojalności. Kilka miesięcy temu nie

zasługiwałam na te komplementy, bo pomogłam pewnej dampirzycy w ucieczce z więzienia. Ostatecznie dowiodła swojej niewinności, a moje zaangażowanie uznano za przejaw „ambicji zawodowych”.

– Tymczasem – ciągnął – biorąc pod uwagę doświadczenia w kontakcie z panem Darnellem, uznaliśmy, że warto poprosić panią o komentarz.

Popatrzyłam na Keitha, który przez cały ten czas nie przestawał walić w szybę i wrzeszczeć. Pozostali ignorowali go, więc i ja się starałam.

– W jakiej sprawie?

– Rozważamy, czy odesłać go z powrotem do ośrodka – wyjaśniła Siwy Kok. – Poczył tam znakomite postępy, lecz niektórzy uważają, że lepiej się zabezpieczyć i upewnić, czy rzeczywiście wybito mu z głowy kontakty z wampirami.

Jeśli zachowanie Keitha miało być oznaką znakomitych postępów, nie wyobrażałam sobie kogoś, kto nie poczynił ich wcale.

Mężczyzna podniósł długopis, gotowy do notowania.

– Co pani sądzi o stanie umysłu pana Darnella na podstawie obserwacji z Palm Springs? Czy więź z wampirami była na tyle głęboka, że powinniśmy przedsięwziąć więcej środków zapobiegawczych?

Zrozumiałam, że „więcej środków zapobiegawczych” oznaczało dłuższy pobyt w ośrodku reedukacyjnym.

Keith bił pięściami po drugiej stronie szyby, a oczy wszystkich obecnych w pokoju zwróciły się na mnie. Tom Darnell bardzo się pocił, wpatrywał się we mnie z lękiem i niepokojem. Nic dziwnego. W moich rękach spoczywał los jego syna.

Spojrzałam na Keitha z mieszanymi uczuciami. Czułam do niego nie tylko niechęć, ale wręcz nienawiść. Rzadko doświadczam takich emocji, lecz nie mogłam zapomnieć krzywdy, jaką wyrządził Carly. Poza tym wciąż jeszcze miałam świeże wspomnienia o tym, jak potraktował mnie i moich przyjaciół w Palm Springs. Dołożył wszelkich starań, by wpędzić mnie w tarapaty i zatuszować w ten sposób swoje matactwa. Okropnie traktował wampiry i dampirey, którymi mieliśmy się opiekować. Przez niego zastanawiałam się, kto w naszej grupie był prawdziwym potworem.

Nie wiedziałam dokładnie, na czym polega terapia w ośrodkach reedukacji. Sądząc po zachowaniu Keitha, musiało tam być naprawdę źle. Z jednej strony miałam wielką ochotę powiedzieć alchemikom, by go tam odesłali na długie lata i już nigdy nie pozwolili oglądać słońca. To, co zrobił, zasługiwało na surową karę. Z drugiej strony nie byłam pewna, czy tak powinna ona wyglądać.

– Sądzę... Sądzę, że Keith Darnell jest zepsuty – powiedziałam w końcu. – Samolubny i niemoralny. Nie obchodzi go inni, krzywdzi ludzi, by dopiąć swego. Jest gotów kłamać, oszukiwać i kraść, by osiągnąć swoje cele. – Zawahałam się. – Ale... nie wierzę, że nie rozumie, kim są wampiry. Nie zbliżył się do nich i nie grozi mu to w przyszłości. Jednocześnie nie wydaje mi się, by mógł pełnić służbę alchemika w najbliższym czasie. Czy wiązałoby się to z uwięzieniem go, czy ustanowieniem okresu próby, zależy od was. Jego czyny dowodzą, że nie traktuje poważnie naszej misji. Ale winny jest jego egoizm, a nie przychylność wobec wampirów. On... mówiąc wprost, jest złym człowiekiem.

Zapadła cisza, zakłócana gorączkowym skrobaniem długopisami po podkładkach. Odważyłam się zerknąć na Toma, choć obawiałam się tego, co zobaczę, po tym jak całkowicie zdyskredytowałam jego syna. Ku memu zaskoczeniu na jego twarzy malowały się... ulga i wdzięczność. Tom był bliski łez. Podchwyciwszy moje spojrzenie, wyszeptał: „Dziękuję”. Niewiarygodne. Właśnie oznajmiłam światu, że Keith jest potworem w ludzkiej skórze, ale dla jego ojca nie miało to znaczenia, dopóki nie oskarżyłam chłopaka o konszachty z wampirami. Mogłam nazwać Keitha mordercą, a Tom pewnie i tak byłby mi wdzięczny, że nie zarzuciłam mu braterstwa z wrogiem.

Skonsternowana znów zadałam sobie pytanie, kto jest prawdziwym potworem. Grupa wampirów, którą zostawiłam w Palm Springs, miała morale wyższe niż Keith.

– Dziękujemy, panno Sage – odezwała się Siwy Kok. – Udzieliła nam pani wielkiej pomocy, weźmiemy to pod uwagę przed podjęciem decyzji. Jest pani wolna. Na korytarzu czeka Zeke, który panią wyprowadzi.

Była to obcesowa odprawa – jakże typowa dla alchemików.

Skuteczna. Rzeczowa. Skinęłam im grzecznie na pożegnanie i po raz ostatni zerknęłam na Keitha. Zamknęłam za sobą drzwi. Krzyki wreszcie umilkły.

Alchemikiem, który mnie tu przyprowadził, był Zeke.

– Załatwione? – spytał.

– Na to wygląda – potwierdziłam, wciąż lekko oszołomiona. Zrozumiałam, że raport dotyczący sytuacji w Palm Springs był tylko pretekstem. Skoro byłam w okolicy, postanowili się ze mną spotkać. Ale w gruncie rzeczy chodziło im o coś innego. Wezwali mnie tutaj, żebym zobaczyła Keitha.

Idąc korytarzem, zwróciłam uwagę na coś, co wcześniej mi umknęło. Drzwi, które tu prowadziły, były zabezpieczone znacznie solidniej niż pozostałe. Oprócz światełek i zamków elektronicznych miały urządzenie służące do odczytywania kart czipowych. Na górze zainstalowano również zamek otwierany od zewnątrz. Nie wyglądało to wprawdzie jak najnowsze osiągnięcie techniki, lecz najwyraźniej służyło zatrzymaniu w środku tego, co tam się znajdowało.

Przystanąłam i przez chwilę wpatrywałam się w drzwi. Potem ruszyłam przed siebie, wiedząc, że nie powinnam niczego komentować. Dobrzy alchemicy nie zadają pytań.

Zeke zauważył moje spojrzenie. Zerknął na mnie, potem na drzwi i znowu na mnie.

– Czy chcesz... Chcesz zobaczyć, co jest w środku? – Obejrzał się szybko na drzwi, którymi wyszliśmy na korytarz. Był tylko szeregowym pracownikiem i wyraźnie bał się zwierzchników. Jednocześnie wyczuwałam w nim podekscytowanie jakąś tajemnicą, którą nie pozwolono mu się z nikim dzielić. Ale ja byłam z zewnątrz, mógł mi ją powierzyć.

– Zależy, co tam jest – odparłam ostrożnie.

– Powód, dla którego robimy to, co robimy – odparł enigmatycznie. – Zajrzyj, a zrozumiesz, dlaczego nasza praca jest taka ważna.

Zeke postanowił zaryzykować, mignął kartą przed czytnikiem i wystukał długi kod. Światelko na drzwiach zamrugało na zielono i alchemik odsunął zasuwę. Chyba spodziewałam się zobaczyć kolejny

słabo oświetlony pokój, ale w środku było tak jasno, że poczułam się oślepią. Przyłożyłam rękę do oczu, żeby je osłonić.

– Prowadzą tu coś w rodzaju leczenia światłem – wyjaśnił przeprasząco alchemik. – Zastosowano ten sam rodzaj lamp co przy fototerapii. Mamy nadzieję, że dzięki nim ludzie tacy jak on staną się na powrót bardziej ludzcy, a w każdym razie przestaną uważać się za strzygi.

W pierwszej chwili byłam zbyt zdezorientowana, by zrozumieć, o czym on mówi. I nagle zobaczyłam celę. Grube metalowe pręty zamykały wejście zabezpieczone dodatkowo kolejnym czytnikiem i zamkiem elektronicznym. Widok mężczyzny znajdującego się w środku odebrał mi mowę. Starszy ode mnie, mógł mieć dwadzieścia parę lat, był w oplakany stanie. Keith wyglądał przy nim świetnie. Wychudzona postać siedziała skulona w kącie celi, zasłaniając oczy przed światłem. Mężczyzna miał skute dłonie i stopy. Kiedy weszliśmy, odważył się na nas spojrzeć.

Poczułam ciarki na plecach. To był człowiek, ale miał w sobie taki chłód i zło jak strzygi. Szare oczy były ślepiami drapieżnika. Pozbawione emocji jak u zabójców, którzy nie odczuwają empatii wobec ludzi.

– Przyniosłeś mi obiad? – spytał wystudiowanym chrapliwym głosem. – Ładna i młoda. Mogłaby być nieco tłustsza, ale na pewno ma soczystą krew.

– Liam – upomniał go Zeke znużonym głosem. – Wiesz, gdzie jest twój obiad. – Pokazał nietkniętą tacę w celi, na której posiłek już dawno wystygł. Zobaczyłam kotleciki z kurczaka, zielony groszek i ciasteczko. – Prawie nie je. – Alchemik zwrócił się do mnie. – Dlatego jest taki wychudzony. Wciąż żąda krwi.

– Czym... czym on jest? – spytałam, nie mogąc oderwać wzroku od Liama. Zadałam głupie pytanie. Ten mężczyzna był człowiekiem, ale... dostrzegłam w nim coś nienaturalnego.

– Chorą duszą, która pragnie przemienić się w strzygę – odparł Zeke. – Służył im, gdy odnaleźli go strażnicy i przyprowadzili do nas. Od tamtej pory na próżno usiłujemy przywrócić go do normalnego stanu. Wciąż opowiada, jakie cudowne istoty z tych strzyg i jak to do nich

powróci, a wtedy nas ukarze. Tymczasem usilnie stara się udawać jedną z nich.

– Och! – Liam uśmiechnął się chytrze. – Będę jednym z nich. Wynagrodzą mi lojalność i cierpienie. Przebudzą mnie, a wtedy zyskam potęgę, jakiej sobie nie wyobrażacie wy, śmiertelnicy. Stanę się nieśmiertelny i przyjdę po was, po wszystkich. Będę pił waszą krew, smakując każdą kroplę. Wy, alchemicy, sądzicie, że pociągacie za sznurki i kontrolujecie wszystko. Ale oszukujecie się. Nie macie żadnej władzy. Jesteście niczym.

– Słyszałaś. – Zeke pokręcił głową. – Jest żaloszny. Chociaż rzeczywiście mógł się przemienić, gdyby nie nasza interwencja. A razem z nim mogło zmarnować się wielu ludzi, którzy sprzedaliby swoje dusze w zamian za puste obietnice nieśmiertelności. – Uczynił alchemiczny znak chroniący przed złem, rysując mały krzyż na ramieniu, a ja zorientowałam się, że bezwiednie go powtórzyłam. – Nie bardzo odpowiada mi służba w tym miejscu, lecz... dzięki niej nie zapominam, jak ważne jest utrzymywanie istnienia morojów i innych w tajemnicy przed ludźmi. Nie możemy pozwolić, by nas przekabacili.

Wiem, że moroje i strzygi diametralnie się różnią. Mają całkowicie odmienny stosunek do ludzi. Nie mogłam jednak wdawać się w dyskusję na ten temat. W tej chwili zresztą byłam wstrząśnięta i przestraszona. W tym miejscu łatwo uwierzyć we wszystko, co mówią alchemicy. Że walczyliśmy przeciwko złu. Że to był koszmar, na który nie mogliśmy pozwolić.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale Zeke tego nie oczekiwał.

– Chodźmy stąd – rzucił i zwrócił się do Liama: – Lepiej coś zjedz, bo kolejny posiłek dostaniesz dopiero rano. Nie obchodzi mnie, że wszystko wystygło i nie nadaje się do spożycia.

Liam zmrużył oczy.

– Nie będę jadł ludzkiego żarcia, skoro wkrótce napiję się nektaru bogów. Poczuję twoją ciepłą krew na wargach, twoją i tej ślicznotki. – Wybuchnął głośnym śmiechem, który wystraszył mnie bardziej niż wrzaski Keitha.

Śmiał się, gdy Zeke wyprowadził mnie z pokoju. Drzwi zatrzasnęły się za nami, a ja przystanąłam w korytarzu, żeby ochłonać. Alchemik

przyjrzał mi się z troską.

– Przepraszam... Chyba nie powinienem był ci tego pokazywać.

Powoli pokręciłam głową.

– Nie... dobrze zrobiłeś. Powinniśmy oglądać takie rzeczy. Żeby przypomnieć sobie, czemu to wszystko robimy. Po prostu nie spodziewałam się takiego widoku.

Próbowałam pomyśleć o czymś zwyczajnym i odsunąć od siebie przerażające wspomnienie. Spojrzałam na swoją kawę. Nie tknęłam jej i już zdążyła wystygnać. Skrzywiłam się.

– Mogłabym zrobić sobie nową kawę przed wyjściem? – Potrzebowałam czegoś normalnego. Czegoś ludzkiego.

– Jasne.

Zeke zaprowadził mnie do saloniku. W dzbanku wciąż jeszcze był gorący napar. Wylałam zawartość kubka do zlewu i napełniłam go ponownie. Nagle otworzyły się drzwi i do środka wtargnął wzburzony Tom Darnell. Zaskoczyliśmy go, nie spodziewał się tu nikogo spotkać. Przeszedł obok i usiadł na kanapie, zakrywając twarz dłońmi. Zeke i ja popatrzyliśmy na siebie niepewnie.

– Panie Darnell... – zaczęłam. – Dobrze się pan czuje?

Nie odpowiedział od razu. Szlochał. Chciałam już wyjść, gdy podniósł głowę i spojrzał na mnie, chociaż odniosłam wrażenie, że wcale mnie nie widział.

– Podjęli decyzję – powiedział. – Co do Keitha.

– Tak szybko? – zdziwiłam się. Byłam w celi Liama najwyżej pięć minut.

Tom skinął głową ponuro.

– Odeślą go... Z powrotem do ośrodka reedukacyjnego.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Jak to? Przecież im to odradzałam! Powiedziałam, że on nie zadaje się z wampirami. Keith... ma w tej kwestii taką samą postawę jak my wszyscy. Nie na tym polega jego wina.

– Wiem. Mimo to uznali, że nie mogą ryzykować. Zdaniem alchemików Keith nazbyt łatwo wszedł w układ z wampirami. Sądzą, że lepiej wykazać się przesadną skrupulatnością. Pewnie... pewnie mają rację. Tak będzie najlepiej.

Przypomniałam sobie Keitha walącego pięściami o szybę i błagającego, by go nie odsyłano.

– Przykro mi, panie Darnell.

Tom lekko oprzytomniał. Podniósł na mnie wzrok.

– Nie przepraszaj, Sydney. Tak wiele zrobiłaś... dla Keitha. Dzięki temu, co powiedziałaś, skrócą jego pobyt w ośrodku. To wiele dla mnie znaczy. Dziękuję ci.

Żołądek mi się ścisnął. Przeze mnie Keith stracił oko. Przeze mnie odesłano go do ośrodka reedukacji. Ogarnęło mnie współczucie. Zasłużył na karę, lecz nie na to, co go spotkało.

– Nie pomylili się co do ciebie – ciągnął Tom. Próbował się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało. – Jesteś przykładem dla wszystkich. Taka oddana. Twój ojciec musi być z ciebie dumny. Nie wiem, jak udaje ci się żyć wśród tych bestii i nie tracić głowy. Inni alchemicy mogliby się od ciebie uczyć. Wiesz, czym jest odpowiedzialność i obowiązek.

Od wczoraj, gdy wsiadłam do samolotu w Palm Springs, wiele rozmyślałam o osobach, które tam zostawiłam – to znaczy myślałam wtedy, gdy alchemicy nie zaprzęтали mi głowy swoimi więźniami. Życie z Jill, Adrianem, Eddiem, nawet z Angeline... bywało frustrujące, lecz przecież poznałam ich dobrze i zależało mi na nich. Oczywiście miałam z nimi mnóstwo roboty, ale zatęskniłam za tą barwną gromadką już w chwili, gdy opuszczałam Kalifornię. Gdy mi nie towarzyszyli, pojawiało się uczucie pustki.

Czułam się tym lekko zakłopotana. Czyżbym zatracać granicę między służbą a przyjaźnią? Skoro Keith wpadł w takie tarapaty za mały układ z wampirem, co mogłoby czekać mnie? I jak wiele dzieliło nas od losu Liama?

Usłyszałam w głowie słowa Zeke'a: „Nie możemy pozwolić, by nas przekabacili”.

I to, co mówił Tom: „Wiesz, czym jest odpowiedzialność i obowiązek”.

Tom patrzył na mnie wyczekująco, więc zdobyłam się na uśmiech i odsunęłam od siebie lęk.

– Dziękuję panu – powiedziałam. – Robię, co w mojej mocy.



## ROZDZIAŁ DRUGI

TEJ NOCY NIE ZMRUŻYŁAM OKA. Częściowo z powodu różnicy czasu. Lot powrotny do Palm Springs miałam zarezerwowany na szóstą rano, czyli trzecią nad ranem według czasu przyjętego przez mój organizm. Nie było sensu się kłaść.

Zresztą nie mogłabym zasnąć także z innego powodu: trudno było mi się odprężyć po tym, co widziałam w schronie alchemików. Dręczyły mnie obłąkane spojrzenie Liama i głosy powtarzające, że niebezpiecznie jest zbliżać się do wampirów.

Nie pomagał też fakt, że moja skrzynka była zapełniona wiadomościami z Palm Springs. Zazwyczaj podczas wyjazdów regularnie sprawdzam maile w telefonie. Siedząc tej nocy w hotelowym pokoju, zrezygnowana gapiłam się na listę wiadomości. Czy działałam profesjonalnie? Nie zbliżyłam się do nich zbyt blisko? Może już przekroczyłam granicę wyznaczoną przez alchemików? Biorąc pod uwagę to, co się przydarzyło Keithowi, zrozumiałam, że nie trzeba wiele, by popaść w niełaskę. Jedną z wiadomości przesłała Jill. Zatytułowała ją: *Angeline... ech*. Nie byłam zaskoczona i nawet nie zadałam sobie trudu przeczytania listu. Angeline Dawes, dampirzyca udająca współlokatorkę Jill, a tak naprawdę jej ochrona, miała drobne kłopoty z przystosowaniem się do szkolnego życia w Amberwood. Wiecznie napotykała jakieś trudności, więc cokolwiek stało się tym razem, i tak nie mogłabym jej pomóc na odległość.

Angeline też do mnie napisała. Temat: **PRZECZYTAJ KONIECZNIE! UŚMIEJESZ SIĘ!** Dziewczyna niedawno odkryła możliwości poczty elektronicznej i najwyraźniej nie nauczyła się jeszcze, jak wyłączać capslock. Wciąż rozsyłała wszystkim dowcipy albo informacje o aferach finansowych, nie przejmowała się zagrożeniem wirusami. Musieliśmy w końcu zainstalować rodzicielską barierę ochronną na jej laptopie, po tym jak po otwarciu nieodpowiednich stron zainfekowała komputer. Ostatnia wiadomość w skrzynce zmusiła mnie do zastanowienia. Przysłał ją Adrian Iwaszkow, jedyna osoba w tej grupie, która nie udawała ucznia w Amberwood. Adrian był morojem i miał dwadzieścia jeden lat, toteż trudno byłoby mu

się wcielać w ucznia szkoły średniej. Trafił do naszej grupy, ponieważ łączy go z Jill psychiczna więź, uformowana raz na zawsze po tym, jak ocalił jej życie dzięki swojej magii. Wszyscy moroje władają mocą żywiołów, zaś domeną Adriana jest duch. Więź pozwala Jill czytać w myślach Adriana i odbierać jego emocje, co jest nie lada wyzwaniem dla nich obojga. Za to jego towarzystwo pomaga dziewczynie radzić sobie z niektórymi nieprzyjemnymi konsekwencjami więzi. Poza tym Adrian przyjechał do Palm Springs, bo nie miał nic lepszego do roboty.

Zatytułował swoją wiadomość: NATYCHMIAST PRZYŚLIJ POMOC. W przeciwieństwie do Angeline, Adrian potrafił posługiwać się klawiaturą, więc wielkie litery miały podkreślić dramatyzm sytuacji. Gdybym miała decydować, która z wiadomości dotyczy mojej pracy, ta nie miała wysokiego priorytetu. Adrian nie był moim podopiecznym. Mimo to otworzyłam list.

*Dzień 24. Jest coraz gorzej. Moi porywacze prześcigają się w wynajdowaniu coraz to nowych okrutnych tortur. W wolnych chwilach agentka Scarlet przegląda próbki tkanin na suknię ślubną i opowiada wszystkim, jak bardzo jest zakochana. Agent Nudziarz Barszcz nie pozostaje jej dłużny i zadręcza nas opisami rosyjskich uczt weselnych – te historie są jeszcze bardziej drętwe niż jego zwykłe opowieści. Do tej pory udaremnił wszystkie moje próby ucieczki. W dodatku skończyły mi się fajki. Wszelka pomoc oraz wyroby tytoniowe będą naprawdę docenione.*

*Więzień 24601*

Uśmiechnęłam się mimo woli. Adrian niemal codziennie przysyłał mi podobne wiadomości. Tego lata dowiedzieliśmy się, że dzięki żywiołowi ducha można przywrócić do dawnego życia osoby przemienione w strzygi. Wciąż jeszcze był to dla nas niezrozumiały i skomplikowany proces, tym bardziej że niewielu znanych nam morojów umiało tego dokonać. Niedawne wydarzenia pokazały, że ci, którzy powrócili, już nigdy nie mogą ponownie przemienić się w strzygi.

Ta wiadomość wstrząsnęła światem alchemików i morojów. Gdyby istniała magiczna formuła zapobiegająca przemianie w strzygi, zniknąłby problem szaleńców takich jak Liam.

Najbardziej zaangażowani w badania nad możliwościami mocy

ducha byli Sonia Karp i Dymitr Bielikow lub – jak nazywał ich Adrian w swoich zwichrowanych listach – „Agentka Scarlet” i „Agent Nudziarz Barszcz”. Sonia jest morojką, a Dymitr dampirem. Oboje zostali kiedyś przemienieni w strzygi, a potem uratowani za sprawą magii ducha. W zeszłym miesiącu przyjechali do Palm Springs, by wraz z Adrianem utworzyć grupę badawczą zajmującą się szukaniem metod zapobiegania przemianie. Podjęli się niezwykle ważnego zadania. Sonia i Dymitr byli największymi twardzielami, jakich poznałam, czego nie można było powiedzieć o Adrianie.

Cała trójka prowadziła zatem żmudne i trudne eksperymenty, w których nierzadko uczestniczył Eddie Castile, dampir, który także udawał ucznia w Amberwood. Pełnił funkcję królika doświadczalnego, bowiem w przeciwieństwie do Dymitra nigdy nie doświadczył na sobie mocy ducha ani nie przemienił się w strzygę. Nie mogłam pomóc Adrianowi, który był głęboko sfrustrowany udziałem w badaniach. Zabawiał się w odgrywanie dramatu i wysyłał kolejne rozpaczliwe listy. Już miałam wykasować jego wiadomość, gdy uświadomiłam sobie, że Adrian odwoływał się do *Nędzników* Wiktora Hugo, powieści poświęconej rewolucji francuskiej. Było to opasłe tomisko, którym z łatwością można by komuś solidnie przyłożyć. Czytałam tę książkę po angielsku i po francusku, ale Adrian nudził się już podczas lektury dłuższej listy dań w restauracji. Trudno było mi sobie wyobrazić, że zapoznał się z Hugo w jakimkolwiek języku. Skąd zatem nawiązania? „To bez znaczenia, Sydney – powiedział stanowczy głos alchemiczki w mojej głowie. – Usuń wiadomość. Jest nieistotna. Wiedza Adriana w dziedzinie literatury (a raczej jej brak) nie jest twoim zmartwieniem”.

Ale nie mogłam tak po prostu wykasować listu. Musiałam to sprawdzić. Nie znoszę, gdy umykają mi detale. Odpisałam pośpiesznie: „Skąd wiesz o 24601? Nie wmówisz mi, że czytałeś książkę. Widziałeś musical, prawda?”.

Kliknęłam „wyślij” i niemal natychmiast dostałam odpowiedź: „Czytałem streszczenie.”

Typowe. Roześmiałam się na głos i od razu dopadły mnie wyrzuty sumienia. Nie powinnam była do niego pisać. Korzystałam wprawdzie z prywatnej poczty, ale jeśli alchemicy kiedykolwiek zechcą mnie

sprawdzić, łatwo uzyskają do niej dostęp. Wpadłabym wówczas w poważne kłopoty. Szybko usunęłam całość korespondencji. Z drugiej strony, każdą informację można odzyskać.

Gdy wylądowałam w Palm Springs o siódmej następnego ranka, boleśnie odczuwałam skutki nadmiaru kofeiny. Byłam wykończona i kawa nie mogła mi już pomóc. Omal nie zasnęłam na lotnisku, czekając na transport. Ocknęłam się dopiero, gdy usłyszałam swoje nazwisko.

Dymitr Bielikow wyskoczył z niebieskiego wypożyczonego wozu i ruszył do mnie wielkimi krokami. Chwycił moją walizkę, zanim zdążyłam coś powiedzieć. Nieznajome kobiety, które rozmawiały ze sobą tuż obok, umilkły jak na komendę i zagapiły się na niego z zachwytem. Wstałam.

– Nie musisz tego robić – mruknęłam, lecz on już pakował moją walizkę do bagażnika.

– Oczywiście, że muszę – odparł z lekkim rosyjskim akcentem. Uśmiechnął się blado. – Myślałem, że śpisz.

– Dobrze by było. – Westchnęłam, siadając na miejscu pasażera. Dymitr zabrałby moją walizkę niezależnie od sytuacji. Ostatni rycerz we współczesnym świecie, zawsze gotów do pomocy.

Ta galanteria była tylko jedną z wielu zadziwiających cech Dymitra. Już sam jego wygląd budził zainteresowanie: ludzie przystawali na jego widok. Miał długie, ciemne włosy związane z tyłu i brązowe oczy, tajemnicze i uwodzicielskie. Był wysoki – około stu dziewięćdziesięciu centymetrów – i dorównywał wzrostem niektórym morojom. Nawet ja musiałam mu przyznać wysoką punktację na skali atrakcyjności.

Dymitr odznaczał się również nadzwyczajną witalnością. Był zawsze czujny, gotowy na niespodziewany zwrot wydarzeń. Nie wyobrażałam sobie, by mógł się dać zaskoczyć. Potrafił zaatakować w każdej chwili. Wiedziałam, że jest także niezrównany w walce, toteż zawsze czułam się komfortowo u jego boku. Dawał mi poczucie bezpieczeństwa, choć czasem sprawiał, że robiło mi się nieswojo.

– Dzięki za transport – rzuciłam. – Ale mogłam wrócić taksówką.

Wypowiadając te słowa, wiedziałam, że brzmię bezsensownie, jak wtedy, gdy zauważyłam, że nie musiał podnosić mojej walizki.

– Drobiazg – zapewnił, wyjeżdżając na przedmieścia Palm Springs. Otarł pot z brwi i nawet to wyglądało pociągająco. Mimo wczesnej pory robił się upał. – Sonia nalegała. Poza tym dzisiaj nie pracujemy.

Zmarszczyłam brwi. Ich badania nad zatrzymaniem procesu przemiany w strzygi miały olbrzymie znaczenie. Dymitr i Sonia zdawali sobie z tego sprawę, więc zdziwiła mnie ta informacja.

– Z powodu Adriana? – próbowałam zgadnąć. Może „nie był w nastroju”.

– Częściowo – przyznał Dymitr. – Ale nie będzie też dziś naszego królika. Eddie ma inne sprawy na głowie.

Zmarszczyłam się bardziej.

– A jakie to sprawy?

Eddie również bardzo poważnie traktował swoją służbę. Adrian czasem nazywał go mini-Dymitrem. I chociaż dampir zapisał się do szkoły w Amberwood, wiedziałam, że bez słowa odkłada pracę domową, by pomóc w większej sprawie. Mogło istnieć tylko jedno wyjaśnienie, dlaczego zrezygnował z poszukiwania cudownego „remedium”. Serce zabiło mi szybciej.

– Z Jill wszystko w porządku? – Niepotrzebnie się przestraszyłam. Przecież ktoś by mnie powiadomił. Eddie przyjechał do Palm Springs, by zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo. Gdyby coś groziło Jill, cały nasz plan by runął.

– Tak – odparł Dymitr. – Rozmawiałem z nią dziś rano. Nie wiem, dlaczego Eddie się wymówił, lecz na pewno miał ważny powód.

– Chyba tak – mruknęłam nadal zaniepokojona.

– Zamartwiasz się tak samo jak ja – zażartował. – Sądziłem, że nikt mi w tym nie dorówna.

– Na tym polega moja praca. Muszę się troszczyć o wszystkich.

– Czasem warto zadbać o siebie. Także w ten sposób pomagamy innym.

Rzuciłam mu kpiące spojrzenie.

– Rose często żartowała z twoich „mądrości mistrza zen”. Czyżbym właśnie usłyszała próbkę? Jeśli tak, rozumiem, czemu czuła się bezbronna wobec twojego uroku.

Zasłużyłam na rzadki szczery wybuch śmiechu Dymitra.

– Masz rację. Gdybyś zapytała Rose, powiedziałyby, że urzekły ją moje umiejętności w walce sztyletem i ścinaniu głów. Ale jestem pewien, że zdobyłem ją właśnie mądrością zen.

Uśmiechnęłam się i natychmiast ziewnęłam. Niewiarygodne, że nauczyłam się żartować zampirem. Dawniej panikowałam, gdy tylko znalazłam się w jednym pokoju z którymś z nich lub z morojów. Ale minęło pół roku i do jakiegoś stopnia zdołałam pozbyć się lęku. Wciąż czułam, jak bardzo są inni; dystansowałam się, ale jednocześnie ułatwiłam sobie pracę, odpuszczając nieco napięcie. „Ostrożnie z tym odpuszczaniem” – ostrzegł mnie wewnętrzny głos rozsądku alchemiczki.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Dymitr, podjeżdżając pod wejście do dormitorium w Amberwood. – Powinnaś odpocząć.

– Spróbuję – obiecałam. – Ale najpierw dowiem się, dokąd poszedł Eddie.

Dymitr natychmiast przybrał oficjalną minę.

– Jeśli go znajdziesz, sprowadź go przed wieczorem. Powinniśmy jednak trochę popracować. Sonia byłaby zachwycona. Ma jakieś nowe pomysły.

Skinęłam głową. Dymitr przypomniał mi, że musimy dbać o standardy. Praca, praca, praca. Nie wolno nam zapominać o wyższych celach.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Podziękowałam mu raz jeszcze i weszłam do budynku, rozmyślając o czekających mnie obowiązkach. Poczulałam rozczarowanie, gdy moje plany nieoczekiwanie legły w gruzach.

– Panno Melrose?

Odwróciłam się pośpiesznie na dźwięk nazwiska, które przyjąłam na czas pobytu w szkole. Pani Weathers, pulchna i leciwa opiekunka dormitorium, już szła w moim kierunku. Miała zaniepokojoną minę, co nie wróżyło nic dobrego.

– Tak się cieszę, że pani wróciła – zaczęła. – Ufam, że wizyta w domu się udała?

– Tak, proszę pani. – Pod warunkiem że udana wizyta oznacza „przerażenie i wzburzenie”.

Pani Weathers zaprosiła mnie do swojego biurka.

– Musimy porozmawiać o pani kuzynce.

Powstrzymałam grymas na wspomnienie wiadomości od Jill. Kuzynka Angeline. Cała nasza gromadka w Amberwood występowała jako rodzina, którą w rzeczywistości nie byliśmy. Jill i Eddie udawali moje rodzeństwo, a Angeline naszą kuzynkę. W ten sposób łatwiej nam było wyjaśnić fakt, że zawsze trzymaliśmy się razem i zajmowaliśmy się swoimi sprawami.

Usiadłam z panią Weathers, myśląc tęsknie o łóżku.

– Co się stało? – spytałam.

Opiekunka westchnęła.

– Pani kuzynka nie przestrzega szkolnych wymagań w kwestii stroju.

Zaskoczyła mnie.

– Przecież nosimy mundurki.

– Oczywiście – przyznała kobieta – ale nie poza lekcjami.

Miała rację. Tego dnia włożyłam spodnie w kolorze khaki i zieloną bluzkę z krótkimi rękawami. Poza tym miałam na szyi mały złoty krzyżyk, z którym się nie rozstaję. Dokonałam w myślach pospiesznego przeglądu garderoby Angeline, usiłując sobie przypomnieć, czy było tam coś, co powinno mnie zaniepokoić. Zdaje się, że najwięcej wątpliwości mogła budzić jakość jej ciuchów. Angeline pochodziła ze wspólnoty stróżów, ludzi, morojów i dampirów mieszkających razem w Appalachach w raczej surowych warunkach. Obywali się bez elektryczności i sanitariatów, poza tym ubrania nosili tak długo, póki nie zaczęły się rozpadać.

– W piątkowy wieczór widziałam ją w niezwykle prowokujących krótkich džinsowych spodenkach. – Pani Weathers aż się wzdrygnęła przy tych słowach. – Natychmiast ją upomniałam, lecz odparła, że to jedyny wygodny strój na upały. Ostrzegłam ją i kazałam znaleźć bardziej odpowiednie odzienie. Mimo to w sobotę pojawiła się w tych samych szortach i obcisłej podkoszulce. Wyglądała doprawdy nieprzyzwoicie. Kazałam jej siedzieć w dormitorium przez cały weekend.

– Przykro mi, proszę pani – powiedziałam, nie mając pojęcia, co odrzec. Poświęciłam ten weekend wielkiej sprawie ocalenia ludzkości, więc krótkie spodenki....

Pani Weathers nieco się zmięgowała.

– Wiem... wiem, że nie powinnam pani w to angażować. To sprawa dla rodziców. Lecz pani poczucie odpowiedzialności i nadzwyczajna troska o rodzinę...

Westchnęłam.

– Dobrze, proszę pani. Zajmę się tym. Dziękuję, że poprzestała pani na tak łagodnej karze.

Poszłam na górę, z każdym stopniem czując, jak moja mała walizka staje się coraz cięższa. Na pierwszym piętrze się zatrzymałam. Jeszcze parę schodów i znajdę się w swoim pokoju. Ale tutaj mieszkała „kuzynka Angeline”. Niechętnie skręciłam w jej korytarz, uznając, że im prędzej to załatwię, tym lepiej.

– Sydney! – Drzwi otworzyła Jill Mastrano. W jej jasnozielonych oczach zalśniła radość. – Wróciłaś.

– Na to wygląda – mruknęłam, wchodząc do pokoju. Angeline była u siebie, leżała na łóżku z książką. Byłam pewna, że po raz pierwszy widzę ją przy nauce. Przymusowy pobyt w dormitorium ograniczył jej wachlarz rozrywek.

– Czego chcieli alchemicy? – spytała Jill. Usiadła na swoim łóżku po turecku i bezwiednie bawiła się jasnobrązowymi lokami.

Wzruszyłam ramionami.

– Przejrzeć papierki. Nudy. Zdaje się, że tutaj zdarzyło się wiele ciekawszych rzeczy. – Tę uwagę rzuciłam pod adresem Angeline.

Dampirzyca zeskoczyła z łóżka z rozwścieczoną miną. Jej oczy rzucały groźne błyski.

– To nie była moja wina! Ta Weathers nie wie, gdzie jest jej miejsce! – wykrzyknęła z południowym śpiewnym akcentem.

Obrzuciłam ją szybkim spojrzeniem, lecz nie znalazłam nic niepokojącego w jej stroju. Miała lekko przetarte dzinsy i zwykłą podkoszulkę. Nawet jasne, różowawe włosy ściągnęła dla odmiany w kucyk.

– Co takiego zrobiłaś, że tak się zdenerwowała? – spytałam.

Angeline spojrzała na mnie spode łba i podeszła do komody, z której wyjęła parę dzinsowych spodenek. Były dosłownie w strzępach. Bałam się, że rozpadną się na moich oczach. Nogawki były tak krótkie,



że nie zdziwiłabym się, gdyby odslaniały bieliznę.

– Skąd je wytrzasnęłaś?

Mina Angeline wyrażała niemal dumę.

– Sama je zrobiłam.

– Czym? Piłą?

– Miałam dwie pary dzinsów – wyjaśniła spokojnie. – Na dworze jest tak gorąco, że postanowiłam zrobić z nich szorty.

– Pocięła je nożem z kawiarni – wtrąciła Jill.

– Nie miałam nożyczek – wyjaśniła Angeline.

Moje łóżko. Gdzie jest moje łóżko?

– Pani Weathers wspomniała też coś o nieprzyzwoitej koszulce – rzuciłam.

– Och – bąknęła Jill. – To moja własność.

Poczułam, jak unoszą mi się brwi.

– Jak to? Nie pamiętam, byś nosiła się „nieprzyzwoicie”.

Przed przyjazdem Angeline dzieliłam z Jill pokój.

– Fakt – przyznała. – Szkopuł w tym, że Angeline nosi inny rozmiar.

Popatrzyłam na nie i zrozumiałam. Jill jest wysoka i szczupła, jak większość morojek. Ma figurę modelek w świecie ludzi. Zazdrościłam jej tego okropnie. Występowała już jako modelka. Szczupła sylwetka oznacza mały biust. Biust Angeline... nie był tak mały. Jeśli włożyła krótki podkoszulek Jill, musiała go rozciągnąć tak, że prezentował się doprawdy nieprzyzwoicie.

– Jill paraduje w nim bez przerwy i nikt jej z tego powodu nie robi wyrzutów – broniła się Angeline. – Uznałam, że spokojnie mogę go pożyczyć.

Rozboliła mnie głowa. Z drugiej strony pomyślałam, że tym razem nie posunęła się tak daleko jak ostatnio, gdy przyłapano ją z chłopakiem w męskiej toalecie.

– Cóż. Możemy to łatwo naprawić. Pojedziemy do miasta... Nie, sama pojedę, bo ty masz szlaban, i kupię ci więcej ubrań w odpowiednim rozmiarze.

– Och. – Angeline nagle zmieniła ton. – Nie musisz nigdzie jechać. Eddie się tym zajmie.

Gdyby nie Jill, która jej przytaknęła, uznałabym to za dowcip.

– Eddie? Zgodził się kupić ci ciuchy?

Angeline westchnęła ze szczęścia.

– Prawda, że to miłe?

Miłe? To wcale nie było miłe, lecz rozumiałam powody decyzji Eddiego. Z pewnością nie miał najmniejszej ochoty wybierać ciuchów dla Angeline, ale uznał to za swój obowiązek. Był w tym do mnie podobny. Jednocześnie dowiedziałam się, dlaczego odwołał swój udział w eksperymencie i odmówił szczegółowych wyjaśnień.

Natychmiast sięgnęłam po komórkę i zadzwoniłam do niego. Odebrał niemal od razu, jak zawsze. Mogłabym się założyć, że nigdy nie oddalał się od telefonu dalej niż na metr.

– Cześć, Sydney. Cieszę się, że wróciłaś. – Urwał. – Bo wróciłaś, prawda?

– Tak, jestem z Jill i Angeline. Dowiedziałam się, że wysłały cię po zakupy.

Eddie jęknął.

– Tylko nie każ mi nic więcej robić. Dopiero wszedłem do siebie.

– Wpadniesz tu z pakunkami? I tak potrzebuję samochodu.

Chłopak się zawahał.

– A nie mogłabyś przyjść do mnie? Pod warunkiem że z Jill wszystko w porządku. Nic jej nie jest? Nie potrzebuje mnie? Bo jeśli tak...

– Wszystko w porządku. – Dormitorium Eddiego znajdowało się w pobliżu, lecz miałam nadzieję krótko się zdrzemnąć. Mimo wszystko zgodziłam się, jak zwykle.

– Spotkamy się w holu za piętnaście minut?

– Świetnie. Dzięki, Sydney.

Kiedy tylko się rozłączyłam, Angelinie spytała z przejęciem:

– Eddie do nas przyjdzie?

– Ja idę do niego – odparłam.

Zrzędała jej mina.

– Och. Cóż, trudno, i tak nie mogę wyjść. Nie mogę się doczekać, kiedy wznowimy treningi. Uwielbiam z nim ćwiczyć tylko we dwoje. – Nie zdawałam sobie sprawy, że Angeline tak bardzo zależy na

treningach. Cieszyła ją nawet odległa perspektywa ćwiczeń.

Wyszłam z pokoju i przystanęłam zdumiona, widząc, że Jill podążyła za mną jak cień. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi, zaniepokojonymi oczyma.

– Sydney... Chcę cię przeprosić.

Przyjrzałam jej się z ciekawością, zastanawiając się, czy coś zmalowała.

– Za co?

Pokazała na drzwi.

– Za Angeline. Powinnam trzymać ją z dala od kłopotów.

Omam się nie uśmiechnęłam.

– To nie jest twoje zadanie.

– Tak, wiem... – Jill spojrziała pod nogi, a długie włosy opadły jej na twarz. – Mimo to... Wiem, że powinnam ciebie naśladować. A tymczasem... sama wiesz. Szukam rozrywek.

– Masz do tego prawo – odparłam, ignorując aluzję pod moim adresem.

– Powinnam być bardziej odpowiedzialna – upierała się Jill.

– Ależ jesteś – zapewniłam. – Szczególnie w porównaniu z Angeline.

Moja rodzina w Utah miała kota, który również był bardziej odpowiedzialny od Angeline.

Jill rozpromieniła się, więc zostawiłam ją i zaniiosłam walizkę do swojego pokoju. Dzięki przyjazdowi Angeline oraz temu, że ujawniłam matactwa Keitha, zdobyłam osobną kwaterę w dormitorium, co bardzo sobie ceniłam. W środku panował absolutny porządek. Stworzyłam sobie idealny świat, będący schronieniem przed chaotycznym życiem, jakie wiodłam. Starannie zaścielone łóżko prosiło, by się w nim położyć. Błagało mnie. „Wkrótce – obiecałam. – Mam nadzieję”.

Amberwood zostało podzielone na trzy kampusy: wschodni dla dziewcząt, zachodni dla chłopców i środkowy, w którym mieściły się budynki szkolne. Regularnie kursował między nimi autobus, choć co dzielniejsi wędrowali po miasteczku w upale. Zwykle nie przeszkadza mi wysoka temperatura, ale tego dnia nie miałam ochoty na wysiłek. Wybrałam się autobusem do zachodniego kampusu, starając się nie

zasnąć podczas jazdy.

Hol w dormitorium chłopięcym przypominał nasz. Wciąż ktoś wchodził i wychodził, żeby posiedzieć nad lekcjami albo nacieszyć się wolną niedzielą. Rozejrzałam się, ale Eddiego jeszcze nie było.

– Cześć, Melbourne.

Obróciłam się i zobaczyłam Treya Juareza. Szedł w moim kierunku z uśmiechem na opalonej twarzy. On również chodził do starszej klasy. Nazywał mnie tak wzorem naszej nauczycielki, która nie mogła zapamiętać, iż moje przybrane nazwisko brzmiało Melrose. Szczerze mówiąc, zmieniam tożsamość tak często, że cudem jeszcze kojarzę, jak nazywam się naprawdę.

– Witaj, Trey – powiedziałam.

Trey był szkolną gwiazdą futbolu i bystrym uczniem, co starał się ukrywać. W rezultacie dobrze się dogadywaliśmy, a w zeszłym miesiącu pomogłam mu odzyskać pozycję sportowca numer jeden i od tej pory urosłam w jego oczach. Na ramieniu niósł plecak.

– Czyżbyś zamierzał nareszcie dokończyć tę pracę z chemii?

– Taa – odparł. – Ja i połowa czirliderek. Przyłączysz się do nas?

Przewróciłam oczami.

– Jakoś wątpię, że się napracujecie. Poza tym umówiłam się z Eddiem.

Trey wzruszył lekko ramionami i odgarnął z czoła niesforny kosmyk czarnych włosów.

– Twoja strata. To do jutra. – Odszedł kilka kroków i obrócił się przez ramię. – Spotykasz się z kimś?

Odruchowo chciałam zaprzeczyć, ale ugryzłam się w język. Zbyt dosłownie traktowałam różne sprawy. Moje tutejsze koleżanki, Kristin i Julia, usiłowały mi wyjaśnić zawilości szkolnego życia towarzyskiego. Przede wszystkim wbijały mi do głowy, że ludzie nie zawsze mają na myśli dokładnie to, co mówią, szczególnie w relacjach damsko-męskich.

– Czy ty... próbujesz się ze mną umówić? – spytałam zdumiona.

To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam. Jak powinnam zareagować? Zgodzić się? Odmówić? Nie miałam pojęcia, że korepetycje z chemii podziałają tak uwodzicielsko. Trzeba było zostawić go z tym samego.

Trey wyglądał jednak na równie zaskoczony tą myślą.

– Co takiego? Nie. Oczywiście, że nie.

– Dzięki Bogu – mruknęłam. Lubię Treya, ale nic poza tym. Nie miałam też ochoty się zastanawiać, jak należałoby mu odmówić.

Spojrzał na mnie z urazą.

– Nie musisz demonstrować, że aż tak ci ulżyło.

– Przepraszam. – Usiłowałam ukryć zakłopotanie. – To dlaczego pytasz?

– Bo znam idealnego kandydata dla ciebie. Jestem pewien, że okazałby się twoją bratnią duszą.

Znaleźliśmy się więc na znajomym obszarze: logika kontra brak logiki.

– Nie wierzę w braterstwo dusz – zripostowałam. – To statystycznie nieprawdopodobne, że istnieje dla nas tylko jedna odpowiednia osoba na świecie. – Mimo wszystko przez krótką chwilę zapragnęłam, by to było możliwe. Miło byłoby znać kogoś, kto rozumiałby, co się dzieje w mojej głowie.

Trey przewrócił oczami.

– Dobra, może źle się wyraziłem. Więc może to ktoś, z kim miło byłoby się czasem spotkać i fajnie spędzić czas?

Pokręciłam głową.

– Nie mam czasu.

Mówiłam prawdę. Utrzymywanie porządku w grupie i udawanie uczennicy były pracą w pełnym wymiarze godzin.

– Na pewno go polubisz. Chodzi do szkoły publicznej i niedawno zaczął pracować u Spencera.

Trey mówił o kawiarni, w której sam również pracował, dzięki czemu miałam tam zniżkę.

– Któregoś dnia wygłosił tyradę na temat wyższości oddychania nietlenowego, a ja pomyślałam: gada zupełnie jak Melbourne.

– Mówi się beztlenowego – poprawiłam. – I nadal nie mam czasu. Przykro mi. – Zaciekawilo mnie, jak taki temat pojawił się wśród baristów, ale uznałam, że lepiej nie zachęcać Treya do kontynuowania tematu.

– Dobrze – ustąpił. – Tylko potem nie mów, że nie próbowałam ci

pomóc.

– Nigdy w życiu – zapewniłam. – O, jest już Eddie.

– Więc na mnie pora. Na razie. – Trey zasalutował Eddiemu i mnie. – Nie zapominaj o mojej propozycji, jeśli przyjdzie ci ochota na gorącą randkę, Melbourne.

Odszedł, a Eddie obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

– Czy on cię podrywa?

– Nie. Chciał mnie umówić z kolegą z pracy.

– Może to nie taki zły pomysł.

– Okropny. Wyjdźmy na zewnątrz.

Pustynny upał nic sobie nie robił z października. Zaprowadziłam nas na ławkę ustawioną pod stiukowym murem dormitorium. Cień rosnących w pobliżu palm oferował schronienie. Ludzie przysięgali, że niedługo się ochłodzi, ale nic tego nie zapowiadało. Eddie wręczył mi kluczyki od mojego samochodu i torbę z zakupami z lokalnego marketu.

– Kupowałem na oko – tłumaczył. – Kiedy miałem wątpliwości, wybierałem większe rozmiary. Uznałem, że tak jest bezpieczniej.

– Słusznie. – Usiadłam na ławce i przejrzałam zawartość torby. Dżinsy, spodnie khaki, kilka kolorowych podkoszulek. Wszystko bardzo praktyczne, bardzo w nonszalanckim stylu Eddiego. Pochwaliłam jego wybór. – Rozmiar jest chyba w porządku. Masz dobre oko. Musimy częściej posyłać cię na zakupy.

– Jeśli to konieczne – odparł z powagą.

Nie mogłam się nie roześmiać.

– Żartowałam. – Włożyłam ubrania do torby. – Wiem, że to nie było zabawne. – Twarz Eddiego nie wyrażała emocji. – Daj spokój. Wszystko w porządku. Nie musisz być taki spięty. Wiem, że załatwianie zakupów ci nie pasuje.

– Wykonuję tu swoją pracę. To, czy mi się to podoba, nie ma znaczenia.

Chciałam zaprotestować, ale się powstrzymałam. Ostatecznie miałam podobne podejście. Sama poświęcałam pragnienia w imię wyższych celów. Eddie zaś był niezwykle oddany swojej misji. Nigdy nie rezygnował. Nie spodziewałam się po nim niczego innego poza całkowitym zaangażowaniem w każde powierzone zadanie.

– Czy to znaczy, że weźmiesz dziś udział w eksperymencie? – spytałam.

– Oczywiście... – Urwał i zastanawiał się nad czymś. – Czy Jill i Angeline też przyjdą?

– Nie. Angeline ma areszt domowy.

– Dzięki Bogu! – westchnął z wyraźną ulgą.

Jego reakcja była chyba największym zaskoczeniem tego dnia. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego aż tak mu ulżyło. Był lojalnym strażnikiem Jill, a jednocześnie szalał na jej punkcie. Zrobiłby dla niej wszystko, nawet gdyby to nie należało do jego obowiązków, ale nie odważył się jej o tym powiedzieć. Zapewne sądził, że nie zasługuje na księżniczkę. Przyszła mi do głowy niejasna myśl.

– Czy ty... unikasz Jill ze względu na Micaha?

Micah był jego współlokatorem, miłym chłopakiem, który przypominał zmarłego przyjaciela Eddiego, Masona. Micah umawiał się z Jill, ale dziewczyna nie traktowała tego zbyt poważnie. Nie byliśmy tym uszczęśliwieni, ponieważ związki ludzi i wampirów bądź dampirów stanowiły w naszym świecie tabu – chyba że należało się do społeczności stróżów. Ostatecznie uznaliśmy, że nie uda nam się odsunąć Jill całkowicie od życia towarzyskiego, a ona przysięgała, że nie łączy jej z Micahem nic poważnego. Po prostu spędzali razem dużo czasu. I niewinnie flirtowali. On nie znał prawdy o niej, ale zastanawiałam się, kiedy nadejdzie moment, gdy zapagnie czegoś więcej. Eddie upierał się, że lepiej jeśli Jill zwiąże się z człowiekiem, a nie „niegodnym”ampirem, ale wiedziałam, że przeżywa katusze.

– Oczywiście, że nie – rzucił ostro. – Nie unikam Jill, tylko Angeline.

– Angeline? A co ona ci zrobiła?

Eddie przesunął ręką po włosach w geście frustracji. Miał płową czuprynę, podobną do mojej, ciemnozłotej. To podobieństwo sprawiało, że mogliśmy uchodzić za bliźnięta.

– Nie daje mi spokoju! Bez przerwy wtrąca jakieś komentarze pod moim adresem... I bez przerwy się na mnie gapi. Trudno mi to wytrzymać. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Nie mogę jej unikać, bo spędza dużo czasu z Jill, a ja muszę się nią opiekować.

Przypomniałam sobie ostatnie spotkania.

– Jesteś pewien, że właściwie odczytujesz jej intencje? Nic nie zauważyłam.

– Bo ty nie zauważasz takich rzeczy – skwitował. – Nie wyobrażasz sobie, jakie wymyśla wymówki, żeby się o mnie ocierać.

Po tym, jak widziałam jej własnej roboty szorty, mogłam to sobie wyobrazić.

– Hmm. Może powinnam z nią porozmawiać.

Eddie natychmiast zrobił oficjalną minę.

– Nie. To mój problem i moje życie. Sam to załatwię.

– Jesteś pewien? Mogę...

– Sydney – przerwał mi łagodnie. – Jesteś najbardziej odpowiedzialną osobą, jaką znam, ale to nie należy do twoich obowiązków. Nie musisz się zajmować wszystkimi i wszystkim.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłam automatycznie. – Bo jednak po to tu jestem.

Mówiąc to, zastanowiłam się, czy to prawda. Czy to, co robię, naprawdę należy do obowiązków alchemików, czy jest pragnieniem niesienia pomocy tym, którzy wbrew zasadom stali się moimi przyjaciółmi.

– Widzisz? Gadasz tak samo jak ja. – Eddie wstał i posłał mi uśmiech. – Pójdiesz ze mną do Adriana? Wspólnie zachowamy się odpowiedzialnie.

Próbował powiedzieć mi komplement, ale zabrzmiało to aż nazbyt znajomo. To samo powtarzali alchemicy. I pani Weathers. I Jill. Wszyscy uważali, że jestem niesamowita, taka spokojliwa i opanowana.

Jeśli mieli rację, dlaczego wciąż nie byłam pewna, czy postępuję właściwie?



## ROZDZIAŁ TRZECI

MIMO ZAPEWNIENÍ EDDIEGO, że nie muszę się martwić o Angeline, ciekawość kazała mi go o nią podpytać w drodze do mieszkania Adriana.

– Jak zamierzasz sobie z tym poradzić? – spytałam. – Pogadasz z nią otwarcie?

Eddie potrząsnął głową.

– Nie, będę jej unikał. Mam nadzieję, że straci zainteresowanie.

– Cóż. To jeden ze sposobów. Ale przecież ty zwykle mówisz wszystko wprost. – Do pokoju pełnego strzyg wkroczyłby bez wahania. – Może powinieneś spróbować innego podejścia. Powiedzieć szczerze, że nie jesteś zainteresowany.

– To łatwe w teorii – odparł Eddie. – W praktyce bywa trudniej.

– Mnie się wydaje dość proste.

Eddie był sceptyczny.

– Dlatego, że nigdy nie znalazłaś się w takiej sytuacji.

Wizyta u Adriana nie budziła już we mnie tak silnych emocji jak na początku. Miał mieszkanie, które dawniej zajmował Keith i w którym zginęli moroj Lee oraz dwie strzygi. Trudno było mi się otrząsnąć z tych wspomnień. Alchemicy zaproponowali mi to lokum, ponieważ przejęłam pełną kontrolę nad rejonem Palm Springs, ale oddałam je Adrianowi. Nie byłam pewna, czy chcę tam zamieszkać, a on rozpaczliwie potrzebował miejsca dla siebie. Kiedy przekonałam się, jak był uszczęśliwiony moją propozycją, poczułam, że podjęłam słuszną decyzję.

Adrian otworzył, zanim zdążyliśmy zapukać.

– Nadciąga kawaleria! Dzięki Bogu.

Ukryłam uśmiech, gdy weszliśmy z Eddiem do środka. Za każdym razem zaskakiwała mnie słoneczna żółć, którą Adrian pomalował ściany. Był przekonany, że ma ona dobroczynny wpływ na nastrój, toteż nie odważaliśmy się tego kwestionować. Fakt, że kolor ścian kontrastował z używanymi meblami, najwyraźniej nic nie znaczył. A może to ja nie byłam wystarczająco „artystką”, by go docenić. Mimo to dobrze czułam się w tym wnętrzu. Nie kojarzyło się już z Keithem i nie przywoływało wspomnień o wydarzeniach tamtej strasznej nocy. Wcześniej, gdy

rozglądałam się po salonie, widziałam atakujące strzygi i śmierć Lee. Dekoratorski talent Adriana rozproszył mroczne cienie przeszłości.

Czasem, gdy byłam smutna, Adrian poprawiał mi nastrój.

– Ładna bluzeczka, Sage – przywitał mnie z udaną powagą. – Podkreśla odcień khaki twoich spodni.

Adrian był naprawdę uradowany naszym widokiem. Miał wysoką, szczupłą sylwetkę jak większość morojów i typową dla nich bladą (choć nie tak jak u strzyg) skórę. Niechętnie to przyznawałam, ale był bardzo przystojny. Zawsze dbał, by mieć na głowie artystyczny nieład, a jego oczy momentami wydawały się nienaturalnie zielone. Włożył jedną z tych zapinanych na guziki modnych koszul z nadrukiem. Podobał mi się jej niebieski wzór. Dobre wrażenie psuło tylko to, że cuchnął papierosami.

Dymitr i Sonia siedzieli przy kuchennym stole nad stertą papierów. Mieli w tym taki bałagan, że zastanawiałam się, jak mogą pracować. Sama uporządkowałabym materiały tematycznie.

– Cieszę się, że już wróciłaś, Sydney – przywitała mnie Sonia. – Potrzebowałam kobiecego wsparcia.

Odsłoniła w uśmiechu kły. Większość morojów od dziecka uczy się je ukrywać, żeby nie narażać się na rozpoznanie przez ludzi. W naszym towarzystwie Sonia bez skrupowania pokazywała kły, ale mnie to przeszkadzało.

Dymitr uśmiechnął się do mnie, dzięki czemu jego przystojna twarz wyglądała jeszcze bardziej atrakcyjnie. Wiedziałam, że Rose zakochała się w nim nie z powodu „mądrości mistrza zen”.

– Rozumiem, że jednak się nie zdrzemnęłaś.

– Mam za dużo pracy – mruknęłam.

Sonia obrzuciła Eddiego zaciekawionym spojrzeniem.

– Zastanawialiśmy się, gdzie przepadłeś.

– Byłem zajęty w Amberwood – odparł wymijająco Eddie. Wcześniej, w samochodzie, stwierdził, że powinniśmy zataić ostatni wybryk Angeline i konieczność zrobienia za nią zakupów. – Pilnowałem Jill i Angeline. Poza tym czekałem na Sydney. Chciała zobaczyć, co tu robimy.

Nie zaprzeczyłam temu kłamstwu.

– A co u Angeline? – zaciekał się Dymitr. – Robi postępy?

Wymieniliśmy z Eddiem spojrzenia, czując, że długo nie utrzymamy tego w tajemnicy.

– W jakiej dziedzinie? – spytałam. – W walce, stosownym ubieraniu się czy trzymaniu rąk przy sobie?

– Czy może w wyłączaniu capslocka? – podsunął Eddie.

– Też to zauważyłeś? – zdumiałam się.

– Trudno było nie zauważyć – odparł.

Dymitr miał zaskoczoną minę, co nie zdarzało się często. Mało komu udawało się zbić go z pantafelku, choć z drugiej strony nikt nie był przygotowany na wybryki Angeline.

– Nie wiedziałem, że pracuje nad tyloma sprawami – wyjaśnił Dymitr. – Chodzi mi o postępy w walce.

Eddie wzruszył ramionami.

– Niewielkie. Traktuje swoją służbę przy Jill bardzo poważnie i uważa, że świetnie sobie radzi. Ale kiepsko ją wyszkolono i niełatwo będzie to naprawić. Poza tym... Łatwo się rozprasza.

Stłumiłam śmiech.

Dymitr miał zaniepokojoną minę.

– Nie ma czasu na rozpraszenie. Może powinienem z nią porozmawiać.

– Nie. – Eddie rzadko tak stanowczo sprzeciwiał się Dymitrowi. – Masz mnóstwo pracy. Wziąłem odpowiedzialność za jej trening. Poradzę sobie.

Adrian podsunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, opierając brodę o poręcz.

– A co u ciebie, Sage? Ty zawsze stosownie się ubierasz i nie trzeba cię pilnować w tym względzie. Czy dobrze się bawiłaś w alchemicznym spa w weekend?

Odłożyłam torebkę i podeszłam do lodówki.

– Jeśli podziemny schron uznamy za spa... – Skrzywiłam się i zajrzałam do środka. – Obiecałeś mi napoje dietetyczne.

– Rzeczywiście – przyznał Adrian bez skruchy. – Ale później przeczytałem artykuł o szkodliwości słodzików, więc postanowiłem zatroszczyć się o twoje zdrowie. – Urwał. – Nie ma za co.

– Jeśli masz zamiar przestawić się na zdrowy tryb życia, mogę ci podrzucić parę wskazówek – wtrącił się z powagą Dymitr.

Gdyby to powiedział Eddie albo ja, po Adrianie spłynęłoby to jak po kaczce. Ale to mówił Dymitr. Jego relacje z Adrianem były napięte, i to od dłuższego czasu. Dziewczyna Dymitra, słynna dampirzyca Rose Hathaway, dawniej krótko spotykała się z Adrianem. Nie chciała go zranić, ale przez cały czas kochała Dymitra. Takie historie nie mają dobrego zakończenia. Adrian wciąż nie pozbiierał się do końca po niefortunnym związku z Rose i żywił wiele goryczy wobec Dymitra.

– Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu – odparł nieco zbyt lekkim tonem. – Poza tym w chwilach wolnych od żmudnej pracy badawczej eksperymentuję z wpływem papierosów i dżinu na charyzmę. Jak się zapewne domyślasz, rezultaty przedstawiają się obiecująco.

Dymitr uniósł brew.

– Zaraz, wróć. Powiedziałeś „żmudna praca”?

On również mówił lekkim, wesołym tonem. Gdybym to ja rzuciła podobny komentarz, Adrian odpowiedziałby coś w rodzaju: „Oczywiście, Sage. Na pewno zdobędę za to Nagrodę Nobla”. Ale słowa Dymitra potraktował jak wyzwanie do walki. Zobaczyłam błysk w jego oku, ślad dawnego bólu, i to mnie zaniepokoiło. Nie pasowało to do Adriana. Zwykle kwitował podobne teksty żartem, nawet jeśli były niestosowne czy obraźliwe. Przywykłam do tego. I nawet mi się podobało.

Zerknęłam na Adriana z uśmiechem, który – miałam nadzieję – wypadł szczerze, a nie jak rozpaczliwa próba odwrócenia jego uwagi.

– Praca badawcza, co? Sądziłam, że jesteś hazardzistą.

Chwilę to trwało, zanim odwrócił wzrok od Dymitra i utkwiał go we mnie.

– To prawda, że sporadycznie rzucam kośćmi – odparł ostrożnie. – Dlaczego pytasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Bez powodu. Zastanawiałam się tylko, czy mógłbyś zapomnieć na chwilę o charyzmie i podjąć wyzwanie. Jeśli wytrzymasz dwadzieścia cztery godziny bez papierosa, ja wypiję puszkę coli. Prawdziwej. Całą puszkę.

Zobaczyłam w jego oczach błysk rozbawienia.

– Nie zrobisz tego.

– Owszem, zrobię.

– Wypijesz połowę i zapadniesz w śpiączkę.

Sonia zmarszczyła brwi.

– Chorujesz na cukrzycę? – spytała.

– Nie – zaprzeczył Adrian – ale jest przekonana, że dodatkowe kalorie zmieniają ją z chudzielca w zwyczajnie szczupłą dziewczynę, co uznałaby za tragedię.

– Hej! – zaprotestowałam. – Dla ciebie tragedią jest godzina bez papierosa.

– Sądziś, że jestem pozbawiony silnej woli. Tymczasem nie dalej jak dzisiaj obywałem się bez palenia przez całe dwie godziny.

– Wytrzymaj dwadzieścia cztery, a zrobisz na mnie wrażenie.

Spojrzał na mnie z udawanym zaskoczeniem.

– Czyżbym jeszcze tego nie dokonał? A myślałem, że oszołomiłem cię już w chwili, gdy się poznaliśmy.

Sonia pokręciła głową z pobłażaniem, jakbyśmy byli dwojgiem nieznośnych dzieciaków.

– Wiele tracisz, Sydney – zauważyła, stukając palcem w otwartą puszkę napoju. – Wypijam takie trzy dziennie, żeby skoncentrować się na pracy. Nie odnotowałam do tej pory skutków ubocznych.

Skutków ubocznych? Oczywiście, że nie odnotowała. Była morojką. Sonia, Jill... mogły się opychać, ile wlezie, a i tak miały fantastyczne figury. Tymczasem ja pilnowałam każdej kalorii, a wciąż daleko mi było do ideału. Tego ranka wcisnęłam się w spodnie rozmiar trzydzieści sześć i uznałam to za prawdziwe zwycięstwo, lecz patrząc na smukłą sylwetkę Soni, czułam się jak słonica. Nagle pożałowałam, że wspomniałam o coli, nawet jeśli udało mi się rozbroić Adriana. Tak czy inaczej mogłam spać spokojnie. Na pewno nie potrafi odstawić papierosów na jeden dzień.

– Zabierajmy się do pracy. Tracimy czas. – Głos Dymitra przywołał nas do porządku.

– Racja – przyznał Adrian. – Zmarnowaliśmy pięć cennych minut. Chcesz się zabawić, Castile? Wiem, jak lubisz wysiadywać beczynnie.

Sonia i Adrian próbowali znaleźć jakieś szczególne cechy u Dymitra, więc często sadzali oba daimiry obok siebie i przyglądali się ich austom. Mieli nadzieję, że przemiana Dymitra w stryżę pozostawiła jakiś ślad, który pozwoli wyjaśnić, co go uodporniło na kolejną przemianę. Była to ważna sprawa, ale Eddie naprawdę nie znosił tego beczynnego siedzenia. Oczywiście nie narzekał. Zgrywał twardziela, zupełnie jak Dymitr.

– Mówcie, co mam robić.

– Chcemy przeprowadzić kolejną obserwację aury – wyjaśniła Sonia. Wyglądało na to, że biedny Eddie będzie musiał jednak trochę posiedzieć. – Ostatnim razem skupiliśmy się na działaniu ducha. Teraz pokażemy wam kilka obrazków i przekonamy się, czy te demonstracje spowodują zmianę kolorów waszych aur.

Skinęłam głową z aprobatą. W wielu badaniach psychologicznych wykorzystywano podobne techniki, choć zazwyczaj monitorowano reakcje fizjologiczne, a nie mistyczne aury.

– Moim zdaniem to nonsens – oświadczył Adrian. – Obaj są daimirami, co jednak nie oznacza, że ewentualne odmienne reakcje będą skutkiem przemiany Bielikowa w stryżę. Wszyscy jesteśmy różni i inaczej reagujemy na obrazki z kociakami czy pajakami. Na przykład mój ojciec nie znosi kociąt.

– Kto mógłby nie znosić kociąt? – zdziwił się Eddie.

Adrian się skrzywił.

– Ojciec jest alergikiem.

– Adrian – odezwała się Sonia. – Już to przerabialiśmy. Szanuję twoje zdanie, lecz uważam, że to ćwiczenie może nam wiele pokazać.

Szczerze mówiąc, zdumiałam się, że Adrian miał w ogóle jakieś zdanie. Do tej pory odnosiłam wrażenie, że zgadzał się na wszystkie propozycje Soni i Dymitra i nie zastanawiał się nad tym, co robi. Chociaż nie znam się na aurach, zgadzałam się z nim, że indywidualne różnice mogą zniekształcić wynik badań.

– Każda informacja może nam się przydać – wtrącił Dymitr. – Szczególnie że nie wiemy jeszcze nic na pewno. Coś wyróżnia byłe stryżi. Nie lekceważmy żadnej okazji do obserwacji.

Adrian zacisnął usta, ale już nie protestował. Może dał się

przekonać, lecz podejrzewałam, że po prostu nie chciał się spierać z Dymitrem.

Skoro przestali zwracać na mnie uwagę, rozsiadłam się w saloniku z książką i próbowałam nie zasnąć. Nie byłam im potrzebna. Przyjechałam, żeby dotrzymać towarzystwa Eddiemu. Od czasu do czasu zerkałam na nich, żeby przekonać się, czy robią postępy. Dymitr i Eddie przyglądali się, jak Sonia przerzuca obrazki w laptopie. Potem Adrian i Sonia wpatrywali się w Dymitra i Eddiego i notowali swoje obserwacje. Niemal żałowałam, że sama nie widzę barwnych, świetlistych aur. Patrząc na Eddiego i Dymitra, chwilami zauważałam zmianę w wyrazie ich twarzy, szczególnie gdy na monitorze ukazywały się jakieś wzruszające lub straszne obrazy, ale poza tym cały eksperyment stanowił dla mnie tajemnicę.

Zaciekawiona podeszłam do Soni mniej więcej w połowie badania.

– Co widzisz? – spytałam cicho.

– Kolory – odparła. – Świecą wokół wszystkich żywych istot. Eddie i Dymitr mają różne barwy, ale te same reakcje. – Na monitorze pokazało się teraz zdjęcie kominów fabrycznych wypuszczających czarny dym prosto w czyste niebo. – Żadnemu się to nie podoba. Ich aury przygasły, wyrażają niepokój. – Wrzuciła kolejny obraz i się uśmiechnęła. Zobaczyłam trzy kociaki. – A teraz się ociepliły. Wzruszenie łatwo dostrzec w aurze. Jak do tej pory, reagują normalnie. Aura Dymitra nie różni się od aury Eddiego.

Wróciłam na sofę.

Po paru godzinach Sonia obwieściła koniec pracy.

– Myślę, że widzieliśmy wszystko, co trzeba. Dziękuję, Eddie.

– Cieszę się, że pomogłem – powiedział i wstał, żeby się przeciągnąć.

Wyraźnie poczuł ulgę, że eksperyment dobiegł końca, chociaż ten polegał na czymś bardziej interesującym niż gapienie się w przestrzeń. Eddie był aktywny i energiczny, nie znosił przymusowej beczynności.

– Mamy jeszcze parę pomysłów... – dodała Sonia. – Dacie radę popracować trochę dłużej?

Naturalnie zadała to pytanie w chwili, gdy ziewnęłam.

Eddie spojrzał na mnie współczująco.

– Zostanę, ale ty nie musisz. Powinnaś się położyć. Ktoś mnie odwiezie.

– Nie, nie. – Stłumiłam kolejne ziewnięcie. – Mogę zostać. A jakie to pomysły?

– Najpierw powtórzylibyśmy to ćwiczenie, obserwując ich reakcje na różne dźwięki – wyjaśniła morojka. – A potem chciałabym sprawdzić, jak reagują na bezpośredni kontakt z duchem.

– Myślę, że to dobry pomysł – poparłam ją, nie do końca wiedząc, na czym polegało to drugie. – Zaczynajcie. Poczekam.

Sonia rozejrzała się i chyba zauważyła, że nie tylko ja jestem zmęczona.

– Może najpierw coś przegryziemy.

Eddie się ożywił.

– Ja pójdę – zaproponowałam. – Kilka przecznic stąd jest tajski bar z jedzeniem na wynos.

Poczyliłam postępy, bo przestałam się dusić, gdy tylko któryś z wampirów wspomniał o „przekąsce”. Wiedziałam, że Sonia nie mówi o krwi, gdy w pobliżu są dampiry i ja. Poza tym nie mieli tu karmiciela. Karmiciele to ludzie, którzy dobrowolnie oddają swoją krew morojom. Wszyscy obecni w pokoju wiedzieli, że lepiej przy mnie nawet nie żartować na ten temat.

– Pomogę ci – zaoferował się Adrian.

– Lepiej nie – sprzeciwiła się Sonia. – Ostatnim razem zniknąłeś na dwie godziny. – Adrian zerknął na nią spode łba, ale nie zaprzeczył. – Nasze obserwacje aury i tak były identyczne, więc to ja pójdę z Sydney. Możesz zacząć próbę z dźwiękami beze mnie, Adrian.

Obie z Sonią zebrałyśmy zamówienia od wszystkich i wyszłyśmy. Nie potrzebowałam jej pomocy, ale uznałam, że niezręcznie byłoby taszczyć z powrotem posiłek dla pięciu osób. Wkrótce przekonałam się, że morojka miała dodatkowy powód, by mi towarzyszyć.

– Miło odetchnąć świeżym powietrzem i rozprostować nogi – zauważyła. Zapadał wieczór, słońce zachodziło i zrobiło się chłodniej. Wymarzona pogoda dla morojów. Ruszyłyśmy boczną uliczką w stronę centrum, obok pięknych apartamentów i małych biur. Nad nami kołysały się wysokie palmy, stwarzające ciekawy kontrast dla zabudowań. –



Siedziałam tam cały dzień.

Uśmiechnęłam się do niej.

– A myślałam, że to Adrian cierpi na klaustrofobię z powodu waszej pracy.

– On tylko najgłośniej narzeka – wyjaśniła. – Co jest zabawne, ponieważ w efekcie najczęściej na tym biadoleniu korzysta, kiedy między wykładami wyskakuje wciąż na papierosa.

Prawie już zapomniałam o dwóch kursach malarstwa, na które Adrian zapisał się w tutejszym college’u. Zwykle wystawiał swoje prace, ale ostatnio nie widziałam u niego nic nowego. Dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że brakowało mi ich oglądania. Często kpiłam sobie z Adriana, lecz jego artystyczne wizje naprawdę mnie fascynowały.

Po drodze Sonia streściła mi przebieg przygotowań do ślubu. Jej związek zampirem Michałem Tannerem był bardzo burzliwy pod wieloma względami. Po pierwsze, wampiry i moroje rzadko zawierają trwałe związki. Najczęściej miewają krótkie romanse, z których rodzą się nowe dampiry. Poza tym Michał ścigał Sonię, gdy była strzygą, pragnąc uwolnić jej duszę. Rose próbowała tego samego z Dymitrem, wierząc, że śmierć jest lepsza od przemiany. Michałowi się nie powiodło, ale ich miłość przetrwała najcięższą próbę i gdy tylko Sonia wróciła do żywych, natychmiast znów się związali. Nie umiałabym sobie nawet wyobrazić takiej miłości.

– Jeszcze nie wybraliśmy kwiatów – ciągnęła Sonia. – Zastanawiam się nad hortensjami albo liliami. Ty nie miałabyś takiego dylematu.

– Właściwie wybrałabym hortensje. Ostatnio zbyt często przebywam wśród lili.

Roześmiała się i przyklękła nad rabatą z gladiolami.

– Nawet tutaj. Śpią w ziemi.

– To jeszcze nie ich pora – zauważyłam.

– Każda pora jest dobra. – Sonia rozejrzała się ukradkiem i położyła rękę na ziemi. Chwilę później wyrosły z niej ciemnozielone pędy i pięły się błyskawicznie w górę, aż na szczycie łodygi otworzyła się czerwona trąbka lilii.

– Ach. Czerwona. Alchemiczne są białe... O, nic ci nie jest?

Cofnęłam się do krawędzi chodnika tak gwałtownie, że omal nie wyszłam na jezdnię.

– Nie... Nie powinnaś tego robić. Ktoś mógłby zobaczyć.

– Nikt nie widział – oznajmiła, wstając. Jej twarz złagodniała. – Bardzo cię przepraszam. Czasem zapominam, jaki masz do tego stosunek. Źle się zachowałam.

– W porządku – odparłam niepewnie. Gdy widzę działanie magii, zawsze mam gęsią skórkę. Już same wampiry, stwory, które piją krew, są wystarczającym złem. Co dopiero mówić o ich zdolności do manipulowania rzeczywistością. Lilia, choć piękna, nabrała dla mnie złowieszczonego wyrazu. Nie powinna kwitnąć o tej porze roku.

Nie mówiłyśmy już o magii i wkrótce znalazłyśmy się na głównym deptaku, gdzie mieściła się tajska restauracja. Złożyłyśmy duże zamówienie, więc kazano nam poczekać piętnaście minut. Wyszłyśmy na zewnątrz i podziwiałymy centrum Palm Springs o zmierzchu. Spóźnieni klienci butików już pozałatwiali sprawunki i teraz największy ruch panował w tutejszych restauracjach. W wielu wystawiono stoliki na zewnątrz. Wokół nas toczyły się ożywione, przyjazne rozmowy. Ogromna fontanna wyłożona kolorowymi kafelkami przyciągała dzieciarnię oraz turystów, którzy skwapliwie ją fotografowali. Sonia bez przerwy zwracała uwagę na jakieś rośliny i drzewa. Dzięki mocy ducha mogła wpływać na żywe istoty, ale poza tym była zapaloną ogrodniczką.

– Hej, ty! Starsza Melrose!

Obróciłam się i skrzywiłam na widok Lii Di Stefano. Lia była projektantką mody i miała swój butik w centrum miasta. Gdybym przewidziała, że na nią wpadniemy, poczekałabym w restauracji.

Lia była niska, lecz wyróżniała się w tłumie, zwłaszcza że często ubierała się strojnie jak Cyganka.

– Wydzwaniam do was od tygodni – ciągnęła, przechodząc na naszą stronę ulicy. – Dlaczego nie odbierasz?

– Jestem bardzo zajęta – odparłam z powagą.

– Uuh. – Lia oparła ręce na biodrach i usiłowała zmierzyć mnie wzrokiem, co było nie lada wyczynem, bo jestem od niej wyższa. – Kiedy pozwolisz siostrze znów wziąć udział w moim pokazie?

– Panno Di Stefano – powiedziałam cierpliwie – już to pani tłumaczyłam. Ona nie będzie więcej pozować. Nasi rodzice są temu przeciwni. Religia zabrania nam takich rzeczy.

W ubiegłym miesiącu Jill, odznaczająca się niezwykłą urodą i fantastyczną figurą, wzbudziła zainteresowanie Lii. Wiedząc, że trudno ukrywać kogoś, kogo wszyscy obfotografują, uznaliśmy, że Jill wystąpi podczas pokazu mody jeden raz i tylko dlatego, że wszystkie modelki miały na twarzach maski weneckie. Od tamtej pory Lia nie dawała mi spokoju, nagabując o Jill. Trudno było mi odmawiać, bo wiedziałam, że mała z chęcią kontynuowałaby współpracę, ale rozumiała równie dobrze jak ja, że jej bezpieczeństwo jest ważniejsze. Często posługiwałyśmy się wymówką o zakazach natury religijnej, chcąc usprawiedliwić nasze niezwykłe dla innych obyczaje, więc pomyślałam, że w ten sposób spławię również Lię. Myliłam się.

– Nie słyszałam, by wasi rodzice się sprzeciwiali – upierała się. – Obserwowałam was i wiem, co jest grane. To ty rządysz całą rodziną. Musimy się dogadać. Mam szansę na rozkładówkę w dużym czasopiśmie. Chcą pokazać moje chusty i kapelusze, a Jill jest wymarzoną modelką. Co muszę zrobić, żeby ją mieć? Może oddam ci część honorarium?

Westchnęłam.

– Nie chodzi o pieniądze. Nie możemy pokazywać jej twarzy. Jeśli zdecydujesz się znów na występy w maskach weneckich, nie mam nic przeciwko jej udziałowi.

Lia zrobiła niezadowoloną minę.

– Tego nie mogę zrobić.

– W takim razie mamy sytuację bez wyjścia.

– Musi istnieć jakieś rozwiązanie. Każdy ma swoją cenę.

– Przykro mi. – Bezpieczeństwo Jill liczyło się ponad wszystko.

Kelner wysunął głowę z restauracji i poinformował nas, że możemy odebrać zamówienie, dzięki czemu uwolniłyśmy się od Lii. Sonia chichotała, gdy objuczone pakunkami zawróciłyśmy w kierunku domu Adriana. Ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły niebo na fioletowo, a latarnie uliczne rzucały na chodnik tajemnicze cienie.

– Pomyślałabyś, że twoja praca będzie polegała na unikaniu

agresywnych projektantek mody? – zagadnęła mnie Sonia.

– Nie – przyznałam. – W najmniejszym stopniu nie wyobrażałam sobie tego, co mnie tu czeka...

– Sonia?

Młody mężczyzna wyłonił się znikąd i zaszedł nam drogę. Nie znałam go, wydawał się nieco starszy ode mnie. Miał gęstą, czarną czuprynę i wpatrywał się w Sonię z ciekawością.

Przystanąła i zmarszczyła brwi.

– My się znamy?

Chłopak się rozpromienił.

– Oczywiście. Jeff Eubanks. Pamiętasz mnie?

– Nie – odparła grzecznie po krótkiej obserwacji. – Musiał mnie pan z kimś pomylić. Przykro mi.

– Ależ nie – upierał się tamten. – Poznałem cię. Jesteś Sonia Karp, prawda? Spotkaliśmy się w zeszłym roku w Kentucky.

Sonia zeszywniała. Mieszkała w Kentucky w czasach, gdy była strzygą. Wiedziała, że nie zachowała miłych wspomnień z tego okresu.

– Przykro mi – powtórzyła nieswoim głosem. – Nie wiem, o czym pan mówi.

Chłopak nie dawał się spławić i wciąż uśmiechał się, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi.

– Przejechałaś szmat drogi z Kentucky. Co tu robisz? Mnie przeniesiono tu zawodowo.

– To pomyłka – wtrąciłam się stanowczo, popychając lekko Sonię naprzód. Nie wiedziałam, o co tu chodzi. – Musimy już iść.

Mężczyzna nie poszedł za nami, ale Sonia milczała przez większą część drogi powrotnej.

– To musi być trudne – mruknęłam, czując, że powinnam się odezwać. – Spotkać kogoś z przeszłości.

Potrząsnęła głową.

– Nie znam go. Jestem tego pewna. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Uznałam, że Sonia chce się odciąć od wszystkiego, co wiązało się z okresem, kiedy była strzygą.

– Jesteś pewna? Może to była przelotna znajomość?

Posłała mi surowe spojrzenie.

– Strzygi nie zawierają znajomości z ludźmi. Pożerają ich. Ten chłopak nie miał prawa mnie znać.

– Był człowiekiem? Nie dampirem? – Nie rozróżniam ludzi od dampirów, ale moroje nie mają z tym trudności.

– Na pewno.

Sonia znów przystanęła i obejrzała się za odchodzącym. Podążyłam za jej spojrzeniem.

– Musi być jakieś wyjaśnienie, dlaczego cię rozpoznał. Wydawał się całkowicie nieszkodliwy.

Obdarzyła mnie kolejnym uśmiechem.

– Daj spokój, Sydney. Chyba dostatecznie długo przebywasz wśród nas, by wiedzieć.

– O czym?

– Nic nie jest tak nieszkodliwe, jak się wydaje.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

GDY WRÓCIŁYŚMY DO ADRIANA, Sonia nie powiedziała nikomu o tajemniczym spotkaniu, więc uszanowałam jej decyzję. Poza tym wszyscy od razu zajęli się jedzeniem, a potem eksperymentem. Po drugiej turze prób nawet ja zaangażowałam się w pracę i przestałam myśleć o chłopaku z ulicy.

Sonia twierdziła, że chce zobaczyć, jak Eddie i Dymitr zareagują na bezpośredni kontakt z duchem. Oboje z Adrianem skoncentrowali jednocześnie strumienie swojej magii na nich obu.

– Trochę tak, jakbyśmy chcieli ich uzdrowić lub koncentrowali się na tym, co ma urosnąć – wyjaśniła mi. – Nie martw się, nie przybiorą monstrualnych rozmiarów. Po prostu otoczymy ich magią ducha. Dymitr został trwale naznaczony podczas uzdrowienia, może więc zareagować inaczej na nasze działanie.

Uzgodnili, jak długo dokładnie ma trwać eksperyment, i na początek utkwili wzrok w Eddiem. W pierwszej chwili nic nie było widać, po prostu wpatrywali się w chłopaka, który czuł się wyraźnie tym skrępowany. Potem zobaczyłam, że spowija go srebrny blask. Odsunęłam się lekko, zarazem zachwycona i wytrącona z równowagi tą fizyczną manifestacją ducha. Następnie Sonia i Adrian powtórzyli eksperyment z udziałem Dymitra. Nie zareagował w inny sposób. Wszyscy potraktowali to jako postęp w badaniach, ale mnie przeraziło oglądanie działania magii.

Gdy wracaliśmy z Eddiem do Amberwood, zdałam sobie sprawę, że odsuwam się od niego w obawie, iż magia, którą go nasycono, podziąła na mnie. Gawędziliśmy po przyjacielsku i musiałam bardzo się starać, by ukryć swój niepokój. Miałam poczucie winy. Przecież to był Eddie. A magia dawno się ulotniła.

Długi, głęboki sen zdziałał cuda. Rankiem nie pamiętałam już o wczorajszym niepokoju i wyrzutach sumienia. Mój pobyt w Amberwood miał charakter służbowy, lecz uwielbiałam tę elitarną szkołę. Przedtem uczyłam się tylko w domu i chociaż mój ojciec był surowy i wymagający, poprzestał na podstawowym programie edukacji. Tutaj, choć okazało się, że posiadam większą wiedzę niż inni, wielu

nauczycieli zachęcało mnie, bym się doskonaliła. Nie pozwolono mi wprawdzie studiować w college'u, ale i tak byłam zadowolona.

Przed lekcjami musiałam jeszcze zabawić się w przyzwoitkę podczas treningu Eddiego z Angeline. Chłopak najchętniej zrezygnowałby z tych wspólnych manewrów, lecz zależało mu przede wszystkim na bezpieczeństwie Jill. Ostatecznie Angeline również miała ją chronić. Wciąż niepewna, czy Eddie nie wyobrażał sobie zbyt wiele na temat tej dziewczyny, usiadłam na trawie z filiżanką świeżej kawy. Niedawno nabyłam mały ekspres i choć nie mógł się równać z kawiarnianym, pomógł mi przetrwać wiele trudnych poranków. Ziewnęłam, witając się z Jill, która usiadła obok mnie.

– Eddie już mnie nie szkoli – mruknęła z żalem.

Dampir właśnie cierpliwie wyjaśniał Angeline, że uderzenie z główki, choć przydatne podczas bójek w barach, nie jest najlepszą taktyką w walce ze strzygami.

– Na pewno do tego wrócicie, gdy będzie miał więcej czasu – odparłam, chociaż wcale nie miałam takiej pewności.

Teraz, gdy Eddie przyznał się sam przed sobą, co czuje do Jill, obawiał się nawet jej dotknąć. Z drugiej strony jego rycerska postawa sprawiała, że nie mógł pozwolić jej na choćby najmniejsze ryzyko. Był to paradoks, bo przecież właśnie zapalczywość Jill i jej gotowość do uczenia się sztuki samoobrony (rzadka wśród morojów) tak go w niej pociągała.

– Angeline została zwerbowana do ochrony nad tobą. Eddie musi ją porządnie przeszkolić – dodałam.

– Wiem. Po prostu mam wrażenie, że wszyscy próbują mnie tu rozpieszczać. – Zmarszczyła brwi. – Na lekcjach wuefu Micah nie pozwala mi wejść do gry. Po moich początkowych kłopotach boi się, że zrobię sobie krzywdę. Bez przerwy powtarzam mu, że nic mi nie jest, tylko to słońce... Ale on nadal robi wszystko za mnie. To słodkie... chociaż czasem naprawdę mnie wkurza.

– Zauważyłam – przyznałam. – Chociaż nie sądzę, że Eddie odmawia ci z tego samego powodu. Wie, że sobie poradzisz. Jest z ciebie dumny, tylko... uważa, że jeśli sam dobrze się spisze, nie będziesz musiała się bronić. Trochę pokrętna logika.

– Nie, rozumiem to. – Jill wydawała się pogodzona z tym wyjaśnieniem. – Jest taki zaangażowany i... dobry w tym, co robi.

– Cios w kolano to łatwy sposób na obezwładnienie przeciwnika – ciągnął Eddie. – Szczególnie gdy cię zaskoczy i musisz...

– Kiedy nauczysz mnie ciosów sztyletem i dekapitacji? – przerwała mu Angeline, opierając dłonie na biodrach. – Cały czas przynudzasz. Uderz tutaj, zrób unik, bla, bla, bla. Muszę ćwiczyć zabijanie strzyg.

– Wcale nie musisz. – Eddie był uosobieniem opanowania. Dobrze znałam tę jego cierpliwość. – Nie jesteś tu po to, by zabijać strzygi. Może poćwiczymy to później, ale teraz najważniejsza jest walka ze śmiertelnikami, których musisz trzymać z dala od Jill. To kwestia priorytetowa. – Zerknął wymownie na Jill. W jego oczach dostrzegłam zachwyty.

– Dekapitacja to również skuteczna metoda zabijania morojów – burknęła Angeline. – Poza tym miałeś problem ze strzygami zaledwie przed miesiącem.

Jill poruszyła się niepewnie. Eddie znieruchomiał. Angeline mówiła prawdę: niedawno chłopak był zmuszony zabić dwie strzygi w mieszkaniu Adriana, które wówczas należało jeszcze do Keitha. To Lee Donahue sprowadził na nas strzygi. Był morojem, lecz przez jakiś czas również strzygą. Przez niego dowiedzieliśmy się, że uzdrowieni mocą ducha nie mogą ponownie przemienić się w bestie. Strzygi, które przywołał, ostatecznie go zabiły, co moim zdaniem było jednak lepszym losem od przemiany.

Bestie zwróciły się potem przeciwko nam, co spowodowało ujawnienie kolejnego niepokojącego faktu (jeśli nie dla nich, to z pewnością dla mnie). Moja krew okazała się dla nich niestrawna. Strzygi nie mogły znieść jej smaku. Po burzliwych wydarzeniach tamtej nocy nikt spośród alchemików i morojów nie przejmował się tym drobnym szczegółem, ale ja byłam im za to wdzięczna. Bałam się jednak, że któregoś dnia poddadzą mnie drobiazgowym badaniom.

– To był przypadek – sprzeciwił się Eddie. – Więcej się nie powtórzy. A teraz przyjrzyj się, jak ustawiam nogi, i pamiętaj, że moroje są zwykle wyżsi od ciebie.

Zademonstrował ruch i szybko zerknął na Jill. Miała



nieodgadniony wyraz twarzy. Nigdy nie mówiła o Lee, z którym spotykała się przez krótki czas. Micah postarał się, by dziewczyna nie rozmyślała o nieudanym związku, ale niełatwo jest przejść do porządku nad tym, że były chłopak okazał się krwiożerczym potworem. Miałam poczucie, że Jill wciąż cierpi, nawet jeśli po mistrzowsku to ukrywa.

– Jesteś zbyt sztywna – zauważył Eddie po kilku próbach.

Angeline rozluźniła się niczym marionetka.

– Tak lepiej?

Westchnął.

– Nie. Musisz odrobinę napiąć mięśnie.

Eddie stanął za nią i próbował jej pomóc w przyjęciu odpowiedniej postawy. Angeline natychmiast skorzystała z okazji, żeby się o niego otrzeć całym ciałem. Wybałuszyłam oczy. No tak. Eddie nie przesadzał ani na jotę.

– Hej! – Odskoczył gwałtownie z przerażoną miną. – Uważaj! Masz się uczyć.

Patrzyła na niego z anielską niewinnością.

– Przecież się uczę. Próbowалам się na tobie oprzeć, żeby poczuć, jak reaguje twoje ciało w walce. – I... tak, zatrzepotała rękami. Eddie cofnął się jeszcze bardziej.

Zrozumiałam, że powinnam się wtrącić, choć Eddie zarzekał się, że sam sobie z nią poradzi. Nieoczekiwanie problem rozwiązał szkolny dzwonek. Zerwałam się z miejsca.

– Powinniśmy już iść, jeśli chcemy zdążyć na śniadanie. Zbierajcie się.

Angeline przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Przecież nie jadasz śniadań.

– Tak, ale ja nie muszę tak ciężko pracować. Poza tym powinnaś się przebrać i... Zaraz, jesteś już w mundurku?

Nawet nie zauważyłam. Eddie i Jill zawsze ćwiczyli w luźnych dresach. On zresztą miał taki na sobie w tej chwili. Angeline przysła w spódniczce i bluzce, które teraz nosiły ślady porannego treningu.

– Tak, i co z tego? – Wepchnęła rąbek bluzki za pasek spódnicy. Zauważyłam, że był ubrudzony ziemią.

– Musisz się przebrać – powtórzyłam.

– Wcale nie.

Miałam inne zdanie, ale uznałam, że wygląda lepiej niż w krótkich dzinsach. Eddie poszedł się przebrać i nie wrócił na śniadanie. Wiedziałam, że lubi rano coś zjeść, a jako facet przebierał się szybko. Zgadywałam, że zrezygnował z posiłku, by trzymać się z dala od Angeline.

Gdy weszłyśmy do kafeterii, usłyszałam swoje imię i w tym samym momencie zobaczyłam Kristin Sawyer i Julię Cavendish. Machały do mnie. Oprócz Treya stały się moimi najbliższymi koleżankami w Amberwood. Daleko mi było do ich towarzyskiej swobody, ale bardzo mi pomagały. Poza tym biorąc pod uwagę nadnaturalny charakter mojej pracy, budująca okazywała się świadomość, że otaczają mnie również normalni ludzie... W ogóle ludzie. Nawet jeśli nie mogłam być z nimi do końca szczerą.

– Sydney, chcemy się ciebie poradzić w kwestii mody – zaczęła Julia.

Przerzuciła długie jasne włosy przez ramię, co zazwyczaj robiła, gdy chodziło o coś nad wyraz ważnego.

– Mnie? W kwestii mody? – Omal się nie odwróciłam, by sprawdzić, czy nie stoi za mną jakaś inna Sydney. – Nikt mnie nie pyta o takie sprawy.

– Masz naprawdę ładne ciuchy – wtrąciła Kristin. Miała ciemną skórę i włosy, a jej atletyczna sylwetka kontrastowała z dziewczęcą figurą Julii. – Zbyt ładne. Gdyby moja mama była dziesięć lat młodsza, fajniejsza i miała mnóstwo pieniędzy, ubierałaby się tak samo jak ty.

Nie wiedziałam, czy potraktować to jako komplement.

– Powiedz jej, Kris.

– Pamiętasz, jak ci wspominałam, że chciałabym odbyć staż z doradztwa w przyszłym semestrze? Udało mi się umówić na rozmowę – wyjaśniła Kristin. – Nie wiem tylko, co włożyć: spodnie i blezer czy sukienkę.

Ach, więc dlatego zwróciły się do mnie. Z powodu rozmowy kwalifikacyjnej. Gdyby to była inna okazja, zajrzałyby do któregoś z magazynów mody. Cóż, przyznaję, mogłam uchodzić za autorytet w kwestiach praktycznych... choć z drugiej strony poczułam

rozczarowanie.

– W jakim są kolorze?

– Blezer czerwony, a sukienka granatowa.

Przyjrzałam się Kristin. Miała na nadgarstku bliznę, pozostałość po niebezpiecznym tatuażu, który pomogłam jej usunąć.

– Włóż sukienkę. Zaczekaj... Czy nadaje się bardziej do kościoła, czy może do nocnego klubu?

– Do kościoła – stwierdziła ze smutkiem.

– W takim razie na pewno sukienkę – potwierdziłam.

Kristin spojrzała triumfalnie na Julię.

– Widzisz? Mówiłam ci, że tak powie.

Julia miała wątpliwości.

– Blezer jest swobodniejszy. Jaskrawoczerwony.

– Rozumiem, ale podczas rozmowy swoboda nie jest najważniejsza – zauważyłam. Trudno było zachować przy nich powagę. – W każdym razie takiej rozmowy.

Julia wciąż nie była pewna, lecz nie próbowała przekonywać Kristin. Zamiast tego nagle się ożywiła.

– Hej, czy to prawda, że Trey umówił cię z jakimś chłopakiem?

– Co takiego? Nie. Gdzie to usłyszałaś? – Jakbym musiała pytać. Bez wątpienia powiedział jej o tym sam Trey.

– Podobno o tym rozmawialiście – wyjaśniła Kristin. – Facet jest ponoć idealny dla ciebie.

– To świetny pomysł, Syd – ciągnęła Julia tak poważnie, jakbyśmy rozmawiały o sprawie życia lub śmierci. – Dobrze ci robi. Od początku roku szkolnego spotykałam się z... – urwała i policzyła na palcach. – Czterema facetami. A wiesz, z iloma ty się umówiłaś? – Uniosła do góry pięść. – Z tyloma.

– Nie muszę się z nikim umawiać – sprzeciwiłam się. – Mam wystarczająco dużo problemów. Nie potrzebuję nowych.

– Jakie ty masz problemy? – roześmiała się Kristin. – Fantastyczne stopnie, zabójczą figurę i doskonałą fryzurę? Rozumiem, twoja rodzina trochę broi, ale każdy znajdzie chwilę na randkę albo na kilka, jak Julia.

– Hej! – zachnęła się Julia.

Kristin nie dawała za wygraną, a ja pomyślałam, że powinna

wybrać praktyki prawnicze, nie doradcze.

– Możesz raz zapomnieć o pracy domowej. Daj mu szansę. Może kiedyś umówimy się wszyscy razem. Będzie fajnie.

Uśmiechnęłam się do nich z przymusem i mruknęłam coś niezobowiązującego. „Każdy znajdzie chwilę na randkę”. Każdy tylko nie ja. Poczulałam ukłucie żalu, ale nie z powodu straconych okazji, raczej braku towarzystwa. Kristin i Julia często spotykały się z chłopakami. Zapraszały mnie, bym z nimi wychodziła. Sądziły, że odmawiam, bo jestem zajęta lekcjami albo po prostu nie mam odpowiedniego partnera. Chciałam, żeby to było tak proste, i nagle poczułam, jakby dzieliła mnie od nich przepaść. Kolegowałam się z nimi i chętnie widziałyby mnie częściej w swoim gronie. Tymczasem ja miałam wiele sekretów i nie mówiłam im wszystkiego. Z jednej strony chciałam być bardziej otwarta. Z radością wybrałabym się z nimi do miasta i choć na jeden wieczór zapomniała o swoich obowiązkach. Ale wiedziałam, że nic by z tego nie wyszło. Wystarczyłoby, że weszłabym do kina, a już odebrałabym esemesa z wiadomością, że muszę posprzątać po rzezi strzyg.

Ogarnął mnie znajomy ponury nastrój, lecz trochę poweselałam, gdy zaczęły się lekcje. Nauczyciele zawsze zadawali nam najwięcej na weekendy i byłam zadowolona, że odrobiłam wszystko podczas lotów. Niestety, ostatnia lekcja popsuka mi dobry humor. Właściwie trudno nazwać to lekcją. Raczej indywidualnymi zajęciami z nauczycielką historii, panną Terwiliger.

Panna Terwiliger niedawno przyznała się do praktykowania magii. W swoim mniemaniu była chyba kimś w rodzaju czarownicy czy wiedźmy. Alchemicy słyszeli o takich jak ona, ale nie mieliśmy większej wiedzy na ich temat. Z naszych informacji wynikało, że prawdziwą magię stosują jedynie moroje. Korzystamy z czarów przy tworzeniu naszych tatuaży w kształcie lilii – zawierają wampirzą krew – ale myśl o tym, że ludzie również uciekali się do zaklęć, była szalona i chora.

Panna Terwiliger nie tylko przyznała się do praktyk magicznych, lecz również usiłowała mnie zmusić do rzucenia zaklęcia. Poczulałam się wykorzystana. Magia nie jest dla ludzi. Nie mamy prawa ingerować w świat w taki sposób. Byłoby to po stokroć gorsze od tego, co zrobiła Sonia z czerwoną lilią na klombie. Ale panna Terwiliger twierdziła

uparcie, że mam naturalne zdolności magiczne i zaproponowała, że zacznie mnie szkolić. Nie wiedziałam, dlaczego tak jej na tym zależy. Wciąż rozwodziła się nad moim rzekomo wielkim potencjałem, ale nie wierzyłam, że chce mnie uczyć bezinteresownie. Tak czy inaczej jej pobudki się nie liczyły. Odrzuciłam propozycję. Tymczasem ona znalazła na mnie inny sposób.

– Panno Melbourne, jak długo jeszcze będzie pani pracowała nad książką Kimballa? – zawołała zza biurka.

To przez jej ciągłe pomyłki również Trey nazywał mnie „Melbourne”. Panna Terwiliger była po czterdziestce, miała mysie włosy i chytre spojrzenie.

Podniosłam głowę znad książki, zmuszając się do uprzejmości.

– Jeszcze dwa dni. Najwyżej trzy.

– Proszę koniecznie przetłumaczyć wszystkie trzy zaklęcia snu – poleciła. – Każde trochę się różni od pozostałych.

– W książce są cztery zaklęcia snu – poprawiłam ją.

– Doprawdy? – spytała niewinnie. – Cieszę się, że zwróciły pani uwagę.

Stłumiłam grymas niezadowolenia. Panna Terwiliger postanowiła mnie uczyć, zlecając mi przepisywanie i tłumaczenie książek z zaklęciami. Chcąc nie chcąc, zapamiętywałam je. Byłam wściekła, że tak się wkopałam, lecz nie mogłam się wycofać. Miałam zgłosić w sekretariacie, że jestem zmuszana do nauki magii?

Starannie kopiowałam więc magiczne księgi i starałam się jak najrzadziej odzywać podczas tych sesji z nauczycielką. W duchu kipiałam ze złości. Panna Terwiliger doskonale zdawała sobie sprawę z moich uczuć, ale nie próbowała łagodzić napięcia. Sytuacja była patowa.

– Już prawie dwie godziny nie piłam cappuccino. To cud, że jeszcze jako tako funkcjonuję. Mogłabyś podjechać do Spencera? To ostatnie zadanie na dzisiaj. – Dzwonek kończący lekcje odezwał się przed kwadransem, więc zostawałam po godzinach.

Nie zdążyła dokończyć, a już zamknęłam księgę. Kiedy zaczynałam pracę jako jej asystentka, wkurzało mnie to bieganie na posyłki. Teraz wypatrywałam każdej okazji, by się wyrwać. Nie wspominając o tym, że sama chętnie uzupełniałam niedobór kofeiny.

Kiedy dotarłam do baru, Trey właśnie zaczynał swoją zmianę. Ucieszyłam się nie tylko z widoku znajomej twarzy, ale również z powodu obiecanej zniżki. Nie zdążyłam złożyć zamówienia, a on już zaczął przyrządzać kawę. Inny barista zaoferował się z pomocą i Trey szczegółowo poinstruował go, co robić.

– Odtłuszczona latte waniliowa – powiedział, dodając karmel do cappuccino panny Terwiliger. – Syrop bez cukru i śmietanka. Nie pomył niczego. Ona potrafi wyczuć cukier i dwuprocentowe mleko na kilometr.

Powstrzymałam się od uśmiechu. Może nie mogłam zdradzać przyjaciołom tajemnic alchemików, ale miło było wiedzieć, że przynajmniej znają moje upodobania w kwestii kawy.

Ten drugi chłopak, chyba nasz rówieśnik, posłał mu rozbawione spojrzenie.

– Dobrze wiem, co znaczy odtłuszczona.

– Miło słyszeć, że dbasz o szczegóły – drażniłam się z Treyem. – Nie wiedziałam, że ci zależy.

– Hej, żyję po to, by usługiwać – odparł. – Poza tym wieczorem będę potrzebował twojej pomocy w projekcie z chemii. Zawsze znajdujesz to, co przegapię.

– Projekt jest na jutro – pastwiłam się nad nim. – Miałeś dwa tygodnie. Rozumiem, że nie zrobiłeś wiele podczas sesji naukowej z czirliderkami.

– Tak, tak. Pomożesz mi? Mogę nawet przyjechać do twojego kampusu.

– Będę się uczyła do późna z koleżankami. Naprawdę uczyła. – Po ustalonej godzinie w dormitoriach nie wolno było przyjmować gości płci przeciwnej. – Ale potem możemy się spotkać w kampusie środkowym.

– To ile kampusów ma ta wasza szkoła? – spytał drugi barista, podając mi latte.

– Trzy. – Sięgnęłam chciwie po kawę. – Jak Galia.

– Jak co? – Trey nie zrozumiał.

– Przepraszam – bąknęłam. – Łaciński żart.

– *Gallia est omnis divisa in partes tres* – zacytował barista.

Niewiele mogło mnie oderwać od kawy, ale nie spodziewałam się usłyszeć cytatu z Juliusza Cezara w barze Spencera.

– Znasz łacinę? – spytałam.

– Jasne – odparł. – Któż jej nie zna?

Trey przewrócił oczami.

– Jedynie cała reszta świata – mruknął.

– Szczególnie łacinę klasyczną – ciągnął barista. – Działa kojąco w porównaniu ze średniowieczną.

– Oczywiście – zgodziłam się. – Wszyscy o tym wiedzą. W okresie postimperialnej decentralizacji pomieszali wszelkie reguły.

Chłopak pokiwał głową.

– Chociaż jeśli ją przyrównać do języków romańskich, te reguły nabierają sensu, gdy odczytujesz je w szerszej perspektywie ewolucji języka.

– A to – wtrącił Trey – jest największa afera, o jakiej słyszałem. Sydney, to jest Brayden. Brayden, Sydney. – Trey rzadko używał mojego imienia, więc poczułam się dziwnie, tym bardziej że do mnie mrugnął.

Uścisnęłam dłoń Braydena.

– Miło cię poznać.

– Ciebie także – powiedział. – Fanka klasyki, co? – Urwał, obrzucając mnie długim, uważnym spojrzeniem. – Widziałaś już *Antoniusza i Kleopatę* w Park Theatre Group?

– Nie. Nawet nie wiedziałam, że to grają. – Nagle poczułam się głupio, jakbym powinna na bieżąco śledzić wszystkie wydarzenia kulturalne w Palm Springs. – Jestem tu dopiero od miesiąca – bąknęłam usprawiedliwiająco.

– Zdaje się, że będzie jeszcze kilka spektakli... – Brayden zawahał się. – Chętnie zobaczę jeszcze raz, jeśli zechcesz pójść. Chociaż ostrzegam, to jedno z tych przeinterpretowanych przedstawień. We współczesnych kostiumach.

– To mi nie przeszkadza. Dzięki nowym interpretacjom Szekspir jest ponadczasowy.

Słowa same płynęły mi z ust. Nieoczekiwanie olśniło mnie, że dzieje się coś niezwykłego. Powtórzyłam w myślach słowa Braydena i zobaczyłam szeroki uśmiech Treya. Zrozumiałam. To był ten chłopak, o którym Trey mi opowiadał. Moja „bratnia dusza”. I właśnie zaprosił

mnie na randkę.

– Świetny pomysł – rzucił Trey. – Koniecznie musicie na to pójść. Najlepiej umówcie się na cały dzień. Możecie wrzucić coś na ruszt i wpaść do biblioteki czy gdzie tam szukacie rozrywek.

Brayden patrzył na mnie. Miał orzechowe oczy, podobne do oczu Eddiego, choć lekko zielonkawe. Oczywiście nie tak intensywnie zielone jak Adrian. Żadne inne oczy nie mogły się równać z ich oszałamiającą zielenią. Brązowe włosy Braydena połyskiwały złoto. Jego fryzura podkreślała kości policzkowe. Musiałam przyznać, że jest przystojny.

– Grają od czwartku do niedzieli – powiedział. – Podczas weekendu mam debatę... Mogłabyś w czwartek?

– Ja...

Czy mogłam? O ile wiedziałam, nic nie zostało zaplanowane na ten dzień. Dwa razy w tygodniu zabierałam Jill do domu Clarence'a Donahue, starego moroja, który miał swoją karmicielkę. Czwartek nie był dniem karmienia, a oficjalnie nie miałam obowiązku uczestniczyć w eksperymentach.

– Oczywiście, że jest wolna – pospieszył Trey, zanim odpowiedziałam. – Prawda, Sydney?

– Tak – odparłam, zerkając na niego. – Mam wolny wieczór.

Brayden się uśmiechnął. Odwzajemniłam jego uśmiech. Zapadła nerwowa cisza. On wydawał się tak samo niepewny jak ja. Prawie uznałam, że to urocze.

Trey szturchnął go w bok.

– Teraz powinieneś poprosić o jej numer telefonu.

Brayden kiwnął głową, chociaż wyraźnie nie spodobało mu się to szturchnięcie.

– Racja. – Wyjął z kieszeni komórkę. – Sydney przez „y” czy przez „i”? – Trey przewrócił oczami. – Co? Zgaduję, że to pierwsze, ale skoro obyczajnie w kwestii imion stają się coraz bardziej nietradycyjne, chciałbym zapisać właściwie.

– Postąpiłabym tak samo – potwierdziłam. I podałam mu swój numer.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Świetnie. Bardzo się cieszę.



– Ja też – odparłam szczerze.

Wyszłam ze Spencera lekko oszołomiona. Umówiłam się na randkę. Jakim cudem?

Trey wybiegł za mną i złapał mnie, gdy otwierałam samochód. Miał na sobie fartuch.

– No i? – spytał. – Przyznaj, że miałem rację.

– W czym? – spytałam, czując, że znam odpowiedź.

– W tym, że Brayden jest twoją bratnią duszą.

– Mówiłam już...

– Wiem, wiem. Nie wierzysz w braterstwo dusz. A jednak – dorzucił z uśmiechem – jeśli ten chłopak nie jest dla ciebie idealny, to sam już nie wiem, kto mógłby być.

– Cóż, przekonamy się. – Postawiłam kawę panny Terwiliger na dachu samochodu, żeby napić się swojej. – Jednak nie lubi współczesnych interpretacji Szekspira, co może zwiastować klęskę.

Trey gapił się na mnie z niedowierzaniem.

– Mówisz serio?

– Nie. – Skrzywiłam się wymownie. – Żartowałam. – Latte przyrządzona przez Braydena była bardzo smaczna, więc byłam gotowa zaryzykować z tym Szekspirem. – Dlaczego tak ci zależy na moim życiu uczuciowym?

Trey wzruszył ramionami i wepchnął ręce do kieszeni. Późnopołudniowe słońce sprawiło, że na jego opalonej skórze zaśniły kropelki potu.

– Sam nie wiem. Chyba czuję, że jestem ci coś winien za tę historię z tatuażami. No i za pomoc w lekcjach.

– Wcale nie potrzebujesz mojej pomocy w lekcjach. A tatuaże...

Zmarszczyłam brwi, bo przypomniałam sobie Keitha uderzającego pięściami o szybę. Zdobywał krew wampirów, którą dodawano później do tatuaży. Zamawiali je głównie uczniowie Amberwood, co rozpętało prawdziwe piekło. Oczywiście Trey nie miał pojęcia, że byłam osobiście zaangażowana w tę sprawę. Wiedział tylko, że pozbyłam się ludzi, przez których na szkolnych boiskach kwitła nieuczciwa rywalizacja.

– Zajęłam się tym, bo tak należało postąpić.

Uśmiechnął się.

– Oczywiście. A przy okazji wybawiłaś mnie od problemów z ojcem.

– Mam nadzieję. Teraz nie masz sobie równych w drużynie. Czegóż więcej mógłby pragnąć twój tata?

– Och, on zawsze coś znajdzie. Muszę być najlepszy we wszystkim. Nie tylko w piłce nożnej. – Trey już kiedyś mi o tym opowiadał.

– Znam to uczucie – mruknęłam, myśląc o swoim ojcu. Umilkliśmy.

– Na domiar złego niedługo przyjeżdża tu mój idealny kuzyn – odezwał się Trey. – Przy nim zawsze wypadam blado. Masz kogoś takiego w rodzinie?

– Eee, chyba nie. – Większość kuzynów pochodziła ze strony mojej mamy, a tata starał się unikać kontaktu z jej rodziną.

– Więc pewnie to ty jesteś rodzinnym wzorem – burknął Trey. – Tak czy owak, w mojej rodzinie wszyscy mają wysokie oczekiwania... bezustannie poddają nas próbom. Tymczasem zyskałem chwilę oddechu dzięki piłce nożnej. – Mrugnął do mnie. – No i dzięki fantastycznym wynikom w chemii.

Zrozumiałam aluzję.

– W porządku. Wyślę ci esemesa, kiedy wrócę. Popracujemy razem.

– Dzięki. W zamian pogadam z Braydenem, żeby nie próbował niczego głupiego w czwartek.

Pomyślałam o łacinie i Szekspirze.

– Co masz na myśli?

Trey pokręcił głową.

– Naprawdę, Melbourne, nie wiem, jak przeżyłaś tyle lat na tym świecie beze mnie.

– Och! – Zaczerwieniłam się. Wspaniale. Miałam nowy powód do zmartwień.

Spojrzał na mnie drwiąco.

– Między nami, Brayden jest ostatnim facetem na świecie, którego musiałabyś się obawiać. Myślę, że w tych sprawach jest równie bezradny jak ty. Gdybym nie troszczył się o twoją cnotę, pewnie udzieliłbym mu

lekcji, jak się do tego zabrać.

– Dzięki, że tak o mnie dbasz – rzuciłam sucho. – Zawsze tęskniłam za bratem, który by mnie pilnował.

Trey przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– Przecież masz trzech braci.

Błąd.

– No właśnie. – Próbowałam zapanować nad paniką. Omal się nie wygadałam. Eddie, Adrian i Keith uchodzili tu za moich braci. – A żaden z nich nie interesuje się, z kim się spotykam. Teraz muszę wejść do jakiegoś klimatyzowanego wnętrza. – Otworzyłam drzwiczki samochodu, z którego wypłynęła fala ciepła. – Pogadamy wieczorem w laboratorium.

Trey skinął głową, jakby i on miał ochotę schronić się w chłodzie.

– Chętnie odpowiem na twoje pytania w kwestii randek.

Rzuciłam mu spojrzenie, które miało go zgromić, ale kiedy odszedł, a ja włączyłam klimatyzację w wozie, poczułam się bezradnie. Znow pojawiło się to pytanie: jak mam przetrwać tę randkę?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

WIEŚĆ O MOJEJ RANDCE rozeszła się lotem błyskawicy.

Podjeżdżałam, że Trey wtajemniczył Kristin i Julię, które zdążyły opowiedzieć o wszystkim Jill, Eddiemu i Bóg wie, komu jeszcze... Nie powinnam być zdziwiona, gdy po obiedzie zadzwonił Adrian. Zaczął mówić, zanim zdążyłam się odezwać.

– Serio, Sage? Masz randkę?

Westchnęłam.

– Tak, Adrian.

– Prawdziwa randka! Nie umówiłaś się na wspólne odrabianie lekcji? – upewniał się. – Idziecie do kina czy coś w tym rodzaju. I nie będzie to film polecony przez nauczyciela. Ani nic równie nudnego.

– Tak, to prawdziwa randka.

Uznałam, że lepiej mu nie mówić o przedstawieniu szekspirowskim.

– Jak ma na imię ten szczęściarz?

– Brayden.

Adrian umilkł.

– Brayden? To prawdziwe imię?

– Dlaczego wciąż pytasz, czy coś jest prawdziwe? Sądzisz, że to sobie wymyśliłam?

– Nie, nie – zapewnił Adrian. – Po prostu jestem zdumiony. Jest przystojny?

Zerknęłam na zegar. Powinnam już wychodzić na wspólną naukę.

– Jezu, może wysłać ci jego zdjęcie do oceny?

– Poproszę. Do tego życiorys i wywiad środowiskowy.

– Muszę lecieć. Czemu tak cię to interesuje? – spytałam na koniec.

Długo nie odpowiadał, co było dla niego niezwykle. Adrian miał zawsze w rękawie mnóstwo dowcipnych replik. Może nie mógł wybrać najzabawniejszej. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos zabrzmiał sarkastycznie.

– Bo to jedna z tych rzeczy, których się nie spodziewałem – odparł.

– Jak kometa. Albo pokój na świecie. Przywykłem, że jesteś singielką.

Z jakiegoś powodu mnie to wkurzyło.

– Sądziś, że żaden chłopak nie mógłby się mną interesować?  
– Szczerze mówiąc – rzucił z powagą – mogę sobie wyobrazić mnóstwo zainteresowanych tobą chłopaków.

Byłam pewna, że kpi, a nie miałam czasu na jego żarty. Pożegnałam się i poszłam na spotkanie z dziewczynami. Udało nam się przerobić sporo materiału. Tylko Trey, z którym później zobaczyłam się w bibliotece, był mniej skupiony. Bez przerwy opowiadał, jak wspaniale się spisał, poznając ze sobą mnie i Braydena.

– Jeszcze nie doszło do tej randki, a już jestem nią zmęczona – zauważyłam.

Rozłożyłam na stole notatki Treya. Liczby i wzory dawały mi ukojenie, stanowiły coś stałego w porównaniu z chaosem życia towarzyskiego. Stuknęłam ołówkiem w blat.

– Skup się. Nie mamy dużo czasu.

Trey wzruszył ramionami.

– Nie możesz po prostu za mnie dokończyć?

– Nie! Miałeś mnóstwo czasu, żeby zrobić wszystko sam. Obiecałam tylko pomóc.

Trey był wystarczająco inteligentny, by samodzielnie przeprowadzić badanie. Przestał gadać o randce i skoncentrował się na pracy. Sądziłam, że mam z głowy pytania o Braydena, ale kiedy się pakowaliśmy, do pokoju weszli Jill i Micah.

Towarzyszyła im grupka znajomych, co mnie nie zdziwiło. Micah łatwo zawierał przyjaźnie i był popularny, dzięki czemu grono znajomych małej się powiększyło. Oczywiście Jill rozbłysły, gdy ktoś z grupy powiedział coś zabawnego i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Jill zupełnie nie przypominała siebie z czasów, gdy przybyła do Amberwood i wszyscy traktowali ją jak dziwaczkę. Błyszczała w nowej roli. Miałam nadzieję, że to jej pomoże zaakceptować pozycję księżniczki. Cieszyło mnie to. Mój uśmiech zgasł, gdy odciągnęła Micaha od przyjaciół i podeszła do naszego stolika. Była nienaturalnie ożywiona.

– To prawda? – spytała. – Idziesz na randkę?

– Na miłość... Wiesz, że tak! To ty wygadałaś Adrianowi, prawda?

– Popatrzyłam na nią z naganą. Ich psychiczna więź nie była aktywna

przez cały czas, ale coś mi mówiło, że mała wiedziała o naszej rozmowie telefonicznej. Kiedy więc się „aktywowała”, Jill mogła zaglądać do umysłu Adriana, obserwować jego uczucia i działania. Więc działała tylko w jedną stronę. Adrian nie miał dostępu do Jill.

Zawstydziała się lekko.

– Tak... Nie mogłam się powstrzymać, gdy Micah mi powiedział...

– Wiem od Eddiego – wtrącił pospiesznie Micah, jakby to mogło go usprawiedliwić. Miał rude włosy i niebieskie oczy, niezmiennie wesołe i przyjazne. Był jedną z tych osób, których nie sposób nie polubić.

– Hej, ja nie mówiłem Eddiemu – zarzekł się Trey.

Utkwiłam w nim wzrok.

– Ale rozpowiedziałaś innym. A oni wtajemniczyli Eddiego.

Trey wzruszył ramieniem.

– Może komuś wspomniałem.

– Niewiarygodne – mruknęłam.

– Jaki on jest? – spytała Jill. – Przystojny?

Zastanowiłam się.

– Raczej tak.

Rozpromieniła się.

– Brzmi obiecująco. Dokąd cię zabiera? W jakieś fajne miejsce? Wieczór w mieście? Elegancka kolacja? Micah i ja świetnie się bawiliśmy w Salton Sea. Bardzo tam ładnie. Moglibyście urządzić sobie romantyczny piknik. – Policzki jej się zaróżowiły i urwała, żeby nabrać oddechu, jakby uświadomiła sobie, że za dużo mówi. Gadatliwość była jedną z jej najbardziej uroczych cech.

– Idziemy na przedstawienie szekspirowskie w parku – wyjaśniłam.

Zapadła cisza.

– *Antoniusz i Kleopatra* to świetna sztuka. – Nagle poczułam potrzebę obrony. – Klasyka. Oboje z Braydenem lubimy Szekspira.

– Ma na imię Brayden? – spytał z niedowierzaniem Micah. – Co to za imię?

Jill zmarszczyła brwi.

– *Antoniusz i Kleopatra*... to o miłości?

– W pewnym sensie – powiedziałam. – Na początku. Potem wszyscy giną.

Jej przerażona mina wyrażała najwyższą rezerwę.

– Cóż – mruknęła. – Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawili.  
– Zapadła chwila niezręcznej ciszy i nagle wzrok Jill znów się rozświetlił. – Och! Lia dziś do mnie dzwoniła. Podobno rozmawialiście o moim nowym pokazie?

– Słucham?! – wykrzyknęłam. – Nie tak to ujęłam. Spytała, czy możesz pozować do zdjęć, a ja kategorycznie odmówiłam.

– Ach tak... – Jill nieco zrzędała mina. – Rozumiem. Lia mówiła... Sądziłam, że się zgodziłaś. Trudno. Myślałam, że jest jakieś wyjście...

Spojrzałam na nią znacząco.

– Przykro mi, Jill. Chciałabym, żeby tak było, ale wiesz, że to niemożliwe.

Skinęła głową ze smutkiem.

– Rozumiem. W porządku.

– Nie musisz występować jako modelka, żebym widział, jak jesteś piękna – wtrącił z galanterią Micah.

Jill się uśmiechnęła, ale spoważniała, gdy zerknęła na zegar. Jej zmienne nastroje przypominały mi Adriana. Zastanawiałam się, czy nie są to skutki działania więzi.

– Uch. Zaraz cisza nocna. Powinniśmy już iść. Wracasz z nami, Sydney?

Zerknęłam na próbówki Treya. Właściwie skończyliśmy. Praca była bez zarzutu.

– Wyjdę za parę minut.

Jill i Micah sobie poszli. Zerknęłam na Treya i zdumiałam się, jak intensywnie patrzył za odchodzącą dziewczyną. Szturchnęłam go.

– Hej. Nie zapomnij się podpisać, bo wszystko pójdzie na marne.

Oderwał wzrok po dłuższej chwili.

– To twoja siostra, prawda? – Zabrzmiało to bardziej jak twierdzenie, jakby ujawnił niefortunny fakt.

– Tak. Widywałeś ją setki razy. Chodzi do tej szkoły od miesiąca.

Trey zmarszczył czoło.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem... Nie przyglądałem się jej.

Nie mamy wspólnych zajęć.

– Mogłeś ją sobie obejrzyć z każdej strony na pokazie mody.

– Nosiła wtedy maskę. – Patrzył na mnie ciemnymi oczami. – Jesteście do siebie zupełnie niepodobne.

– Często to słyszymy.

Trey był zaintrygowany, a ja nie miałam pojęcia czym.

– Dobrze robisz, nie pozwalając jej pozować – powiedział w końcu. – Jest za młoda.

– To kwestia religijna – odparłam, wiedząc, że nie będzie mnie wypytywał o naszą „wiarę”.

– Cokolwiek cię powstrzymuje, nie pokazuj jej publicznie. – Dopisał swoje nazwisko na kartce i zamknął podręcznik. – Nie powinna kłuć w oczy na okładkach czasopism. Mnóstwo tu dziwaków.

Teraz to ja gapiłam się na niego. Miałam takie samo zdanie. Zbyt ni rozgłos naprowadziłby morojów na ślad Jill. Tylko dlaczego jemu przyszło to do głowy? Podał argument, że jest za młoda, ale coś mnie zaniepokoiło w jego uwagach. Sposób, w jaki jej się przyglądał, był co najmniej dziwny. Z drugiej strony, co takiego mógł u niej zauważyć?

Kolejne dni upływały normalnie – co mnie cieszyło – choć ta normalność była dyskusyjna. Adrian nadal przysyłał mi maile z prośbami o ratunek (przy okazji udzielając rad w kwestii randek). Panna Terwiliger ponawiała podstępne próby uczenia mnie magii. Eddie trwał niezmiennie przy Jill. A Angeline nie zrezygnowała z mało subtelnych metod uwodzenia Eddiego.

Gdy zobaczyłam na własne oczy, jak „niechący” wylała sobie wodę na białą podkoszulkę podczas ich wspólnego treningu, uznałam, że trzeba coś z tym zrobić. Miałam uczucie, że to mój obowiązek, podobnie jak rozwiązywanie innych nieprzyjemnych sytuacji w naszej grupie. Zdecydowałam się na stanowczą i szczerą rozmowę z Angeline o właściwych sposobach zwracania czyjejś uwagi, ale wieczorem, kiedy umówiłam się z Braydenem, szybko się okazało, że jestem ostatnią osobą mogącą udzielać wskazówek w tej kwestii.

– Chcesz pójść w tym?! – wykrzyknęła Kristin, celując oskarżycielsko palcem w bluzkę, którą rozłożyłam na łóżku.

Obie z Julią postanowiły przeprowadzić inspekcję przed moim



wyściem. Jill i Angeline także wtargnęły do mnie bez zaproszenia. Nie mogłam nie zauważyć, że wszyscy przejmowali się randką bardziej niż ja. Byłam kłębkiem nerwów. Tak zapewne czują się ludzie idący na egzamin, gdy nic nie umieją. Dla mnie to całkiem nowe doświadczenie.

– Przecież to nie szkolny mundurek – broniłam się. – I jest kolorowa. W pewnym sensie.

Julia podniosła wybraną przeze mnie bluzkę: bawełnianą, z krótkim rękawem i wysokim kołnierzykiem zapinanym na guziki. Miała łagodny cytrynowy odcień. Sądziłam, że dziewczyny pochwalą mój wybór, skoro bez przerwy zarzucały mi, że nie ubieram się kolorowo. Zamierzałam nawet włożyć do niej dzinsy. Julia potrząsnęła głową.

– To jest ciuch, który mówi: nigdy się do mnie nie dobierzesz.

– A czemu miałby się do mnie dobierać? – oburzyłam się.

Kristin, siedząca po turecku na moim krześle przy biurku, przekrzywiła głowę z namysłem.

– Dla mnie ta bluzka mówi: muszę zakończyć tę randkę jak najszybciej, żeby przygotować prezentację w Power-Poincie.

Tarzały się ze śmiechu. Chciałam zaprotestować, gdy zorientowałam się, że Jill i Angeline przeglądają moją szafę.

– Hej! Nie powinniście zapytać o pozwolenie?

– Wszystkie twoje sukienki są za ciężkie – stwierdziła Jill. Wyciągnęła jedną z miękkiego popielatego kaszmiru. – Ta przynajmniej jest bez rękawów, ale za ciepła na tę pogodę.

– Jak połowa mojej garderoby – przyznałam. – Miała być uniwersalna, na cztery pory roku. Przed wyjazdem nie miałam czasu szukać letnich ubrań.

– Widzisz?! – zawołała triumfalnie Angeline. – Teraz zrozumiesz mój problem. Mogę ci ją trochę obciąć, jeśli chcesz.

– Nie! – Poczulałam ulgę, widząc, że Jill odwiesza sukienkę i znów nurkuje w szafie. Po chwili zaprezentowała nam nowe znalezisko.

– Może ta? – Uniosła w górę wieszak z długą białą tuniką uszytą z lekkiego marszczonego materiału.

Kristin zerknęła na Angeline.

– Myślisz, że dasz radę wyciąć głębszy dekolt?

– On już jest głęboki. A tej tuniki nie nosi się bez swetra –

zaprotestowałam.

Julia wstała z krzesła i odrzuciła włosy. Zrozumiałam, że sprawa jest poważna.

– Nie, nie... to może pasować. – Wzięła tunikę od Jill i położyła ją na dzinsach leżących na łóżku.

Oglądała całość przez chwilę, a potem podeszła do szafy – była to czynność, do której najwyraźniej wszystkie czuły się uprawnione. Przejrzała moje rzeczy i wyjęła wąski skórzany pasek z węzowym wzorem.

– Pamiętałam, że miałaś coś takiego.

Ułożyła pasek na białej tunice i się cofnęła. Po krótkich oględzinach kiwnęła głową z aprobatą. Inne dziewczyny skupiły się wokół niej, żeby ocenić efekt.

– Masz dobre oko – przyznała Kristin.

– Hej, to ja znalazłam bluzkę – przypomniała Jill.

– Muszę ją czymś przykryć – zauważyłam.

Miałam nadzieję, że nie zdradzam się za bardzo z niepewnością. Czy naprawdę tamta żółta bluzka była niemodna? Mogłabym przysiąc, że to właściwy strój na randkę. Jak przetrwam ten wieczór, skoro nawet nie potrafię się ubrać?

– Jeśli chcesz narzucić na nią sweter przy tym upale, proszę bardzo – rzuciła Julia. – Ale nie musisz się obawiać, że za dużo odsłonisz. Nawet pani Weathers nie byłaby zgorszona.

– Równie dobrze mogę wystąpić w żółtej – upierałam się.

Ale dziewczyny uznały, że wybór stroju mamy za sobą i pora zająć się moją fryzurą i makijażem. Tym razem sprzeciwiłam się stanowczo. Maluję się codziennie: stosuję dobre i bardzo drogie kosmetyki, ale staram się wyglądać naturalnie. Nie zmienię podejścia, choćby Julia przysięgała, że różowy cień do powiek jest „seksy”.

Nie upierały się za to przy zmianie fryzury. Nosiłam pocieniowane włosy sięgające mi tuż za ramiona. Wyglądały dobrze tylko rozpuszczone, z warstwami starannie ułożonymi przy pomocy suszarki. Każda inna fryzura dawała efekt nieładu. Oczywiście tego dnia zadbałam już o uczesanie. Nie było sensu psuć tego, co dobre. Poza tym moje koleżanki bardzo się ucieszyły, że zgodziłam się włożyć białą tunikę.

Oczywiście uprzednio sprawdziłam, czy nie pokazuje za dużo.

W kwestii biżuterii poprzestałam na małym złotym krzyżyku. Zapięłam łańcuszek na szyi i odmówiłam przy tym bezgłośnie modlitwę o powodzenie tego wieczoru. Nie należymy do tradycyjnego kościoła chrześcijańskiego. Mamy własne obrzędy. Wierzymy w Boga, którego pojmujemy jako wielką siłę dobra i światłości przenikającą cały wszechświat. Bóg ma tyle na głowie, że nie przejmuje się jedną dziewczyną idącą na randkę, ale może poświęci choć sekundę, by nie okazało się to dla niej zbytnią udręką.

O umówionej godzinie, gdy Brayden miał po mnie podjechać, wszystkie zbiegły razem ze mną po schodach. (Tak naprawdę zeszyliśmy odrobinę wcześniej, bo nie znoszę się spóźniać). Dziewczyny wymyślały mnóstwo powodów, dla których rzekomo musiały go poznać. Dla Jill był to „obowiązek rodzinny”, a Kristin powtarzała z zapalem: „Potrafię rozpoznać palanta w pięć sekund”. Nie byłam przekonana co do tego ostatniego argumentu, pamiętając, że nie kto inny jak ona początkowo uważała Keitha za gorący towar.

Oczywiście wszystkie prześcigały się w udzielaniu mi rad, o które nie prosiłam.

– Możecie się podzielić kosztami kolacji albo przedstawienia – trajkotała Julia. – Ale nie obydwoma. Jeden pełny rachunek powinien pokryć sam.

– A najlepiej, jeśli to on zapłaci za wszystko – dorzuciła Kristin.

– I koniecznie coś zamów, nawet jeśli nie będziesz głodna – upominała Jill. – Skoro zaprasza cię na kolację, nie powinno wyjść za tanio. Niech się dla ciebie postara.

– Skąd wy to wszystko wiecie? – pytałam. – I jakie to ma znaczenie, czy... Och, dajcie mi spokój.

W holu zobaczyłyśmy Eddiego i Micaha siedzących razem na ławce. Przynajmniej wykazali odrobinę przyzwoitości, robiąc zawstydzone miny.

– No, nie. Wy też? – westchnęłam.

– Przyszedłem do Jill – tłumaczył nieprzekonująco Micah.

– A ja, uhm... – Eddie urwał, więc powstrzymałam go gestem dłoni.

– Nie wysilaj się.

Szczerze mówiąc, dziwię się, że Trey nie stawił się z aparatem fotograficznym. Można by pomyśleć, że będzie chciał uwiecznić każdą chwilę tej porażki.

– Hej, tu jestem. – Uśmiechnęłam się do Braydena, który właśnie wszedł. Najwyraźniej nie tylko ja lubię przychodzić wcześniej.

Brayden był chyba lekko zaskoczony moją swiątą. Nie dziwiłam mu się, bo sama czułam się nieswojo.

– Miło was poznać – przywitał się przyjaźnie, choć z lekkim oszołomieniem.

Eddie potrafił się jednak zachować w niezręcznych sytuacjach towarzyskich. Odegrał rolę brata i uścisnął rękę Braydenowi.

– Słyszałem, że idziecie do teatru.

– Tak – potwierdził Brayden. – Chociaż wolę mówić „na przedstawienie”. Widziałem je już, ale chętnie zobaczę po raz drugi, żeby lepiej ocenić w kategorii alternatywnych form dramatycznych. Stosowanie standardowych metod analitycznych sprawia, że człowiek sięga po stereotypy.

Wszyscy zaniemówili. A może po prostu usiłowali zrozumieć sens tej wypowiedzi. Eddie zerknął na mnie i znów spojrzął na Braydena.

– Hm. Coś mi mówi, że będziecie się razem świetnie bawić.

Kiedy wreszcie udało nam się pożegnać z moimi życzliwymi kolegami, Brayden powiedział:

– Masz bardzo... oddaną rodzinę i przyjaciół.

– Och – odparłam. – Oni po prostu wychodzili razem w tym samym czasie co my. Będą się uczyć.

Brayden spojrzął na zegarek.

– Chyba nie jest na to za późno. Chociaż, jeśli tylko mogę, zwykle odrabiam lekcje zaraz po szkole, bo...

– Jeśli to odłożysz, może się zdarzyć coś niespodziewanego?

– Otóż to – potwierdził.

Uśmiechnął się do mnie, a ja odwzajemniłam jego uśmiech.

Poszliśmy na parking dla gości do lśniącego srebrnego forda mustanga. Omal nie zemdlałam z zachwytu. Bezwiednie wyciągnęłam rękę i przesunęłam nią po gładkiej karoserii.

– Ładny – przyznałam. – Nowiutki, model z przyszłego roku. Te nowe nie mają wprawdzie charakteru klasyków, ale nadrabiają to mniejszym spalaniem paliwa i większym bezpieczeństwem.

Brayden był miło zaskoczony.

– Znasz się na samochodach.

– To moje hobby – potwierdziłam. – Moja mama jest prawdziwą ekspertką. – Kiedy poznałam Rose Hathaway, przeżyłam niesamowitą jazdę citroenem z 1972. Teraz miałam subaru, które nazwałam Latte. Kochałam je, choć nie było olśniewające. – Niektóre samochody są dziełami sztuki i inżynierii.

Zauważyłam, że Brayden podszedł do drzwi od strony pasażera. Przez sekundę myślałam, że każe mi prowadzić. Może dlatego, że tak bardzo lubię samochody? Ale on otworzył drzwi i zrozumiałam, że czeka, aż wsiądę. Zrobiłam to, zadając sobie pytanie, kiedy ostatnio jakiś mężczyzna otworzył dla mnie drzwi. Odpowiedź była prosta: nigdy.

Nie poszliśmy do baru szybkiej obsługi, ale też nie do jakiegoś eleganckiego lokalu. Byłam ciekawa opinii Julii i Kristin na ten temat. Jedliśmy w typowej kalifornijskiej kawiarence serwującej zdrowe kanapki i sałatki. W każdej potrawie w menu występowało awokado.

– Zaprosiłbym cię do jakiegoś ładniejszego miejsca – powiedział Brayden. – Ale nie chciałem ryzykować, że się spóźnimy. Park jest kilka przecznic dalej, więc powinniśmy zdobyć dobre miejsce. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

Wydawał się lekko zdenerwowany. Kontrastowało to z pewnością siebie, z jaką analizował Szekspira. Dzięki temu sama poczułam się nieco pewniej i trochę się odprężyłam.

– Jeśli to ci nie odpowiada, znajdę coś lepszego... – dodał po chwili.

– Nie, tu jest fantastycznie – zapewniłam go, rozglądając się po jasno oświetlonej sali. Zamówienia składało się przy ladzie i zanosilo tace do stolika. – Nie chcę się spóźnić.

Brayden zapłacił za wszystko. Próbowałam uwzględnić rady koleżanek w kwestii podziału kosztów.

– Ile ci jestem winna za bilet? – spytałam nieśmiało.

Brayden spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Nic. Zaprosiłem cię. – On także uśmiechnął się niepewnie.

– Dziękuję – powiedziałam.

Zatem to on płacił. Pomyślałam, że Kristin będzie zadowolona. Tylko ja poczułam się lekko zażenowana, chociaż nie z jego winy. Wśród alchemików zawsze sama pokrywałam rachunki i odwalałam papierkową robotę. Nie przywykłam, by ktoś robił to za mnie. Miałam poczucie, że muszę zatroszczyć się o wszystko, bo nikt nie zrobi tego lepiej.

Dobrze sobie radziłam z nauką, ale życie towarzyskie nie było moją specjalnością. Zrobiłam pewne postępy, lecz wciąż musiałam się pilnować, żeby nie popełnić jakiejś gafy. Z Braydenem czułam się dużo swobodniej. Mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów i chcieliśmy opowiedzieć wszystko, co wiedzieliśmy na każdy temat. Większą część kolacji przegadaliśmy o zawiłościach procesu certyfikacji produktów organicznych. Byłam zachwycona.

Pojawił się kłopot, gdy kończyliśmy i Brayden zapytał, czy mam ochotę na deser. Znieruchomiałam, bo miałam dylemat. Jill kazała mi zamówić tyle, żeby randka nie wyszła zbyt tanio. Nie zastanawiając się długo, wybrałam niedrogą sałatkę, po prostu dlatego, że miałam na nią ochotę. Czy teraz powinnam zamówić coś jeszcze, by Brayden uznał, że musi się dla mnie postarać? I czy z tego powodu mam złamać swoje zasady w kwestii słodczy? Poza tym, powiedzmy sobie szczerze, co Jill mogła wiedzieć o zwyczajach randkowych? Jej ostatni chłopak okazał się mordercą, a obecny nie miał pojęcia, że zadaje się z wampirzycą.

– Nie, dziękuję – bąknęłam na koniec. – Wolałabym, żebyśmy przyszli do parku przed czasem.

Skinał głową, wstając od stołu, i posłał mi kolejny uśmiech.

– Myślałem o tym samym. Większość ludzi nie ceni punktualności.

– Nie ceni? To kluczowa sprawa – zachnęłam się. – Zawsze przychodzę dziesięć minut wcześniej.

Uśmiechnął się szerzej.

– A ja staram się być kwadrans przed czasem. Prawdę mówiąc... nie miałem ochoty na deser. – Przytrzymał dla mnie drzwi. – Raczej unikam słodczy.

Omów nie stanęłam jak wryta w przejściu.

– To tak jak ja, ale moi przyjaciele wyśmiewają mnie z tego powodu.

Brayden kiwnął głową.

– Jest wiele powodów, by zrezygnować z cukru. Ludzie tego nie rozumieją.

Szłam w stronę parku oszołomiona. Nikt nigdy nie rozumiał mnie w lot tak jak on. Miałam uczucie, że czyta w moich myślach.

Palm Springs leży na pustyni, otoczone długimi pasmami piaszczystych wydm i skalistych wzniesień. Sporo wysiłku kosztowała zabudowa tego terenu. Udało się nawet wyhodować bujną zieleń. Park stanowił duży obszar porośnięty trawą, otoczony liściastymi drzewami zamiast typowych palm. Na jednym krańcu zbudowano scenę i publiczność już zajmowała najlepsze miejsca. Wybraliśmy punkt w cieniu, z dobrym widokiem na scenę. Brayden wyjął z plecaka koc oraz zniszczony egzemplarz *Antoniusza i Kleopatry*. Zauważyłam, że książka ma pozaznaczane fragmenty i notatki na poszczególnych stronach.

– Przyniosłaś swój egzemplarz? – spytał.

– Nie – odparłam. Byłam pod wrażeniem. – Nie zabrałam z domu wielu książek.

Zawahał się, jakby nie był pewien, czy może powiedzieć to, co myśli.

– Chciałabyś śledzić tekst razem ze mną?

Szczerze mówiąc, zamierzałam po prostu oglądać sztukę, ale na myśl o porównywaniu kwestii aktorów z tekstem dramatu obudziła się we mnie natura badacza. Byłam też ciekawa notatek Braydena. Nagle zrozumiałam, czemu chłopak zawahał się, proponując mi wspólne czytanie. Oznaczało to przecież, że musimy usiąść bardzo blisko siebie.

– Nie gryzę – zapewnił z uśmiechem.

Ta uwaga rozładowała napięcie. Jakoś zdołaliśmy usiąść tak, by widzieć książkę i prawie się nie dotykać. Nasze uda się stykały, ale oboje byliśmy w dzinsach. Pachniał kawą. Nie było źle. Wcale nie.

Mimo wszystko nie czułam się swobodnie. Nie wydaje mi się, bym odbierała jakieś romantyczne wibracje. Puls mi nie przyspieszył, a serce nie biło żywiej. Zdałam sobie tylko sprawę, że jeszcze nigdy w życiu z nikim nie siedziałam tak blisko. Nie przywykłam do dzielenia się swoją

prywatną przestrzenią.

Wkrótce jednak o tym zapomniałam, bo zaczęło się przedstawienie. Brayden mógł nie lubić Szekspira we współczesnej aranżacji, ale ja byłam zachwycona. Śledząc tekst, zauważyliśmy parę razy, że aktorzy się pomylili. Zerkaliśmy wówczas na siebie triumfalnie, dumni, że dostrzeżliśmy coś, o czym inni nie mieli pojęcia. Odczytywałam też zapiski Braydena, z częścią się zgadzałam, na inne kręciłam głową. Nie mogłam się doczekać, by omówić z nim jego uwagi.

Cała widownia z zapartym tchem śledziła scenę śmierci Kleopatry, skupiona na jej ostatniej kwestii. I nagle usłyszałam z boku szelest zgniatanego papieru. Zignorowałam dźwięk. Papier zaszeleścił znowu, tym razem dużo głośniej. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam grupkę osób, chyba z college'u. Oglądali przedstawienie, ale jeden chłopak usiłował rozpakować zawartość brązowej papierowej torby. Rozglądał się nerwowo. Starał się nie przyciągać uwagi, ale osiągał skutek przeciwny do zamierzonego.

W końcu zdołał odwinąć brzegi torby i powoli włożył rękę do środka. Nie wyjął jednak tajemniczego przedmiotu. Usłyszałam trzask, jakby otworzył puszkę, i twarz chłopaka się rozjaśniła. Uniósł puszkę do ust. Stało się oczywiste, że w torebce ma alkohol.

Przycisnęłam dłoń do ust, żeby zdusić śmiech. Ten chłopak bardzo przypominał Adriana. Mogłam sobie łatwo wyobrazić, jak Iwaszkow przemyca alkohol na przedstawienie teatralne. Adrian również miałby pecha przy otwieraniu puszek w najbardziej dramatycznym momencie. Niemal widziałam jego błogi wyraz twarzy, który mówił: „Nikt nie wie, co robię!”. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak mnie to rozśmieszyło.

Brayden był zbyt skupiony na przedstawieniu, by to zauważyć.

– Ooch – szepnął. – To jest ten dobry fragment, w którym służące zabijają się same.

W drodze powrotnej do Amberwood mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowę o sztuce. Byłam niemal rozczarowana, gdy zatrzymaliśmy się pod moim dormitorium. Uświadomiłam sobie, że nastąpił kolejny moment zwrotny randki. Jak teraz należało się zachować? Czy Brayden powinien mnie pocałować? A ja, czy mam mu na to pozwolić? To jest prawdziwa cena mojej sałatki?



Brayden także był chyba speszony, więc przygotowałam się na najgorsze. Czułam, że drżą mi dłonie.

„Możesz to zrobić – powiedziałam sobie. – To rodzaj inicjacji”.

Już miałam zamknąć oczy, gdy Brayden się odezwał.

Okazało się, że nie denerwował się ewentualnym pocałunkiem, lecz pytaniem, które zadał z nieśmiałym uśmiechem.

– Czy... chciałabyś się jeszcze ze mną spotkać?

Zaskoczyło mnie, jak wiele emocji poczułam. Przede wszystkim ulgę. Jednocześnie byłam trochę rozczarowana, że chłopak w tej rozmowie nie jest równie pewny siebie jak wtedy, gdy analizuje adaptację sztuki. Pomyślałam, że mógłby teraz powiedzieć coś w rodzaju: „Cóż, po tak idealnym wieczorze nie mamy innego wyjścia, jak tylko spotkać się znowu”.

Natychmiast zrobiło mi się głupio. Jak mogłam wymagać od niego swobody, podczas gdy mnie trzęsły się ręce.

– Jasne – wypaliłam.

Odetchnął z ulgą.

– Fajnie – powiedział. – Wyślę ci maila.

– Super. – Uśmiechnęłam się.

Zapadła niezręczna cisza i nagle przestraszyłam się, że jednak dojdzie do pocałunku.

– Czy... chcesz, żebym cię odprowadził do drzwi? – spytał.

– Co takiego? O, nie. Dziękuję. To blisko, poradzę sobie. Dziękuję.

– W porządku – mruknął Brayden. – Spędziłem naprawdę miły wieczór. Będę czekał na następny.

– Ja również.

Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnęłam ją. Potem wysiadłam i weszłam do budynku.

Uścisnęłam mu rękę? Odtwarzałam tę chwilę w myślach, czując się coraz bardziej głupio. Co jest ze mną nie tak?

Idąc przez hol, lekko oszołomiona, wyjęłam komórkę, żeby sprawdzić wiadomości. Wyłączyłam ją na wieczór, uznając, że zasłużyłam na odrobinę spokoju. Ku memu zdumieniu, nikt niczego ode mnie nie potrzebował. Odczytałam jedyne sms od Jill wysłanego piętnaście minut wcześniej: „Jak twoja randka z Brandonem? Jaki on

jest?”.

Otworzyłam drzwi pokoju i weszłam do środka. „Ma na imię Brayden” – odpisałam. Rozwahałam przez chwilę jej pytanie, po czym wstukałam jeszcze: „Jest taki jak ja”.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

UŚCISNĘŁAŚ MU RĘKĘ? – spytał Adrian z niedowierzaniem.

Posłałam oskarżycielskie spojrzenie Eddiemu i Angeline.

– Czy nie mam prawa do odrobiny prywatności?

– Nie – stwierdziła Angeline, jak zwykle boleśnie szczerza.

Eddie zachichotał. Rzadko bywali tak zgodni.

– To miała być tajemnica? – chciał wiedzieć Adrian.

Dwa razy w tygodniu przyjeżdżaliśmy do domu Clarence’a Donahue na karmienie Jill i Adriana. Jill oddaliła się od razu z Dorothy, gospodynią Clarence’a, która oddawała swoją krew.

– Nie – przyznałam.

Julia i Kristin nie dawały mi spokoju, wypytując o szczegóły randki, więc opowiedziałam im trochę na odczepne. Powinnam była się domyślić, że natychmiast przekażą to całemu światu. Nie miałam też wątpliwości, że moja rodzina z Amberwood zrelacjonuje wszystko Adrianowi.

– Naprawdę? – Adrian wciąż nie mógł się nadziwić zakończeniu mojej randki. – Jego rękę?

Westchnęłam, opadając na skórzaną sofę. Z zewnątrz dom Clarence’a niezmiennie kojarzył mi się z nawiedzonym zamczyskiem, ale w środku był urządzonej nowocześnie i elegancko.

– Tak wyszło. Zresztą nieważne. To nie twoja sprawa. Opuść – mruknęłam, lecz wyraz twarzy Adriana mówił, że z pewnością szybko nie opuści.

– Taka namiętność, aż dziw bierze, że jakoś bez siebie wytrzymujecie – ciągnął. – Umówiliście się na drugą randkę?

Eddie i Angeline popatrzyli na mnie wyczekująco. Zawahałam się. Tej informacji nie przekazałam Kristin i Julii.

– Tak – mruknęłam w końcu. – W tym tygodniu wybieramy się oglądać wiatraki.

Jeśli chciałam zamknąć im usta, to z pewnością osiągnęłam cel. Byli wstrząśnięci.

Adrian pierwszy odzyskał mowę.

– Zakładam, że zabiera cię do Amsterdamu prywatnym

odrzutowcem. Chętnie się z wami przelecę. Tylko daruję sobie te wiatraki.

– Na północ od Palm Springs mają wielką farmę wietrzną – wyjaśniłam. – To jedyne takie miejsce na świecie, gdzie wpuszczają zwiedzających.

Odpowiedziały mi nierozumiejące spojrzenia.

– Wiatr jest ważnym odnawialnym źródłem energii, która może znacząco odmienić przyszłość naszego kraju! – tłumaczyłam się desperacko. – Świetna sprawa.

– Świetna – powtórzył Adrian. – No proszę, wiatr... Domyślam się, do czego zmierzasz, Sydney. Spryciara z ciebie.

– Nie miałam na myśli....

W tej chwili otworzyły się podwójne przeszklone drzwi i do pokoju weszli Dymitr z Sanią w towarzystwie naszego gospodarza. Nie widziałam Clarence'a, gdy przyjechałam, więc uśmiechnęłam się do niego, wdzięczna, że wybawił mnie z niezręcznej pogawędki.

– Witam, panie Donahue – odezwałam się. – Miło pana znowu widzieć.

Starszy moroj popatrzył na mnie, mrużąc oczy. Po chwili mnie rozpoznał i uśmiechnął się lekko. Nieodmiennie wyglądał jak wytworny gentleman sprzed pięćdziesięciu lat.

– To ty. Cieszę się, że wpadłaś, moja droga. Co cię do mnie sprowadza?

– Karmienie Jill, proszę pana.

Odwiedzaliśmy Clarence'a regularnie, ale chyba nie zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Już kiedy się poznaliśmy, jego umysł nie był w pełni sprawny, a śmierć jedyne go syna, Lee, popchnęła go na krawędź obłądzenia. Clarence nie przyjął tragedii do wiadomości; uparcie twierdził, że Lee wyjechał na jakiś czas i wróci. Poza tym był zawsze uprzejmy i stosunkowo niegroźny – jak na wampira, rzecz jasna.

– Tak, naturalnie. – Zasiadł w wielkim fotelu i spojrzał na Dymitra i Sanię. – Zatem potraficie naprawić zamki w oknach? – Zdaje się, że powrócił do toczony wcześniej rozmowy.

Dymitr chyba szukał uprzejmej odpowiedzi na to pytanie. Wyglądał jak zwykle świetnie w dżinsach i podkoszulku oraz długim

kowbojskim płaszczu. Jeśli ktoś mógł nosić taki w Palm Springs, to tylko Bielikow.

Kilka dni temu zagadnęłam Adriana o ekscentryczny styl Dymitra.

– Robi mi się gorąco na sam jego widok – rzuciłam.

Adrian chyba opacznie mnie zrozumiał, bo odpowiedział inaczej, niż się spodziewałam:

– Cóż, jak większości kobiet.

Dymitr grzecznie zwrócił się do Clarence’a.

– Nie wydaje mi się, by pańskie zamki były popsute. Okna są zamknięte.

– Tak się tylko zdaje – odparł złowieszczo Clarence. – Ale nie wiesz, jak oni bywają pomysłowi. Nie jestem do tyłu z techniką. Wiem, że opracowano mnóstwo technologii, które mógłbym tu zainstalować. Na przykład lasery, które informują o próbach włamania.

Dymitr uniósł brew.

– Ma pan na myśli system alarmowy?

– Otóż to – przytaknął Clarence. – Zabezpieczy mnie przed łowcami.

Clarence miał obsesję na punkcie łowców wampirów, a ostatnio lęk dręczył go silniej niż zwykle. Staruszek od dawna był przekonany, że łowcy zamordowali jego siostrzenicę. Nie zgadzał się z raportem, według którego została zabita przez strzygi. Jak się później okazało, po części miał rację. Nie przyjmował jednak do wiadomości, że dziewczynę zabił Lee, desperacko próbując stać się znów strzygą. Nie pomagały tłumaczenia, że zgodnie z wiedzą alchemików łowcy wampirów działali po raz ostatni w czasach średniowiecza. Stary moroj wiecznie kazał komuś sprawdzać swój dom. Ponieważ Sonia i Dymitr mieszkali u niego, to zadanie często przypadało w udziale właśnie im.

– Nie umiem zakładać systemów alarmowych – wyjaśnił Dymitr.

– Doprawdy? Jest coś, czego nie umiesz zrobić? – Adrian spytał tak cicho, że ledwo go usłyszałam, a siedział tuż obok mnie. Wątpiłam, czy pozostali, nawet obdarzeni wyczulonym słuchem, zarejestrowali ten komentarz.

– Musi pan wezwać fachowców – ciągnął Dymitr. – A zakładam, że niechętnie wpuściłby pan obcych do swego domu.

Clarence zmarszczył brwi.

– To prawda. Łowcy łatwo mogliby ich przekupić.

Dymitr był wzorem wyrozumiałości.

– Dopóki tu jestem, będę codziennie sprawdzał wszystkie okna i drzwi. Na wszelki wypadek.

– Wspaniale – ucieszył się Clarence. – Nie sądzę, by na mnie polowali. Nie zagrażam im. Już nie. – Zaśmiał się pod nosem. – Ale nigdy nic nie wiadomo. Lepiej pozostać czujnym.

Sonia uśmiechnęła się łagodnie.

– Jestem pewna, że nic złego się nie wydarzy. Proszę się nie martwić.

Clarence odwzajemnił jej spojrzenie i po kilku sekundach jego twarz rozjaśnił uśmiech. Zauważyłam, że wyraźnie się rozluźnił.

– Tak, tak. Masz rację. Nie ma się czego bać.

Zadrżałam. Wystarczająco długo przebywałam wśród morojów, by się domyślić, że Sonia użyła czaru wpływu, by uspokoić Clarence'a. Moroje, którzy władają mocą ducha, są w tym mistrzami – dorównują zdolnościami nawet strzygom. Ale posługiwanie się magią, by skłonić innych do określonych reakcji czy działania, jest zakazane wśród morojów i surowo karane.

Pomyślałam, że nasi zwierzchnicy zapewne zrozumieliby konieczność uspokojenia starego moroja, ale ogarnął mnie lęk. Czy Sonia naprawdę musiała użyć wpływu? I tak traktowała Clarence'a z wielką cierpliwością i troską. Czasem podejrzewałam, że używali magii dla samej przyjemności jej stosowania.

Opowiadania Clarence'a o łowcach wampirów niezmiennie budziły niepokój i rozbawienie wśród jego gości. Gdy został uspokojony, wszyscy się trochę rozluźniliśmy. Sonia usiadła na szezlongu i popijała owocowy napój, idealny na upał. Sądząc po jej ubrudzonym ubraniu i potarganych włosach, z pewnością robiła coś w ogrodzie. Mimo to wyglądała pięknie. Większość morojów unika intensywnego słońca, ale ona kochała rośliny i mimo dyskomfortu chciała się opiekować kwiatami gospodarza. A porządne filtry słoneczne mogą zdziałać cuda.

– Nie zostanę z wami długo – oświadczyła. – Najwyżej parę

tygodni. Muszę się przygotować do wesela.

– A kiedy ten wielki dzień? – spytał Adrian.

– W grudniu. Na królewskim dworze mają wielką oranżerię, którą zamierzamy wykorzystać. Niezwykle miejsce. Michał i ja moglibyśmy się pobrać wszędzie. Liczy się tylko to, że jesteśmy razem. Jednak z drugiej strony, skoro możemy wybierać, dlaczego nie zaszaleć?

Nawet ja się uśmiechnęłam.

– Dymitr może z wami zostać – ciągnęła. – Choć byłoby świetnie, gdyby udało nam się coś osiągnąć jeszcze przed moim wyjazdem. Badanie aury do tej pory okazało się...

– Bezowocne? – podsunął Adrian.

– Chciałam powiedzieć, że dało nieprzekonujące rezultaty – odparła.

Adrian pokręcił głową.

– Więc twierdzisz, że zmarnowaliśmy czas?

Sonia pochyliła się do przodu, a w jej oczach pojawił się błysk ożywienia.

– Rozmawiałam z Dymitrem i uświadomiłam sobie, że przegapiliśmy coś oczywistego. Pominęliśmy w badaniach pewien ważny element.

– Co takiego? – zaciekawiał się Adrian.

– Krew – odparł Dymitr.

Skrzywiłam się. Nie lubiłam tego tematu. Przypominał mi dobitnie, z kim mam do czynienia.

– Wiemy już, że ocalonych coś chroni przed ponowną przemianą – tłumaczył Dymitr. – Szukaliśmy magicznych znaków, ale wyjaśnienie może być natury fizycznej. Czytałam raporty, odnotowano w nich, że strzygi nie mogły się napić krwi L... jego krwi. – Nie wypowiedział imienia Lee ze względu na Clarence'a. Nieobecne spojrzenie i błogi wyraz twarzy starego moroja nie zdradzały, czy rozumiał, o kim rozmawiamy.

– Nie smakowała im. Ale w końcu się jej napiły – odpowiedziałam.

– Chcemy pobrać próbkę krwi Dymitra i porównać ją z twoją, Eddie – tłumaczyła Sonia. – Krew może mieć wiele właściwości magicznych. Może to nam coś wyjaśni.

Staralam się zachować obojętną minę, modląc się, by nikt nie zwracał na mnie uwagi. Krew może mieć wiele właściwości magicznych. Oby nikt z nich nie przypomniał sobie o zagadce mojej krwi, która z jakiegoś powodu również nie pasowała strzygom. Zresztą czemu mieliby się nad tym zastanawiać? Nigdy nie byłam strzygą ani dampirem. Nie pasowałam do projektu eksperymentu. Mimo to czułam się spięta.

– Możemy zbadać skład chemiczny w laboratorium, a potem spróbować odkryć właściwości magiczne – ciągnęła Sonia.

Miała skruszoną minę, ale Eddie nie widział problemu.

– W porządku – rzucił. – Róbcie, co trzeba.

Wiedziałam, że naprawdę tak myśli. Perspektywa oddania krwi nie napawała go lękiem. Sto razy gorsza wydawała mu się bezczynność. Pewnie podczas codziennej służby tracił więcej krwi, niż musiałby oddać na potrzeby eksperymentu.

– Jeśli szukacie krwi innego daimira – odezwała się Angeline – weźcie moją. Oboje z Eddiem chętnie wam pomożemy. Działamy w jednej drużynie. Sydney nie będzie musiała tu przyjeżdżać, zwłaszcza że teraz ma chłopaka.

Jej propozycja była niestosowna. Pewność siebie Eddiego znikła, gdy Angeline wspomniała o „jednej drużynie”.

– Rozważymy taką możliwość – zgodziła się Sonia z błyskiem w oku. Przypomniałam sobie, że odczytuje cudze uczucia z aury. Czyżby się zorientowała, że Angeline jest zakochana w Eddiem? – Tymczasem nie chcę cię odciągać od szkolnych zajęć. Dla Eddiego to nie jest takie ważne, już ukończył szkołę, ale ty nie powinnaś się opuszczać w nauce.

Angeline miała niezadowoloną minę. Wiedziałam, że przeżywa trudne chwile w Amberwood. Zdarzało jej się kompromitować w obecności klasy, jak wtedy, gdy poproszono ją o sporządzenie mapy Ameryki Środkowej, a ona przyniosła mapę Nebraski i Kansas. Wydeła wtedy tylko wargi, ale wiedziałam, że poziom w tej szkole był dla niej za wysoki.

Jill weszła do pokoju odświeżona. W idealnych warunkach moroje piją krew codziennie. Mogą przeżyć, ograniczając się do dwóch karmień tygodniowo, ale zauważyłam, że Jill męczyła się i była wyczerpana, gdy



nie dostawała krwi.

– Kolej na ciebie, Adrian – powiedziała.

Adrian właśnie ziewał i zaskoczyło go, że został wywołany. Chyba nie był szczególnie zainteresowany eksperymentem Soni. Wstał i zerknął na mnie.

– Wyjdiesz ze mną na chwilę, Sage? – I zanim zdążyłam odmówić, dodał: – Spokojnie, nie proszę, byś mi towarzyszyła podczas karmienia. Chcę ci tylko zadać krótkie pytanie.

Skinęłam głową i wyszłam za nim z pokoju. Kiedy zostaliśmy sami, wypaliłam:

– Nie chcę wysłuchiwać kolejnych złośliwości na temat Braydena.

– To nie złośliwości, tylko żarty. Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. – Przystanął w korytarzu przed, jak podejrzewałam, pokojem Dorothy. – Mój ojciec przyjeżdża do San Diego w przyszłym tygodniu. W interesach.

Oparłam się o ścianę i założyłam ręce na piersi. Miałam złe przeczucia.

– Oczywiście ojciec nie ma pojęcia, co robię ani że jestem tu z Jill. Nie wie nawet, w jakim mieście mieszkam. Sądzi, że imprezuję gdzieś w Kalifornii, jak zwykle.

Nie zdziwiłam się, że Nathan Iwaszkow nie znał prawdziwego powodu, dla którego Adrian przyjechał do Palm Springs. „Zmartwychwstanie” Jill było utrzymywane w ścisłej tajemnicy, podobnie jak miejsce jej pobytu. Nie mogliśmy ryzykować, że ktoś jeszcze – nawet jeśli nie miał złych zamiarów – dowie się, gdzie ona jest.

Zaskoczyło mnie, że Adrian usilnie starał się ukryć, jak bardzo mu zależy na opinii ojca. Zrobił obojętną minę, ale zdradziła go nuta goryczy w głosie.

– Tak czy owak – ciągnął – zaproponował mi wspólny lunch. Normalnie bym nie pojechał, ale... chciałbym się dowiedzieć, co słychać u mamy. Nic mi nie mówią, gdy dzwonię czy pytam w mailach.

Wyczułam, że bardzo się tym przejmuje. Mama Adriana odsiadywała w więzieniu wyrok za mactwa. Trudno się było tego domyśleć po jego zadziornej postawie i żartach, ale na pewno cierpiał z jej powodu.

– Pozwól, że zgadnę – wtrąciłam. – Chcesz pożyczyć mój samochód. – Współczułam każdemu, kto miał trudne relacje z ojcem, nawet Adrianowi. Ale współczucie miało granice. Nie mogłam ryzykować uszkodzenia wozu. Poza tym przerażała mnie perspektywa braku środka lokomocji, szczególnie że obracałam się wśród wampirów.

– Nic z tych rzeczy – zachnął się. – Wiem, że to niemożliwe.

Czyżby?

– W takim razie czego chcesz? – spytałam ze zdumieniem.

– Miałem nadzieję, że mnie tam zawieziesz.

Jęknęłam.

– Adrian, to dwie godziny drogi.

– Ale prościej, autostradą – zauważył. – Uznałem, że będziesz wolała pomęczyć się cztery godziny tam i z powrotem, byleby nie oddać wozu w cudze ręce.

Zmierzyłam go wzrokiem.

– Fakt.

Zrobił krok w moją stronę z niewinną miną.

– Posłuchaj, Sage. Wiem, że proszę o wiele, więc nie udaję, że będziesz z tego miała jakąś korzyść. Oczywiście w San Diego możesz robić, co zechcesz. To nie to samo co wizyta przy panelach solarnych w towarzystwie Braydy’ego, ale będę twoim dłużnikiem – dosłownie i w przenośni. Zapłacę za paliwo.

– On ma na imię Brayden i niby skąd weźmiesz pieniądze na paliwo?

Adrian żył bardzo skromnie z funduszy otrzymywanych od ojca. Między innymi dlatego zapisał się na zajęcia w college’u, bo miał nadzieję, że w przyszłym semestrze przyznają mu stypendium, które zasili jego budżet. Pochwalałam tę decyzję, lecz gdybyśmy pozostali w Palm Springs do stycznia, oznaczałoby to, że w świecie morojów wywiązał się poważny konflikt polityczny.

– Zrezygnowałem z kilku kosztów stałych, żeby trochę zaoszczędzić – wyjaśnił niechętnie.

Nawet nie próbowałam ukryć zdumienia. Te „koszty” musiały się wiązać z alkoholem i papierosami, na które zazwyczaj nie żałował pieniędzy.

– Serio? – spytałam. – Zrezygnujesz z picia, żeby zobaczyć się z tatą?

– Nie na zawsze – wyjaśnił. – Ale mogę przerzucić się na coś tańszego – na jakiś czas. Na przykład... soki z kruszonym lodem. Przepadam za nimi, wiesz? Szczególnie za wiśniowym.

– Nie wiedziałam – mruknęłam.

– Pychota. Nie piłem tego całe wieki.

– Zbaczasz z tematu – zauważyłam.

– Racja. W każdym razie dostaniesz pieniądze, choćbym miał przejść na dietę sokową. Mam jeszcze inny powód... Mam nadzieję, że staruszek zgodzi się podwyższyć mi dochody. Pewnie nie uwierzysz, ale nie znoszę pożyczać wciąż od ciebie. Przez telefon ojciec zrećcznie unika rozmów na ten temat, ale w bezpośredniej rozmowie się nie wymiga. Uważa zresztą, że „człowiek honoru” zwraca się wprost z podobnymi prośbami. Sławetny honor Nathana Iwaszkowa.

Znów usłyszałam w jego słowach nutę goryczy przemieszana z gniewem. Przyglądałam się Adrianowi długą chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. W korytarzu było ciemnowo, co dawało mu przewagę. On zapewne widział mnie wyraźnie, podczas gdy ja miałam z tym trudności. Te intensywnie zielone oczy, które tak często wbrew sobie podziwiałam, miały teraz ciemniejszą barwę. Ale dostrzegłam w nich ból. Adrian jeszcze się nie nauczył ukrywać swoich uczuć przed Jill, lecz wiedziałam, że maskował się lenistwem i nonszalancją – przed wszystkimi, choć ostatnio nie przede mną. Nie po raz pierwszy zauważyłam, jak bardzo jest bezbronny, i dziwiłam się, że to właśnie mnie zaufał na tyle, by się odsłaniać. Ale czy naprawdę było to takie dziwne? Może znów czegoś nie rozumiałam, bo zabrakło mi towarzyskiego obycia. Tak czy owak, poruszyło mnie to.

– Naprawdę chodzi ci o pieniądze? – spytałam, odkładając kolejne pytanie. – Nie lubisz ojca. Na pewno masz na myśli coś jeszcze.

– Pieniądze są bardzo potrzebne. Ale już ci mówiłem... chcę go wypytać o mamę. Muszę wiedzieć, jak ona to znosi, a on nie mówi o niej przez telefon. Wydaje mi się, że ojciec udaje, że nic się nie stało, albo z obawy o swoją reputację, albo... może cierpi z tego powodu. Nie wiem, ale na pewno nie uda mu się wywinąć od odpowiedzi, gdy się spotkamy.

Poza tym... – Adrian odwrócił wzrok. – Nie wiem. To głupie. Ale pomyślałem... cóż, może zaimponuję mu tym, że zapisałem się do college’u. Choć pewnie to płonna nadzieja.

Bardzo mu współczułam. Podejrzewałam, że ta ostatnia sprawa – nadzieja na pozyskanie aprobaty ojca – była ważniejsza, niż Adrian chciał przyznać. Dobrze wiem, jak to jest mieć ojca, który bezustannie cię osądza i dla którego nigdy nie jesteś wystarczająco dobra. Rozumiem również sprzeczne uczucia... Jednego dnia czujesz, że cię to nie obchodzi, a drugiego modlisz się o jego akceptację. Podobnie jak Adrian ja również byłam bardzo przywiązana do matki. Gdy wyjeżdżałam do Palm Springs, najtrudniej było mi się rozstać z nią i siostrami.

– Dlaczego ja? – wypaliłam. Nie miałam zamiaru poruszać istotnych dla mnie kwestii, ale nagle nie mogłam się powstrzymać. Tak dużo było w nim napięcia, tak wiele emocji. – Mógłbyś poprosić Sonię albo Dymitra, żeby cię tam zawieźli. Pewne nawet zaoferowaliby ci swoje wypożyczone samochody.

Po twarzy Adriana przemknął cień uśmiechu.

– Chyba wiesz, dlaczego nie chcę przebywać w jednym wozie z naszym rosyjskim przyjacielem. Co do reszty... Sam nie wiem, Sage. Jest w tobie coś... Nie oceniasz tak jak inni. To znaczy oceniasz. Pod pewnymi względami jesteś bardziej surowa niż oni. Ale postępujesz uczciwie. Czuję... – Spowaźniał, szukając odpowiednich słów. – Czuję się przy tobie swobodnie.

Co za ironia, on był rzekomo najbardziej swobodny przy mnie, podczas gdy ja w obecności morojów najczęściej wpadałam w panikę.

„Nie musisz mu pomagać – ostrzegął mnie wewnętrzny głos. – Nie masz obowiązku. Możesz się ograniczyć do pomagania im tylko w razie absolutnej konieczności. Zapomniałaś, co robił Keith? Zajmij się swoimi sprawami”. Przypomniałam sobie tamten bunkier.

Konszachty z wampirami były powodem, dla którego Keith trafił do ośrodka reedukacyjnego. Czy podążałam w jego ślady? Kontakty towarzyskie stanowiły nieuniknioną część tej pracy, ale znów zaczynałam tracić wyczucie granic.

– Dobrze – zgodziłam się. – Zawiozę cię. Napisz tylko kiedy.

Dopiero teraz nastąpiło najdziwniejsze. Adrian był oszołomiony.

– Serio?

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

– Sprzedałeś mi tę historię bez nadziei, że się zgodzę, tak?

– Tak – przyznał wciąż zdumiony. – Nie zawsze potrafię przewidzieć twoje reakcje. Wiesz, że oszukuję innych. Jestem też dobry w odgadywaniu cudzych intencji, ale wiele widzę w aurze, a wygląda to tak, jakbym miał niezwykle wyczucie. Mimo to jeszcze nie nauczyłem się w pełni rozumieć ludzi. Wasze aury mają te same kolory, lecz oznaczają inne emocje.

– A jaki ja mam kolor?

– Żółty, oczywiście.

– Oczywiście?

– Podobnie jak większość bystrych, analitycznych osobowości. Tu i ówdzie dostrzegam także plamy purpury. – Nawet w ciemności zobaczyłam złośliwy błysk w jego oku. – To dzięki nim jesteś taka interesująca.

– A co oznacza purpura?

Adrian położył rękę na drzwiach.

– Muszę lecieć, Sage. Nie chcę, by Dorothy na mnie czekała.

– Daj spokój. Powiedz, co znaczy purpura. – Tak mnie zaciekał, że niemal złapałam go za ramię.

Nacisnął kławkę.

– Powiem, jeśli do nas dołączysz.

– Adrian...

Śmiejąc się, zniknął w pokoju i zamknął za sobą drzwi. Kręcąc głową, zawróciłam do salonu, ale postanowiłam poszukać dietetycznej coli. Zostałam z napojem w kuchni, oparta o granitowy blat i zapatrzona bezmyślnie w lśniące miedziane garnki zawieszane u sufitu. Dlaczego zgodziłam się zawieźć Adriana? Rozumiem, dlaczego miałam słabość do Jill. Przypominała mi młodszą siostrę Zoe. Ale Adrian? On mi nikogo nie przypominał. Więcej, byłam pewna, że na całym świecie nie ma drugiego takiego jak Adrian Iwaszkow.

Zwlekałam tak długo, że gdy wreszcie wróciłam do salonu, Adrian również już wracał. Usiadłam na kanapie, dopijając resztki coli. Sonia rozjaśniła się na mój widok.

– Sydney. Właśnie wpadliśmy na doskonały pomysł.

Może nie zawsze najszybciej odbieram sygnały od innych, ale zauważyłam, że ów wspaniały pomysł miał coś wspólnego ze mną.

– Rozmawialiśmy o raportach dotyczących... pamiętnej nocy. – Spojrzała znacząco na Clarence’a, a ja skinęłam głową ze zrozumieniem. – Moroje i alchemicy stwierdzili zgodnie, że strzygi nie chciały pić twojej krwi, to prawda?

Zesztywniałam. Od dawna obawiałam się tej rozmowy. Strzygi, które zabiły Lee, doprawdy dziwnie się zachowały. Krew Lee właściwie im nie smakowała, ale moja wydała im się wręcz obrzydliwa. Jedna z bestii próbowała mnie ugryźć, lecz natychmiast wszystko wypluła.

– Tak – odparłam ostrożnie.

– Wiemy, że nie byłaś strzygą – ciągnęła Sonia. – Ale chcielibyśmy zbadać także twoją krew. Może znajdziemy coś, co nam pomoże. Mała próbka powinna wystarczyć.

Wszyscy patrzyli na mnie, nawet Clarence. Poczułam, że ściany pokoju zaczynają się przybliżać, i ogarnęła mnie znajoma panika. Wbrew własnej woli wiele rozmyślałam o powodach, dla których moja krew nie smakowała strzygom. Nie chciałam uwierzyć, że jest we mnie coś szczególnego. Nie lubię zwracać na siebie uwagi. Pomoc w organizowaniu eksperymentów to jedno, lecz udział w nich to zupełnie co innego. Skoro już poprosili o jedno badanie, mogą poprosić o więcej. I jeszcze więcej. Skończę gdzieś w zamknięciu, nakłuwana i poddawana testom.

Poza wszystkim nie chciałam oddawać im krwi. Fakt, że lubiłam Sonię i Dymitra, nie miał znaczenia. Nieważne, że pobraliby mi krew przez strzykawkę. Liczyła się zasada, tabu najważniejsze dla alchemików: oddawanie krwi wampirom jest złem. To była moja krew. Moja. I nikt – szczególnie wampiry – nie miały do niej prawa.

Przełknęłam ślinę z nadzieją, że nie wyglądam tak, jakbym chciała się rzucić do ucieczki.

– Tak zareagowała tylko jedna strzyga. Wiecie, że przedkładają was nad ludzi. – Częściowo właśnie dlatego moroje żyją w takim lęku, a ich społeczność znacznie się przerzedziła. Byli największym przysmakiem w kuchni strzyg. – Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– To możliwe – przyznała Sonia – ale nie zaszkodzi sprawdzić. – Widziałam, jak bardzo cieszy ją ten pomysł. Nie chciałam jej zawieść... lecz w tej kwestii obowiązywały mnie ustalone zasady. Wpajano mi je niemal od urodzenia.

– Sądzę, że to strata czasu – powiedziałam. – Ratunkiem dla strzyg jest kontakt z mocą ducha, a ja nie mam z nią nic wspólnego.

– A ja myślę, że możesz nam pomóc – odparła. – Proszę.

Może bym im pomogła, skoro Sonia chciała wykluczyć inne rozwiązania tej zagadki. Ale moja krew nie miała żadnych właściwości magicznych. Nie mogła mieć.

– Wolałabym tego nie robić. – To była łagodna odmowa, biorąc pod uwagę szalejące we mnie emocje. Serce biło mi bardzo szybko, a ściany napierały na mnie coraz bardziej. Odczuwałam coraz silniejszy niepokój, gdyż nagle znów uświadomiłam sobie, że jestem w mniejszości w domu Clarence'a. Sama w towarzystwie wampirów i dampirów. Zwyródniałych stworów. Istot, które łaknęły mojej krwi.

Dymitr przyglądał mi się z uwagą.

– To nie będzie bolało, jeśli tego się boisz. Nie pobierzemy więcej krwi, niż wzięłyby lekarz.

Potrząsnęłam głową z uporem.

– Nie.

– Oboje z Sonią przeszliśmy szkolenie medyczne – dodał, próbując mnie uspokoić. – Nie musisz się martwić...

– Powiedziała „nie”.

Wszyscy przenieśli wzrok na Adriana. Pochylił się do przodu, wpatrzony w Sonię i Dymitra, a ja dostrzegłam w tych jego ładnych oczach coś nietypowego: gniew.

– Ile razy ma odmawiać? – zapytał. – Wyraźnie powiedziała, że nie chce tego robić. Badania to wyłącznie nasz problem. Obowiązkiem Sydney jest chronić Jill i ma z tym dostatecznie dużo roboty. Przestańcie ją nękać!

– Nękanie to trochę za mocne określenie – wtrącił Dymitr.

– Nie, jeśli nagabujecie kogoś, kto chce mieć spokój – sprzeciwił się Adrian. Zerknął na mnie z troską, zanim na powrót skierował swój gniew przeciwko Soni i Dymitrowi. – Dajcie jej spokój.

Sonia patrzyła na nas niepewnie. Wydawała się naprawdę zraniona. Nie zdawała sobie sprawy, jak mnie przeraziła jej prośba.

– Adrian... Sydney... nie chcieliśmy was zdenerwować. Po prostu zależy nam na tych badaniach. Sądziłam, że wam również. Sydney zawsze nas wspierała.

– To bez znaczenia – warknął Adrian. – Weźcie krew Eddiego. I Bielikowa. Siebie możecie używać do woli. Ale jeśli ona nie chce oddać swojej krwi, to przesądza sprawę. Powiedziała „nie”. Koniec dyskusji.

Adrian po raz pierwszy otwarcie sprzeciwił się Dymitrowi. Zazwyczaj starał się go ignorować w nadziei, że on również będzie ignorowany.

– Ale... – zaczęła Sonia.

– Daj spokój – uciszył ją Dymitr. Zwykle trudno było odczytać wyraz jego twarzy, lecz odezwał się łagodnym tonem. – Adrian ma rację.

W pokoju zapanowało zrozumiałe napięcie.

Ktoś próbował załagodzić sytuację i zmienić temat, ale ledwo to zauważyłam. Serce nadal biło mi szybciej, oddychałam gwałtownie. Bardzo się starałam zapanować nad zdenerwowaniem, powtarzałam sobie w duchu, że na tym rozmowa się skończyła, a Sonia i Dymitr nie będą mnie więcej namawiać ani tym bardziej pobierać mi krwi siłą. Odważyłam się zerknąć na Adriana. W jego spojrzeniu nie było już gniewu, lecz wciąż pozostawał czujny. Zachował się niemal... opiekuńczo. Zrobiło mi się ciepło, gdy na niego patrzyłam, poczułam się niemal... bezpiecznie. Nie zdarzało mi się to wcześniej w jego obecności. Posłałam mu spojrzenie pełne wdzięczności. Skinął mi krótko głową.

„On wie – uświadomiłam sobie. – Wie, co czuję w związku z wampirami”.

Oczywiście wszyscy to wiedzieli. Alchemicy nie kryli się z tym, że większość wampirów i dampirów to dla nas stwory mroku, które nie powinny zbliżać się do ludzi. Spędziłam już sporo czasu w Palm Springs i wydawało mi się, że ta grupka nie ma pojęcia, jak głęboko tkwi we mnie to przekonanie. Nie dawałam im tego odczuć. Na pewno nie zauważyli u mnie wrogiego nastawienia.

Mimo to Adrian mnie rozumiał. Nie wiem, jakim sposobem, ale rozumiał. Przypomniałam sobie teraz kilka zdarzeń, gdy spanikowałam



w obecności nadnaturalnych towarzyszy. Raz podczas gry w minigolfa, kiedy Jill zaczarowała wodę. Za drugim razem zdarzyło się to w obecności strzyg i Lee, gdy Adrian zaproponował, że uleczy mnie swoją magią. Za każdym razem traciłam panowanie nad sobą, ale prawie nikt tego nie zauważał. Poza Adrianem.

Jak to możliwe, że akurat Adrian Iwaszkow, który zdawał się niczego nie traktować poważnie, jedyny spośród „odpowiedzialnych” osób, zauważył tak drobną rzecz? Jak to możliwe, że on jeden wyczuwał, jakie cierpię katusze?

Odwiozłam go później do domu razem z uczniami Amberwood. W samochodzie panowało milczenie. Gdy Adrian wysiadł, Eddie rozluźnił się i pokręcił głową.

– No, no. Jeszcze go nie widziałem tak wkurzonego. Właściwie chyba nigdy nie okazuje złości.

– Nie był aż tak wkurzony – mruknęłam, patrząc na drogę.

– Według mnie był – sprzeciwiła się Angeline. – Myślałam, że rzuci się na Dymitra.

Eddie się zachnął.

– Nie odważyłby się.

– No nie wiem... – Zamyśliła się. – Moim zdaniem był gotów zaatakować każdego, kto wszedłby ci w drogę, Sydney.

Wciąż patrzyłam przed siebie, unikając ich spojrzeń. Czułam się zakłopotana. Dlaczego Adrian stanął w mojej obronie?

– W przyszłym tygodniu zgodziłam się wyświadczyć mu przysługę – powiedziałam. – Pewnie uważa się za mojego dłużnika.

Do tej pory siedząca obok mnie Jill milczała. A tylko ona mogła znać odpowiedź.

– Nie – odparła zaintrygowana. – Zrobiłby to dla ciebie w każdej sytuacji.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

NASTĘPNEGO DNIA wciąż się zadreślałam, że odmówiłam Soni. Z jednej strony było mi głupio, że nie chcę oddać krwi na potrzeby eksperymentu. Ostatecznie posłużyłaby szlachetnemu celowi. Jeśli istniał sposób, by ochronić morojów przed przemianą w strzygi, teoretycznie odkrycie go przysłużyłoby się również ludziom. Szaleńcy tacy jak Liam, którego alchemicy więzili w bunkrze, przestaliby stanowić zagrożenie. Moglibyśmy ich „sterylizować” i wypuszczać bez lęku, że dostaną się w szpony strzyg. Poza tym wiedziałam, że Sonia i reszta są sfrustrowani brakiem postępów. Nie mogli znaleźć przyczyny, dla której Lee ponownie nie przemienił się w strzygę.

Z drugiej strony, chociaż ich badania były kwestią wielkiej wagi, nie chciałam oddawać krwi. Naprawdę się bałam, że później znów mnie poproszą o udział w eksperymentach. A przecież nie przeżyłam jakiejś potężnej transformacji z mocy ducha. Nie miałam nic wspólnego z Lee. Niczym nie różniłam się od innych ludzi ani od alchemików. Miałam po prostu niesmaczną krew, co akurat mi odpowiadało.

– Proszę mi opowiedzieć o zaklęciu uroku – zażądała panna Terwiliger.

Od incydentu w domu Clarence’a minęło kilka dni i wciąż jeszcze go rozpamiętywałam, ślęcząc po lekcjach w gabinecie nauczycielki.

Podniosłam głowę znad książki.

– Który wariant panią interesuje? Charyzmatyczny czy metafizyczny?

Uśmiechnęła się do mnie znad biurka.

– Jak na kogoś przeciwnego tym zaklęciom jest pani doskonale zorientowana. Metafizyczny, proszę.

Opanowanie tego zaklęcia zleciła mi całkiem niedawno. Wciąż dobrze je pamiętałam, ale na wszelki wypadek wymownie westchnęłam, by dać jej do zrozumienia, że to jest dla mnie krępujące.

– Pozwala rzucającemu urok przejąć na krótko kontrolę nad podmiotem. Potrzebny jest amulet, który należy stale przy sobie nosić... I w odpowiedniej chwili należy wyrecytować krótką inkantację.

Panna Terwiliger zsunęła okulary na czubek nosa.

– Dlaczego pani się zawahała?

Zauważała moje najdrobniejsze reakcje. Już dawno postanowiłam nie angażować się w tę pracę, ale to była moja nauczycielka, więc musiałam odpowiedzieć.

– Bo to nie ma sensu. Oczywiście wszelkie zaklęcia są bezsensowne, ale uważam, że potrzeba czegoś bardziej wiążącego na of... podmiot. Może drugi amulet. Albo jakiś napój wzmacniający czar. Trudno mi uwierzyć, że rzucający jest w stanie odwalić całą robotę. Musi przecież jakoś nawiązać łączność z obiektem.

– Trafiła pani w sedno – oznajmiła. – Amulet wzmacnia efekt. Jeśli inkantacja zostanie przeprowadzona prawidłowo, a rzucający zaklęcie jest zaawansowanym adeptem magii o dużej mocy, przejmie kontrolę nad podmiotem. Może to nie brzmi przekonująco, lecz umysł jest potężnym narzędziem.

– Narzucanie woli – mruknęłam. Nie zastanawiając się, co robię, uczyniłam alchemiczny znak przeciwko złu. – To nie w porządku.

– Aż tak się różni od czaru wpływu stosowanego przez pani przyjaciół wampiry?

Zamarłam. Panna Terwiliger już dawno przyznała, że wie o morojach i strzygach, lecz do tej pory unikałam tematu. Magia tatuażu, który noszę, pozwala mi rozmawiać o świecie wampirów z osobami, które są świadome jego istnienia, ale nie chciałam przypadkiem ujawnić nic, co naraziłoby Jill. Słowa nauczycielki mnie zaniepokoiły. To zaklęcie rzeczywiście przypominało czar wpływu, sama widziałam, jak Sonia uspokoiła Clarence'a. Wampiry jednak nie potrzebowały amuletów. Panna Terwiliger stwierdziła, że magia jest wrodzoną zdolnością morojów, a my musimy wydrzeć ją światu i dlatego korzystamy z dodatkowych akcesoriów. Dla mnie był to wystarczający powód, by w ogóle po nią nie sięgać.

– Oni też nie są w porządku – odparłam, przyznając się do znajomości z morojami. Nie podobało mi się, że ich zdolności, z gruntu złe, znajdują się w zasięgu ludzi. – Nikt nie ma prawa kontrolować innych.

Pannie Terwiliger zadrgały usta.

– Wykazuje pani sporą pewność siebie w sprawach, w których

brakuje pani doświadczenia.

– W niektórych kwestiach doświadczenie jest zbędne. Nie muszę nikogo mordować, by wiedzieć, że zabijanie stanowi zło.

– Proszę nie lekceważyć tych zaklęć. Mogą być bardzo użyteczne, zwłaszcza w obronie własnej. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą wszystko jest w rękach rzucającego... To tak jak z bronią palną.

Skrzywiłam się.

– Broni też nie lubię.

– Wobec tego magia może być dla pani lepszym rozwiązaniem.

Uczyniła drobny gest i gliniana doniczka na parape-cie eksplodowała, a skorupy spadły na podłogę. Zerwałam się z miejsca. Czyżby od dawna władała magią? Zrobiła to niemal bez wysiłku. Jakich szkód mogłaby narobić, gdyby naprawdę się postarała?

Uśmiechnęła się.

– Skuteczne, prawda?

Skuteczne i proste, jak magia żywiołów. Rzucanie uroków opisanych w księgach panny Terwiliger wydawało się niezwykle skomplikowane, więc byłam zaskoczona łatwością, z jaką rzuciła zaklęcie. Naraz argumenty nauczycielki nabrały dla mnie nowego niebezpiecznego sensu. Oczekiwałam w napięciu dalszej prezentacji jej możliwości, ale uznała, że pokazała mi dosyć. Przynajmniej na razie. Zrobiło mi się trochę głupio i usiadłam.

Wzięłam głęboki oddech i starannie rozważałam słowa, żeby nie okazać gniewu i strachu. Nie chciałam robić scen przed nauczycielką.

– Dlaczego pani się tym zajmuje?

Panna Terwiliger przekrzywiła głowę niczym ptak.

– Czym, moja droga?

– Tym. – Stuknęłam palcem w książkę. – I dlaczego każe mi pani nad tym pracować wbrew mojej woli? Nie cierpię zaklęć i pani o tym wie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Dlaczego każe mi pani tego wszystkiego się uczyć? Co pani z tego ma? Istnieje jakiś klub czarownic, który płaci pani za pozyskiwanie rekrutów?

Znów się zagadkowo uśmiechnęła.

– Wolimy określenie sabat, choć klub też ładnie brzmi. A co do pani pytania... Nie, zmiana pani stanowiska względem magii nie

przyniesie mi korzyści, a przynajmniej nie w sensie, o jakim pani mówi. Nasze zgromadzenie korzysta na utalentowanych członkiniach, a pani ma ogromny potencjał. Mogłaby pani naprawdę wiele osiągnąć. Jeśli dobrze rozumiem, pani kluczowym zastrzeżeniem jest przekonanie, że magia jest zła?

– Tak – wycedziłam. Powtarzałam to milion razy.

– Cóż, ma pani absolutną rację. W kwestii niektórych ludzi. Obawia się pani, że mogą nadużywać tej mocy? Słusznie. Wciąż się to zdarza, dlatego potrzebujemy szlachetnych i prawych osób, które mogą się przeciwstawić ludziom używającym magii do egoistycznych, nikczemnych celów.

Dzwonek obwieścił moją wolność. Wstałam i pozbierałam swoje rzeczy.

– Przykro mi, panno Terwiliger. Pochlebia mi pani zdanie o mnie, ale jestem już zaangażowana w walkę dobra ze złem. I to mi wystarczy.

Wyszłam zaniepokojona i wściekła. Miałam nadzieję, że dwa miesiące pozostałe do końca tego semestru miną jak najszybciej. Jeśli misja alchemików przedłuży się na przyszły rok, wybiorę sobie kurs twórczego pisania. Szkoda, bo naprawdę polubiłam pannę Terwiliger, kiedy ją poznałam. Była błyskotliwa i doskonale знаła swój przedmiot – historię, nie magię – i zachęcała mnie do nauki. Gdyby wykazała teraz równy entuzjazm w nauczaniu historii, nie pojawiłby się żaden konflikt.

Obiady jadałam zwykle w towarzystwie Julii i Kristin lub „rodziny”. Tego wieczoru zaplanowaliśmy spotkanie w rodzinnym gronie. Eddie i Angeline siedzieli już przy stoliku, gdy weszłam do kafeterii i, jak zwykle ostatnio, Eddie był wdzięczny za moje przybycie.

– Właściwie dlaczego nie? – spytała Angeline, gdy się do nich przysiadłam.

Tego wieczoru podano chińszczyznę, więc trzymała w rękach pałeczki. Ciekawa byłam, jak jej pójdzie z jedzeniem. Kiedyś próbowałam ją nauczyć, jak się nimi posługiwać, ale nic z tego nie wyszło. Angeline szybko straciła cierpliwość i połamała pałeczki na sajgonkach.

– Ja tylko... To nie dla mnie. – Eddie wyraźnie próbował się z czegoś wykręcić. – Nie mam zamiaru tam iść. Z nikim.

– Jill wybiera się z Micahem – zauważyła chytrze dampirzyca. – Nie powinieneś jej pilnować również poza szkołą?

Zauważyłam, że tym pytaniem go dobiła.

– O czym rozmawiacie? – Nie wytrzymałam.

– O imprezie z okazji Halloween – wyjaśniła Angeline.

To było coś nowego.

– Urządzają imprezę w Halloween?

Eddie otrząsnął się trochę i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Nie wiesz? Wszędzie wiszą plakaty.

Gmerałam widelcem w gotowanych warzywach.

– Nie tam, gdzie ja przebywam.

Dampir pokazał coś za moimi plecami. Obróciłam się w stronę kolejki, w której przed chwilą stałam. Na ścianie wisiał wielki plakat z napisem: DYSKOTEKA HALLOWEEN. Podano datę i godzinę, a całość ozdobiono kiepsko narysowanymi dyniami.

– Hm – mruknęłam.

– Jakim cudem zapamiętujesz treść całych książek, a nie dostrzegasz takich rzeczy? – zdziwiła się Angeline.

– Mózg Sydney przyswaja wyłącznie „pozyteczne” informacje – odparł Eddie z uśmiechem.

Nie zaprzeczyłam.

– Nie sądzisz, że Eddie powinien pójść? – drażyła Angeline. – Przecież opiekuje się Jill. Gdyby się wybierał, mogłabym się do niego przyłączyć.

Eddie posłał mi błagalne spojrzenie. Spróbowałam mu pomóc.

– Oczywiście, że się wybierze... szczególnie że to impreza poza szkołą.

Na plakacie podano nazwę lokalu, którego nie znałam. Do tej pory w okolicy nie pojawiali się moroje, którzy mogliby czyhać na Jill, ale nieznanne miejsce stwarzało nowe zagrożenia. Nagle mnie olśniło.

– Angeline – zaczęłam poważnym tonem. – Eddie będzie tam służbowo. Musi zachować podwójną czujność. Nie ma sensu, byś mu towarzyszyła. Nudziłabyś się. Lepiej poszukaj innego partnera.

– Przecież ja też będę się opiekowała Jill – upierała się. – Czyż nie po to tu jestem? Powinnam korzystać z każdej okazji, by ćwiczyć

zadania strażników.

– Masz rację – odparłam nieco zakłopotana. – Cóż, w takim razie będziesz musiała pójść z nami.

Angeline się rozpromieniła.

– Serio? Więc jednak będziemy tam razem!

Eddie znów zrobił zboląłą minę.

– Nie. Pójdziemy wszyscy. Nie jako para.

Angeline to nie zasmuciło.

– Jeszcze nigdy nie byłam na dyskotecę – wyznała. – W domu często urządzamy zabawy taneczne, ale na pewno inne niż tutaj.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłam. Widziałam imprezy urządzane przez stróżów. Wszyscy płąsali wokół ognia do wtóru wrzaskliwej muzyki, odurzając się alkoholem domowej roboty, którego nawet Adrian by nie tknął. Co gorsza, stróże żywili przekonanie, że impreza jest nieudana, jeśli nie dojdzie na niej do choćby jednej porządnej bójki. Aż dziw bierze, że Angeline jeszcze nie wdała się w żadną awanturę w Amberwood. Miałam szczęście, że jej wyskoki na razie ograniczały się do nieodpowiednich strojów i aroganckiego odpowiadania nauczycielom.

– Chyba tak – odparłam obojętnie. – Zresztą nie wiem, ja też nie chodzę na dyskoteki.

– Ale teraz przyjdiesz, prawda? – dopytywał się Eddie. – Z Brodym?

– Z Braydenem. Jeszcze nie wiem. Byliśmy tylko na jednej randce. Nie chcę niczego przyspieszać.

– Jasne – zażartował Eddie. – Taka impreza to poważne zobowiązanie.

Chciałam mu się odgryźć i zasugerować, że powinien jednak pójść na tańce z Angeline, gdy dołączyli do nas Jill i Micah. Oboje się śmiali i nie mogli się opanować, by nam wyjaśnić, w czym rzecz.

– Janna Hall skończyła dziś szyć męski garnitur – wyjąkała Jill między wybuchami śmiechu. Ucieszyłam się, widząc ją w tak dobrym nastroju. – Panna Yamani oświadczyła, że to pierwszy męski strój, który przygotowano w klubie od pięciu lat. Janna potrzebowała, rzecz jasna, modela, a jedynym mężczyzną w klubie był...

Micah usiłował zrobić udręczoną minę, ale parsknął śmiechem.

– Tak, tak. Zachowałem się jak prawdziwy mężczyzna i się zgłosiłem. Garnitur jest okropny.

– Przesadzasz – sprzeciwiła się Jill. – Nie był okropny... No dobrze, był. Janna zupełnie nie przejmowała się porządnym wzięciem miary, więc spodnie wyszły jej wielkie jak namioty, a ponieważ nie uszyła szlufek do paska, Micah musiał je przewiązać szarfą.

– Która ledwo trzymała, gdy paradowałem na wybiegu – dorzucił Micah, kręcąc głową.

Jill szturchnęła go w bok.

– Wszystkie panie byłyby zachwycone, gdyby nagle spadły ci spodnie.

– Przypomnij mi, bym już nigdy nie zapisywał się na zajęcia tylko dla dziewczyn – powiedział Micah. – W przyszłym semestrze pójdę na jakieś męskie warsztaty albo na karate.

– Nie zostaniesz w klubie? Nawet dla mnie? – Jill udało się przywołać minę lekko nadąsaną i uwodzicielską jednocześnie.

Pomyślałam, że to bardziej skuteczne od wszystkich zaklęć i czarów.

Micah jęknął.

– Jestem bezbronny.

Nie uważam się za osobę szczególnie sentymentalną, ale nawet ja się uśmiechnęłam, choć ich rosnąca zażyłość nie była mi na rękę. Jednak mój uśmiech zgasł, gdy zobaczyłam twarz Eddiego. Na pozór niewiele można było z niej wyczytać. Chłopak często przebywał w towarzystwie Dymitra i to zapewne od niego uczył się pokerowej miny strażnika, ale daleko mu było do doskonałości mistrza, więc dostrzegłam w nim teraz ból i tęsknotę.

Dlaczego się na to skazywał? Nie chciał wyznać Jill, co do niej czuje, więc przyjął szlachetną rolę jej obrońcy. Nie próbował tego zmienić. Częściowo mogłam to zrozumieć. Nie pojmowałam tylko, dlaczego tak się torturował, zachęcając ją, by umawiała się z Micahem. Codziennie patrzył, jak dziewczyna, której pragnie, spotyka się z innym. Nie miałam doświadczenia w tych sprawach, lecz przypuszczałam, że nie jest mu łatwo.



Eddie podchwycił moje spojrzenie i nieznacznie pokręcił głową.

„Odpuść – zdawał się mówić. – Nie martw się o mnie. Poradzę sobie”.

Angeline znów podjęła temat imprezy. Zaczęła wypytywać Jill i Micaha, czy się na pewno na nią wybierają. Wspomniała również, że planuje pójść z Eddiem. Wiedziałam, że Angeline go irytuje, ale pomyślałam, że dzięki niej nie będzie się ciągle zadreślał rozmyślaniami o Jill i Micahu. Teraz na przykład przestał wyglądać na przygnębionego, bo się zezłościł.

Micah zmarszczył brwi i zwrócił nam uwagę na fakt, który wszyscy przeoczyliśmy.

– Idziecie razem? Przecież jesteście kuzynostwem.

Eddie, Jill i ja zamarliśmy. Nasze łągarstwa znów skomplikowały sytuację. Nie mogłam uwierzyć, że sama od razu na to nie wpadłam, gdy Angeline wspomniała o swoich planach. W szkole wszyscy uchodziliśmy za rodzinę.

– I co z tego? – Angeline najwyraźniej nie połąpała się w sytuacji.

Eddie odchrząknął.

– Uhm, w trzeciej linii. Tak naprawdę nie idziemy razem, w sensie jako para. Tylko dotrzymamy sobie towarzystwa.

Skutecznie zamknął temat i uśmiechnął się triumfująco.

Brayden przyjechał po mnie nazajutrz zaraz po lekcjach, żebyśmy zdążyli obejrzeć park wiatraków. Nawet panna Terwiliger wypuściła mnie kilka minut wcześniej, gdy obiecałam, że kupię jej cappuccino w drodze powrotnej. Cieszyła mnie perspektywa spotkania z Braydenem i zwiedzania, ale gdy wsiałam do jego samochodu, ogarnęły mnie wątpliwości. Czy miałam prawo do prywatnych rozrywek? Szczególnie teraz, gdy zaliczyliśmy kolejną wpadkę z ukrywaniem naszej tożsamości. Może za dużo czasu poświęcałam sobie, zamiast skupić się na misji.

Brayden miał mi mnóstwo do opowiedzenia o konkursie retorycznym, w którym uczestniczył w weekend. Zanalizowaliśmy co trudniejsze tematy i śmialiśmy się z tych łatwiejszych, które okazały się problematyczne dla drużyny przeciwnej.

Ponieważ od lat bałam się randek, byłam miło zaskoczona, jak

swobodnie rozmawiało mi się z Braydenem. Nie obawiałam się, że zabraknie nam wspólnych tematów, bo tych znajdywaliśmy wiele. Niepokoiły mnie natomiast inne kwestie związane z randkami. Poradniki opisywały głównie, kiedy zdecydować się na seks, co było dla mnie kompletnie bezużyteczne, skoro nawet nie chwyciliśmy się za rękę.

Olbrzymie wiatraki robiły wrażenie. Nie miały urody samochodów, ale poczułam równy podziw dla ich konstrukcji. Niektóre miały aż trzydzieści parę metrów wysokości, a ich ramiona były wielkości połowy boiska do piłki nożnej. W takich chwilach czułam podziw dla ludzkich możliwości. Komu potrzebna jest magia, skoro ludzie potrafią tworzyć takie cuda?

Nasza przewodniczka była wesołą dwudziestoparolatką, która wyraźnie kochała swoją pracę i wszystko, co wiązało się z energią wiatru. Wiedziała na ten temat wiele, ale nie dostatecznie dużo, by zadowolić Braydena, który zadawał pytania w stylu: „Jak sobie radzicie z brakiem energii w turbinach, które potrzebują prędkości wiatru w bardzo wąskim zakresie?” i „Co sądzisz o wynikach badań sugerujących, że wystarczy usprawnić filtry w konwersji paliw kopalnianych, by zmniejszyć emisję dwutlenku węgla do atmosfery?” albo „Czy energia wiatru rzeczywiście może być traktowana jako wiarygodna opcja, gdy – po rozważeniu kosztów konstrukcji i utrzymania aparatury – konsumenci będą musieli płacić za nią więcej niż za tradycyjne przekaźniki prądu?”.

Nie byłam tego pewna, ale miałam wrażenie, że przewodniczka szybciej zakończyła zwiedzanie. Zachęcała pozostałych turystów, by wrócili w to miejsce, ale nie ponowiła zaproszenia, gdy przeszłam koło niej z Braydenem.

– Ta kobieta jest wyraźnie niedoinformowana – powiedział, gdy wyjechaliśmy na autostradę.

– Wiedziała mnóstwo na temat wiatraków i ich obsługi – zauważyłam. – Sądzę, że najnowsze kontrowersje naukowe po prostu nie należą do tematów omawianych podczas zwiedzania. Podobnie jak – dorzuciłam z uśmiechem – kwestia radzenia sobie z natrętnymi turystami.

– Byłem natrętny? – spytał ze szczerym zdziwieniem.

Pomyślałam, że to urocze, że sprawa energii wietrznej tak go

pochłonęła, że tego nie zauważył.

Próbowałam się nie rozeźmiać.

– Za bardzo drażyłeś, to wszystko. Nie sądzę, by byli przygotowani na taką dociekliwość.

– A powinni być. Wykorzystywanie wiatru stwarza wielkie możliwości, to fakt, ale tymczasem wiąże się z ogromnymi kosztami i problemami ergonomii, które wymagają skutecznych rozwiązań. W przeciwnym razie ta energia pozostanie bezużyteczna.

Milczałam chwilę, zastanawiając się nad najlepszą odpowiedzią. Wskazówki wyczytane z poradników lub zasłyszane od przyjaciół nie informowały, jak sobie radzić w dyskusjach na temat alternatywnych źródeł energii. W jednej z książek – którą odrzuciłam w kącie – prezentowano zdecydowanie męską perspektywę, radząc, by kobieta starała się pokazać mężczyźnie, jak bardzo jest ważny. Podejrzewałam, że Kristin i Julia po prostu poradziłyby mi wybuchnąć śmiechem i odgarnąć włosy, by zakończyć temat.

Ale ja nie umiałam się tak zachować.

– Nie masz racji – powiedziałam.

Brayden – który był zwolennikiem odpowiedzialnego prowadzenia – na chwilę odwrócił wzrok znad kierownicy i spojrzał na mnie.

– Co powiedziałaś?

W ten sposób odkryłam jego kluczową cechę. Miał rozległą wiedzę, ale nie znosił nie mieć racji. Nie zdziwiło mnie to. Też tego nie lubię, wiele nas łączyło pod tym względem. Ale sposób, w jaki mówił o szkole i debacie, nasunął mi kolejny wniosek: ludzie mu się nie sprzeciwiali, nawet gdy nie miał racji.

Może nie było jeszcze za późno na potrząsanie włosami. Ale nie potrafiłam się powstrzymać.

– Nie masz racji. Może wiatr nie jest tak skuteczny, jak być powinien, ale fakt, że w ogóle rozważa się jego wykorzystanie, świadczy o ogromnym postępie w naszym myśleniu, koncentrującym się do tej pory na archaicznych źródłach energii, od których wciąż jesteśmy zależni. Oczekiwanie, że nowa metoda będzie równie tania jak coś, z czego korzystamy od bardzo dawna, wydaje się naiwne.

– Ale...

– Nie możemy zaprzeczyć, że cena jest warta korzyści. Zmiany klimatyczne następują nieubłaganie, a fakt, że wiatr zredukuje emisję dwutlenku węgla do atmosfery, może mieć zasadnicze znaczenie. Co więcej, i co ważniejsze, wiatr jest źródłem odnawialnym. Nie ma znaczenia, że inne źródła są tanie, skoro wkrótce się wyczerpią.

– Ale...

– Musimy być postępowi i myśleć o przyszłości. Koncentrowanie się na tym, co teraz jest tańsze, bez myślenia o konsekwencjach dla przyszłych pokoleń, stanowi dowód krótkowzroczności i ostatecznie doprowadzi do upadku rasy ludzkiej. Ci, którzy sądzą inaczej, tylko lekceważą problem, a nie podają innych rozwiązań. Większość nie ma na nie pomysłów. Tylko narzeka. Dlatego się mylisz.

Przerwałam, by zaczerpnąć oddechu, i odważyłam się spojrzeć na Braydena. Utkwił wzrok w drodze, ale nienaturalnie wybałuszał oczy. Pewnie nie byłby bardziej wstrząśnięty, gdybym wymierzyła mu policzek. W jednej chwili skarciłam się w myślach za tę przemowę. Sydney, dlaczego po prostu nie zatrzepoczesz rzęsami?

– Brayden? – odezwałam się nieśmiało, gdy nie odpowiadał przez minutę.

Wciąż milczał.

Nagle bez ostrzeżenia zjechał gwałtownie z drogi na pobocze. Wokół nas wzbiły się w górę drobne kamyczki i piach. Byłam absolutnie przekonana, że teraz każe mi wysiąść i wracać do Palm Springs na piechotę. Od miasta dzieliło nas wiele kilometrów.

Ale on chwycił mnie za rękę i nachylił się bliżej.

– Wiesz – rzucił bez tchu. – Jesteś niesamowita. Absolutnie, przekonująco, nad wyraz niesamowita.

I pocałował mnie.

Byłam tak zdumiona, że nie mogłam się poruszyć. Serce biło mi nieprzytomnie. Ale bardziej z niepokoju niż ekscytacji. Czy dobrze całuję? Próbowałam się rozluźnić – pozwoliłam ustom lekko się rozchylić, ale moje ciało pozostało sztywne. Na szczęście Brayden nie cofnął się z niechęcią, co uznałam za dobry znak. Nigdy jeszcze się nie całowałam i bardzo się martwiłam, jak wypadłam. Technicznie całowanie nie wyglądało na coś trudnego.

Kiedy Brayden wreszcie się odsunął, uśmiechał się. Odgadłam, że nieźle mi poszło. Odwzajemniłam nieśmiało ten uśmiech, wiedząc, że chłopak na pewno tego oczekiwał. Szczerze mówiąc, byłam nieco rozczarowana. Więc to wszystko? O to ta cała wielka sprawa? Nie było źle, ale nie wzbiłam się na wyżyny rozkoszy. Jego usta na moich, nic więcej.

Brayden westchnął radośnie i włączył silnik. Przyglądałam mu się z zaciekawieniem i zmieszaniem. Nie umiałam nazwać swoich uczuć. Co się właściwie stało? Czy tak właśnie wyglądał mój pierwszy pocałunek?

– Do Spencera, tak? – spytał, gdy wkrótce potem wjechaliśmy do centrum.

Nadal byłam oszołomiona pocałunkiem i dopiero po chwili przypomniałam sobie, że obiecałam pannie Terwiliger cappuccino.

– Tak.

Mieliśmy już skręcać w uliczkę, przy której mieściła się kawiarnia, gdy Brayden nieoczekiwanie zatrzymał się przed kwaciarnią.

– Zaraz wracam – oznajmił.

Skinęłam tylko głową. Pięć minut później powrócił i wręczył mi wielki bukiet delikatnych blad różowych róż.

– Dziękuję – mruknęłam i spojrzałam na niego pytająco.

Zatem zasłużyłam również na kwiaty.

– Nie są odpowiednie – przyznał. – Lepsze byłyby pomarańczowe albo czerwone. Ale miałem do wyboru te albo lawendowe, a fiolekt zupełnie do ciebie nie pasuje.

– Dziękuję – powtórzyłam.

Wdychając słodki zapach róż w drodze do Spencera, uświadomiłam sobie, że jeszcze nikt nie podarował mi kwiatów.

Wkrótce znaleźliśmy się przed lokalem. Wysiadłam, a Brayden zamknął drzwi po mojej stronie. Weszliśmy do środka, a ja poczułam ulgę, widząc, że Trey jest w pracy. Jego kpiny byłyby miłym powrotem do normalności, skoro moje życie właśnie wirowało jak na karuzeli.

Trey z początku nas nie zauważył. Rozmawiał z ożywieniem z kimś po drugiej stronie lady, chłopakiem nieco starszym od nas. Miał śniadą skórę, czarne włosy i podobne rysy twarzy, toteż domyśliłam się

szybko, że muszą być spokrewnieni. Brayden i ja poczekaliśmy dyskretnie za gościem i Trey wreszcie podniósł na nas wzrok. Zadziwiająco ponura mina zupełnie do niego nie pasowała. Był zaskoczony naszym widokiem, ale trochę się rozluźnił.

– Melbourne, Cartwright. Wpadliście po wiatrakach na porcję kofeiny?

– Wiesz, że nie pijam kawy po szesnastej – odparł Brayden. – Ale Sydney przyjechała po zamówienie od nauczycielki.

– Ach – rzucił Trey. – To samo co zwykle dla ciebie i panny T?

– Tak, ale dla mnie tym razem mrożoną.

Posłał mi domyślne spojrzenie.

– Musisz trochę ochłonać, co?

Przewróciłam oczami.

Tamten chłopak wciąż stał obok i Trey wskazał go ruchem głowy, trzymając w ręku filiżanki.

– To mój kuzyn, Chris. Chris, to Sydney i Brayden.

To musiał być ten „idealny” kuzyn Treya. Na pierwszy rzut oka nie wydawał się w niczym lepszy, może tylko przewyższał go wzrostem. Chris był bardzo wysoki. Nie tak jak Dymitr, ale jednak. Poza tym obaj byli przystojni i atletycznie zbudowani. Chris miał nawet takie same siniaki i zadrapania, jakie często pokazywał Trey, więc pomyślałam, że łączy ich również rodzinne zamiłowanie do sportu. Tak czy owak, Chris nie wyglądał na kogoś, kto mógłby onieśmielać Treya, ale nie byłam bezstronna.

– Skąd przyjechałeś? – zagadnęłam.

– Z San Francisco – odparł Chris.

– Długo jesteś w mieście? – spytał Brayden.

Chris obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Dlaczego pytasz?

Brayden zrobił zaskoczoną minę. Nie dziwiłam mu się. Zanim któreś z nas zdołało zastosować kolejną kwestię z poradnika prowadzenia niezobowiązujących pogawędek, Trey pośpieszył nam z pomocą.

– Wyluzuj, Chris. Oni są po prostu mili. Nie pracują dla agencji wywiadowczej.

Cóż, Brayden rzeczywiście nie pracował.

– Przepraszam – rzucił Chris bez śladu skruchy. Zrozumiałam już, że w tej rodzinie różnie rozumiano przyjacielskie zachowania. Trey roześmiałby się ze swojej pomyłki. – Parę tygodni.

Ani Brayden, ani ja nie odważyliśmy się już nic więcej powiedzieć. Na szczęście Chris wyszedł, obiecując później zadzwonić do Treya. Kiedy zniknął za drzwiami, nasz przyjaciel potrząsnął przepaszająco głową i postawił dwie kawy na ladzie. Sięgnęłam po portmonetkę, ale Brayden odsunął moją rękę i zapłacił.

Trey wręczył mu resztę.

– Jest już grafik na przyszły tydzień.

Brayden zerknął na mnie.

– Mógłbym tylko zajrzeć na zaplecze?

– Jasne – odparłam.

Kiedy poszedł, wyszeptałam gorączkowo do Treya:

– Potrzebuję twojej pomocy.

Chłopak uniósł brwi.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek to od ciebie usłyszę.

Więc było nas dwoje.

– Brayden kupił mi kwiaty – oświadczyłam. Nie zamierzałam nawet wspominać o pocałunku.

– I?

– Powiedz, dlaczego to zrobił.

– Bo mu się podobasz, Melbourne. Tak postępują faceci. Stawiają kolację, obdarowują w nadziei, że w zamian ich polubicie.

– Ale my się kłóciliśmy! – syknęłam, zerkając niespokojnie na drzwi, za którymi zniknął Brayden. – Tuż przed tym, jak kupił mi te kwiaty, dałam mu wykład, że myli się w kwestii alternatywnych źródeł energii.

– Zaraz, zaraz – przerwał mi Trey. – Powiedziałaś... Powiedziałaś Braydenowi Cartwrightowi, że nie ma racji?

Potwierdziłam ruchem głowy.

– Więc dlaczego tak zareagował?

Trey parsknął śmiechem i śmiał się tak serdecznie, że byłam pewna, iż hałas wyciągnie Braydena z zaplecza.

– Ludzie nie wytykają mi błędów.  
– Domyśliłam się tego.  
– A już szczególnie dziewczyny. Pewnie jesteś jedyną, która to zrobiła. Jedyną wystarczająco bystrą, by zauważyć, że powiedział coś nie tak.

Niecierpliwiłam się.

– To jasne. Ale dlaczego pobiegł po kwiaty? I zarzucił mnie komplementami?

Trey pokręcił głową z taką miną, jakby znów miał wybuchnąć śmiechem.

– Jeśli się nie domyślasz, to ja z pewnością ci tego nie powiem.

Za bardzo się bałam niespodziewanego powrotu Braydena, by prosić Treya o więcej bezużytecznych rad. Spytałam więc:

– Czy to Chris jest tym idealnym kuzynem, o którym mi opowiadałeś?

Trey stracił humor.

– Zgadza się. Cokolwiek potrafię zrobić, słyszę, że on robi to lepiej.

Od razu pożałowałam, że zaczęłam temat. Trey, podobnie jak Adrian, należał do osób, których nie chciałam martwić.

– Cóż. Nie dostrzegłam w nim nic szczególnego, choć pewnie nie jestem obiektywna, skoro spędzam z tobą mnóstwo czasu. Wyznaczyłeś mi standard perfekcji.

Trey odzyskał swój uśmiech.

– Przepraszam za jego zachowanie. Chris taki już jest. Nie należy do najbardziej czarującej gałęzi rodu Juarezów. W przeciwieństwie do mnie oczywiście.

– Oczywiście – przytaknęłam.

Wciąż się uśmiechał, gdy pojawił się Brayden, ale gdy zerknęłam na niego przez ramię od drzwi, zobaczyłam, że znów spochmurniał. Rozmyślał o czymś, a ja żałowałam, że nie potrafię mu pomóc.

W drodze powrotnej do Amberwood Brayden zaczął nieśmiało:

– Znam już swój harmonogram na następne dwa tygodnie.

– To... dobrze – bąknęłam.

Zawahał się.



– Wiem... kiedy będę miał wolne. To znaczy... Jeśli zechcesz jeszcze się ze mną spotkać...

Brayden chciał się ze mną znów umówić? Choć oszołomiona wydarzeniami tego dnia, i tak byłam zaskoczona. Dlaczego? I co ważniejsze, czy ja miałam ochotę umówić się z nim? Spojrzałam na niego, a potem na róże. Pomyślałam, jak na mnie patrzył w samochodzie. I o tym, że miałam naprawdę niewielkie szanse na spotkanie innego chłopaka, który by rozmyślał o Szekspirze i interesował się energią wiatru.

– Dobrze – zgodziłam się.

Zmrużył oczy z namysłem.

– Czy w twojej szkole nie urządzają przypadkiem imprezy? Chciałabyś się tam wybrać? Nasi koledzy tak się bawią, prawda?

– Na to wygląda. A skąd ty o niej wiesz?

– Przeczytałem na plakacie – odparł.

W tym samym momencie podjechał pod moje dormitorium. Nad głównym wejściem wisiał baner ozdobiony pajęczą siecią i nietoperzami. NAJEDZ SIĘ STRACHU NA DYSKOTECE HALLOWEENOWEJ.

– Och – mruknęłam. – Na tym. – Eddie miał rację. Naprawdę miałam wybiórczą uwagę. – Możemy tam pójść. Jeśli chcesz.

– Jasne. To znaczy, jeśli ty chcesz.

Umilkliśmy, a po chwili oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Brayden nachylił się nade mną, a ja się przestraszyłam. Na szczęście chciał się tylko przyjrzeć banerowi.

– To za półtora tygodnia.

– Chyba wystarczy, by zdobyć kostiumy.

– Chyba tak. Chociaż...

I wtedy zrobił coś równie szalonego. Wziął mnie za rękę.

Przyznaję, nie spodziewałam się wiele, zwłaszcza po mieszanych uczuciach po naszym pocałunku. Powinnam oczekiwać gęsiej skórki lub choćby łopotania serca. Dotyk dłoni Braydena był po prostu zwykłym dotykiem. Najbardziej przestraszyłam się tego, co powinnam teraz zrobić. Spleść nasze palce? Ucisnąć jego dłoń?

– Chciałbym się z tobą spotkać wcześniej – powiedział i znów się

zawahał. – Jeśli zechcesz.

Zerknęłam na nasze dłonie. Próbowałam dobrać, co właściwie czuję. Miał ładne ręce. Gładkie i ciepłe. Mogłam do nich przywyknąć. Poza tym pachniał kawą. Czy to wystarczy, by zbudować miłość? Znowu ogarnęła mnie niepewność. Jakie miałam prawo się z nim spotykać? Nie przyjechałam do Palm Springs dla rozrywki. W alchemii nie ma miejsca na „ja”. No, teoretycznie jest, ale nie w tym rzecz. Wiedziałam, że moi zwierzchnicy nie pochwalają takiego zachowania.

Z drugiej strony, czy kiedyś znowu będę miała taką szansę? Czy ktoś jeszcze podaruje mi kwiaty? I kiedy znowu jakiś chłopak będzie na mnie patrzył z równą żarliwością? Postanowiłam zaryzykować.

– Pewnie – odparłam. – Spotkajmy się znowu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

NIE UDAŁO NAM SIĘ UMÓWIC przed końcem weekendu. Choć byliśmy dość ambitni, by pogodzić spotkania i naukę, woleliśmy nie poświęcać odrabiania lekcji, jeśli dawało się znaleźć inne rozwiązanie. Poza tym w weekendowe wieczory byłam zwykle zajęta sprawami moich podopiecznych: karmieniem lub eksperymentami. W tym tygodniu Eddie oddał krew do analizy, a ja wolałam nie być przy tym obecna, na wypadek gdyby Sonia spróbowała mnie znowu namawiać, abym i ja poddała się badaniu.

Chcieliśmy się spotkać w sobotę, lecz tego dnia obiecałam zawieźć Adriana do San Diego. Brayden przystał więc na wspólne śniadanie przed moim wyjazdem. Poszliśmy do restauracji sąsiadującej z jednym ze słynnych pól golfowych w Palm Springs. Mimo że już dawno proponowałam, że za siebie zapłacę, Brayden niezmiennie pokrywał wszystkie rachunki i zawsze to on prowadził. Gdy podjechaliśmy pod dormitorium, zobaczyłam niecodzienny i niezbyt oczekiwany widok. Adrian siedział na ławce ze znużoną miną.

– Jezu! – mruknęłam.

– Co się stało? – zaniepokoił się Brayden.

– To mój brat. – Wiedziałam, że już się nie wywinę. Musiałam ich sobie przedstawić. – Chodź, poznasz go.

Brayden zostawił włączony silnik i wysiadł, zerkając z niepokojem na znak NIE PARKOWAĆ. Adrian zerwał się z miejsca z wyrazem najwyższej satysfakcji na twarzy.

– Czy to nie ja miałam po ciebie przyjechać? – zaczęłam.

– Sonia miała coś do załatwienia w okolicy i zaproponowała mi podwózkę – wyjaśnił. – Postanowiłem oszczędzić ci kłopotu. – Adrian dobrze wiedział, co będę robiła rano, więc nie sądziłam, że miał tak bezinteresowne powody przyjazdu.

– To jest Brayden – powiedziałam. – Brayden, to Adrian.

Adrian uściskał mu dłoń.

– Wiele o tobie słyszałem. – Nie miałam wątpliwości od kogo.

Brayden odwzajemnił jego uśmiech.

– A ja nigdy nie słyszałem o tobie. Nawet nie wiedziałem, że

Sydney ma drugiego brata.

– Nie wspominałaś o mnie? – Adrian udał dotkniętego.

– Jakoś się nie złożyło – odparłam.

– Uczysz się jeszcze w liceum, prawda? – spytał Braydena i z aprobatą kiwnął głową na widok mustanga. – Pewnie sobie dorabiasz, żeby opłacić wydatki związane z takim wozem. O ile nie jesteś jednym z tych nierobów, którzy ciągną kasę od rodziców.

Brayden się zachnął.

– Oczywiście, że nie. Pracuję prawie codziennie w kawiarni.

– W kawiarni – powtórzył Adrian, po mistrzowsku zawierając w tonie głosu milion odcieni dezaprobaty. – Ach tak. – Spojrzał na mnie. – Cóż, mogło być gorzej.

– Adrian...

– Nie zamierzam pracować tam wiecznie – zaprotestował Brayden.

– Już zostałem przyjęty na dwa uniwersytety, Stanford i Dartmouth.

Adrian pokiwał głową w zamyśleniu.

– To szacowne uczelnie. Z drugiej strony, zawsze uważałem, że Dartmouth to miejsce dla tych, których nie przyjęli na Yale czy Harv...

– Musimy już ruszać – przerwałam mu i ścisnęłam go za ramię. Próbowałam pociągnąć Adriana na parking dla uczniów, ale stał niewzruszony. – Nie chcesz chyba stać w korkach.

Brayden zerknął na swoją komórkę i powiedział:

– O tej porze dnia po zachodniej stronie nie powinno być tłoku, ale jest weekend. Nigdy nie wiadomo, dokąd się wybiorą turyści, szczególnie że San Diego oferuje wiele atrakcji. Jeśli spojrzeć na korki z perspektywy teorii chaosu...

– Otóż to – wtrąciłam szybko. – Lepiej być przezornym, niż potem żałować. Przyślę ci esemesa po powrocie, dobrze? Ustalimy, co będziemy robili z resztą wolnego czasu.

Choć raz nie musiałam się denerwować podawaniem ręki czy całowaniem. Skupiłam się, by jak najszybciej odciągnąć Adriana, który w każdej chwili mógł palnąć coś obraźliwego. Brayden miał spokojny i opanowany charakter. W tej chwili nie wykazywał jeszcze zdenerwowania, ale nawet on z pewnością był poruszony bardziej niż zwykle. Adrian potrafił doprowadzić do furii łagodnie owieczki.

– I co? – zaczęłam, gdy siedzieliśmy już bezpiecznie w Latte. – Nie mogłeś poprzestać na „miło cię poznać”?

Adrian opuścił oparcie fotela, przybierając najwygodniejszą pozycję, na jaką pozwalały zapięte pasy.

– Troszczę się o ciebie, siostrzyczko. Przecież nie chciałybyś się spotykać z jakimś palantem. Wierz mi, jestem ekspertem w tych sprawach.

– Doceniam twoje rozległe doświadczenie, lecz sama sobie poradzę. Dziękuję.

– Ale barista? Nie lepiej było sobie znaleźć biznesmena?

– Mnie odpowiada barista. Pachnie kawą.

Adrian otworzył okno, pozwalając, by bryza rozwiewała mi włosy.

– Jestem zaskoczony, że pozwalasz mu się wozić, zwłaszcza że panikujesz, gdy ktokolwiek dotknie kontrolki twojego samochodu.

– Albo otwiera okno, gdy działa klimatyzacja – mruknęłam sarkastycznie.

Adrian pojął aluzję i zasunął szybę.

– On lubi prowadzić, więc mu na to pozwalam. Poza tym podoba mi się jego samochód.

– Rzeczywiście ładny – przyznał. – Choć nie sądziłem, że jesteś snobką.

– Nie jestem. Podoba mi się jego wóz, bo jest interesujący i ma długą historię.

– Czyli jednak snobizm.

– Adrian – westchnęłam. – Czeka nas długa jazda.

Dobrze się nam jednak jechało. Mimo obaw Braydena nie było korków, choć w połowie drogi poczułam, że potrzebuję kawy. Adrian zażyczył sobie moczę: „Możesz mnie zasponsorować ten jedyny raz, Sage?” i dalej gawędził o wszystkim i o niczym. Ale jakieś pół godziny przed końcem jazdy umilkł i wyglądał przez okno.

Podejrzewałam, że rozmyśla o spotkaniu z ojcem. Mogłam to zrozumieć. Ja także byłabym zdenerwowana na jego miejscu. Nie sądziłam, że Adrian ma ochotę na sesję psychoterapii, więc wybrałam bezpieczniejszy temat, żeby wyciągnąć go z ponurego nastroju.

– Dowiedzieliście się już czegoś o krwi Eddiego i Dymitra? –

spytałam.

Adrian popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Nie spodziewałem się, że to cię zainteresuje.

– Naukowo tak. Po prostu nie chciałam brać w tym udziału.

Chyba go przekonałam.

– Na razie niewiele da się powiedzieć. Posłali próbki do laboratorium, chyba jednego z waszych, żeby sprawdzić, czy wystąpią jakieś różnice fizyczne. Oboje z Sonią wykryliśmy... Nie wiem, jak to ująć... elementy magii ducha w krwi Bielikowa. Oczywiście fakt, że to odkryto, nikogo nie powinien dziwić. Większość uważa, że wszystko, co on robi, jest czarujące.

– Daj spokój – zganiłam go. – Jesteś niesprawiedliwy.

– Czyżby? Widzisz, jak Castile go czci. Pragnie być taki jak Bielikow, gdy dorośnie. I choć oficjalnie to Sonia przewodzi naszym badaniom, nawet nie weźmie głębszego oddechu, nie skonsultowawszy tego najpierw z nim. „Co o tym sądzisz, Dymitr?”, „Uważasz, że to dobry pomysł, Dymitr?”, „Proszę, daj nam swoje błogosławieństwo, byśmy mogli paść na kolana i złożyć ci hołd, Dymitr”.

Potrząsnęłam głową z irytacją.

– To nie fair. Prowadzą te badania wspólnie. To zrozumiałe, że Sonia się z nim konsultuje.

– Ale konsultuje się z nim częściej niż ze mną.

Pomyślałam, że to dlatego, że Adrian ma często znudzoną minę podczas badań, ale nie podzieliłam się z nim tym spostrzeżeniem.

– Oboje byli strzygami. Mają unikalne doświadczenia.

Nie odpowiadał dłuższą chwilę.

– W porządku. Przyznaję ci rację. Ale przecież rywalizowaliśmy z Dymitrem o Rose. Widziałaś ich razem. Nie miałem szans. Nie mogę się z nim równać.

– A dlaczego miałbyś próbować? – Chciałam zapytać, co Rose ma z tym wspólnego, ale Jill tłumaczyła mi milion razy, że dla Adriana wszystko sprowadza się do tematu Rose.

– Bo jej pragnąłem – wyznał.

– I nadal pragniesz?

Nie odpowiedział. Temat Rose był ryzykowny, wolałam się w

niego nie zagłębiać.

– Posłuchaj – zaczęłam. – Ty i Dymitr jesteście różnymi osobami. Nie powinieneś się z nim porównywać. Ani próbować się do niego upodobnić. Nie zamierzam go z tobą obgadywać. Lubię Dymitra. Jest bystry i oddany sprawie, szaleńczo odważny i waleczny. To wojownik, a dodatkowo miły facet.

Adrian popatrzył na mnie spode łba.

– Nie wspomniałaś, że jest również powalająco przystojny.

– Hej, ty także stanowisz miły widok dla oczu – drażniłam się z nim, cytując jego słowa. Nie uśmiechnął się. – Nie doceniasz siebie. Jesteś bystry i potrafiłbyś wyjść bez szwanku z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji. Nie potrzebujesz do tego magicznej charyzmy.

– Nie widzę wielkiej różnicy między sobą a jakimś błaznem.

– Daj spokój – ofuknęłam go. Umiał mnie rozśmieszyć nawet podczas tak poważnej rozmowy. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Poza tym jesteś zadziwiająco lojalny. I troszczysz się o innych, choć udajesz, że nic cię nie obchodzi. Widzę, jak opiekujesz się Jill. Niewiele osób zdobyłoby się dla kogoś na tak daleką podróż. A już na pewno nikt nie ocaliłby jej życia w sposób, w jaki ty to zrobiłeś.

Znowu odpowiedział po chwili milczenia.

– A cóż są warte lojalność i troska?

– Dla mnie? Wszystko.

Palnęłam to bez zastanowienia. W życiu byłam świadkiem dostatecznie wielu ciosów w plecy i chłodnych kalkulacji. Mój własny ojciec osądzał ludzi nie na podstawie tego, kim są, lecz co mogą dla niego zrobić. Adrian był żarliwym obrońcą bliskich mu osób, chociaż maskował te cechy brawurą i nonszalancją. Widziałam, jak ryzykował życiem w czyjejś sprawie. Biorąc pod uwagę, że kazałam mu wykluć oko, by pomścić krzywdę siostry... cóż. Umiem docenić oddanie.

Adrian nie odzywał się już do końca podróży, ale przynajmniej zaniechał roztrząsania ponurych kwestii. Siedział zamyślony, a ja się odprężyłam. Odczułam tylko lekki niepokój, gdy zdałam sobie sprawę, że ukradkiem mi się przygląda. Odtworzyłam w głowie to, co mu powiedziałam, usiłując dociec, czym go tak zaintrygowałam.

Ojciec Adriana zatrzymał się w wielkim hotelu w San Diego,

przypominającym atmosferą kurort, w którym jedliśmy z Braydenem śniadanie. Biznesmeni w garniturach mieszały się tu z poszukiwaczami rozrywki ubranymi w kolorowe koszule i krótkie spodnie. Omal nie włożyłam dzinsów na to śniadanie i teraz cieszyłam się, że wybrałam szarą spódniczkę i bluzkę z krótkimi rękawami we wzory w odcieniach zgaszonego błękitu i szarości. Bluzka miała małą, postrzępioną lamówkę, a spódniczka subtelne wzory w jodełkę. Spodobała mi się zuchwałość tego kompletu, choć zwykle nie noszę tak kontrastujących zestawień. Wspomniałam o tym Jill, gdy wychodziłam rano z dormitorium. Sporo to trwało, zanim zauważyła kontrast w moim stroju, a nawet wtedy przewróciła oczami.

– Jasne, Sydney. Prawdziwa z ciebie anarchistka.

Adrian za to włożył jeden ze swoich typowych letnich strojów, czyli dzinsy i koszulę zapinaną na guziki, którą oczywiście nosił wypuszczoną ze spodni, z podwiniętymi rękawami i kilkoma rozpiętymi guzikami. Mimo niedbałego stroju zwykle wyglądał bardzo elegancko i modnie. Ale nie tego dnia. Tym razem wybrał najbardziej zniszczone dzinsy, w jakich go widziałam. Kolana miały przetarte niemal na wylot. Ciemnozieloną koszulę uszyto wprawdzie z dobrego materiału i idealnie pasowała do koloru oczu Adriana, ale była wprost niewiarygodnie pomięta. Nie wiem, jak osiągnął ten efekt, bo z pewnością nie wystarczyłoby, gdyby tylko w niej spał albo rzucił niedbale na podłogę. Podejrzywałam, że zwinął ubranie w kulkę i siedział na nim – tak źle wyglądało. Gdybym zauważyła to w Amberwood (a byłam zbyt zaaferowana próbą odciążenia Adriana od Braydena), należałabym, żeby się przebrał.

Oczywiście mimo wszystko Adrian prezentował się doskonale. Zawsze dobrze wyglądał, niezależnie od stroju czy fryzury. I to było w nim najbardziej denerwujące. Z tym niedbałym wyglądem mógł uchodzić za jakiegoś melancholijnego europejskiego modela. Przyglądając mu się w windzie, którą wjechaliśmy do holu na pierwszym piętrze, uznałam, że celowo zdecydował się na tak niechlujny wygląd w dniu spotkania z ojcem. Nie wiedziałam tylko po co. Adrian skarżył się, że często jest w domu krytykowany. Czyżby ten ubiór miał dostarczyć uzasadnionych powodów do kolejnych uwag?



Winda się zatrzymała, a ja westchnęłam głośno, wysiadając. Tylne ściany holu była niemal całkowicie przeszklona i rozciągał się stąd olśniewający widok na Pacyfik. Adrian zachichotał, widząc moją reakcję, i wyjął telefon komórkowy.

– Napatrz się do woli, a ja zadzwonię po ojca.

Nie musiał mnie zachęcać. Podeszłam do szyby i podziwiałam niebieskoszare wody oceanu. Pomyślałam, że w pochmurne dni pewnie nie można stwierdzić, gdzie kończy się niebo i zaczyna woda. Tego dnia była fantastyczna pogoda, nic nie przesłaniało słońca. Po prawej stronie holu nagle otworzyły się drzwi wychodzące na taras w stylu śródziemnomorskim, na którym biesiadnicy jedli lunch na słońcu. Zerknęłam w dół i zobaczyłam migoczący błękit basenu, w którym odbijało się niebo, otoczonego palmami i amatorami kąpieli słonecznych. Nie tęsknię za wodą tak jak posługująca się magią tego żywiołu Jill, ale żyłam na pustyni przez prawie dwa miesiące. Chłonełam więc chciwie zadziwiający widok.

Byłam tak oczarowana urodą tego miejsca, że nie zauważyłam powrotu Adriana, choć stanął obok mnie. Dopiero kiedy jakaś matka zawołała córkę o imieniu Sydney, zerknęłam w bok. Adrian przyglądał mi się z rozbawieniem.

Zawstydziłam się i cofnęłam.

– Mogłeś się odezwać.

Uśmiechnął się do mnie.

– Nie chciałem ci przerywać. Choć raz wyglądałaś na szczęśliwą.

– Raz? Często bywam szczęśliwa.

Dostatecznie dobrze już poznałam Adriana, by przewidzieć, kiedy padnie jakaś kąśliwa uwaga z jego ust. W ostatniej chwili nieoczekiwanie spowaźniał.

– Czy ten chłopak... Brendan...

– Brayden.

– Czy Brayden cię uszczęśliwia?

Spojrzałam na niego osłupiała. Pytanie mogło kryć pułapkę, ale nieprzenikniony wyraz twarzy Adriana utrudniał mi ocenę jego motywów.

– Chyba tak – bąknęłam po chwili. – Tak. To znaczy, nie

unieszczęśliwia mnie.

Teraz Adrian znów się uśmiechnął.

– Pełne namiętności wyznanie. Co cię w nim przyciąga? Poza samochodem? I zapachem kawy?

– Podoba mi się, że jest bystry – odparłam. – Nie muszę się kontrolować w jego towarzystwie.

Adrian zmarszczył czoło.

– A przy innych często musisz?

Zaskoczyła mnie gorycz w moim śmiechu.

– Często? Przez cały czas. Chyba najważniejsze, czego się nauczyłam w Amberwood, to fakt, że ludzie nie lubią mieć świadomości, jak dużo wiesz. Z Braydenem nie musimy się cenzurować. Na przykład dziś rano. Od rozmowy o kostiumach na Halloween przeszliśmy do dyskusji na temat początków demokracji w starożytnych Atenach.

– Cóż, nie uważam się za geniusza, więc powiedz, jakim cudem taki przeskok był możliwy?

– Och, chodzi o nasze kostiumy. Postanowiliśmy się przebrać za Greków. Z czasów świetności Aten.

– Oczywiście – mruknął Adrian i tym razem byłam już pewna, że usłyszę kąśliwy komentarz. – Ty przecież nie wybrałabyś seksownego stroju kotki. Dla ciebie odpowiednie są tylko feministyczne togi.

Potrząsnęłam głową.

– Feministyczne? W Atenach? Daj spokój.

Ale on nie dał się zbyć.

– Znów to robisz, prawda? – Pochylił się ku mnie.

Odruchowo miałam się cofnąć, lecz coś nakazało mi zostać w miejscu... Może to był sposób, w jaki Adrian na mnie patrzył.

– Co? – spytałam.

Wycelował we mnie palec.

– Powstrzymałaś się. Woliałaś ugryźć się w język, niż ciągnąć ciekawy dla ciebie temat.

Zawahałam się.

– Tak, w pewnym sensie.

– Dlaczego?

– Bo naprawdę starożytne Ateny interesują cię nie bardziej niż

zdanie Braydena na temat teorii chaosu.

– To co innego – sprzeciwił się Adrian. Nie poruszył się, nadal stał bardzo blisko mnie. Powinno mnie to krępować, ale tak nie było. – On jest nudziarzem. Przy tobie ciekawie jest się czegoś dowiedzieć. Jakbym czytał książkę dla dzieci albo brał udział w pozaszkolnych zajęciach edukacyjnych. Opowiedz mi, proszę, o tych... ateńskich kobietach.

Próbowałam się nie uśmiechnąć. Doceniałam jego intencje, ale wiedziałam, że nie jest zainteresowany lekcją historii. Poza tym zastanowiła mnie gra, jaką wyraźnie ze mną prowadził. Po co udawał zaciekawienie tematem? Skupiłam się nad możliwie najkrótszą odpowiedzią na jego pytanie.

– Większość ateńskich kobiet była niewykształcona. Prowadziły proste życie, wychowywały dzieci i prowadziły domy. Najbardziej postępowe wśród nich były hetery. Wysokiej klasy prostytutki i organizatorki przyjęć i rozrywek. Były wykształcone i nieco bystrzejsze. Wpływowi mężczyźni trzymali swoje żony w domach z dziećmi, a rozrywek szukali u heter. – Urwałam, nie wiedząc, czy za mną nadaża. – Jak mówiłam, to nieistotne informacje.

– Czy ja wiem – zastanawiał się Adrian. – Uważam, że prostytutki są nieocenioną instytucją.

– Cóż. Miło stwierdzić, że nic się nie zmieniło – odezwał się nieznajomy głos.

Oboje poderwaliśmy głowy w stronę nachmurzonego mężczyzny, który właśnie do nas podszedł.

To był ojciec Adriana.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CI, KTÓRZY WIEDZĄ, po czym rozpoznać moroja, od razu zauważyliby bladość skóry i szczupłość sylwetki. Te dwie cechy wyróżniają ich z tłumu, ale nie demaskują. Sprawiają niezwykle wrażenie i dlatego na przykład Lia odkryła w Jill idealną kandydatkę na eteryczną modelkę. Zazwyczaj jestem daleka od oceniania innych na podstawie stereotypów, lecz gdy zobaczyłam pana Iwaszkowa, siwowłosego, z nienaturalnie bladą, ponurą twarzą i posępnym spojrzeniem, naprawdę się zdziwiłam, że ludzie nie widzą w nim wampira. No, może nie wampira, ale choćby grabarza.

– Tato – zaczął sztywno Adrian. – Zawsze miło cię widzieć.

– Niektórym pewnie jest miło. – Jego ojciec patrzył na mnie i zauważyłam, że zatrzymał wzrok na moim policzku.

Wyciągnął rękę. Ujęłam ją, dumna, że uścisk dłoni wymieniony z morojem nie był już dla mnie wielkim wyzwaniem.

– Nathan Iwaszkow – dodał.

– Sydney Sage – przedstawiłam się. – Miło mi.

– Poznałem Sage, gdy tu przyjechałem – wyjaśnił Adrian. – Była tak dobra, że zgodziła się mnie dziś podrzucić z Los Angeles, bo nie mam własnego wozu.

Nathan obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

– To daleka droga.

Nawet w przybliżeniu nie tak daleka jak z Palm Springs, ale uznaliśmy, że to najbezpieczniejsze i najbardziej wiarygodne tłumaczenie. Adrian mówił ojcu, że mieszka w Los Angeles.

– Nie miałam nic przeciwko temu – odparłam. – Pójdę trochę popracować. Przyślij mi esemesa, kiedy skończycie.

– Teraz chcesz pracować? – Adrian popatrzył na mnie z niesmakiem. – Daj spokój, Sage. Kup sobie bikini i naciesz się basenem.

Nathan przyglądał się nam z niedowierzaniem.

– Namówiłeś ją do przyjazdu, a teraz każesz jej czekać dla własnej wygody?

– Naprawdę – wtrąciłam – nie...

– Jest alchemiczką – ciągnął Nathan. – Nie szoferem. To wielka

różnica. – Cóż, zdarzały się takie dni w Amberwood, gdy zaczynałam w to wątpić. – Zapraszam, panno Sage. Skoro już zmarnowała pani dzień, przywożąc tu mojego syna, chciałbym przynajmniej zaprosić panią na lunch.

Zerknęłam na Adriana z przestraczem. Nie boję się towarzystwa morojów. Już dawno przywykłam do takich sytuacji. Nie byłam jednak pewna, czy chłopak życzył sobie mojej obecności podczas rodzinnego spotkania. Nie tak to zaplanował. Co do mnie, raczej nie miałam ochoty im towarzyszyć.

– Tato... – zaczął Adrian.

– Nalegam – rzucił sucho Nathan. – Powinieneś zdobyć się chociaż na minimum kurtuazji – dodał i ruszył przed siebie pewien, że za nim pójdziemy.

Poszliśmy.

– Powinam się jakoś wymówić? – szepnęłam Adrianowi do ucha.

– Nie ma sensu, gdy używa słów w rodzaju „nalegam” – wymamrotał w odpowiedzi.

Przez chwilę, myśląc o wspaniałym tarasie i restauracji z widokiem na ocean, miałam nadzieję, że obecność obu Iwaszkowów okaże się znośna. Okazja do nacieszenia się słońcem w tak pięknym otoczeniu była warta tego dyskomfortu. Ale Nathan minął drzwi balkonowe i poprowadził nas do windy. Posłusznie podążyliśmy jego śladem i zjechaliśmy na parter do pubu o nazwie Korkociąg. W pozbawionym okien wnętrzu panował półmrok. Wystrój stanowiły niskie drewniane belki u sufitu i czarne skórzane kanapy. Na ścianach leżała dębowa boazeria, a jedyne światło sączyło się z lamp z czerwonego szkła. Poza samotnym barmanem pub był zupełnie pusty, co jakoś mnie nie zdziwiło o tej porze dnia.

Zaskoczyło mnie jednak, że Nathan wybrał to miejsce zamiast eleganckiej restauracji na świeżym powietrzu. Był ubrany w drogi garnitur, w którym wyglądał tak, jakby przed chwilą opuścił jakąś salę konferencyjną na Manhattanie. Dlaczego zrezygnował z modnego lokalu i wybrał to ponure, ciemne...

Ciemne.

Prawie jęknęłam. Oczywiście, że taras nie wchodził w grę –

miałam do czynienia z morojem. Słoneczne popołudnie, tak zachęcające dla mnie, mogło okazać się udręką dla Iwaszkowów, a żaden z nich i tak nie cieszył się z perspektywy wspólnego lunchu.

– Panie Iwaszkow – przywitał go barman. – Miło pana znów widzieć.

– Czy mógłbym jak zwykle zamówić posiłek z restauracji na górze? – spytał Nathan.

– Oczywiście.

Jak zwykle. Nathan musiał często odwiedzać to mroczne siedlisko podczas swoich wizyt w San Diego. Posłałam ostatnią tęskną myśl tarasowi i weszłam do środka. Nathan wybrał stolik w kącie, przeznaczony dla ośmiu osób. Może lubił przestronne miejsca albo udawał, że przewodniczy ważnemu spotkaniu biznesowemu. Barman podał nam karty dań i przyjął zamówienia na napoje. Poprosiłam o kawę. Adrian zamówił martini, wywołując pełną dezaprobaty reakcję ojca i moją.

– Dopiero południe – zganił go Nathan.

– Wiem – odparł Adrian. – Sam jestem zdziwiony, że tak długo wytrzymałem.

Ojciec zignorował tę uwagę i zwrócił się do mnie.

– Pani jest bardzo młoda. Pewnie niedawno podjęła pani pracę dla alchemików.

– Wszyscy zaczynamy w młodym wieku – wyjaśniłam. – Pracuję samodzielnie nieco ponad rok.

– Jestem pod wrażeniem. To wymaga ogromnej odpowiedzialności i inicjatywy. – Podziękował barmanowi skinieniem głowy, gdy ten postawił przed nim butelkę wody mineralnej. – Nie jest tajemnicą, że alchemicy za nami nie przepadają, lecz z drugiej strony robią dla nas wiele dobrego. Na szczególny podziw zasługuje wasza skuteczność. Szkoda, że moja rasa nie bierze z was przykładu.

– A jak się mają sprawy w świecie morojów? – spytałam. – Co u królowej?

Nathan prawie się uśmiechnął.

– Naprawdę pani nie wie?

Wiedziałam. Tyle, ile przekazali mi alchemicy.

– Zawsze warto posłuchać wieści z perspektywy kogoś z wewnątrz.

Zachichotał. Był to nieprzyjemny dźwięk, jakby Nathan niezbyt często się śmiał.

– Sytuacja się poprawiła. Choć nie jest idealnie. Ta dziewczyna jest bystra, muszę jej to oddać. – Zrozumiałam, że „tą dziewczyną” była Wasylissa Dragomir, nastoletnia królowa morojów i najlepsza przyjaciółka Rose. – Z pewnością chętnie ogłosiłaby nowe prawa dotyczące dampirów i kwestii dziedziczenia, ale wie, że rozgniewałaby tym swoich przeciwników. Szuka zatem kompromisowych rozwiązań w innych spornych sprawach i udało jej się zjednać kilku dotychczasowych wrogów.

Prawa dziedziczenia. To mnie zainteresowało. Moroje mają dwanaście rodów królewskich, a Wasylissa i Jill były jedynymi reprezentantkami swojej linii. Zgodnie z obowiązującym prawem monarcha musi mieć przynajmniej jednego członka rodziny. W ten sposób Jill stała się niezwykle ważną postacią w tej rozgrywce politycznej. Nawet świetnie wyszkoleni zabójcy mieliby trudność z dokonaniem zamachu na doskonale strzeżoną królową. Mogli jednak zlikwidować jej przyrodnią siostrę i osiągnąć taki sam skutek: koniec rządów Wasylissy. Dlatego Jill musiała się ukrywać.

Nathan dobrze o tym wiedział.

– Wpadła na roztropny pomysł, by ukryć siostrę bękarta. – Wiedziałam, że chciał tylko wskazać na pochodzenie z nieprawego łoża i nie zamierzał obrazić Jill, ale mimo to się wzdrygnęłam. – Krążą pogłoski, że wasi ludzie maczali w tym palce. Choć nie wydaje mi się, by w tym względzie ukazała mi pani perspektywę kogoś z wewnątrz.

Potrząsnęłam głową, starając się o przyjacielski ton.

– Przykro mi, proszę pana. Sprawy wewnętrzne to sprawy wewnętrzne.

Zapadła chwila milczenia, a potem Nathan odchrząknął.

– A zatem czegoż to ode mnie potrzebujesz, Adrianie? – spytał.

Adrian upił łyk martini.

– O, zauważyłeś, że też tu jestem? Sądziłem, że przyjechałeś na spotkanie z Sydney.

Lekko wbiło mnie w krzesło. Właśnie takiej sytuacji chciałam uniknąć.

– Dlaczego obrażasz się na każde pytanie? – spytał ze znużeniem Nathan.

– Może powinieneś przemyśleć te pytania.

Pub nie był jednak wystarczająco przestronnym miejscem, by pomieścić gwałtownie rosnące napięcie. Instykt podpowiadał mi, by się w to nie wtrącać, lecz musiałam dorzucić swoje trzy grosze.

– Adrian studiuje w college’u – odezwałam się. – Zapisał się na kurs malarstwa. Jest bardzo utalentowany.

Adrian obrzucił mnie lekko zaskoczonym i rozbawionym spojrzeniem. Niektóre jego obrazy były naprawdę dobre. Inne – zwłaszcza te, które stworzył pod wpływem alkoholu – wyglądały tak, jakby przypadkiem rozlał farbę na płótnie. Starłam się być pomocna i komplementowałam jego twórczość przy różnych okazjach.

Ale na Nathanie moja uwaga nie zrobiła wrażenia.

– Tak. Nie pierwszy raz znalazł sobie jakąś pasję. Nigdy nie wytrwał w żadnej długo.

– Teraz to inna sprawa – broniłam go. – Rzeczy się zmieniają. Ludzie także.

– Często jednak nie zmieniają się wcale – oświadczył Nathan. Barman powrócił, ale żadne z nas nawet jeszcze nie zajrzało do karty dań. – Złożę zamówienie za nas wszystkich, dobrze? – Nathan otworzył menu i szybko je przejrzał. – Prosimy talerz grzybów z masłem czosnkowym, fondue z koziego sera, eskalopki w otulinie z bekonu i sałatkę Cezara ze smażonymi ostrygami. Oczywiście sałatka dla trzech osób.

Barman szybko wszystko zanotował i odszedł, zanim zdążyłam wypowiedzieć słowo.

– Ciężka sprawa, tato – wtrącił Adrian. – Nawet nie spytałeś, czy nie mamy nic przeciwko twojemu wyborowi.

Starszy moroj się tym nie przejął.

– Jadałem tu już wcześniej. Wiem, co jest dobre. Zaufajcie mi, będzie wam smakowało.

– Sage nie tknie ani jednej potrawy.



Pomyślałam, że byłoby dużo łatwiej, gdyby obaj udawali, że mnie nie ma.

– A to dlaczego? – Nathan zerknął na mnie z zaciekawieniem. – Ma pani alergię na owoce morza?

– Ona jada tylko zdrową żywność – wyjaśnił Adrian. – To, co zamówiłeś, wprost ocieka tłuszczem.

– Odrobina masła jej nie zaszkodzi. Oboje się przekonacie, że dobrze wybrałem. Wszystko jest wyśmienite. Poza tym – dodał, upiwszy łyk wody – zamówiłem sałatkę, a to jest zdrowe.

Nawet nie próbowałam sugerować, że żadna ilość sałaty rzymskiej nie zrównoważy skutków smażonych ostryg ani dressingu Cezara. Zresztą i tak nie miałabym szans niczego wtrącić, bo Adrian był w połowie swojego monologu i, jak zauważyłam ze zdumieniem, w połowie martini.

– Widzisz? – ciągnął z pogardą. – Zawsze to samo. Zakładasz, że wiesz wszystko lepiej od innych. Podejmujesz samowolne decyzje, nie pytając nikogo o zdanie, bo jesteś strasznie zadufany w sobie.

– To doświadczenie dowodzi, iż zwykle mam rację – wycedził Nathan. – Kiedy i ty zgromadzisz większą wiedzę i staniesz się autorytetem w, cóż, jakiegokolwiek dziedzinie, tobie także będzie można powierzyć ważne decyzje.

– Chodzi o lunch – upierał się Adrian – nie kwestię życia lub śmierci. Mówię tylko, że mógłbyś czasem zapytać kogoś o zdanie. Najwyraźniej twoje „rozległe doświadczenie” nie obejmuje zwyczajnej kurtuazji.

Nathan spojrzał na mnie.

– Czyżbym nie okazał pani kurtuazji, panno Sage?

Moje krzesło niestety nie uczyniło mnie niewidzialną.

Adrian dopił martini jednym haustem i uniósł szklaneczkę, by zwrócić uwagę barmana.

– Nie mieszaj jej do tego – zwrócił się do ojca. – Nie próbuj nią manipulować, żeby dowieść swojej racji.

– Nie muszę nikim manipulować – sprzeciwił się Nathan. – Moja racja jest oczywista.

– Zjem ten lunch – wypaliłam, w pełni świadoma, że ta sprzeczką

ojca i syna nie ma nic wspólnego z moją dietą. – Powinnam częściej próbować czegoś nowego.

– Nie poddawaj mu się, Sydney – rzucił ostrzegawczo Adrian. – Właśnie dlatego nie szanuje innych, a szczególnie kobiet. Od lat lekceważy moją matkę.

Barman podszedł do nas cicho i zamienił pustą szklanekę po martini Adriana na pełną.

– Proszę cię... – Nathan westchnął ciężko. – Nie mieszajmy w to twojej matki.

– To dla ciebie normalka – zauważył Adrian. Widziałam, że ma napiętą twarz. Poruszył drażliwy temat. – Zawsze tak robisz. Od tygodni usiłuję się od ciebie dowiedzieć, jak ona sobie radzi! Do diabła, nawet nie wiem, gdzie jest. Dlaczego odmawiasz mi z nią kontaktu? Na pewno nie jest całkowicie odizolowana od świata. Chyba pozwalają jej odbierać listy.

– Lepiej, żebyś się z nią nie kontaktował w więzieniu – powiedział Nathan.

Nawet mnie zdumiało, jak obojętnie mówił o żonie.

Adrian wydał wargi i sięgnął po alkohol.

– Znowu to samo: ty wiesz lepiej. Bardzo chciałbym myśleć, że unikasz tematu matki, bo bardzo cierpisz. Gdyby aresztowano kobietę, którą kocham, zrobiłbym wszystko, żeby do niej dotrzeć. Ale dla ciebie to zbyt trudne. Może po prostu się odcinasz, bo nie umiesz poradzić sobie z sytuacją w inny sposób. Mnie również od niej odciągasz. Mógłbym to zrozumieć.

– Adrian... – zaczął Nathan.

– Ale tak nie jest, prawda? Nie chcesz, żebym się z nią kontaktował i zapewne sam również tego nie robisz, bo się wstydzisz. – Adrian był coraz bardziej wściekły. – Chcesz nasz rozdzielić i udawać, że to się w ogóle nie wydarzyło. Wolisz udawać, że ona nie istnieje, bo zniszczyła reputację rodziny.

Nathan utkwiał w synu stalowe spojrzenie.

– Gdybym tak myślał, biorąc pod uwagę twoją reputację, w ogóle nie powinienem się z tobą kontaktować.

– Nawaliła, tak?! – krzyknął Adrian. – Wszyscy nawaliliśmy.

Każdy popełnia błędy. Bo to był błąd. Źle oceniła sytuację. To nie powód, by odcinać się od bliskich nam osób.

– Zrobiła to dla ciebie – wypalił Nathan. Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, co myśli o tej decyzji. – Bo nie potrafiłeś się rozstać z tą dampirzycą. Musiałeś się z nią prowadzić na oczach wszystkich, ryzykując, że będziesz zamieszany w zabójstwo ciotki. Dlatego twoja matka zrobiła to, co zrobiła, żeby cię chronić. To z powodu twojej nonszalancji trafiła do więzienia. To wszystko twoja wina.

Adrian zbladł bardziej niż zwykle. Był w szoku, nawet nie próbował odpowiadać. Znowu sięgnął po martini i mogłabym przysiąc, że trzęsą mu się ręce. W tej chwili na dole pojawili się dwaj kelnerzy z restauracji na piętrze. Podali nam jedzenie. Patrzyliśmy w milczeniu, jak z namaszczeniem zastawiają nasz stół. Widok takiej ilości jedzenia przyprawił mnie o mdłości, lecz nie miało to nic wspólnego z tłuszczem ani solą.

– Panie Iwaszkow – zaczęłam, mimo że głos rozsądku w mojej głowie kazał mi natychmiast zamilknąć. – Nie powinien pan obarczać Adriana odpowiedzialnością za decyzje matki, szczególnie że nie miał pojęcia, co ona zamierza. Wiem, że zrobiłby dla niej wszystko. Gdyby mógł temu zapobiec lub zająć jej miejsce, z pewnością by to zrobił.

– Taka jest pani pewna? – Nathan nakładał sobie jedzenie na talerz z wyraźną satysfakcją. Adrian i ja straciliśmy apetyt. – Cóż, panno Sage, z przykrością pozbawię panią złudzeń, ale wydaje się, że pani, podobnie jak wiele młodych kobiet, dała się omamić zdolnościom krasomówczym mojego syna. Zapewniam panią, że nigdy nie zrobił nic, co nie służyłoby w pierwszej kolejności jego interesom. Nie przejawia inicjatywy, nie ma ambicji, nie kończy tego, co zaczął. Od najmłodszych lat bezustannie łamał wszelkie zasady, nigdy nie słuchał tego, co inni mieli do powiedzenia, jeśli nie było mu to na rękę. Nie jestem zdziwiony, że nie zdołał ukończyć college'u, zapewniam panią, że tym razem będzie tak samo, i ledwo udało mu się przebrnąć przez szkołę średnią. Przeszkodą nie był nawet alkohol, dziewczyny ani głupie wysoki... po prostu mu nie zależało. Lekceważył naukę. Tylko nasze wpływy i książeczka czekowa pozwoliły mu uzyskać dyplom. Od tamtej pory konsekwentnie się stacza.

Adrian miał taką minę, jakby dostał policzek. Chciałam go jakoś pocieszyć, ale nawet mną wstrząsnęły słowa Nathana. Adrian był w szoku. Co prawda sam ciągle powtarzał, że ojciec jest nim rozczarowany, ale teraz usłyszał wszystkie pretensje Nathana wypowiedziane bez ogródek. Rozumiałam, co czuje. Miałam podobne doświadczenia.

– Szczerze mówiąc, nawet nie przeszkadza mi tak bardzo, że pije alkohol, bo otumania go i ucisza – ciągnął Nathan z ustami pełnymi koziego sera. – Sądzi pani, że jego matka teraz cierpi? Zapewniam, że jest jej znacznie łatwiej. Ileż to nocy leżała, nie mogąc zasnąć, i zamartwiała się kolejnymi wyczynami synalka! Trzymam go z dala od niej nie ze względu na siebie czy jego, ale ze względu na nią. Przynajmniej teraz nie musi słuchać o jego najnowszych wybrykach. Niewiedza jest błogosławieństwem. Dobrze, że straciła z nim kontakt, zamierzam utrzymać taki stan rzeczy.

Zaproponował mi mięso, jakby nigdy nic, jakby przed chwilą nie poniżył syna.

– Naprawdę warto skosztować. Białko jest zdrowe.

Potrząsnęłam tylko głową, nie znajdując słów.

Adrian wziął głęboki oddech.

– Naprawdę, tato? Przejechałem kawał drogi, żeby się z tobą zobaczyć, prosić o możliwość kontaktu z mamą... i tylko to usłyszę? Że jest jej lepiej beze mnie?

Patrząc na niego, odniosłam wrażenie, że bardzo się stara zachować spokój i rozsądek. Kąśliwe komentarze nic by nie dały i dobrze o tym wiedział.

Nathan był chyba zaskoczony.

– Naprawdę tylko po to chciałeś się ze mną spotkać? – Jego ton sugerował, że powód jest idiotyczny.

Adrian przygryzł wargę, próbował ukryć uczucia. Zaimponował mi.

– Zawsze sądziłem, że może chciałbyś wiedzieć, co porabiam. Usłyszeć, że zająłem się czymś pożytecznym.

Przez chwilę ojciec tylko na niego patrzył. Potem pokrył zmieszanie tym swoim dziwacznym śmiechem.

– Ach. Żartowałeś. A przez chwilę dałem się nabrać.

– Skończyłem – powiedział Adrian.

Błyskawicznie osuszył szklankę, zerwał się z miejsca i ruszył do wyjścia. Nathan nie przerywał posiłku, ale ja także się podniosłam. Gdy byłam w połowie drogi przez pub, usłyszałam, że raczył się jednak odezwać.

– Panno Sage? – W tamtej chwili pragnęłam jedynie wybiec za Adrianem, ale zatrzymałam się i zerknęłam przez ramię na jego ojca. Nathan wyjął portfel i odliczył plik banknotów. – Proszę. Niech pani pozwoli, że zapłacę za paliwo i pani czas.

Wyciągnął pieniądze w moją stronę, a ja omal nie parsknęłam śmiechem. Adrian zmusił się do przyjazdu tutaj z wielu powodów, między innymi także z powodu pieniędzy. Nawet nie miał okazji o nie poprosić, a teraz jego ojciec tak po prostu mi je dawał. Nie poruszyłam się.

– Nic od pana nie chcę – powiedziałam. – Z wyjątkiem tego, by przeprosił pan Adriana.

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc. Chyba nie udawał.

– A za co niby miałbym go przeprosić?

Wyszłam.

Adrian musiał wbiec na górę po schodach albo od razu złapać windę, bo nie widziałam go przed pubem. Rozglądałam się niespokojnie. Zobaczyłam boya hotelowego, więc go przywołałam.

– Przepraszam. Gdzie jest najbliższe miejsce dla palących?

Pokazał mi frontowe drzwi.

– Po drugiej stronie podjazdu.

Podziękowałam mu i wybiegłam na zewnątrz. Nie pomyliłam się. Adrian stał w wyznaczonym miejscu w cieniu drzewka pomarańczowego, oparty o ozdobne ogrodzenie. Właśnie zapalał papierosa. W jednej chwili znalazłam się przy nim.

– Adrian! – wykrzyknęłam. – Dobrze się czujesz?

Zaciągnął się głęboko.

– Na pewno właśnie o to chciałaś zapytać, Sage?

– Przekroczył granicę – oznajmiłam stanowczo. – Nie miał powodów mówić o tobie takich rzeczy.

Adrian znów się zaciągnął i rzucił niedopałek na chodnik. Przygniótł go końcem buta.

– Lepiej wracajmy do Palm Springs.

Obejrzałam się na hotel.

– Powinniśmy ci kupić jakąś wodę. Szybko wypileś tego drinka.

Prawie się uśmiechnął. Prawie.

– Musiałbym wypić znacznie więcej, gdybym miał się od tego rozchorować. Nie zwymiotuję w twoim samochodzie. Słowo. Tylko nie chcę tu sterczeć, bo mogę go znów zobaczyć.

Posłuchałam go i wkrótce znów sunęliśmy autostradą. W San Diego spędziliśmy mniej czasu, niż zabrała nam jazda. Adrian milczał i tym razem nie próbowałam go zabawiać nieistotną rozmową. Wiedziałam, że nic, co powiem, mu nie pomoże. Wątpiłam, czy komukolwiek by się to udało. Rozumiałam go. Czułabym się tak samo, gdyby to mój ojciec publicznie mnie upokorzył. Mimo wszystko chciałam jakoś złagodzić jego ból. Choćby nieznacznie.

Pojawiła się okazja, gdy zobaczyłam małą stację benzynową na rogatek Escondido. Odczytałam reklamę: NAJLEPSZE KOKTAJE W KALIFORNII POŁUDNIOWEJ, TYLKO U NAS W JUMBO JIM'S! Przypomniałam sobie jego żart o przejściu na dietę sokową. Skręciłam z autostrady, chociaż czułam, że się wygłupiam. Czy szklaneczka soku mogła pomóc w takiej sytuacji? Ale musiałam coś zrobić – cokolwiek – by poprawić Adrianowi humor. Chyba nawet nie zauważył, że się zatrzymaliśmy, dopóki nie wysiadłam.

– Co jest? – spytał, otrząsając się z ponurych rozmyślań. Smutek na jego twarzy łamał mi serce. – Mamy pół baku.

– Zaraz wracam – oznajmiłam.

Wróciłam po pięciu minutach z kubkami w obu rękach. Jakoś udało mi się zapukać w szybę. Wysiadł szczerze zaciekawiony.

– O co chodzi?

– Dostawa – oznajmiłam. – Wiśniowy dla ciebie. Ale musisz wypić na miejscu. Nie będę ryzykowała płam w samochodzie.

Adrian zamrugał kilka razy, jakbym była mirażem.

– Co to ma być? Impreza na pocieszenie? Bo jestem tak żałosny?

– Nie jesteś najważniejszy – ofuknęłam go. – Zobaczyłam reklamę

i zachciało mi się pić. Pomyślałam, że może też masz ochotę. Jeśli nie, wypiję swoją porcję, a twoją wyrzucę.

Zdażyłam zrobić ledwie krok, a Adrian sięgnął po kubek. Oparliśmy się oboje o samochód i popijaliśmy chwilę w milczeniu.

– Nooo – mruknął Adrian, kiedy byliśmy w połowie. W jego oczach pojawił się błysk. – Już zapomniałem, jakie to dobre. Jaki wzięłaś dla siebie?

– Niebieska malina.

Kiwnął głową i głośno siorbnął. Wciąż był w ponurym nastroju i wiedziałam, że taki drobiazg nie zatrze wrażenia po słowach wypowiedzianych przez jego ojca. Mogłam tylko mieć nadzieję, że Adrian choć na chwilę się rozpogodzi.

Wkrótce dopiliśmy napoje i wyrzuciliśmy kubeczki do kubła na śmieci. Kiedy wróciliśmy do Latte, Adrian westchnął ze znużeniem i potarł oczy.

– Boże, ależ to pyszne. Właśnie tego potrzebowałem. Zdaje się, że martini jednak uderzyło mi do głowy. Miło, że zdecydowałaś się wypić coś innego niż kawę.

– Wiesz, że gdyby tylko mieli tu koktajl owocowy o kawowym smaku, natychmiast bym go zamówiła.

– To obrzydliwe. – Adrian się skrzywił. – Nie ma na świecie dostatecznie dużo cukru, żeby choć w przybliżeniu... – Urwał i zerknął na mnie ze zdumieniem. Był tak wstrząśnięty, że zrezygnowałam z manewru i z powrotem wprowadziłam wóz na parking.

– Co się stało? – spytałam.

– Ten koktajl. Zawiera dziewięćdziesiąt procent cukru, a ty go wypijaś, Sage. – Milczałam, a on uznał, że nie rozumiałam. – Przed chwilą wypijaś rozpuszczony cukier.

– Chyba ty – sprzeciwiłam się. – Mój napój był niesłodzony. – Miałam nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco.

– Och. – Nie wiedziałam, czy poczuł ulgę, czy raczej rozczarowanie. – Ale mnie wystraszyłaś.

– Przecież mnie znasz.

– Tak. Chyba tak. – Adrian znów popadł w melancholijny nastrój. Miła chwila minęła bezpowrotnie. – Wiesz, co było w tym najgorsze?

Zrozumiałam, że wracamy do tematu jego ojca.

– Co?

– Mogłem się spodziewać, że odmówi mi pieniędzy albo że nie uwierzy, iż ukończę ten college. Z tym bym się pogodził. Przywykłem do jego złośliwości. Ale zabolalo mnie to, że naprawdę zniszczyłem życie mojej mamie.

– Absolutnie się z tym nie zgadzam – odparłam, wstrząśnięta, że w to uwierzył. – Jak słusznie zauważyłeś, nadal kochamy tych, którzy popełniają błędy. Jestem pewna, że mama także cię kocha. Ale to coś, o czym powinieneś porozmawiać z nią, nie z ojcem.

Kiwnął głową.

– Pozostaje jeszcze coś... Powiedział to wszystko przy tobie.

Dla mnie to też był szok, ale starałam się o tym nie myśleć. Za to teraz zdziwiłam się, że Adrianowi zależało na mojej opinii. Niby dlaczego?

– Tym się nie przejmuj. Przywykłam do obcesowych zachowań.

– Nie, nie... Nie rozumiesz... – Adrian spojrział na mnie i szybko spuścił wzrok. – Po tym, co o mnie nagadał, nie mogę znieść myśli, że uznasz mnie za gorszego, niż jestem.

Tak mnie zaskoczył, że nie mogłam znaleźć słów. Kiedy wreszcie się pozbierałam, wypowiedziałam pierwszą myśl, jaka mi przyszła do głowy.

– Bzdura. – Nadal unikał mojego wzroku, jakby mi nie uwierzył. – Adrian. – Położyłam rękę na jego dłoni i poczułam ciepło jego skóry. Poderwał głowę zdumiony. – Cokolwiek by powiedział, nie zmieniałabym zdania o tobie. Już dawno cię oceniłam w myślach... Bardzo pozytywnie.

Adrian opuścił głowę i zapatrzył się na nasze dłonie. Zarumieniłam się i cofnęłam rękę.

– Przepraszam.

Chyba go wystraszyłam.

Znów na mnie spojrział.

– To najlepsze, co mi się dziś przydarzyło. Jedźmy.

Wróciliśmy na autostradę, a ja próbowałam się uporać z dwoma faktami. Po pierwsze z łaskotaniem i ciepłem, jakie wciąż czułam w



miejscu, gdzie moja dłoń zetknęła się z jego ręką. Zabawne. Ludzie zazwyczaj myślą, że wampiry są zimne, ale to nieprawda. W każdym razie w odniesieniu do Adriana. Czas płynął i to wrażenie ciepła zaczynało zanikać, a ja żałowałam, że tak się dzieje.

Drugim problemem był dla mnie cukier, którego sporą dawkę sobie zaserwowałam. Raz po raz przesuwałam językiem po zębach. Miałam usta pełne słodyczy, co przyprawiało mnie o mdłości. Chciałam jak najszybciej umyć zęby i wypić całą butelkę płynu do ust. Płynny cukier. Nie miałam najmniejszej ochoty pić koktajlu, ale gdybym przyniosła porcję tylko dla Adriana, uznałby to za przejaw współczucia. Musiałam udawać, że kupiłam porcję przede wszystkim sobie, a jemu tylko dla towarzystwa. Zdaje się, że uwierzył w moje kłamstewko o niesłodzonym napoju, chociaż wizyta na stacji benzynowej uświadomiłaby mu, że Jumbo Jim nie oferował soków bez cukru.

Pytałam, wyśmiali mnie.

Myślałam ponuro, że rezygnacja z lunchu nie pomoże mi się uporać z nadmiarem kalorii. W dodatku na pewno na długo pozostanie mi w ustach ta obrzydliwa słodycz. Równie szybko jak Adrian ponownie pogрузił się w przygnębieniu, ja poczułam się głupio, że wpadłam na ten pomysł. Koktajl owocowy z kruszonym lodem nie zmieni tego, co powiedział Nathan, za to mnie przybędzie jutro pół kilograma wagi. Chyba nie było warto.

Po chwili wróciłam myślami do momentu, gdy staliśmy obok siebie przy samochodzie i Adrian wydawał się zadowolony. Powiedział: „Boże, ależ to pyszne. Tego mi było trzeba”.

Krótką chwilą wytchnienia pomimo rozpacz. Tego dla niego pragnęłam i udało się. Czy było warto? Potarłam koniuszki palców i poczułam to ciepło.

„Tak – zdecydowałam. – Było warto”.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

WCIAŻ ROZMYŚLAŁAM o naszej wycieczce do San Diego, chociaż wiedziałam, że to nie moja sprawa. Nie miałam obowiązku opiekować się Adrianem, polecono mi jedynie troszczyć się o bezpieczeństwo Jill i innych w Amberwood. Mimo to nie mogłam zapomnieć ani nieprzyjemnej konfrontacji z Nathanem, ani wyrazu twarzy Adriana. Poczułam się jeszcze gorzej, gdy w poniedziałek rano zmartwiony Eddie podszedł do mnie podczas śniadania, by porozmawiać o Jill.

– Coś jest z nią nie tak – obwieścił.

Natychmiast popatrzyłam na kolejkę przy ladzie, w której Jill czekała z pustą tacą. Miała nieobecne spojrzenie, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie jest. Nie potrzebowałam magicznych zdolności czytania aury, by dostrzec, że jest głęboko nieszczęśliwa.

– Micah też to zauważył – dorzucił Eddie. – Zastanawiamy się, co ją tak przygnębiło. Czyżby ta sprawa z Lią? A może w szkole znów ktoś ją dręczy?

Już nie wiedziałam, o kogo bardziej się martwię: Adriana, Jill czy Eddiego. Chłopak cierpiał niemal tak samo jak Jill.

„Och, Eddie – pomyślałam. – Dlaczego wciąż to sobie robisz?”

Martwił się o nią, lecz nie ośmielał się podejść, by ją pocieszyć.

– Z Jill jest wszystko w porządku. To Adrian przeżywa ciężkie chwile, a ona odbiera jego uczucia poprzez więź.

Nie zagłębiałam się w szczegóły. To była jego prywatna sprawa.

Po twarzy Eddiego przemknął cień.

– To niesprawiedliwe, że Jill musi znosić jego nastroje.

– Czy ja wiem? – mruknęłam. – Dzięki niemu żyje.

Do tej pory nie oswoiłam się z myślą, że Adrian posłużył się mocą ducha, by wskrzesić Jill. Alchemicy wpoili mi przekonanie, że podobne praktyki są godne potępienia. Inne przejawy magii morojów bładły przy takim czynie, który kojarzył się z tym, co robiły strzygi, by zyskać nieśmiertelność. Z drugiej strony, wystarczyło, bym spojrzała na radosną i pełną życia Jill, by uznać, że Adrian postąpił słusznie. Naprawdę miałam o nim dobre zdanie, dokładnie tak jak mu powiedziałam.

– Możliwe – przyznał Eddie. – Chciałbym tylko, by jakoś się na niego uodporniła. Albo żeby on sam zapanował nad swoimi nastrojami.

Potrząsnęłam głową.

– O ile wiem, zawsze miał z tym kłopot, na długo przed incydem z Jill.

Rozmyślałam jednak o tej rozmowie przez cały dzień, zastanawiając się, co zrobić, by Adrian był szczęśliwszy. Oczywiście nie mogłam mu znaleźć innego ojca. Sama chętnie wymieniłabym swojego, gdyby to było możliwe. Soki z kruszonym lodem też nie zapewniały długotrwałej poprawy nastroju, zwłaszcza że wciąż jeszcze nie doszłam do siebie po pierwszej degustacji. W końcu wpadł mi do głowy pewien pomysł, ale niełatwo było go wprowadzić w życie. Zdawałam sobie sprawę, że moi zwierzchnicy byliby temu przeciwni, więc postanowiłam nie wspominać o nim w mailach ani w żadnych dokumentach. Wiedząc, że tego dnia i tak nie zdołam niczego załatwić, postanowiłam odłożyć sprawę na później. Poza tym, kto wie? Może Adrian samodzielnie otrząśnie się po spotkaniu z ojcem?

Moje nadzieje wzrosły, gdy zobaczyłam Jill nazajutrz na szkolnej akademii. Akademie były dla mnie nowością – od początku roku urządzono nam już dwie. Najpierw powitalną, w pierwszym tygodniu zajęć, a potem kolejną, na cześć drużyny futbolowej z okazji otwarcia sezonu. Tego dnia zapowiedziano akademię, czy raczej konferencję, z motywem przewodnim „Zdrowe style życia”. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać ani dlaczego z tego powodu pozbawiono mnie lekcji chemii.

Usiedliśmy w sali gimnastycznej klasami, więc Jill i ja zostałyśmy rozdzielone rzędami ławek. Wykręcałam szyję, żeby ją zobaczyć, i odkryłam, że ma miejsce z przodu, obok Angeline i kilkorga przyjaciół Micaha. Chętnie przyjęli ją do swego grona, gdy ją lepiej poznali, co mnie nie zdziwiło, bo Jill była miłą dziewczyną. Nawet Laurel, panna, która z początku lubiła ją dręczyć, teraz odnosiła się do mojej podopiecznej dużo życzliwiej. Angeline powiedziała coś, co rozśmieszyło Jill, i dziewczyna zachichotała beztrąsko. Stwierdziłam, że jej nastrój znacznie się poprawił, i to podniosło mnie na duchu. Może jednak Adrian poradził sobie z urazą do ojca?

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu jest grane? – spytałam.

Eddie i Micah siedzieli po mojej jednej stronie, a Trey po drugiej.

– Przyjechał zespół, który odwiedza szkoły i urządza prezentacje na temat narkotyków i bezpiecznego seksu – powiedział Micah. Udzielał się w samorządzie szkolnym, więc nie zdziwiłam się, że jest dobrze poinformowany.

– Wielkie tematy – mruknęłam. – A zdaje się, że mają na to tylko godzinę? Niewiele uda im się opowiedzieć w tak krótkim czasie.

– To będzie ogólna prezentacja – wtrącił Trey. – Nie urządzają nam tu seminarium.

– Hm... – Zastanowiłam się. – A powinni.

– Przegapiliśmy coś? – Julia i Kristin precyzyjnie się w tłumie i usiadły między mną a Treyem. Trey nie protestował.

– Usiłujemy objaśnić Sydney cel naszego spotkania – powiedział.

– Sądziłam, że chodzi o to, żeby zerwać się z lekcji – odparła Julia. Kristin przewróciła oczami.

– Chodzi o to, byś się przekonała, co straciłaś, ucząc się w domu, Sydney.

Nic nie mogło mnie przygotować na to widowisko – nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że istotne społeczne kwestie można przedstawić w formie musicalowej. Zespół nosił nazwę Wygłupasy, przez co omal nie wyszłam z imprezy. Przed każdą piosenką udzielano nam krótkiej i niejasnej informacji na dany temat lub – co gorsza – odgrywano skecze. Te krótkie wykłady niezmiennie zaczynały się od słów: „Hej, dzieciaki!”.

Pierwsza piosenka nosiła tytuł *Heroina się mnie nie ima*, co usłyszawszy, wyjęłam pracę domową z matematyki.

– Daj spokój. – Eddie się roześmiał. – Nie jest tak źle. Poza tym ludzie powinni coś wiedzieć na ten temat.

– Otóż to. – Nawet nie podniosłam głowy znad zeszytu. – Siłą się na niewybredne żarty, trywializując kwestie wymagające poważnej rozmowy.

Spojrzałam na scenę tylko raz, gdy Wygłupasy zajęły się kwestią szkodliwości alkoholu. Usłyszałam beznadziejny fragment tekstu: „Nie słuchaj, co ci mówią kumple, wódka zniszczy ci życie”.

– Uch. Dosyć tego – wymamrotałam.

Znów obejrzałam się na Jill. Obserwowała show ze szczerym niedowierzaniem i nadal nie wyczuwałam w niej rozpaczy ani smutku. Coś mi mówiło, że znam przyczynę tej zmiany nastroju. Adrian wcale nie uporał się z przygnębieniem. Najprawdopodobniej pił, żeby je zagłuszyć. Zdarzało się, że Jill odczuwała skutki jego pijaństwa – tym razem głośno chichotała – ale alkohol skutecznie blokował przepływ informacji między nimi. Dobrze, że Adrian oszczędził Jill skutków swojej depresji, a z drugiej strony mogła później cierpieć z powodu kaca.

Wyglupasy litościwie dobrnęły do końca ostatniej piosenki, wielkiego numeru na cześć zdrowego i radosnego trybu życia. Próbowali wyciągać z widowni uczniów do tańca, co wzbudzało różne reakcje. Niektórzy po prostu stawali zawstydzeni i odliczali sekundy do końca. Inni – szczególnie ci, którzy zwykle zabiegali o uwagę – wyglupiali się jak szaleni.

– Sydney.

Ostrzegawczy ton Eddiego kazał mi poderwać głowę znad podręcznika. Sądząc, że coś się stało z Jill, natychmiast wypatrzyłam ją w tłumie. Ale to nie ona miała kłopoty. Jeden z członków zespołu usiłował wyciągnąć na scenę Angeline i chwycił ją za rękę. Dziewczyna stanowczo pokręciła głową, ale aktor nie dawał się zbyć. Angeline potrafiła odprawiać najdziksze tańce w lasach Wirginii Zachodniej, ale wiedziałam, że tu nie czuła się swobodnie.

Szczerze mówiąc, to, co się potem wydarzyło, nie było do końca jej winą. Ten chłopak powinien był odpuścić, gdy mu odmówiła, ale za bardzo przejął się rolą. Jakimś cudem podniósł ją z miejsca i wtedy Angeline wyraźnie dała upust swojemu niezadowoleniu.

Uderzyła go.

Stanowiło to swojego rodzaju osiągnięcie, bo facet był jakieś trzydzieści centymetrów wyższy od niej. Podejrzywałam, że to Eddie nauczył ją obezwładniać wyższych morojów. Chłopak zachwiał się i runął na podłogę. Usłyszałam cichy jęk siedzących w pobliżu uczniów, ale aktorzy nadal śpiewali i tańczyli. Incydent zauważyła tylko jedna osoba na scenie – gitarzystka. Podbiegła do leżącego kolegi, ale widać znalazła się za blisko Angeline, bo ta i jej przyłożyła.

– Eddie, zrób coś! – zawołałam.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Niby co? Nie przedrę się do niej.

Miał rację. Dzieliło nas kilka przepelnionych rzędów. Mogłam się tylko bezradnie przyglądać widowisku. Muzycy zorientowali się już, że stało się coś okropnego, i kolejno przerywali grę, aż zapadła zupełna cisza. Tymczasem podbiegli nauczyciele i odciągnęli Angeline. Dampirzyca miała nieprzytomne spojrzenie, jak zwierzę schwytane w pułapkę, które pragnie tylko uciec. Unieruchomiono ją, ale zdążyła jeszcze cisnąć głośnikiem w wokalistkę (chybiła) i wymierzyć cios nauczycielowi techniki.

Trey pochylał się do przodu z rozdziawioną buzią.

– To twoja kuzynka? No, no.

Nie zadałam sobie trudu, by mu odpowiadać. Myślałam tylko o tym, jak zatuszować tę awanturę. Bójki były w szkole surowo zabronione. Nie umiałam sobie wyobrazić, jaką karę dostanie Angeline za czynną napaść.

– Położyła trzy osoby dwukrotnie wyższe od niej! – wykrzyknęła Kristin. – Naprawdę ich powaliła. Znokautowała.

– Tak, wiem – przyznałam ze smutkiem. – Też tu jestem. Widziałam wszystko.

– Ale jak jej się to udało? – zdumiała się Julia.

– Nauczyłem ją kilku chwytów – wyjaśnił Eddie z niedowierzaniem.

Nie zdziwiłam się, że Angeline nie odesłano do dormitorium. Pomaszerowała prosto na dywanik do dyrektorki i wicedyrektora. Po takim wyczynie pewnie uznali, że będą bezpieczniejsi we dwójkę. Może z polecenia pani Weathers, a może dlatego, że tak trudno było skontaktować się z naszymi wymyślonymi rodzicami oraz rodzicami „kuzynki” Angeline, poproszono mnie, bym wzięła udział w tej rozmowie.

Zdążyłam podsunąć jej kilka krótkich i rzeczowych rad.

– Masz okazać skruchę i przeprosić – powiedziałam, gdy czekałyśmy przed gabinetem.

– Co znaczy skrucha?

- Przyznanie się do winy.
- To dlaczego nie mówisz od razu...
- Poza tym – ciągnęłam – jeśli będą cię naciskać, powiesz, że byłaś oszołomiona i wpadłaś w panikę. Nie wiesz, co cię napadło.
- Ale ja nie...
- I nie powiesz, że facet był idiotą ani nic podobnego.
- Ale on był...
- Najlepiej w ogóle się nie odzywaj niepytana. Pozwól mi to załatwić, zrobię to szybko.

Angeline najwyraźniej wzięła sobie to do serca, bo skrzyżowała ramiona i zgromiła mnie wzrokiem, nie odzywając się już ani słowem.

Kiedy weszliśmy do gabinetu, dyrektorka i jej zastępca – pani Welch i pan Redding – siedzieli po tej samej stronie biurka. Ramię w ramię reprezentowali wspólny front. Pomyślałam, że boją się o swoje życie.

– Panno McCormick – zaczęła pani Welch. – Chyba pani wie, że zachowała się nad wyraz nagannie. – McCormick było fałszywym nazwiskiem przybranym przez Angeline na czas pobytu w Amberwood.

– W tej szkole nie tolerujemy stosowania przemocy, a tym bardziej bójek – dodał pan Redding. – Dbamy o bezpieczeństwo wszystkich uczniów i oczekujemy, że będziecie się stosowali do panujących zasad. Żadne z pani dotychczasowych wykroczeń nie może się równać z tym, czego dopuściła się pani dzisiaj.

– I nawet gdyby nie miała pani na koncie wcześniejszych wybryków, sprawa i tak byłaby oczywista – wtrąciła dyrektorka. – Nie ma dla pani miejsca w Amberwood.

Żołądek mi się skurczył. Więc relegacja. Stróże nie przejmowali się specjalnie edukacją swoich dzieci. Angeline ledwo by sobie poradziła w przeciętnej szkole średniej. W Amberwood musiała uczestniczyć w zajęciach wyrównawczych, a fakt, że w ogóle przyjęto ją do tej ekskluzywnej placówki, graniczył z cudem. Relegacja była wprawdzie mniejszym złem niż ryzyko, że ktoś się zainteresuje, jak ta drobna dziewczyna zrobiła krzywdę dryblasowi, ale nie tego chciałam. Moi zwierzchnicy na pewno zapytają, dlaczego nie zorientowałam się, że szkoła tak działa na Angeline, a ja mogłam tylko się tłumaczyć, że byłam

zbyt zajęta chodzeniem na randki i pomaganiem wampirom, których los powinien mi być obojętny.

– Chciałaby pani coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, zanim powiadomimy rodziców? – spytała pani Welch. Wraz z panem Reddingiem patrzyła wyczekująco na dziewczynę.

Przygotowałam się w myślach na chaotyczną przemowę. Tymczasem Angelinie udało się przywołać kilka łez, które, przyznaję, wyglądały na wyraz skruchy.

– Ja... wpadłam w panikę – wymamrotała. – Nie wiem, co mi się stało. Tak wiele się działo, a ten chłopak naprawdę mnie przestraszył. Poczułam się zagrożona. Chciałam tylko, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju i...

Prawie mnie przekonała, pewnie dlatego, że w jej zeznaniu było ziarno prawdy. Angeline, chociaż nastawiona wojowniczo, czuła się w szkole zagubiona. Kręciło się tu więcej ludzi niż w jej górskiej osadzie i podczas pierwszego tygodnia musieliśmy na zmianę eskortować ją do klasy, tak czuła się oszołomiona. Naprawdę powinnam była bardziej o nią zadbać.

Pan Redding zrobił lekko współczującą minę, ale nie zmienił zdania.

– Z pewnością przeżyłaś trudne chwile, ale to nie powód, by tak się zachowywać. Poturbowałaś trzy osoby i zniszczyłaś kosztowny sprzęt audiowizualny. To doprawdy nieodpowiednie zachowanie.

Łagodnie mówiąc.

Byłam zmęczona tą oficjalną pogawędką i postanowiłam załagodzić sprawę, zanim przyjmie jeszcze bardziej niekorzystny obrót. Pochyliłam się do nich.

– Wiedzą państwo, co również było niewłaściwym zachowaniem? Fakt, że trzydziestoletni mężczyzna, bo tyle lat ma ten aktor, chociaż stara się wyglądać i zachowywać jak nastolatek, chwyta piętnastolatkę za rękę wbrew jej woli. Szarpał ją, mimo że wyraźnie nie miała ochoty wyjść na scenę. Zresztą w ogóle nie miał prawa jej dotknąć! Moja kuzynka chodzi do młodszej klasy. Gdyby tak potraktował ją nauczyciel, zostałby zwolniony z pracy. Czytałam przepisy, z którymi zapoznają się nauczyciele obejmujący posadę. – Robiłam to, bo chciałam się



przekonać, czy panna Terwiliger mnie wykorzystuje. – Nauczycielom wolno dotknąć ucznia tylko w wypadku konieczności udzielenia mu pomocy medycznej bądź w celu rozdzielenia walczących. Oczywiście mogą państwo stwierdzić, że ten człowiek nie jest nauczycielem ani nie został przez was zatrudniony, ale to szkoła zaprosiła muzyków i to szkoła jest zobowiązana zapewnić nam bezpieczeństwo w trakcie podobnych występów. Jesteście prywatną instytucją, lecz jestem pewna, że kalifornijski wydział oświaty miałby wiele do powiedzenia na temat tego, co tu się dzisiaj wydarzyło, podobnie jak ojciec Angeline, który jest prawnikiem. – W rzeczywistości był przywódcą zgrai wampirów żyjących na górskim odludziu i miał kilka żon. Patrzyłam na przemian na panią Welch i pana Reddinga. – Zatem czy będziemy renegocjowali państwa stanowisko?

Angeline była w szoku, gdy nareszcie wyszliśmy z gabinetu i wracaliśmy razem do dormitorium.

– Zawieszona! – wykrzykiwała, nazbyt radośnie jak na mój gust. – Naprawdę tylko opuszczę lekcje? To brzmi jak nagroda.

– Będziesz musiała uzupełnić wszystkie zaległości – ostrzegłam ją. – I nie wolno ci opuszczać dormitorium. Nawet nie myśl o wykradaniu się, bo wtedy na pewno cię wyrzucą i już nie zdołam cię uratować.

– Mimo wszystko – stwierdziła, podskakując – łatwo poszło.

Stałam przed nią, zmuszając ją, by spojrzała mi w oczy.

– Nie było łatwo. Użyłam fortelu. Do tej pory regularnie łamałaś wszelkie reguły panujące w tej szkole, ale dzisiaj przeszłaś samą siebie. Nie jesteś w domu. Możesz ledwie pomyśleć o walce, jeśli Jill znajdzie się w bezpośrednim zagrożeniu. Przyjechałaś tutaj, by ją chronić. Nie możesz robić, co ci się żywnie podoba. Twierdziłaś, że pragniesz zostać strażniczką. Jeśli cię wyrzucą – a to naprawdę cud, że jeszcze tego nie zrobili – bezpieczeństwo Jill będzie zagrożone. Więc kontroluj swoje zachowanie albo pakuj walizki. I na litość boską, daj wreszcie spokój Eddiemu.

Przez cały czas patrzyła na mnie z urazą, ale ostatnia uwaga zbiła ją z pantafelku.

– Co masz na myśli?

– Bez przerwy mu się narzucasz.

Zmarszczyła nos.

– Tak się daje chłopakowi do zrozumienia, że ci się podoba.

– Może wśród dzikusów! Ale tutaj trzeba umieć zachowywać się jak odpowiedzialna istota ludzka. Dampir. Nieważne. On ma ciebie dosyć! Poza tym uchodźcie za kuzynów. Chcesz nas zdemaskować?

Angeline opadła szczęką.

– On... ma mnie dosyć?

Omal nie zrobiło mi się jej żal. Była tak wstrząśnięta, że chyba naprawdę nie zdawała sobie sprawy, iż doprowadza Eddiego do pasji. Ale w tej chwili ja też się wściekłam i nie miałam dla niej współczucia. Na początku, kiedy tu przyjechaliśmy, Jill sprawiała kłopoty. Ale gdy w końcu zapanował spokój, zagroziła mu Angeline. W przeciwieństwie do Jill nie zdawała sobie z tego sprawy, a ja nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle.

Zostawiłam zdenerwowaną i sfrustrowaną Angeline w jej pokoju. Spotkanie z Jill utwierdziło mnie w przekonaniu, że Adrian zaczął pić. Miałam ich powyżej uszu i szukałam pretekstu, żeby chociaż na krótko wyrwać się z kampusu. Brayden pytał, czy mam ochotę z nim wyjść, ale odmówiłam. Wysłałam mu esemesa: „Dzisiaj nie mogę. Sprawy rodzinne”, a potem pojechałam do Clarence’a.

Zadzwoiłam wcześniej, by się upewnić, że Dymitr i Sonia są w domu, bo nie miałam ochoty na pogawędkę w cztery oczy ze starym morojem. Nie było go, gdy przyjechałam. Dymitr i Sonia ślęczeli nad próbkami wyschniętej krwi, zastanawiając się, co robić dalej.

– Chętnie posłużyłabym się krwią strzygi i sprawdziła, czy zareaguje, gdy zastosuje się moc ducha – mówiła Sonia. – Mógłbyś mi to załatwić?

– Z radością – odparł Dymitr.

Zauważyli mnie. Sonia podniosła głowę i zapytała:

– Coś się stało?

Nawet nie pytałam, skąd wiedziała. Moja twarz pewnie mówiła sama za siebie.

– Angeline wdała się w bójkę z grupą muzyków występującą w szkole.

Dymitr i Sonia popatrzyli na siebie.

– Chyba powinniśmy coś przegryźć – zauważył Dymitr i sięgnął po kluczyki. – Przejedźmy się do miasta.

Nigdy nie sądziłam, że ucieszy mnie wspólny wypad z morojką i dampirem. Był to kolejny znak, że zrobiłam postępy, chociaż alchemicy uznaliby to zapewne za dowód mojego upadku. W porównaniu z resztą moich podopiecznych Dymitr i Sonia wydawali się opanowani i zrównoważeni. Dobrze się czułam w ich towarzystwie.

Streściłam im przebieg wypadków i zdradziłam, jakiego użyłam fortelu. Sonia była ubawiona.

– Sprytnie – oceniła, okręcając spaghetti na widelcu. – Może powinnaś studiować prawo.

Dymitr miał poważną minę.

– Angeline dostała zadanie. Chciała się wyrwać od stróżów i przysięgała, że każdą minutę poświęci ochronie Jill.

– Przeżyła tu jednak szok kulturowy – mruknęłam, nie wiedząc, dlaczego właściwie jej bronię. – Poza tym trzeba było widzieć tych muzyków... Sama pewnie bym im przyłożyła, gdyby to mnie usiłovali wciągnąć na scenę.

– A jednak to niedopuszczalne – upierał się Dymitr. Dawniej był nauczycielem walki. Mogłam go zrozumieć. – Powierzono jej misję, zachowała się bardzo nieodpowiedzialnie.

Sonia posłała mu znaczący uśmiech.

– A sądziłam, że masz słabość do niespokojnych młodych dziewcząt.

– Rose nigdy by tak nie postąpiła – sprzeciwił się. Ale zaczął się nad czymś zastanawiać i mogłabym przysiąc, że dostrzegłam na jego twarzy cień uśmiechu. – W każdym razie nie w miejscu publicznym.

Kiedy wyczerpaliśmy już temat Angeline, przeszłam do prawdziwego celu mojej wizyty.

– Nie prowadzicie dziś eksperymentów?

Sonia straciła dobry humor.

– Ach. Niezupełnie. Trochę posiedzieliśmy nad notatkami, bo Adrian nie jest... nie jest w stanie podjąć pracy w tym tygodniu. Nie chodzi też na wykłady.

Dymitr kiwnął głową.

– Pojechałem do niego. Ledwo zdołał otworzyć drzwi. Nie mam pojęcia, co wypił, ale musiało tego być sporo. – Biorąc pod uwagę ich konflikt, spodziewałam się, że Dymitr okaże niechęć wobec słabości Adriana. Ale on wydawał się rozczarowany, jakby oczekiwał po nim więcej.

– Właśnie o tym chciałam z wami porozmawiać – oświadczyłam. Niewiele zjadłam i nerwowo rozrywałam bagietkę. – Obecny nastrój Adriana nie jest do końca jego winą. To znaczy jest, ale mogę go zrozumieć. Pamiętajcie, że podczas weekendu widzieliśmy się z jego ojcem? Cóż... to nie było udane spotkanie.

W ciemnych oczach Dymitra pojawił się błysk zrozumienia.

– Nie jestem zaskoczony. Nathan Iwaszkow nie ma łatwego charakteru.

– Sprawił, że wszystkie ostatnie starania Adriana wydały się bez znaczenia. Próbowałam go bronić, ale pan Iwaszkow nie chciał mnie słuchać. Dlatego pomyślałam, że może wam uda się mu pomóc.

Sonia nie kryła zaskoczenia.

– Chętnie pomogłabym Adrianowi, lecz coś mi mówi, że Nathan nie będzie zainteresowany tym, co mamy do powiedzenia.

– Nie o tym myślałam. – Odłożyłam pieczywo i rozsypałam okruszki na talerzu. – Oboje przyjaźnicie się z królową. Może ona wyjaśniłaby ojcu Adriana, że... sama nie wiem. Bardzo wam pomaga. Oczywiście nie może zdradzić, czym się zajmujecie, ale wystarczy, jeśli podkreśli wagę jego zadania. Pan Iwaszkow nie chce słuchać syna ani nikogo innego, ale musi potraktować poważnie słowa królowej. O ile ona zgodzi się interweniować.

Dymitr się zamyślił.

– Och, z pewnością. Zawsze miała do niego słabość. Jak wszyscy.

– Nie – zaperzyłam się. – Wcale nie wszyscy. Część osób go potępia i uważa za nicponia, tak jak jego ojciec. Inni po prostu wzruszają ramionami, pobłażliwie powtarzając: „Cóż, taki jest Adrian”.

Sonia przyjrzała mi się z uwagą i lekkim rozbawieniem.

– A ty?

– Nie uważam, że trzeba go niańczyć ani lekceważyć. Mógłby dokonać wielkich rzeczy, gdyby czuł, że ktoś w niego wierzy.

Sonia nie odpowiedziała od razu, przyglądała mi się, aż poruszyłam się niespokojnie. Nie lubiłam, gdy tak na mnie patrzyła. Tu nie chodziło wyłącznie o aury. Ona zaglądała w moje serce i duszę.

– Porozmawiam z Lissą – oznajmiła w końcu. – Jestem pewna, że Dymitr także to zrobi. Tymczasem miejmy nadzieję, że jeśli posłuchamy twojej rady i uwierzymy w trzeźwość Adriana, on stanie na wysokości zadania.

Płaciliśmy rachunek, gdy zadzwonił telefon Dymitra.

– Halo? – powiedział i nagle jego twarz całkowicie się zmieniła. Złagodniała. Rozpromienił się. – Nie, nie. Ty zawsze dzwonisz w porę, Roza. – Cokolwiek usłyszał w odpowiedzi, kazało mu się uśmiechnąć.

– To Rose – wyjaśniła mi Sonia. Wstała. – Dajmy im chwilę prywatności. Przejdziemy się?

– Jasne – odparłam i również się podniosłam. Na dworze zapadał zmierzch.

– Kilka przecznic dalej jest sklep z kostiumami, do którego chciałam zajrzeć.

Sonia zerknęła na Dymitra.

– Przyjdiesz tam do nas? – spytała szeptem. Skinął szybko głową. Kiedy wyszliśmy na ciepłe wieczorne powietrze, roześmiała się. – Ach ci dwoje. W walce są śmiertelnie niebezpieczni. Gdy są razem, miękną.

– Czy tak samo jest z tobą i Michałem? – spytałam, myśląc, że Brayden i ja z pewnością nie miękniemy, chociaż naprawdę dobrze czułam się w jego towarzystwie.

Znów się roześmiała i spojrzała na niebo zabarwione odcieniami pomarańcza i błękitu.

– Niezupełnie. Każdy związek jest inny. Każdy kocha inaczej. – Długo milczała, zanim znów się odezwała. – To miłe, co postanowiłaś zrobić dla Adriana.

– Niczego nie postanawiałam – zaprzeczyłam. Weszliśmy na tłumną ulicę oświetloną wystawami sklepów wyposażonych w zraszacze dla ochłody rozgrzanych klientów. Skrzywiłam się, widząc, co krople wody robią z moją fryzurą. – Po prostu musiałam mu pomóc. Nie zasłużył na takie traktowanie. Nie wyobrażam sobie, jak mógł to znosić całe życie. Uwierzyłabyś, że najbardziej przejął się tym, co ja teraz o

nim pomyśle?

– Szczerze mówiąc – odparła miękko Sonia – uwierzyłam od razu.

W sklepie z kostiumami były jeszcze stroje na Halloween, ale zostało ledwie dziesięć minut do zamknięcia. Sonia chodziła między wieszakami bez celu, a ja od razu skierowałam się do działu historycznego. Znalazłam tylko jeden strój w stylu greckim: prostą białą tunikę ze złotym plastikowym paskiem. Ukłękłam, żeby ją dokładniej obejrzeć. Rozsunęłam folię i dotknęłam materiału. Był tani, zapewne łatwopalny. Poza tym przebranie miało rozmiar XL, a ja nie wiedziałam, czy Jill nauczyła się wystarczająco dużo na kółku krawieckim, żeby je zmniejszyć. Do imprezy pozostał niecały tydzień, miałam ograniczone możliwości.

– Nie do wiary! – usłyszałam obok. – Czyż nie obraziłaś mnie wystarczająco i musisz jeszcze sięgać po te śmieci?

Nade mną stała Lia Di Stefano. Gęste loki przewięzała jaskrawoczerwoną wstążką, a bufiaste rękawy przypominały na jej drobnych ramionach skrzydła. W podkreślonych kredką oczach spostrzegłam dezaprobatę.

– Śledzisz mnie? – spytałam, wstając. – Natykam się na ciebie podczas każdej wizyty w mieście.

– Gdybym cię śledziła, nie pozwoliłabym ci postawić nogi w tym miejscu. – Pokazała palcem kostium. – Co to ma być?

– Mój kostium na Halloween – wyjaśniłam. – Wystąpię jako Greczynka.

– Nawet nie jest w odpowiednim rozmiarze.

– Dam go do przeróbki.

Zgromiła mnie wzrokiem.

– Jestem tak oburzona, że nie wiem, od czego zacząć. Chcesz grecką suknię? Uszyję ci. Porządną. Nie tak koszmarną. Mój Boże. Ludzie wiedzą, że się znamy. Jeśli cię w tym zobaczą, pożegnaj się z karierą.

– Tak jakby mój strój na szkolnej potańcówce mógł zdecydować o twoim losie.

– Kiedy ta impreza? – spytała.

– W sobotę.

– Spoko – oświadczyła. Otaksowała mnie wzrokiem i kiwnęła głową z satysfakcją. – Łatwo będzie dopasować rozmiar. Czy twoja siostra ma zamiar założyć podobną tandetę?

– Nie jestem pewna – przyznałam. – Mówiła, że sama uszyje sobie strój wróżki na kółku krawieckim. Chyba niebieski.

Lia zbladła.

– Jeszcze gorzej. Jej też uszyję sukienkę. Mam już miarę.

Westchnęłam.

– Lia, wiem, do czego zmierzasz, ale to ci się nie uda. Jill naprawdę nie może dla ciebie pracować jako modelka. Nie przekupisz mnie.

Lia przybrała niewinną minę, która wcale mnie nie przekonała.

– Kto tu mówi o przekupstwie? Robię to z dobroci serca. Nie chcę, byście się upokorzyły. Wystąpicie w najlepszych kostiumach.

– Lia...

– Nie kupuj tego – ostrzegła, pokazując palcem kostium. – Stracisz tylko pieniądze. Równie dobrze mogłabyś je spalić, choć pewnie nie spłonęłyby tak szybko jak ta sukienka. Dam ci znać, gdy twój kostium będzie gotowy. – Po tych słowach zawróciła na drewnianych koturnach i odeszła, a ja gapiłam się za nią bez słowa.

– Kupiłaś kostium? – spytała Sonia, gdy się spotkałyśmy na zewnątrz.

– Zdobyłam – odparłam. – Ale z innego źródła.

Dymitr jeszcze nie zakończył rozmowy, bo wciąż się nie pojawił. Ruszyłyśmy wolnym krokiem w stronę restauracji, chcąc dać więcej czasu jemu i Rose. Pozostałe sklepy również już zamykano i ulice powoli pustoszały. Opowiedziałam Soni o spotkaniu z Lią. Ubawiła się bardziej niż ja.

– Nie trać okazji – poradziła. – Jeśli projektantka chce ci coś uszyć, nie musisz jej dawać nic w zamian. Może pomogłaby i mnie w przygotowaniach do ślubu?

Przeszłyśmy na drugą stronę mniej zatłoczonej ulicy i ruszyłyśmy wąską alejką z ceglanymi budynkami po jednej stronie i pełnym drzew trawnikiem przed kościołem po drugiej. Podziwiałam ten kościół, gdy szłyśmy tędy poprzednio, ale teraz ledwo na niego zerknęłam, bo

wieczór wypełnił się cieniami, które nadawały mu tajemniczy wygląd i atmosferę. Cieszyłam się, że nie idę tędy samotnie, chociaż dziwnie było czerpać otuchę z obecności wampira.

– Lia szyje fantastyczne stroje – przyznałam. – Ale nie wiem, czy powinnyśmy ją zachęcać.

– Jasne – zgodziła się Sonia. – Może któregoś dnia ty mi pomożesz w wyborze sukni. Masz wyczucie...

Nieoczekiwanie obróciła się w stronę ciemniejącego budynku kościoła. Wyraźnie coś ją przestraszyło, choć ja nic nie dostrzegłam – z początku. Po kilku sekundach zza drzew wyskoczyły cztery sylwetki w czerni. Ktoś popchnął mnie na ścianę z cegieł, a pozostała trójka powaliła Sonię na ziemię. Szamotałam się, ale umięśnione ramię nie dało mi się wyrwać. W przyćmionym świetle ujrzałam błysk przedmiotu, którego nigdy nie spodziewałam się zobaczyć na ulicy Palm Springs: miecza.

Ciemna postać przyłożyła broń do szyi Soni.

– Czas wracać do piekła – usłyszałam.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

NIE JESTEM WYSPORTOWANA. Przyzwoicie gram w siatkówkę i Eddie nauczył mnie kiedyś, jak wymierzać ciosy pięścią. Ale nie mogę się równać z wyszkolonym strażnikiem. Nie mam też refleksu. W tej sytuacji mogłam zrobić tylko jedno.

Wrzasnęłam.

– Ratunku! Niech ktoś nam pomoże!

Miałam nadzieję opóźnić egzekucję Soni czy cokolwiek zostało zaplanowane. Liczyłam też, że ktoś przybiegnie nam z pomocą. Zboczyłyśmy wprawdzie z głównej ulicy, ale wciąż byłyśmy niedaleko i ktoś mógł mnie usłyszeć – szczególnie że jeszcze niedawno spacerowało tamtędy mnóstwo ludzi.

Jeden z napastników trzymających Sonię wyraźnie się zaniepokoił, więc odniosłam jakiś skutek. Ten, który mnie unieruchomił, zakrył mi usta dłonią i mocniej przycisnął do muru. I nagle stało się coś dziwnego. Zesztywniał. Wciąż mnie trzymał, lecz przybrał nienaturalną pozę, jakby zastygł zszokowany. Nic nie rozumiałam. Chyba aż tak się nie zdziwił, że zaczęłam wzywać pomocy. Nie miałam wielkich nadziei, że zdołam go pokonać w walce, był bardzo muskularny, ale spróbowałam się wyrwać. Popchnęłam mężczyznę, czym nieco rozluźniłam jego uścisk. Zaraz jednak otrząsnął się z odrętwienia i chwycił mnie mocniej.

– Musimy wiać! – wykrzyknął jeden z napastników Soni. – Zaraz ktoś się tu zjawi.

– To nie potrwa długo! – ryknął ten, który trzymał miecz. – Musimy uwolnić świat od tego zła.

Patrzyłam z przerażeniem na tę scenę, a serce zamarło mi w piersi. Bałam się o swoje życie, ale jeszcze bardziej o Sonię. Nigdy nie widziałam ścinanej głowy. Nie chciałam widzieć.

Nie minęła sekunda, gdy poczułam, że jestem wolna. Nieoczekiwanie w alejce pojawiła się nowa postać. Jednym szarpnięciem oderwała mojego napastnika i cisnęła nim o bruk. Musiało go porządnie zboleć, bo jęknął, uderzając o ziemię. Nawet w słabym świetle zorientowałam się, kim był mój wybawca. Rozpoznałam go po wzroście i płaszczu: Dymitr.

Widziałam go już w walce, ale teraz znów mnie zaskoczył. Był niesamowity. W każdym jego ruchu krył się niewiarygodny wdzięk. Wydawał się tancerzem śmierci. Ignorując leżącego na ziemi, Dymitr rzucił się na pozostałych. Błyskawicznie rozbroił tego z mieczem jednym kopniakiem. Mężczyzna wypuścił broń z dłoni i ledwo zdążył się przytrzymać drzewa, żeby nie upaść.

Trzeci napastnik, który do tej pory trzymał Sonię, rzucił się do ucieczki. Dymitr go nie gonił. Zwrócił się ku ostatniemu przeciwnikowi, który głupio upierał się przy walce. Uwolniona Sonia nie traciła czasu. Zerwała się i podbiegła do mnie. Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka – szczególnie moroje – ale instynktownie do niej przywarłam. Ona też się do mnie przytuliła i poczułam, że drży. Dawniej, jako strzyga, była groźną przeciwniczką. Jako morojka, której w dodatku przed chwilą grożono mieczem, okazała się praktycznie bezbronna.

Mężczyzna, który walczył z Dymitrem, zdołał wykonać kilka zręcznych uników, lecz popełnił błąd, próbując oddać cios. Opuścił gardę i Dymitr trafił go w twarz. Ten wyższy, który wcześniej uderzył o drzewo, także zaatakował, ale był idiotą, jeśli myślał, że Dymitr da się rozproszyć. Nasz obrońca poradził sobie z nim bez trudu i tamten wylądował na ziemi obok swojego towarzysza. Wstał jednak gotów do dalszej walki, lecz kumpel pociągnął go do tyłu. Szamotali się chwilę, a potem odbiegli. Dymitr został. Obrócił się do nas.

– Nic wam nie jest? – spytał, idąc wielkimi krokami w naszą stronę.

Udało mi się nieznacznie zaprzeczyć ruchem głowy, ale wciąż się trzęsłam.

– Chodźmy stąd – rzucił Dymitr. Położył nam ręce na ramionach i lekko popchnął.

– Zaczekaj – poprosiłam, skracając w stronę kościoła. – Powinniśmy zabrać miecz.

Próbowałam go wypatrzyć, ale zrobiło się już ciemno. Dymitr odnalazł broń bez trudu – miał doskonały wzrok. Schował ją pod płaszczem i wszyscy troje ruszyliśmy szybkim krokiem. Kierowaliśmy się do mieszkania Adriana, które znajdowało się znacznie bliżej niż podmiejski dom Clarence'a. Mimo to krótki marsz wydawał się trwać

wieczność. Bez przerwy wyczekiwałam nowego ataku, mimo że Dymitr nas uspokajał i narzucił szybkie tempo.

Nasza wizyta zaskoczyła Adriana. Sporo wypił, ale nie przejęłam się tym. Szukałam schronienia.

– Co... co się stało? – spytał, gdy Dymitr przepuścił Sonię i mnie w drzwiach. Adrian przyjrzał się nam obu i zatrzymał wzrok na mnie. – Nic ci nie jest? Co się stało?

Mimo naszych protestów Dymitr sprawdził, czy nie jesteśmy ranne. Delikatnie ujął mnie pod brodę i obejrzał mój policzek bez tatuażu.

– Małe zadrapanie – ocenił. – Nic poważnego, ale lepiej to przemyć. – Dotknęłam policzka w tym miejscu i ze zdziwieniem zobaczyłam krew na palcach. Nawet nie pamiętałam, kiedy się skaleczyłam, pewne przy uderzeniu o mur.

Sonia nie miała śladów obrażeń, ale skarżyła się na ból głowy po upadku.

– Co się stało? – ponowił pytanie Adrian.

Dymitr wyjął miecz zabrany z miejsca napaści.

– To chyba coś poważniejszego niż zwykły napad.

– Zgadza się – przyznała Sonia, siadając na kanapie. Wykazywała niewiarygodny spokój po tym, co przeszła. Dotknęła głowy i skrzywiła się. – Szczególnie że nazwali mnie „złym stworem”, zanim się pojawiłeś.

Dymitr uniósł brew.

– Naprawdę?

Od kiedy weszłam do mieszkania, nie poruszyłam się nawet. Stałam pośrodku pokoju, obejmując się ramionami. Byłam otępiała. Nie mogłam nic zrobić. Nawet myśleć. Ale gdy Dymitr oglądał miecz, coś przykuło moją uwagę i zmusiło oszołomiony umysł do pracy.

Widząc moje zainteresowanie, Dymitr pokazał mi broń. Ujęłam ją, uważając, by nie dotknąć ostrza, i obejrzałam rękojeść. Była grawerowana.

– Czy ten napis coś ci mówi? – spytał Dymitr.

Jeszcze nie otrząsnęłam się do końca ze strachu i napięcia, ale zlekceważyłam to i próbowałam skojarzyć fakty.

– To stare symbole alchemiczne – wyjaśniłam. – Pochodzą ze średniowiecza, gdy nasza grupa była tylko gromadą uczonych usiłujących przemienić ołów w złoto.

Tylko tyle można było wyczytać o nas z podręczników historii. To plus fakt, że ostatecznie zrezygnowaliśmy ze złota. Bractwo alchemików zaczęło z czasem opracowywać coraz bardziej wyrafinowane formuły, używając między innymi krwi wampirów. To kontakt z morojami sprawił, że podjęto decyzję o naszej misji. Starożytni alchemicy zdali sobie sprawę, jak straszliwe i mroczne pragnienia rodzi w ludziach świadomość istnienia wampirów. Zyskaliśmy święty cel. Chemia i formuły, które niegdyś służyły nam do osiągnięcia osobistych korzyści, stały się narzędziami ochrony ludzkości. Stopniowo je doskonaliliśmy.

Stuknęłam palcem w największy symbol – kółko z kropką w środku.

– To jest symbol złota. Ten drugi oznacza srebro. Te cztery trójkątne znaki reprezentują podstawowe żywioły: ziemi, powietrza, ognia i wody. A to... Mars i Jowisz, które wiążą się z żelazem i cyną. Może to składniki miecza? – Zmarszczyłam brwi i dokładnie obejrzałam całość. – Nie, nie widzę złota ani srebra. Ale te symbole mogą również oznaczać słońce i księżyc. Może tak właśnie należałoby je interpretować. Nie jestem pewna.

Oddałam miecz Dymitrowi. Teraz przejęła go Sonia i przyglądała się znakom.

– Więc mówisz, że to jest miecz alchemików?

Potrząsnęłam głową.

– Alchemicy nie posługują się białą bronią. Preferujemy broń palną. A symbole są archaiczne. Teraz używamy symboli z tablicy okresowej pierwiastków. Łatwiej jest napisać Au, by oznaczyć złoto, niż rysować symbol słońca.

– Jest jakiś powód, dla którego wygrawerowano te znaki na mieczu? Jakies głębsze znaczenie? – drażył Dymitr.

– Dawniej słońce i złoto były najważniejsze dla alchemików. Wiązały się z wielką ideą światła i jasności. – Dotknęłam policzka. – Nadal są to dla nas istotne wartości... dlatego na przykład używamy złotego tuszu. Złoto oznacza czystość. Uświęca. Symbolizuje naszą

misję. Ale na mieczu... nie wiem, co może znaczyć. Jeśli ten, kto go wykuł, używa tych samych symboli, zapewne miecz również jest uświęcony. – Przypomniałam sobie, co mówili napastnicy o powrocie do piekła. Skrzywiłam się. – Może ci ludzie uważają, że służą świętej sprawie.

– A co to w ogóle za jedni? – chciał wiedzieć Adrian. – Myślicie, że Jill jest w niebezpieczeństwie?

– Wiedzą o wampirach, ale to ludzie – powiedział Dymitr.

– Nawet ja to stwierdziłam – zgodziłam się z nim. – Jeden z nich był wysoki, ale na pewno nie był morojem.

Trudno było mi przyznać, że napadli na nas ludzie. Czułam się zbита z tropu. Zawsze sądziłam, że złe są tylko strzygi. Tak było prościej. Ale nawet morojom nie zawsze można było ufać, w końcu to pobratymcy zagrażali Jill. Ale ludzie... ci, których mam zadanie chronić? Nie umiałam się z tym pogodzić.

Napadli mnie swoi, ci dobrzy, a nie bestie z kłami, których nauczono mnie się bać. Byłam zdruzgotana.

Dymitr spochmurniał jeszcze bardziej.

– Nie słyszałem o czymś podobnym, pewnie dlatego, że większość ludzi nie wie o istnieniu morojów. Poza alchemikami.

Rzuciłam mu surowe spojrzenie.

– Nie mieli z nami nic wspólnego. Mówiłam ci, nie używamy mieczy. I nikogo nie napadamy.

Sonia położyła miecz na stoliku.

– Nikt was nie oskarża. Zakładam, że oboje powiadomicie, kogo trzeba. – Przytaknęliśmy. – Chociaż wydaje mi się, że pomijamy kluczowy fakt. Uznali mnie za strzygę. Nie jest łatwo zabić mieczem. Musieli mieć powód, by się na to poważyć.

– Człowiek może zabić strzygę tylko mieczem – mruknęłam. – Ludzie nie potrafią zaczarować srebrnego sztyletu. Mogliby cię podpalić, ale to mało praktyczne rozwiązanie na ulicy.

Zapadła cisza, wszyscy rozmyślaliśmy o tym, co się stało. Na koniec Sonia westchnęła.

– Dzisiaj i tak nic nie wymyślimy, musimy porozmawiać z innymi. Chcesz, żebym to uzdrowiła?

Dopiero po chwili zorientowałam się, że mówiła do mnie. Dotknęłam policzka.

– Nie, samo się zagoi. – Była to jedna z korzyści domieszki wampirzej krwi w naszych tatuażach. – Pójdę to tylko przemyć przed wyjściem.

Ruszyłam do łazienki, starając się iść pewnym krokiem. Osłabłam na widok swojego odbicia w lustrze. Zadrapanie rzeczywiście nie wyglądało groźnie. Zdenerwowałam się jednak czymś innym. Sonia poczuła ostrze miecza na szyi, ale moje życie również było zagrożone. Zostałam zaatakowana i nie mogłam się obronić. Zwilżyłam myjkę i próbowałam przyłożyć ją do twarzy, ale ręce za bardzo mi się trzęsły.

– Sage?

W drzwiach stanął Adrian, więc zaczęłam mrugać, żeby osuszyć łzy, które napłynęły mi do oczu.

– Tak?

– Dobrze się czujesz?

– Nie widzisz w mojej aurze?

Nie odpowiedział, ale odebrał mi myjkę, zanim ją upuściłam.

– Odwróć się – polecił. Posłuchałam, a on obmył mi ranę. Stał tak blisko, że widziałam jego przekrwione oczy i czułam zapach alkoholu. Mimo wszystko jego ręka nie drżała tak jak moja. Jeszcze raz spytał:

– Dobrze się czujesz?

– To nie mnie grożono mieczem.

– Nie o to pytam. Czy zranili cię poza tym?

– Nie. – Spuściłam wzrok. – Może tylko... moją dumę.

– Dumę? – Opuścił dłoń, by zmoczyć myjkę. – A co to ma do rzeczy?

Podniosłam wzrok, ale unikałam jego spojrzenia.

– Potrafię robić wiele rzeczy, Adrian. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak przechwałki, ale umiem robić zadziwiające rzeczy niedostępne większości ludzi.

Rozbawiłam go.

– Jakbym nie wiedział. Umiesz wymienić koło w dziesięć minut, rozmawiając jednocześnie po grecku.

– W pięć minut – sprostowałam. – Ale kiedy życie moje lub innych

jest zagrożone, jestem bezradna. Nie umiem walczyć. Nie mogłam pomóc. Jak wtedy, gdy strzygi zaatakowały nas i Lee. Przyglądałam się tylko, czekając na kogoś takiego jak Rose czy Dymitr, kto mógł mnie uratować. Jestem... jak jakaś rozhisteryzowana damulka z powieści.

Adrian odłożył myjkę, a potem ujął moją twarz w swoje dłonie.

– Mogę się zgodzić tylko z jednym fragmentem twojej wypowiedzi, tym o damulce, ale pasujesz do opisu jedynie pod względem urody. Nie jesteś histeryczna. Poza tym właśnie wyrzuciłaś z siebie potok bzdur. Nie jesteś bezradna.

Dopiero teraz podniosłam głowę. Do tej pory w naszych rozmowach z pewnością nie Adrian mógłby zarzucić mi śmieszność.

– O? Więc twoim zdaniem dorównuję Rose i Dymitrowi?

– Nie. Nie bardziej niż ja. I jeśli pamięć mnie nie myli, ktoś tu niedawno twierdził, że nie ma sensu porównywać się do innych. Powinnaś skorzystać z własnej rady.

Nachmurzyłam się.

– To co innego. Nie próbuję na nikim robić wrażenia, po prostu kiepsko się czuję z tym, że nie potrafię o siebie zadbać.

– No właśnie, Sage. Pomówmy o tym. Niedawno napadły cię strzygi, a teraz jeszcze jacyś szaleńcy uzbrojeni w miecze. Przyznasz, że to się nie zdarza codziennie. Nie powinnaś się obwiniać o brak błyskawicznej reakcji. Większość ludzi nie dałaby sobie z tym rady.

– Ale ja powinienam – wymamrotałam.

Patrzył na mnie ze współczuciem.

– W takim razie zacznij trenować. Ta sama osoba, która tak lubi udzielać mi rad, powiedziała kiedyś, żebym zrezygnował z roli ofiary. Zrób to samo. Nauczyłaś się tak wielu rzeczy. Zapisz się na kurs samoobrony. Zdobądź broń. Nie zostaniesz strażniczką, ale masz szansę nauczyć się stawiać opór.

Czułam, że we mnie kipi. Gniew. Wstyd. Nadzieja.

– Bardzo jesteś rozgadany po alkoholu.

– Och, Sage. Mam wiele do powiedzenia, trzeźwy czy pijany. – Puścił mnie i się odsunął. Poczulałam się nieswojo. – Większość nie rozumie, że alkohol pomaga mi się skupić, bo osłabia działanie ducha, które prowadzi mnie do obłądu. – Stuknął palcem w głowę i przewrócił

oczami.

– Skoro o tym wspomniałeś... nie będę więcej prawić ci kazań – oświadczyłam, zadowolona, że już nie mówiliśmy o mnie. – Lunch z twoim ojcem okazał się klęską. Jeśli chcesz utopić smutek w wódce, proszę bardzo. Ale proszę, pamiętaj o Jill. Wiesz, co przeżywa, gdy pijesz. Może nie w tej samej chwili, ale później.

Po jego wargach przemknął cień uśmiechu.

– Zawsze jesteś taka rozsądna. Mogłabyś czasem posłuchać sama siebie.

Coś mi to przypomniało. Dymitr przemawiał do mnie tym samym tonem. Powiedział, że nie mogę opiekować się innymi, jeśli w pierwszym rzędzie nie zadbam o siebie. Skoro dwie osoby tak skrajnie różne jak Adrian i Dymitr miały podobne zdanie, może powinnam się nad tym zastanowić. Miałam wiele do przemyślenia po powrocie do Amberwood.

Jedyną korzyścią pijaństwa Adriana było to, że Jill nie dowiedziała się o naszej rozmowie. Następnego dnia przy lunchu, gdy opowiedziałam jej, Eddiemu i Angeline o wydarzeniach poprzedniej nocy, udało mi się pominąć incydent w łazience. Jill i Angeline zareagowały tak, jak się spodziewałam. Jill zaniepokoiła się i bez przerwy dopytywała, czy mnie i Soni naprawdę nic się nie stało. Angeline zaś zaczęła się przechwalać, jak ona poradziłaby sobie z napastnikami i jak, w przeciwieństwie do Dymitra, ścigałaby ich po całym mieście. Eddie milczał do chwili, kiedy dziewczyny odeszły – Angeline do swojego pokoju, a Jill przygotować się do szkoły.

– Kiedy cię dziś zobaczyłem, zorientowałem się, że coś musiało się wydarzyć – powiedział. – Szczególnie przy śniadaniu, gdy Angeline nazwała pomidor warzywem, a ty jej nie poprawiłaś.

Ledwo się uśmiechnęłam.

– Tak. Przyznaję, że czuję się nieswojo. Pewnie tego nie rozumiecie. Dla was nieoczekiwane napaści z mieczem w ciemnej alejce to normalka, prawda?

Eddie pokręcił głową z poważną miną.

– Każdą napaść traktujemy jak wyzwanie. Nie pozwalamy sobie na nonszalancję. Nie powinnaś mieć do siebie pretensji.



Mieszałam widelcem w papce kartoflanej, aż wreszcie go odłożyłam.

– Nie znoszę być zaskakiwana. W żadnej sytuacji. Nie zrozum mnie źle. Widziałam, jak ty i Rose walczyliście ze strzygami. Wtedy również czułam się bezradnie... ale inaczej. Strzygi to dzikie bestie... żaden człowiek im nie podoła. Nie wyobrażam sobie, że nauczę się z nimi walczyć. Ale wczoraj, mimo że zaatakowali mieczem, przypominało to zwykły napad. Jak najbardziej z tego świata. To byli ludzie tacy jak ja. Nie powinnam tak się przerazić.

– Chciałabyś, żebym nauczył cię kilku sztuczek obronnych? – spytał łagodnie.

Uśmiechnęłam się.

– Twoje umiejętności przekraczają moje potrzeby. Powinnam trenować coś bardziej odpowiedniego. Adrian radził, żebym załatwiła sobie broń albo zapisała się na kurs samoobrony.

– Mądrze.

– Tak, chociaż nie wiem, czy sobie poradzę. Alchemicy prowadzą kursy strzeleckie, ale to mnie nie kręci. Jestem znacznie lepsza w teorii.

Eddie zachichotał.

– To prawda. Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. Po pracy z Angeline jestem gotów na wszystko. Chociaż... muszę przyznać, że ostatnio trochę odpuściła.

Wróciłam pamięcią do naszej rozmowy. Bójka i zawieszenie miały miejsce zaledwie wczoraj, a miałam wrażenie, jakby to było przed laty.

– Och. Ucięłam sobie z nią pogawędkę.

– To znaczy? – spytał ze zdziwieniem. – Prosiłem, żebyś nie zaprzętała sobie głowy moimi prywatnymi sprawami.

– Pamiętam. Jakoś tak samo wyszło. Powiedziałam jej, że zachowuje się skandalicznie i że musi się opanować. Była na mnie wściekła i nie wiedziałam, czy dotarło do niej, co mówiłam.

– Cóż, wygląda na to, że tak. – To, co powiedział po chwili, naprawdę mnie zdumiało. – Może nie jest taka zła, jak myślałem.

– Może – zgodziłam się. – Spójrz na to w ten sposób: skoro została zawieszona, problem potańcówki jest już nieaktualny.

Eddie rozpromienił się, najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy.

Po chwili jednak jego twarz stężała.

– Skoro doszło do tej napaści, będę musiał podwoić czujność. Jill nie może spaść włos z głowy. – Nie wyobrażałam sobie, że Eddie mógłby być jeszcze bardziej czujny, ale najwyraźniej zamierzał mnie zaskoczyć. – Wolałbym, żeby Angeline jednak tam była.

Podczas lekcji musiałam się skupić, co pozwoliło mi na chwilę zapomnieć o wczorajszym incydencie. Wszystko wróciło jednak w gabinecie panny Terwiliger. Milczałyśmy i trochę się rozluźniłam. Pozwoliłam błądzić myślom i wkrótce znów ogarnęły mnie lęk i zwątpienie. Przepisywałam zaklęcia, nie rejestrując tego, co robię. Zazwyczaj jednocześnie uczyłam się ich na pamięć, ale tego dnia nie mogłam się skoncentrować na pracy.

Mniej więcej w połowie zajęć trochę się pozbierałam. Przepisywałam akurat starożytne zaklęcie. Wywoływało u ofiary wrażenie, że pełzają po niej skorpiony. Tak jak większość zaklęć w księgach nauczycielki, i ta formuła wyglądała na skomplikowaną i czasochłonną.

– Panno Terwiliger? – Nie lubiłam zadawać jej pytań, ale ostatnie wydarzenia mocno mnie przybiły.

Podniosła na mnie zdziwiony wzrok. Prowadziłyśmy coś w rodzaju zimnej wojny i przywykła, że nie odzywam się niepytana.

– Słucham?

Stuknęłam palcem w książkę.

– Jak skuteczne są te zaklęcia atakujące? Czy można ich używać w walce, skoro wymagają wielodniowych przygotowań? W razie napaści trzeba działać natychmiast. Nie ma czasu na myślenie.

– O którym zaklęciu mówisz? – spytała.

– Ze skorpionami.

Nauczycielka kiwnęła głową.

– Ach, tak. Cóż, należy do tych, które przygotowuje się zawczasu. Ten czar możesz rzucić na przykład na kogoś, kogo nie lubisz. Świetny zwłaszcza na byłych chłopaków. – Zapatrzyła się w przestrzeń, a po chwili przeniosła wzrok na mnie. – Są jednak zaklęcia bardziej skuteczne w nagłych wypadkach. Na przykład czar ognia, jeśli pamiętasz, wymagał wprowadzić wielu przygotowań, lecz można go

zastosować w dowolnym momencie. Do innych zaklęć potrzeba użycia zaledwie kilku składników. Niestety, jak wiesz, te służą tylko ludziom zaawansowanym w arkanach magii. Im więcej potrafisz, tym mniej potrzebujesz akcesoriów. Musisz zdobyć więcej doświadczenia, zanim spróbujesz opanować którąś z tych sztuk.

– Nigdy nie mówiłam, że mi na tym zależy – odparłam ostrym tonem. – Pytam... z ciekawości.

– Och, przepraszam. Wydawało mi się, że jesteś – ośmielę się powiedzieć – zainteresowana.

– Nie! – Cieszyłam się, że magia tatuażu już prawie uzdrowiła zadrapania na moim policzku. Nie chciałam budzić podejrzeń, że mam poważne powody, by się bronić. – Widzi pani, właśnie dlatego wolę nic nie mówić. Pani przypisuje mi jakieś motywy i wykorzystuje to do swoich celów. Dręczy mnie.

– Dręczę? Czytasz książki i pijesz kawę. Czy nie to robiłabyś, będąc gdzie indziej?

– Ale tu czuję się nieszczęśliwa – wypaliłam. – Nienawidzę tej roboty. Czasem mam ochotę zrezygnować z przychodzenia tutaj, narażając się na brak zaliczenia. To jest chore, pokręcone i...

Ostatni dzwonek tego dnia powstrzymał mnie przed powiedzeniem tego, czego później bym żałowała. Niemal natychmiast w drzwiach pojawił się Trey. Panna Terwiliger zaczęła się pakować i spojrzała na niego z uśmiechem, jakby nic się nie stało.

– Pan Juarez. Miło, że pan się pokazał, bo rankiem nie przyszedł pan na moją lekcję.

Miała rację. Trey był nieobecny na lekcji historii i potem na naszej wspólnej lekcji chemii.

– Przepraszam – wybąkał. – Zatrzymały mnie sprawy rodzinne.

To było usprawiedliwienie, którym ja sama posługiwałam się bez przerwy, ale wątpiłam, by Trey również dowoził wampiry na karmienie.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co straciłem? – poprosił.

Nauczycielka przewiesiła torbę przez ramię.

– Jestem umówiona, proszę zapytać pannę Melbourne. Ona przekaże to panu zapewne bardziej rzetelnie niż ja. Drzwi zamkną się za wami automatycznie, gdy wyjdziecie.

Trey usiadł w ławce, którą przysunął frontem do mojej, a ja streściłam mu przebieg lekcji historii i chemii, uznając, że tej drugiej również będzie potrzebował. Pokazałam na torbę sportową, którą postawił obok na podłodze.

– Idziesz na trening?

Pochylał się, przepisując zadanie, a ciemne włosy opadły mu na twarz.

– Z tego bym nie zrezygnował – odparł, nie podnosząc głowy.

– Jasne, w przeciwieństwie do lekcji.

– Nie osądzaj mnie – mruknął. – Przyszedłbym, gdybym mógł.

Odpuściłam mu. Ostatecznie i ja wiedziałam, ile czasem trzeba poświęcić z powodu spraw rodzinnych. Trey pisał, a ja sięgnęłam po telefon komórkowy i odkryłam esemesa od Braydena. Napisał tylko jedno słowo, co było jego rekordem: „Obiad?”.

Zawahałam się. Jeszcze nie doszłam do siebie po wczorajszym wieczorze i choć dobrze się czułam w towarzystwie Braydena, nie mógł mi zaoferować tego, czego potrzebowałam. Odpisałam: „To chyba nie jest dobry pomysł. Mam trochę pracy na wieczór”. Zamierzałam zorientować się w kursach samoobrony. Potrzebowałam wzmocnienia. Faktów. Opinii. Dostałam odpowiedź od Braydena: „Późny obiad? W Stone Grill o 20?”. Rozważyłam propozycję i się zgodziłam.

Odłożyłam telefon, gdy rozległ się sygnał kolejnego esemesa. Niespodziewanie odezwał się Adrian. „Jak tam po wczor? Martwiłem się”. Adrian rozpisywał się w mailach, ale skracał słowa w esemesach, do czego ja jakoś nie mogłam się zmusić. Czytanie tego przypominało mi drapanie paznokciami po tablicy, ale wzruszyła mnie jego troska. Martwił się o moje samopoczucie. Zrobiło mi się miło.

Odpisałam: „Lepiej. Zamierzam pójść na kurs samoobrony”. Odpowiedział równie szybko jak Brayden: „Daj znać, co znalazłaś. Może i ja się wybiorę”. Zamrugalam zaskoczona. Tego się nie spodziewałam. Zareagowałam w oczywisty sposób: „Po co?”.

– Jezu – rzucił Trey, zamykając zeszyt. – Miss popularności.

– Sprawy rodzinne – wyjaśniłam.

Spojrzał na mnie drwiąco i wrzucił zeszyt do plecaka.

– Dzięki. Skoro o rodzinie mowa... Co z twoją kuzynką? To

prawda, że ją wywalili?

– Została zawieszona na dwa tygodnie.

– Serio? – Wstał. – Tylko tyle? Sądziłem, że bardziej to odczuje.

– Niewiele brakowało. Ale przekonałam ich, by okazali jej pobłażliwość.

Trey parsknął śmiechem.

– Wyobrażam sobie. Cóż, mogę poczekać dwa tygodnie.

Zmarszczyłam brwi.

– Na co?

– Żeby się z nią umówić.

Odebrało mi mowę na kilka sekund.

– Z Angeline? – spytałam, jakby mógł mówić o innej mojej kuzynce. – Chcesz się umówić... z Angeline?

– Jasne – potwierdził lekko. – Jest ładna. I załatwiła trzy osoby plus jeden mikrofon. Nie będę krył, to cholernie seksowne.

– Przychodzą mi do głowy różne określenia na to, co zrobiła, ale z pewnością nie „seksowne”.

Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi.

– Ciebie kręci jedno, a mnie co innego. Pilnuj swoich wiatraków, ja zajmę się ostrymi laskami.

– Niewiarygodne – mruknęłam, lecz jednocześnie pomyślałam, że tak jest naprawdę. Każdego coś „kręci”. Trey wiódł zgoła inne życie niż ja. Dużo trenował i zawsze obnosił się potem z siniakami, nawet teraz. Chociaż te dzisiejsze wyglądały gorzej od dotychczasowych. Nie rozumiałam tej jego namiętności, tak jak on nie pojmował mojego zamiłowania do nauki. Znow rozdzwonił się mój telefon.

– Wracaj do swojego fanklubu – poradził i wyszedł, a mnie naszła dziwna myśl. Czy te jego zadrapania naprawdę pochodziły z treningów? Często wspominał coś o rodzinie i nagle zastanowiło mnie, czy powody jego porannej nieobecności w szkole nie były mniej niewinne, niż sądziłam. Zaniepokoiło mnie to, nie miałam doświadczenia w podobnych sprawach. Oderwałam się jednak od tych rozmyślań, bo znow dostałam esemesa.

Właściwie aż dwa, od Adriana. Odpowiedział na moje pytanie w sprawie kursu samoobrony.

„Zyskam powód, by urwać się S i D. Poza tym nie tylko ty potrzebujesz ochrony. Tamci byli ludźmi i wiedzieli, że S jest wampirem. Może łowcy naprawdę istnieją. Pomyślałaś kiedyś, że Clarence może mieć rację?”

Wpatrywałam się w telefon z niedowierzaniem, przetwarzając słowa Adriana i implikacje wieczornej napaści.

„Pomyślałaś kiedyś, że Clarence może mieć rację?”

Nie. W każdym razie aż do teraz.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

KIEDY ZJAWIŁAM SIĘ w umówionej restauracji, Brayden siedział przy stoliku z laptopem.

– Przyszedłem wcześniej – wyjaśnił. – Chciałem trochę popracować. Odrobiłaś lekcje?

– Tak. Szukałam też kursów samoobrony. Nie uwierzysz, co znalazłam.

Usiadłam obok niego, żeby zajrzeć do jego laptopa. Jak zwykle pachniał kawą. Pomyślałam, że nigdy nie będę miała dość tego zapachu. Podałam mu adres strony, na którą się natknęłam tuż przed wyjściem z domu. Wyglądała tak, że sama mogłabym ją wykonać dziesięć lat temu, i miała mnóstwo animowanych obrazków. „Szkoła Obrony Wolfe’a – Malachi Wolfe, instruktor”.

– Serio? – spytał Brayden. – Malachi Wolfe?

– Człowiek sobie nie wybiera nazwiska – broniłam go. – Popatrz, zebrał mnóstwo nagród i rekomendacji. – Część tych nagród otrzymał niedawno, inne pochodziły sprzed kilku lat. – A tu jest najlepsze.

Kliknęłam na link zatytułowany: „Najbliższe zajęcia”. Malachi Wolfe miał napięty grafik, ale znalazłam coś obiecującego. Organizował czterotygodniowy kurs z zajęciami raz w tygodniu, a pierwsze zaczynały się nazajutrz.

– Niezupełnie takiego instruktora szukam – przyznałam – ale przynajmniej mogę zacząć od zaraz.

– Kurs nie jest długi – stwierdził Brayden. – W każdym razie opanujesz podstawy. A dlaczego cię to interesuje?

Odtworzyłam w myślach ciemną alejkę, postaci napastników i uczucie bezsilności, gdy uderzyłam o mur. Zaparło mi dech i musiałam sobie przypomnieć, że jestem w innym miejscu. W dobrze oświetlonej restauracji, z chłopakiem, któremu się podobam. Bezpieczna.

– Uważam, że każda kobieta powinna się nauczyć samoobrony – wyjaśniłam. – Chociaż... mężczyźni również biorą udział w takich zajęciach.

– Próbujesz mnie namówić? – W pierwszej chwili pomyślałam, że pyta poważnie, ale zobaczyłam, że się uśmiecha.

Wygięłam usta.

– Jeśli chcesz. Ale myślałam o... moim bracie. Chciałby się zapisać.

– Chyba więc powinienem się powstrzymać. Chociaż zamierzałem zapisać się na trening sztuk walki w ramach zajęć dodatkowych w college'u. – Brayden zamknął laptopa, a ja przesiadłam się naprzeciwko niego. – Jesteście bardzo zżyci w waszej rodzinie. Chyba nie będę próbował wchodzić między was.

– Bardzo roztropnie – zgodziłam się, myśląc, że nie zna nawet połowy prawdy.

Obiad był smaczny, a po nim odbyliśmy pasjonującą dyskusję o prawach termodynamiki. Temat mnie interesował, a mimo to zorientowałam się, że błędzę myślami gdzie indziej. Musiałam się mocno skupiać, żeby nadażać za Braydenem. Napaść i rzucona niedbale uwaga Adriana o łowcach wampirów dały mi wiele do myślenia.

Zasiedzieliśmy się w restauracji. Tak bardzo, że gdy wyszliśmy, było już zupełnie ciemno. Zaparkowałam w pobliżu i wcale nie na uboczu, ale myśl o samotnym spacerze do samochodu zmroziła mnie. Brayden mówił właśnie, że spotkamy się na tańcach, ale zaniepokoiła go moja mina.

– Co się stało? – spytał.

– Ja... – Patrzyłam na ulicę. Dwie przecznice: tyle dzieliło mnie od samochodu. Wszędzie kręcili się ludzie, a ja dławiłam się ze strachu. – Mógłbyś mnie odprowadzić do samochodu?

– Oczywiście – odparł. Uznał to za naturalne, ale ja byłam przerażona. Jak mówiłam Eddiemu i Adrianowi, zwykle nie potrzebuję pomocy. Poczułam się naprawdę upokorzona. „Rose nie prosiłaby o eskortę” – pomyślałam. Nawet Angeline. Pewnie po drodze poturbowałaby kilku przechodniów, żeby nie wyjść z wprawy.

– Jesteśmy – oznajmił Brayden, gdy dotarliśmy do Latte.

Zastanawiałam się, czy straciłam w jego oczach, gdy poprosiłam, by mnie odprowadził.

– Dzięki. Do zobaczenia w sobotę?

Potwierdził ruchem głowy.

– Na pewno chcesz się spotkać na miejscu? Mogę po ciebie



przyjechać.

– Wiem. I nie miałabym nic przeciwko temu. Bez urazy, Latte. – Poklepałam wóz uspokajająco. – Ale muszę tam zawieźć brata i siostrę. Tak będzie prościej.

– Dobrze – zgodził się. Uśmiechnął się nieśmiało, co znów mnie uderzyło, bo jeszcze przed chwilą z wielką pewnością siebie rozprawił na tematy naukowe. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twój kostium. Wypożyczyłem sobie coś z teatru. Nie jest to, rzecz jasna, doskonała replika ateńskich szat, ale najlepsza, jaką udało mi się znaleźć.

Prawie zapomniałam, że zostawiłam swój kostium w rękach Lii. Nie tylko Braydena ciekawiło, w czym wystąpię.

– Ja też bardzo się cieszę – zapewniłam.

Po kilku minutach zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie odchodzi. Wciąż był wyraźnie onieśmielony, jakby zbierał się na odwagę, by coś powiedzieć. Ale okazało się, że nie chodziło o słowa. Naraz zebrał się w sobie, zrobił krok w moją stronę i pocałował mnie. Miłe uczucie, choć znowu nie oszałamiające.

Zerknęłam na Braydena i odkryłam, że on jest zachwycony. Dlaczego nie reagowałam tak samo? Może robiłam coś nie tak. A może ze mną było coś nie w porządku?

– Do soboty – pożegnał się.

Postanowiłam w duchu, by dodać pocałunki do mojej listy tematów do sprawdzenia.

Wróciłam do Amberwood i idąc do dormitorium, napisałam do Adriana: „Jutro wieczorem zaczyna się kurs samoobrony. 75 dolarów”. Wczoraj wprawdzie wydawał się tym zainteresowany, ale nie wierzyłam, że upora się z przygnębieniem i nagle zdecyduje się na udział w kursie. Nie byłam nawet pewna, czy chodzi na lekcje malarstwa. Chwilę później przyszła odpowiedź: „Będę”. I kolejne zdanie: „Pożyczysz mi na opłatę?”.

Jill także wracała tuż przed porą ciszy nocnej. Nie zauważyła mnie, szła przed siebie ze zmartwioną miną.

– Hej! – zawołałam. – Jill?

Przystanąła w holu i zamrugnęła ze zdziwieniem.

– Cześć. Byłaś ze swoim chłopakiem?

Skrzywiłam się.

– Nie jestem pewna, czy go tak nazywać.

– A ile razy się z nim spotkałaś?

– Cztery.

– Zabierze cię na tańce?

– Spotkamy się na miejscu.

Wzruszyła ramionami.

– Więc to chyba twój chłopak.

– A mnie się zdaje, że cytujesz teksty z podręcznika randkowego Julii i Kristin.

Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała.

– Nie, po prostu na to wychodzi.

Przyjrzałam się jej, próbując odgadnąć, w jakim jest nastroju.

– Dobrze się czujesz? Miałaś taką minę, jakbyś się czymś martwiła. Czy... chodzi o Adriana? Jeszcze się nie pozbiarał? – Przez chwilę poczułam większy niepokój o niego.

– Nie – odparła. – To znaczy tak. Ale on czuje się trochę lepiej. Jest podekscytowany, że pójdziecie razem na kurs samoobrony.

Przeptyw informacji między nimi był naprawdę zadziwiająco sprawny. Esemesowałam z Adrianem zaledwie przed minutą.

– Podekscytowany? – spytałam. Tak silna reakcja wydała mi się przesadna.

– Może jak się czymś zajmie, przestanie pogrążyć się w tych swoich ponurych nastrojach. To najlepsze wyjście – wyjaśniła Jill. – Ale na razie nadal jest przygnębiony. Rozmyśla o spotkaniu z ojcem.

– Nie powinnam go była zawozić do San Diego – mruknęłam pod nosem. – Gdybym odmówiła, sam by tam nie dotarł.

Jill miała sceptyczną minę.

– Czy ja wiem? Znalazłby inny sposób, z tobą czy bez ciebie. To, co między nimi zaszło, było nieuniknione – dorzuciła mentorskim tonem.

– Po prostu czuję się okropnie, gdy go widzę w takim stanie – wyznałam.

– Adrian zawsze miewał zmienne nastroje. – Jill zapatrzyła się w przestrzeń. – Spasował nieco z alkoholem ze względu na mnie, ale to

czyni go podatnym na... Trudno to wyjaśnić. Wiesz, że duch doprowadza posługujących się jego mocą do obłądu? Na trzeźwo Adrian staje się bardziej podatny na jego negatywne działanie.

– Chcesz powiedzieć, że wariuje? – Nie byłam gotowa na tę komplikację.

– Nie, niezupełnie. – Zaciśnęła usta z namysłem. – Czuje się rozbity... wyizolowany. Sama się przekonasz, gdy go zobaczysz. Mówi z sensem, ale nie zawsze. Chwilami mamrocze do siebie, wydaje się rozmarzony, ale nie tak jak ja. Masz uczucie, że otacza go coś mistycznego. Niekoniecznie magia. Po prostu... traci głowę. To nie trwa długo, zresztą sama się przekonasz.

– Chyba mogłabym...

Nieoczekiwanie przypomniałam sobie scenę tuż przed przyjazdem Soni i Dymitra. Byłam u Adriana i nagle spojrzał na mnie tak dziwnie, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy. Nawet teraz ciarki mnie przeszły na samą myśl o tym.

„Mój Boże, Sage. Twoje oczy. Jak to możliwe, że do tej pory tego nie zauważyłem? Ich kolor... jak stopione złoto. Mógłbym je namalować...”.

– Dziewczynki? – Pani Weathers siedziała za biurkiem, chowając swoje rzeczy przed nocą. – Powinnyście już być w swoich pokojach.

Skinęłyśmy posłusznie głowami i ruszyłyśmy w stronę schodów. Na piętrze zatrzymałam Jill raz jeszcze.

– Słuchaj, skoro nie chodziło o Adriana, to co cię tak martwiło, gdy weszłaś? Wszystko w porządku?

– Hm? Ach, to. – Zarumieniła się uroczo. – Tak. W porządku. Sama nie wiem. Micah... on, hm, pocałował mnie dzisiaj. Pierwszy raz. A ja poczułam się zaskoczona swoją reakcją.

Zdziwiłam się, że jeszcze się nie całowali, choć pewnie powinnam się ucieszyć. Zaintrygowało mnie to wyznanie Jill.

– Co masz na myśli? Było mniej podniecająco, niż się spodziewałaś? Jakbyś tylko dotykała czyichś warg? Całowała się z krewnym?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Nie. To głupie. Dlaczego ci to przyszło do głowy?

– Próbowałam zgadnąć. – Nagle poczułam się idiotycznie. Dlaczego ja tak reagowałam?

– Było fantastycznie. – Znow popatrzyła gdzieś w dal. – No, prawie. Nie mogłam się skupić, bo przez cały czas martwiłam się o kły. Łatwo je ukryć podczas rozmowy czy kiedy się uśmiecham, ale nie w pocałunku. Myślałam tylko o tym, co mu powiem, jeśli je zauważy. A potem przypomniałam sobie, co mówiliście ty i pozostali. O tym, że nie powinnam widywać się z Micahem, bo nie uda mi się utrzymać go na dystans. Lubię go. Bardzo. Ale nie na tyle, by ryzykować, że zostanę rozpoznana... albo stworzę zagrożenie dla Lissy.

– Szlachetna postawa.

– Możliwe. Chociaż wcale nie chcę z nim zrywać. Micah jest taki miły i dzięki niemu poznałam tylu fantastycznych ludzi. Co ma być, to będzie... ale nie jest łatwo. Dzisiaj dostałam przedsmak tego, co nas czeka. – Posmutniała i poszła do siebie.

Współczułam Jill, ale jednocześnie mi ulżyło. Stresował mnie fakt, że dziewczyna spotyka się z Micahem. Martwiliśmy się, że będziemy świadkami dramatu. Nalegaliśmy, by trzymała go na dystans, ale odmówiła w przekonaniu, że ich miłość pomoże pokonać wszelkie przeszkody. Powinnam mieć więcej wiary w tę małą. Nie była tak niedojrzała, jak chwilami sądziłam. Sama uświadomi sobie to, co trzeba, i rozwiąże problem.

Pamiętałam, co Jill mówiła o Adrianie, gdy przyjechałam po niego nazajutrz przed zajęciami. Wsiadł do samochodu z pogodną miną. Nie wydawał się ani przygnębiony, ani pobudzony. Zauważyłam, że ładnie się ubrał: włożył idealny strój na spotkanie z ojcem. On także zwrócił uwagę na to, co ja wybrałam.

– No, no. Nie sądziłem, że kiedykolwiek wystąpisz w czymś tak... luzackim. – Włożyłam oliwkowe spodnie do jogi i koszulkę z nadrukiem Amberwood.

– Napisali, żeby ubrać się w coś wygodnego. Wysłałam ci esemesa – dorzuciłam, spoglądając znacząco na jego koszulkę z surowego jedwabiu.

– Jest bardzo wygodna – zapewnił. – Poza tym nie mam ubrań do ćwiczeń.

Ruszaliśmy, gdy spojrzałam na jego lewą rękę. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że krwawi. Potem uświadomiłam sobie, że jest poplamiona czerwoną farbą.

– Wróciłeś do malowania! – wykrzyknęłam z zachwytem. – Sądziłam, że to zarzuciłeś.

– Tak, cóż. Nie można uczyć się malarstwa, nie malując, Sage.

– Myślałam, że nie chodzisz na zajęcia.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Chciałem zrezygnować. Ale potem przypomniałem sobie, jak przekonywałem pewną dziewczynę, że jeśli da mi szansę i załatwi wstęp na ten kurs, będę w nim uczestniczył.

Z uśmiechem włączyłam się do ruchu.

Przyjechaliśmy wcześniej, żeby się zapisać. Tego dnia zadzwoniłam do szkoły samoobrony Wolfe'a i jakiś zaaferowany mężczyzna polecił mi stawić się na miejscu z gotówką, skoro dołączamy w ostatniej chwili. Siedziba szkoły znajdowała się poza centrum w odległej rezydencji na pustkowiu całkowicie pozbawionym zieleni. Nadawało to domowi posępny wygląd. Gdyby nie napis WOLFE na skrzynce na listy, pomyślałabym, że zabłądziliśmy. Zaparkowałam na żwirowym parkingu, na którym nie było innych samochodów i przez chwilę obserwowaliśmy okolicę.

– Takie miejsca ogląda się w filmach – ocenił Adrian – w których beztroscy ludzie natykają się na seryjnych morderców.

– Na szczęście jest jeszcze widno – mruknęłam. Od czasu incydentu w alejce ciemność mnie przerażała. – Nie będzie tak źle.

Adrian otworzył drzwi samochodu.

– Przekonajmy się.

Zadzwoniliśmy do drzwi i natychmiast odpowiedziało nam ujadanie i tupot nóg. Cofnęłam się niepewnie.

– Nie znoszę niewytresowanych psów – szepnęłam. – Powinny być posłuszne i karne.

– Podobnie jak ludzie w twoim życiu, co? – podsunął Adrian.

W drzwiach stanął na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna ze szpakowatą, jasną brodą. Miał na sobie krótkie spodnie i koszulkę z napisem Lynyrd Skynyrd. Na oku nosił przepaskę.

– Niewiarygodne – usłyszałam pomruk Adriana. – Nie wyobraziłbym sobie tego w najdzikszych snach.

Byłam wstrząśnięta. Przepaska na oku skojarzyła mi się ze szklanym okiem Keitha i natychmiast poczułam wyrzuty sumienia. Nie lubiłam sobie o tym przypominać. Szanse na spotkanie drugiego jednookiego człowieka były naprawdę znikome, więc jego widok bardzo mnie zdumiał. Tymczasem gospodarz odpędził psy, które okazały się mieszającami chihuahua, i zatrzasnął im drzwi przed nosami.

– Słucham? – zwrócił się do nas.

– Przyjechaliśmy na zajęcia z samoobrony. – Poczułam, że muszę sprecyzować, na wypadek gdyby trenował także hodowców psów albo żeglarzy pełnomorskich. – Jestem Sydney, a to Adrian. Dzwoniłam dziś rano.

– A, tak. – Podrapał się po brodzie. – Macie pieniądze? Przyjmuję tylko gotówkę.

Wyjęłam sto pięćdziesiąt dolarów i wręczyłam mu. Nawykowo omal nie poprosiłam o pokwitowanie, ale ugryzłam się w język. Wepchnął banknoty do kieszeni spodnek.

– W porządku – oznajmił. – Zaraz zaczynamy. Poczekaście w garażu na resztę. Boczne drzwi są otwarte. – Wskazał na wielki budynek po drugiej stronie szerokiego podwórza przypominający jakąś halę. Był dwukrotnie większy od domu. Nie oglądając się, czy go posłuchamy, wślizgnął się z powrotem do ujadających psów.

Wnętrze – co stwierdziłam z ulgą – przypominało profesjonalną salę do ćwiczeń. Na podłodze leżały czyste maty, a na ścianach zawieszono lustra. Na wózku zobaczyłam telewizor i odtwarzacz wideo, a obok pokryte kurzem kasety z kursem samoobrony. Nieco dezorientująco prezentowała się reszta umeblowania, na przykład para *nunchaku* wisząca na ścianie.

– Nie ruszaj tego! – ostrzegłam, widząc, że Adrian zmierza w ich stronę. – To nie jest facet, który pozwala dotykać swoich zabawek.

Adrian gapił się na broń, nie wyciągając ręki.

– Myślisz, że nauczy nas, jak się tym posługiwać?

– W opisie kursu nie wspomniano o technikach walki bronią. Mamy tu poznać podstawy samoobrony i walki wręcz.

– To po co tu w ogóle jesteście? – Adrian podszedł do szklanej gabloty, w której leżało kilkanaście kastetów. – To są rzeczy, na których doskonale zna się Castile. Mógł nas poduczyć.

– Wolałam kogoś bardziej przystępnego – wyjaśniłam.

– Masz na myśli Kapitana Tropikalne Szorty? Skąd go wytrzasnęłaś?

– Znalazłam w internecie. Miał świetne rekomendacje – zaczęłam się tłumaczyć.

– Od kogo? Od Długiego Johna Silvera?

Roześmiałam się wbrew sobie.

Przez następne pół godziny schodziły się pozostałe uczestniczki kursu: kobieta koło siedemdziesiątki, matka, która właśnie urodziła czwarte dziecko i uznała, że musi „nauczyć się je chronić”, i dwie dziewczyny po dwudziestce w podkoszulkach z gniewnymi hasłami. Z Adrianem wydawaliśmy się najmłodszy. Inni mężczyźni się nie zjawili.

Instruktor poprosił, byśmy zwracali się do niego per Wolfe.

Miałam złe przeczucia już na początku treningu. Cała szóstka usiadła na podłodze, podczas gdy Wolfe oparł się o jedno z luster i gapił na nas z góry.

– Skoro tu jesteście – zaczął – zapewne chcecie od razu nauczyć się posługiwać tym – wskazał *nunchaku*.

Zobaczyłam w lustrze minę Adriana. Mówiła: „Tak, dokładnie tego chciałbym się nauczyć”.

– W takim razie źle trafiliście – ciągnął Wolfe. – Nie będziecie ich używać. Nie na tych zajęciach. Możecie mi wierzyć, że bardzo się przydają. Ocaliły mi tyłek wiele razy, gdy przed kilku laty polowałem z łukiem na Alasce. Ale jeśli przyłożycie się do zajęć, nigdy nie będziecie musieli korzystać z czegoś podobnego, bo w Palm Springs nie mamy problemu z nawiedzonymi łosiami.

Świeżo upieczona mama podniosła rękę.

– Walczył pan tym z łosiem?

Wolfe spojrzał na nią z udręką.

– Tym i wszelką inną bronią. Trafiła mi się twarda sztuka. Ale nie pora na opowieści. Najważniejsze dla was jest to, że jeśli zachowacie odrobinę zdrowego rozsądku, w ogóle nie będziecie potrzebowali broni.

Ani pięści. Ty.

Ku memu najwyższemu zdumieniu Wolfe wycelował we mnie palec i utkwiał stalowe spojrzenie jednego oka.

– Co ci powiedziałem, gdy tu przyjechałaś?

Przełknęłam głośno ślinę.

– Żebym dała panu gotówkę.

– A potem?

– Kazał pan nam tu poczekać.

Skinął głową z zadowoleniem, więc uznałam, że moja odpowiedź była prawidłowa.

– Znajdujemy się trzy kilometry od innych zabudowań i mniej więcej półtora od autostrady. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie znacie mnie, a to miejsce przypomina scenografię z filmu o seryjnym mordercy.

– Kątem oka dostrzegłam triumfujący wzrok Adriana. – Posłałem was do oddalonego budynku bez okien. Weszliście do środka. Czy rozejrzeliście się po drodze? Dokonaliście oględzin terenu, zanim zdecydowaliście się tu wkroczyć? Sprawdziliście, gdzie są wyjścia?

– Ja...

– Oczywiście, że nie – przerwał mi. – Nikt tego nie robi. A to jest pierwsza reguła samoobrony. Niczego nie bierzcie za dobrą monetę. Nie musicie żyć w lęku, ale rozglądajcie się bacznie. Bądźcie sprytni. Nie pakujcie się ślepo w ciemne alejki czy na parkingi.

Byłam wstrząśnięta.

Wolfe zadziwił mnie swoim dobrym przygotowaniem. Miał w zanadrzu mnóstwo historyjek i przykładów napaści, które uświadomiły mi, że to ludzie, a nie wampiry, są najbardziej krwiożerczymi bestiami. Nasz instruktor prezentował rysunki różnych niebezpiecznych miejsc, udzielając praktycznych porad, które powinny być oczywiste dla większości ludzi, a nie były. Im dłużej mówił, tym bardziej głupio się czułam z powodu incydentu z Sonią. Gdyby napastnicy chcieli dopaść właśnie ją, znaleźliby inny sposób. Ale ja mogłam zrobić milion rzeczy, żeby uniknąć konfrontacji tamtego wieczoru. To była główna wskazówka Wolfe'a: przede wszystkim unikać niebezpieczeństw.

Kiedy nareszcie przeszedł do omówienia kilku podstawowych technik obronnych, podkreślił, że służą przygotowaniu sobie drogi



ucieczki, nie pokonaniu napastnika. W ciągu ostatnich trzydziestu minut do końca zajęć pozwolił nam przećwiczyć ruchy w parach i z użyciem manekinów, bo przecież nie zamierzaliśmy zrobić sobie krzywdy.

– Dzięki Bogu – rzucił Adrian, kiedy rozpoczęła się część praktyczna. Stanowiliśmy parę. – Już myślałem, że przybyłem na trening walki, by nauczyć się, jak jej unikać.

– On ma rację – sprzeciwiłam się. – Lepiej unikać walki.

– A jeśli to niemożliwe? – spytał Adrian. – Jak w przypadku twoich kumpli z mieczami? Co wtedy?

Stuknęłam naszego manekina bez twarzy.

– Po to tu jesteśmy.

Wolfe postanowił nauczyć nas w pierwszej kolejności, jak wyrwać się z uścisku, gdy ktoś zaatakuje nas od tyłu. Zademonstrował kilka prostych tricków, takich jak uderzenie głową w tył czy nadeptanie przeciwnikowi na stopę. Zmienialiśmy się z Adrianem, na przemian odgrywając role napastnika i ofiary. Robiliśmy to w zwolnionym tempie, niemal się przy tym nie dotykając. Do bicia służyły manekiny. Jestem jakieś dwanaście centymetrów niższa od Adriana i na pozór nie mogłam mu zagrozić, więc oboje wybuchaliśmy śmiechem, gdy próbowałam go atakować. Wolfe karmił nas za brak powagi, ale przyznał nam wysokie noty za zaangażowanie w ćwiczenia.

Nabrałam animuszu, więc gdy Adrian odwrócił się, by sięgnąć po butelkę z wodą, podkradłam się z tyłu i chwyciłam go wpół, unieruchamiając mu ręce. Wolfe pokazał nam, jak się uwolnić z takiego uścisku, i sądziłam, że Adrian mi się wyślizgnie, zanim go dobrze chwycę. Najwyraźniej nie zdołał. Znieruchomiał i na chwilę czas się zatrzymał. Czulałam dotyk jedwabiu na skórze i ciepło ciała Adriana. Otoczył mnie zapach jego wody kolońskiej. Ani śladu dymu z papierosów. Zawsze powtarzałam, że przepłaca, kupując drogie kosmetyki, ale teraz przyznałam mu rację. Zapach był oszałamiający.

Nie uświadomiłam sobie od razu, że Adrian mnie odepchnął.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknął.

Spodziewałam się wyrazów uznania za podstępny atak, ale nawet go nie rozbawiłam. Zrzędała mi mina.

– Sprawdzam, jak sobie radzisz w sytuacji zaskoczenia –

mruknełam niepewnie. Nie rozumiałam, czemu się wkurzył. Był niespokojny, niemal zdenerwowany. – Co się stało?

– Nic – burknął. Przez krótką chwilę utkwiał we mnie spojrzenie tak intensywne, że zaparło mi dech. Potem odwrócił wzrok, jakby nie mógł na mnie patrzeć. Poczulałam się kompletnie zdezorientowana. – Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym obejmiesz wam... kogoś takiego jak ja.

Ledwo zarejestrowałam to przejęzyczenie w miejscu publicznym. Jego słowa podziały na mnie jak kubek zimnej wody. Miał rację. Dotknęłam go, nie zastanawiając się, co robię, i nie był to oficjalny uścisk dłoni, jak zwykle. Oczywiście znajdowaliśmy się w nietypowej sytuacji, ale zdałam sobie sprawę, że jeszcze kilka miesięcy temu nie mogłabym tego zrobić. Teraz wydawało mi się to absolutnie naturalne. Dlaczego tak się zdenerwował? Obawiał się alchemików czy mnie?

Podszedł do nas Wolfe.

– Dobra robota, dziewczyno – pochwalił mnie i walnął Adriana w plecy, aż zadzwoniły mu zęby. – Byłeś na nią kompletnie nieprzygotowany.

Adrian zdenerwował się jeszcze bardziej i mogłabym przysiąc, że słyszałam, jak mruknął:

– To akurat cholerna prawda.

Odzyskał rezon dopiero w samochodzie, ale przez większą część drogi był milczący i zamyślony. Jeszcze raz spróbowałam dowiedzieć się, co go tak zirytowało.

– Chciałbyś wstąpić po drodze po krew do Clarence'a? – spytałam, zgadując, że trening mógł go zmęczyć.

– Nie – odparł. – Nie powinnaś wracać zbyt późno. Ale... Może moglibyście wpaść po mnie w weekend i wybralibyśmy się tam wszyscy razem?

– W sobotę idę na imprezę – bąknęłam przeproszająco. – A jutro po lekcjach Sonia zabiera Jill do Clarence'a. Na pewno może po ciebie podjechać.

– Pewnie tak – powiedział z rozczarowaniem, chociaż mógł chyba poczekać jeden dzień na krew. Może obawiał się, że Sonia znów będzie go namawiała na badanie. Nieoczekiwanie Adrian się wyprostował.

– Skoro mowa o Soni... myślałem o czymś, co powiedział Wolfe.  
– Niesamowite. Nie sądziłam, że go w ogóle słuchałeś.  
– Nie zaczynaj, Sage – ostrzegł. – Wolfe jest szalony i dobrze o tym wiesz. Ale gdy prawil nam kazanie, wspomniał, żebyśmy nie udzielali obcym informacji o sobie. Twierdził, że ofiary często bywają namierzane wcześniej. Pamiętasz?

– Tak, byłam tam – odparłam. – Niecałą godzinę temu.

– No właśnie. Wasi napastnicy wiedzieli, że Sonia jest wampirem. Pomylili ją ze strzygą, ale jednak wiedzieli. Przyszli z mieczem, co oznacza, że się przygotowali. Oczywiście jest możliwe, że po prostu wypatrzyli ją na ulicy któregoś dnia i rozpoznali. Ale zakładałam również, że mogli ją obserwować od dłuższego czasu.

„Wypatrzyli ją na ulicy...”. Zabrakło mi tchu. Milion kawałków ułożyło się w całość.

– Adrian, jesteś geniuszem.

Zdziwił się.

– Słucham?

– Tydzień przed napaścią poszliśmy z Sonią po obiad i natknęliśmy się na gościa, który twierdził, że znają się z Kentucky. Sonia się przestraszyła, bo przecież wtedy była jeszcze strzygą i, co oczywiste, nieczęsto zadawała się z ludźmi.

Adrian zastanawiał się nad tym, co powiedziałam.

– Więc mówisz, że od jakiegoś czasu mieli ją na oku.

– Ty tak mówisz.

– Tak. Bo jestem geniuszem. – Umilkliśmy, rozważając, co to wszystko znaczy. Adrian odezwał się dużo poważniejszym tonem: – Sage, wczoraj wieczorem... Nie skomentowałaś mojej sugestii, że łowcy wampirów mogą istnieć.

– Alchemicy nigdy o nich nie słyszeli, w każdym razie nie współcześnie – odparłam automatycznie. – Mój ojciec powiedział kiedyś, że od czasu do czasu jakiś przypadkowy człowiek odkrywa prawdę. Sądziłam, że tak należy tłumaczyć ostatnią napaść. Nie przyszło mi nawet do głowy, że to zorganizowane działanie.

– A zakładasz możliwość, że alchemicy mogli coś przeoczyć? I co rozumiesz po słowem „współcześnie”?

Historia alchemików była mi przekazywana równie rzetelnie, jak filozofia naszej służby.

– Dawno temu... w czasach średniowiecza... kiedy alchemicy zaczęli się zrzeszać, różne bractwa miały swoje własne wyobrażenia na temat tego, jak sobie radzić z wampirami. Nikt nie pomyślał, że ludzie powinni się z nimi bratać. Ci, którzy ostatecznie uformowali moją organizację, uznali, że najlepiej współpracować z morojami, by tym samym oddzielić ich od ludzi. Ale inne bractwa miały swoje zdanie. Znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że ludzie będą bezpieczni tylko wtedy, gdy wampiry znikną z powierzchni ziemi – relacjonowałam. Fakty stanowiły moją zbroję, pancerz. Nigdy nie zastanawiałam się nad implikacjami tych informacji. Nie przyszło mi do głowy, że nadal mogą żyć ludzie, którzy polują na morojów.

– A więc zostali łowcami wampirów – zauważył Adrian.

– Tak, ale niewiele wskórali. Zbyt wiele było na świecie wampirów, morojów i strzyg na tak nieliczną grupę ludzi. Ostatnie zapisy o ich działalności pochodzą z renesansu. Potem łowcy przeszli do historii. – Nawet ja wychwyciłam wahanie w swoim głosie.

– Powiedziałaś, że na tym mieczu widniały alchemiczne symbole.

– Stare.

– Tak stare, że mogły pochodzić z okresu schizmy?

Westchnęłam.

– Tak. Tak stare.

Miałam ochotę zamknąć oczy i zapaść się w fotelu. Na moim pancerzu pojawiły się rysy. Jeszcze nie byłam w pełni przekonana o istnieniu łowców wampirów, ale już nie mogłam wykluczyć takiej ewentualności.

Kątem oka dostrzegłam, że Adrian mi się przygląda.

– Czemu wzdychasz?

– Bo powinnam na to wpaść wcześniej.

Chyba się ucieszył.

– Nie traktowałaś tego poważnie. Trudno uwierzyć w istnienie łowców wampirów komuś, kto żyje w świecie faktów i danych naukowych, prawda? Z drugiej strony... jak to możliwe, że alchemicy się na nich nie natknęli?

Adrian podsunął mi załączek myśli i mój umysł pracował teraz na pełnych obrotach.

– Bo jeśli oni w ogóle istnieją, napadają wyłącznie na strzygi. Nasi ludzie odkryliby natychmiast, gdyby łowcy zaczęli atakować morojów. Strzygi nie trzymają się razem i nawet jeśli one coś zauważyły, przecież nie zameldowały o tym alchemikom. Poza tym te bestie często giną również z rąk morojów i dampirów. Kilka martwych strzyg przypisano by wam, gdyby ktoś w ogóle je znalazł. Zostaw strzygę na słońcu, a spopieli się w mgnieniu oka. – Poczułam ulgę. Jeśli nawet łowcy istnieli, nie mogli zabijać morojów. Polowanie na strzygi było jednak bardzo ryzykowne. Tylko alchemicy potrafią zatrzeć ślady po potyczkach i to oni utrzymują wszystko w tajemnicy przed ludźmi.

– Mogłabyś wypytać swoich o dawnych łowców? – chciał wiedzieć Adrian.

– Jeszcze nie. Najpierw sama trochę poszperam w naszych archiwach. Gdybym oficjalnie zwróciła się z tą sprawą do zwierzchników, odpowiedzieliby zgodnie z teorią mojego ojca, że napadła na nas grupa szaleńców. Wyśmialiby mnie.

– Wiesz, kto by cię nie wyśmiał?

– Clarence – powiedzieliśmy jednocześnie.

– Nie mam ochoty zaczynać z nim tej rozmowy – mruknęłam niechętnie. – Ale możliwe, że on naprawdę coś wie. Jeszcze się okaże, że te jego lęki nie są bezpodstawne. Zainstalował w domu system alarmowy. Soni może grozić większe niebezpieczeństwo, niż myślimy.

– Musimy powiadomić Bielikowa. Nie ma lepszego strażnika. Będzie czuwał nad Sonią dniem i nocą, jeśli go przekonamy, że ma kłopoty, a to nie powinno okazać się trudne po tej napaści z mieczem.

Zauważyłam, że Adrian po raz pierwszy mówi o Dymitrze bez goryczy. Jego pełne uznania słowa pod adresem dambira były szczerze. Wierzył w umiejętności Dymitra. Pomyślałam, że Adrian potrafi się uporać z nienawiścią wobec dawnego rywala.

Wysadziłam go, obiecując, że jeszcze o tym pogadamy. Kiedy dotarłam do Amberwood, od razu zatrzymała mnie pani Weathers. Co tym razem? Przygotowałam się na informację, że Angeline coś podpaliła. Ale opiekunka miała spokojny, nawet zadowolony wyraz

twarzy, więc poczułam, że może nie będzie tak źle.

– Coś do ciebie przyszło, moja droga – oznajmiła. Sięgnęła do małej szafki za biurkiem i wyjęła dwa pokrowce na ubrania. – Przyniosła to niska, energiczna kobieta.

– Lia. Dziękuję.

Odwrociłam się, by odejść, ale pani Weathers miała dla mnie drugą niespodziankę.

– Panna Terwiliger też coś dla ciebie zostawiła.

Usiłowałam zachować obojętną minę. Nauczycielka ostatnio zarzucała mnie robotą. Co znowu wymyśliła? Pani Weathers wręczyła mi dużą kopertę, w której mogła znajdować się książka. Panna Terwiliger napisała na wierzchu: „To nie jest praca domowa. Może nie będziesz oburzona”. Podziękowałam opiekunce i zaniósłam wszystko do pokoju. Odłożyłam nierozpakowane kostiumy na łóżko i najpierw rozerwałam kopertę, bo zaniepokoiło mnie to, co przeczytałam.

Nie zdziwiłam się na widok kolejnej książki zaklęć, chociaż nie przypominała podręczników, nad którymi zwykle pracowałam na polecenie nauczycielki. Książka była nowa. Współczesna. Nie znalazłam adnotacji o wydawcy, więc uznałam, że ktoś opublikował ją własnym sumptem, najpewniej w ciągu ostatnich kilku lat. Ciekawe. Celowo nigdy nie pytałam panny Terwiliger o jej koleżanki czarownice i ich styl życia, ale zakładałam, że wszystkie czytają zakurzone stare tomiska, które kazała mi tłumaczyć i kopiować. Nie przeszło mi przez myśl, że mogą pisać nowe podręczniki magii. Myliłam się.

Nie miałam czasu o tym rozmyślać, bo zobaczyłam tytuł przysłanej książki. *Niewidzialny sztylet: praktyczne zaklęcia ataku i obrony*. Przerzuciłam kilka stron. Zaklęcia były spisane bardziej nowoczesnym językiem niż ten, do którego przywykłam. Przy każdym umieszczono źródło jego pochodzenia, a także czas i miejsce powstania. Czary miały wyłącznie praktyczne zastosowanie. Wszystkie zaklęcia można było rzucić w bardzo krótkim czasie lub wcześniej przygotować amulet, który pozwoli w dowolnym momencie osiągnąć natychmiastowe niszczycielskie skutki, jak w przypadku czaru płomieni.

Dokładnie o coś takiego pytałam pannę Terwiliger.

Byłam wściekła. Wepchnęłam książkę z powrotem do koperty. Jak

ona śmie mi to wciskać? Sądzi, że naprawi w ten sposób wszystkie wyrządzone mi krzywdy? Wiedząc, że pani Weathers powinna jeszcze być na dole, postanowiłam natychmiast zwrócić jej książkę i powiedzieć, że została mi przysłana przez pomyłkę. Potem przyszło mi na myśl, że podrzucę ją rankiem na biurko panny Terwiliger. Pożałowałam, że rozdarłam kopertę. Odesłanie nieotwartej przesyłki z napisem „zwrot” byłoby jasnym komunikatem dla nauczycielki, że nie wciągnie mnie w swoje czarodziejskie intrygi.

Pani Weathers wiedziała, że pracuję dla nauczycielki historii i z pewnością kazałaby mi oddać jej książkę osobiście. Musiałam poczekać do rana. Znalazłam w pokoju taśmę klejącą. Nie mogłam cofnąć faktu, że otworzyłam przesyłkę, ale miałam nadzieję, że poczuje się lepiej, ponownie ją pieczętując.

Nieoczekiwanie powróciłam myślami do wieczoru w towarzystwie Adriana i Wolfe’a. Instruktor nieco mnie uspokoił, twierdząc, że do większości napadów dochodzi przypadkowo na skutek braku ostrożności ofiary. Fakt, że już o tym wiedziałam, dodał mi pewności siebie. Wolfe wspomniał również o napadach bardziej przemyślanych lub wręcz o zasadzkach na konkretną osobę, ale to mnie nie dotyczyło. Chociaż... Przypomniałam sobie późniejszą rozmowę z Adrianem. A jeśli w opowieściach Clarence’a kryło się trochę prawdy i łowcy wampirów naprawdę istnieją? Wszyscy wiedzieliśmy, że napaść na Sonię nie była przypadkowa, lecz jeśli naprawdę dokonało jej jakieś tajemnicze bractwo istniejące od czasów średniowiecza... Cóż. Wówczas nasze obawy byłyby całkowicie uzasadnione. Napastnicy zapewne powrócą. Nie pozbedziemy się ich, unikając odludnych miejsc ani maszerując pewnym krokiem.

Zerknęłam na kopertę i postanowiłam jeszcze jej nie zaklejać.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W DNIU ZAPOWIEDZIANEJ IMPREZY poważnie rozważałam zwrot kostiumu od Lii i kupno białej łatwopalnej tandety ze sklepu z gotowymi strojami.

Dzieło projektantki okazało się... czymś więcej, niż się spodziewałam.

Wykonała świetną robotę, odtwarzając stylowy chiton noszony w starożytnej Grecji – musiałam jej to przyznać. Tunika bez rękawów była na ramionach upięta tak, że tkanina tworzyła głęboki dekolt, z którym nie czułam się swobodnie. Suknia miała idealną długość, sięgała mi do kostek. I na tym kończyła się wierność historyczna. Kostium wykonano z jedwabiu i zwiewna tkanina podkreślała moją figurę bardziej, niżbym chciała. Grecy nie znali jedwabiu, a w dodatku materiał był... czerwony.

Nie mogłam sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio włożyłam coś czerwonego. Może w dzieciństwie. Nasze mundurki szkolne miały czasem wstawki w kolorze burgunda, lecz w bardzo zgaszonym odcieniu. Tymczasem Lia wybrała dla mnie płomienny szkarłat. Nie noszę tak intensywnych kolorów. Za bardzo zwracają uwagę. Dodatkowo projektantka obrębiła brzegi materiału błyszczącą w świetle złotą nicią. Pasek był również złoty. Zapięcia na ramionach wykonano z metalu wysokiej jakości. Podobnie inne dodatki: naszyjnik i kolczyki zrobione z małych monet. Lia dorzuciła nawet złoty grzebień do wpięcia we włosy, inkrustowany małymi czerwonymi kryształkami.

Przymierzyłam kostium w pokoju i wpatrywałam się w feerię czerwieni.

– Nie – powiedziałam głośno.

Ktoś zapukał do drzwi – skrzywiłam się. Zdjęcie sukni zajęłoby mi wieki, więc musiałam otworzyć w tym stroju. Na szczęście zobaczyłam Jill. Otworzyła buzię, żeby coś powiedzieć, ale umilkła na mój widok.

– Wiem – rzuciłam pośpiesznie. – To absurd.

Mała doszła do siebie po kilku sekundach.

– Nie... nie! Wyglądasz zachwycająco. O mój Boże.

Zaprosiłam ją szybko do środka, zanim ktoś mnie zobaczył. Jill także przyszła już w kostiumie, zwiewnej szatce w odcieniu



bladoniebieskim, która doskonale podkreślała jej eteryczną sylwetkę.

– Jest czerwona – oznajmiłam. I dodałam, na wypadek gdyby to nie było oczywiste: – Nie noszę czerwieni.

– Wiem – powiedziała, wybałuszając oczy. – Ale powinnaś. Wyglądasz prześlicznie. Natychmiast spal wszystkie te szarobure ciuchy. Potrząsnęłam głową.

– Nie mogę w tym wystąpić. Jeśli wyjedziemy teraz, jeszcze zdążę do sklepu z kostiumami i coś dla siebie znajdę.

Jill przybrała groźną minę, jak na mój gust nieco przesadzoną w tych okolicznościach.

– Wykluczone. Pójdiesz w tym. Twój chłopak padnie na kolana. Powinnaś też zrobić lekki makijaż. Wiem, wiem. Nie lubisz ekstrawagancji, ale wystarczy, jeśli podkreślisz oczy konturówką i nałożysz lekką warstwę szminki. Leciutką. Musisz zrównoważyć intensywność koloru sukni.

– Widzisz? Ten kolor już sprawia problem.

Ale Jill się uparła.

– Zajmie ci to tylko chwilę. Poza tym nie zdążysz się przebrać. Jeśli zaraz nie wyjedziemy, spóźnimy się na imprezę. A twój chłopak zawsze przyjeżdża wcześniej, prawda?

Nie odpowiedziałam od razu. Jill trafiła w sedno. Brayden naprawdę zawsze przychodził przed czasem i choć czułam się skrepowana w tej sukni, nie mogłam znieść myśli, że każe mu czekać, szczególnie że nie mógł wejść do klubu bez kogoś z Amberwood.

– Dobrze – skapitulowałam z westchnieniem. – Jedźmy już.

Jill uśmiechnęła się z triumfem.

– Ale najpierw makijaż.

Przystalam i na to, a potem – w ostatniej chwili – włożyłam swój łańcuszek z krzyżykiem. Nie pasował do stroju, ale pośród okazałej złotej biżuterii nie było go widać, a dzięki niemu poczułam się pewniej, bardziej swojsko.

W holu natknęłyśmy się na Eddiego. Był w normalnych ciuchach, a w ramach jedyne go ustępstwa na rzecz Halloween włożył białą maskę na oczy, która skojarzyła mi się z *Upiorem w operze*. Miałam ochotę go spytać, czy nie ma drugiej, bo może zdążyłabym się przebrać w

normalne ubranie.

Eddie zerwał się z krzesła i utkwiał rozmarzone spojrzenie w Jill. Naprawdę nie rozumiałam, jakim cudem nikt się nie zorientował, że chłopak szaleje na jej punkcie. To było tak boleśnie oczywiste. Pożerał ją wzrokiem i wyglądał, jakby miał zemdleć. Po chwili przeniósł wzrok na mnie i znieruchomiał. Nie był to zachwyt, raczej osłupienie.

– Wiem, wiem. – Pomyślałam, że tego wieczoru często będę to powtarzała. – Jest czerwona, a ja nie noszę czerwieni.

– Powinnaś – powtórzył słowa Jill. Eddie gapił się teraz na nas obie, kręcąc głową. – Szkoda, że jesteśmy „spokrewnieni”. Poprosiłbym was do tańca. Ale nie powinniśmy chyba dawać ludziom więcej powodów do plotek. Wystarczy, że inna „kuzynka” chciała wybrać się ze mną na tę imprezę.

– Biedna Angeline – mruknęła Jill, gdy szliśmy do samochodu. – Miała wielką ochotę pojechać.

– Pomyśl o sprzeczce muzycznym. Lepiej, że jej tam nie będzie – podsunęłam.

Eddie zatrzymał się przy Latte.

– Mogę prowadzić? Dziś wieczór powinienem wystąpić w roli waszego szofera. Wyglądacie jak księżniczki. – Uśmiechnął się do Jill. – Ty zawsze tak wyglądasz. – Otworzył tylne drzwi i skłonił się przed nią. – Pani pierwsza, milady. Sługa uniżony.

Praktyczny, spokojny Eddie rzadko zachowywał się tak ekstrawagancko i zauważyłam, że Jill była zaskoczona.

– Dziękuję – bąknęła, sadowiąc się z tyłu. Dampir pomógł jej zwinąć suknię, a ona zerknęła na niego z zaciekawieniem, jakby nigdy go wcześniej nie widziała. Po takiej akcji nie mogłam nie oddać mu kluczyków.

Impreza odbywała się w ładnej, przylegającej do ogrodów botanicznych sali. Razem z Eddiem wpadliśmy tu wcześniej w tym tygodniu, żeby mógł ocenić, czy jest bezpiecznie. Micah umówił się z Jill na miejscu, choć z innych powodów niż Brayden ze mną. Uczniowie naszej szkoły mieli zapewniony transport specjalnymi autobusami. Ci ze starszych roczników, jak Eddie i ja, mogli przyjechać własnymi samochodami i zabrać ze sobą kogoś z rodziny. Nikt by się nie

dowiedział, czy Jill później wróci z Micahem, ale wolno jej było opuścić teren szkoły tylko pod opieką starszych krewnych.

– Mam nadzieję, że jestem na to gotowa – wymamrotałam, gdy wjechaliśmy na parking.

Strój od Lii tak zajął moje myśli, że prawie zapomniałam o tremie przed imprezą. Nagle ogarnął mnie lęk, jak zwykle w takich sytuacjach. Co ja tu robię? Jak mam się zachowywać? Nie miałam odwagi zapytać o to żadnego z moich przyjaciół.

– Poradzisz sobie – zapewnił Eddie. – Twój chłopak i Micah oniemiają z wrażenia.

Odpięłam pas.

– Już po raz trzeci słyszę o „swoim chłopaku”. O co wam chodzi? Dlaczego nie mówicie po prostu Brayden?

Nie odpowiadali dłuższą chwilę.

– Bo żadne z nas nie zapamiętało jego imienia – pisnęła na koniec Jill.

– Nie wierzę! Spodziewałabym się tego po Adrianie, ale wy? To nie takie znowu rzadkie imię.

– Nie – przyznał Eddie. – A jednak brzmi tak... Sam nie wiem. Trudno je zapamiętać. Cieszę się, że dobrze się dogadujecie, ale zawsze się wyłączam, kiedy on zaczyna mówić.

– Nie do wiary – powtórzyłam.

Brayden czekał na nas przed budynkiem, z pewnością już od dobrych dziesięciu minut. Poczułam łaskotanie w żołądku, gdy zmierzył mnie wzrokiem. Nic nie powiedział, ale szeroko otworzył oczy. Jak miałam to rozumieć? Machnęłam legitymacją szkolną w wejściu, żeby go przepuścili, a Jill niemal natychmiast pobiegła do Micaha. Romantyczny zryw Eddiego odszedł w niepamięć. Dampir przyjął swoją zwyczajową czujną postawę. Nachmurzył się i spoważniał. Dotknęłam jego ramienia.

– Dasz sobie radę? – spytałam łagodnie.

Uśmiechnął się do mnie.

– Jasne. Baw się dobrze. – Odszedł i po chwili wmieszał się w tłum uczniów. Zostałam sama z Braydenem. Milczeliśmy, co czasem nam się zdarzało. Potrzebowaliśmy zwykle kilku minut na rozgrzewkę, zanim

pograżaliśmy się w rozmowie.

– Widzę, że muzykę puszcza didżej – zauważył, gdy weszliśmy głębiej do klubu.

– W naszej szkole niedawno doszło do awantury z członkami zaproszonego zespołu – wyjaśniłam, myśląc o scysji z Angeline.

Brayden nie wypytywał o szczegóły, rozglądał się, oceniając dekoracje. Pod sufitem zawieszono sztuczne pajęczyny i mrugające lampki. Na ścianach wisiały papierowe szkielety i czarownice. Uczniowie popijali poncz, który w wielkiej plastikowej wazie stał na stole.

– Niesamowite, prawda? – zagadnął Brayden. – Pogańskie święto stało się tak komercyjne.

Skinęłam głową.

– W dodatku na wskroś świeckie. No, poza tym, że nazajutrz przypada Wszystkich Świętych.

Uśmiechnął się do mnie, a ja wygięłam wargi w odpowiedzi. Znaleźliśmy się na bezpiecznym terytorium naukowym.

– Masz ochotę napić się ponczu? – spytałam. Grali jakiś szybki kawałek z dominacją ciężkich basów i wiele osób wyszło na parkiet. Nie lubię szybkich tańców. Nie wiedziałam jednak, co preferuje Brayden, i trochę się przestraszyłam, że zaraz mnie poprosi.

– Chętnie – zapewnił z widoczną ulgą. Coś mi powiedziało, że bywał na podobnych imprezach równie często jak ja, czyli wcale.

Poncz dostarczył nam kolejnego tematu: cukier kontra słodziki, ale jakoś nie miałam serca do dyskusji. Zaprzętało mnie co innego. Brayden nie zająknął się słowem na temat mojego kostiumu, co bardzo mnie niepokoiło. Czyżby był równie wstrząśnięty jak ja? A może nie wypowiada się z grzeczności? Nigdy nie oczekiwałam komplementów, jeśli sama wcześniej nie pochwaliłam kogoś innego, więc postanowiłam wybadać grunt.

– Masz fantastyczny kostium – zaczęłam. – Wypożyczyłeś go z teatru, tak?

– Tak. – Spojrzał po sobie i wygładził fałdy tuniki. – Nie jest idealny, ale ujdzie. – Uszyta z lekkiego białego materiału tunika sięgała mu do kolan. Miał ją upiętą na jednym ramieniu. Na plecy narzucił

welnianą opończę farbowaną na ciemny brąz. Nawet w opończy miał odsłonięte ramiona i klatkę piersiową, więc mogłam ocenić jego lekko muskularną sylwetkę biegacza. Uważałam, że Brayden jest przystojny, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie, że również seksowny. Sądziłam, że to obudzi we mnie silniejsze uczucia, lecz tak się nie stało.

Czekał na moją reakcję.

– Mój kostium też nie jest idealnie dopasowany.

Brayden otaksował mnie wzrokiem.

– Rzeczywiście – przytaknął. – Ale nie odbiega tak daleko od prawdy historycznej. – Zastanawiał się chwilę. – Myślę jednak, że bardzo ci w nim do twarzy.

Rozluźniłam się trochę. W jego ustach był to prawdziwy komplement. Brayden zwykle miał wiele do powiedzenia na każdy temat, lecz milknął, gdy w grę wchodziły emocje. Nie spodziewałam się po nim więcej, więc jego reakcja naprawdę dużo dla mnie znaczyła.

– Melbourne! Gdzieś ty się ukrywała? – Trey podszedł do nas i nalał sobie przezroczystego zielonego ponczu. – Fantastycznie wyglądasz. Seksownie. – Posłał Braydenowi przepaszające spojrzenie. – Nie zrozum mnie źle. Mówię, co widzę.

– Zrozumiałem – powiedział Brayden. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Ostatnio Trey zachowywał się przy mnie nieco dziwnie, więc odnotowałam z ulgą, że nasze kontakty wracają do normy.

Posłał mi jeszcze jedno pełne podziwu spojrzenie i zwrócił się do Braydena.

– Zobacz, obaj włożyliśmy togi. Rzym rządzi! – Podniósł rękę, żeby przybić piątkę z Braydenem, ale się przeliczył.

– Mam na sobie grecki chiton – wyjaśnił cierpliwie Brayden. Obejrzał togę domowej roboty, która podejrzenie przypominała prześcieradło. – A ty, hm, co innego.

– Rzym czy Grecja... – Trey wzruszył ramionami. – Co za różnica?

Brayden otworzył usta, a ja wiedziałam, że za chwilę udzieli szczegółowych wyjaśnień na temat istotności tej różnicy, więc szybko się wtrąciłam.

– Dobrze w niej wyglądasz – pochwaliłam Treya. – Opłaciły ci się godziny na siłowni i nareszcie mogę zobaczyć twój tatuaż.

Tunika Treya także była upięta na jednym ramieniu, odsłaniając jego plecy. Podobnie jak połowa uczniów naszej szkoły chłopak miał tatuaż. Ale nie jeden z tych nasączonych krwią wampirów, które jeszcze niedawno były w szkole tak popularne. Trey wytatuował sobie słońce z wystylizowanymi promieniami. Eddie mi o nim opowiadał, ale do tej pory nie miałam okazji przyjrzeć się rysunkowi, bo Trey nie paradował w mojej obecności bez koszulki.

Nieoczekiwanie spowaźniał i odwrócił się lekko, zasłaniając plecy.

– Wypada blado przy twoim. Przy okazji, miło go znów zobaczyć.

Bezwiednie dotknęłam policzka. Zwykle ukrywałam złotą lilię pod makijażem, ale uznałam, że na imprezie zostanie uznany za część kostiumu.

Znów puścili jakiś szybki kawałek i Trey się rozpromienił.

– Pora na mały lans na parkiecie. Dołączycie czy postanowiliście trzymać dziś wartę przy ponczu?

– Nie tańczę szybkich – oświadczył Brayden, a ja omal nie westchnęłam z ulgą.

– Ja też nie – dodałam.

Trey posłał nam ponury uśmiech.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

Ten wieczór spędziliśmy z Braydenem głównie przy ponczu, dyskutując na temat źródeł obchodzenia Halloween oraz innych podobnych świąt. Od czasu do czasu ktoś do nas podchodził. Kristin i Julia nie mogły się nachwalić mojej sukienki. Przechwytywałam również spojrzenie Eddiego, który ukradkiem patrolował salę. Powinien był się przebrać za ducha. Trzymał się blisko Jill i Micaha, ale jako wzorowy strażnik nie deptał podopiecznej po piętach.

Przerwaliśmy rozmowę, gdy wreszcie zagrali coś wolnego. Zesztywnieliśmy i popatrzyliśmy na siebie, wiedząc, co nas czeka.

– W porządku – powiedział Brayden. – Dłużej nie możemy tego odkładać.

Omala nie parsknęłam śmiechem. Brayden też się rozpromienił. Był tak samo świadomy naszego nieprzystosowania towarzyskiego jak ja. Poczułam ulgę.

– Teraz albo nigdy – przytaknęłam.

Wyszliśmy na parkiet, gdzie tańczyło już kilka przytulonych par. Chociaż może „tańczyło” to za dużo powiedziane. Większość po prostu kołysała się sztywno i kręciła w kółko. Niektórzy korzystali z okazji, żeby przyłgnąć do siebie i się obściskiwać, ale tych szybko rozdzielały przyzwoitki.

Ujęłam dłoń Braydena, a on oparł drugą rękę na moim biodrze. Poza pocałunkiem był to najbardziej intymny dotyk, do jakiego się posunęliśmy. Dzieliło nas kilkanaście centymetrów, ale i tak oszałamiała mnie ta ingerencja w prywatną przestrzeń. Upomniałam się w myślach, że przecież lubię Braydena i ufam mu, a cała sytuacja jest całkowicie normalna. Znowu nie było fajerwerków, lecz nie czułam też zagrożenia. Usiłując zająć myśli czym innym, zaczęłam słuchać muzyki i dałam się ponieść melodii. Po minucie Brayden uświadomił sobie, co robię.

– Ty... umiesz tańczyć – wybąkał ze zdumieniem.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Oczywiście.

Nie wirowałam wprawdzie w walcu na wielkiej sali balowej, ale poruszałam się w rytmie. Nie wyobrażałam sobie, jak inaczej można tańczyć. Tymczasem Brayden nie radził sobie najlepiej.

– To nie takie trudne – dorzuciłam. – Trochę jak matematyka.

Wystarczyło, że odwołałam się do znajomej dziedziny, a Brayden załapał, w czym rzecz. Był pojętym uczniem i zaczął liczyć takty razem ze mną. Wkrótce tańczyliśmy tak, jakbyśmy od dawna pobierali razem lekcje. Gdy na niego zerknęłam, pewna, że nadal skupia się na liczeniu, zauważyłam ze zdumieniem, że patrzy na mnie jakoś tak miękko... z uczuciem. Zarumieniłam się i odwróciłam wzrok.

Niezwykłe, że wciąż pachniał kawą, choć tego dnia nie był w pracy. Mimo mojego uwielbienia dla *eau de coffee*, odkryłam, że myślę o zapachu wody toaletowej Adriana.

Znowu puścili szybki kawałek, więc zeszedliśmy z parkietu, a Brayden przeprosił mnie i poszedł do didżeja. Nie chciał mi powiedzieć dlaczego, ale gdy wrócił, miał bardzo zadowoloną minę. Zaraz potem usłyszałam kolejny wolny numer i wróciliśmy do tańca.

Po raz pierwszy nie rozmawialiśmy. Po prostu tańczyliśmy. „Na tym właśnie polega prostota życia – pomyślałam. – Tak zachowują się

ludzie w moim wieku. Nie komplikują niczego, nie rozmyślają o walce między dobrem...”.

– Sydney?

Jill podeszła do nas z niespokojną miną. Natychmiast zrobiłam się czujna, zaniepokojona zmianą jej nastroju.

– Co się dzieje? – spytałam w przekonaniu, że chodzi o Adriana. Po chwili odsunęłam tę myśl. Moją troską byli morojscy zabójcy, nie jego samopoczucie.

W milczeniu wskazała stół z ponczem, gdzie jeszcze niedawno staliśmy z Braydenem. Był tam Trey, który z ożywieniem rozmawiał z jakąś dziewczyną w weneckiej masce. Maską była piękna: lodowo niebieska, ozdobiona srebrnymi liśćmi i kwiatami. Wyglądała znajomo. Jill nosiła ją na pokazie mody Lii, która potem pozwoliła jej ją zatrzymać. Rozpoznałam również strój dziewczyny – podniszczoną koszulkę i wytarte krótkie dżinsy.

– Nie – mruknęłam na widok długich, jasnych włosów. – Angeline. Jak się tu dostała? Zresztą nieważne. – Mogła się tu wślizgnąć z każdym. Opiekunki pewnie nie dostrzegły jej w autobusowym tłumie imprezowiczów. – Musimy ją stąd wyprowadzić. Jeśli ktoś ją zobaczy, zostanie wyrzucona ze szkoły.

– Maską zakrywa jej twarz – zauważyła Jill. – Może nikt jej nie rozpozna.

– Pani Weathers na pewno – odparłam z westchnieniem. – Ta kobieta ma szósty zmysł do... Och. Za późno.

Pani Weathers obserwowała salę z drugiego końca pomieszczenia, lecz nic nie mogło umknąć jej sokolemu wzrokowi. Patrzyłam z parkietu, jak rusza do stołu z ponczem. Nie sądziłam, że rozpoznała Angeline, ale na pewno coś podejrzewała.

– Co się stało? – spytał Brayden, spoglądając na przemian na Jill i mnie.

Musiałśmy mieć przerażone miny.

– Nasza kuzynka ma poważne kłopoty – wyjaśniłam.

– Trzeba działać. – Jill patrzyła na Angeline szeroko otwartymi oczami. – Wyprowadźmy ją.

– Jak?! – wykrzyknęłam.



Pani Weathers dotarła do stołu z przekąskami, gdy Trey właśnie ruszył z Angeline na parkiet. Widziałam, że opiekunka idzie za nimi, ale nagle przystaje jak wryta. W tej chwili eksplodowała waza z ponczem.

Właściwie nie waza, tylko sam poncz. Zakotłował się, uniósł w górę i rozprysnął w widowiskowej fontannie. Kilka osób stojących w pobliżu piszczało, bo zostali oblani, ale najbardziej ucierpiała pani Weathers.

Usłyszałam, jak Brayden gwałtownie łapie powietrze.

– Jak to się mogło stać? Przecież... Sydney?

Wrzasnęłam i cofnęłam się kilka kroków, wiedząc, co wywołało eksplozję. Brayden uznał, że się przestraszyłam.

– Spokojnie – powiedział. – Jesteśmy dostatecznie daleko.

Natychmiast spojrzałam na Jill. Wzruszyła lekko ramionami, jakby mówiła: „A co niby miałam zrobić?”. Zazwyczaj reagowałam na magię morojów obrzydzeniem i lękiem. Tego wieczoru byłam również wstrząśnięta. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi. Oczywiście z pewnością nikt nawet nie podejrzewał, że Jill jest wampirzycą, która posługuje się czarami, by skupić uwagę wszystkich na wybuchającym ponczu, ale to było bez znaczenia. Nie mogłam pozwolić, by rozniosły się pogłoski o tym, że w Amberwood dzieją się dziwne rzeczy. Nikt nie powinien interesować się szkołą.

– Wszystko w porządku? – Eddie pojawił się przy nas, a raczej przy swojej podopiecznej. – Co jest grane? – Nawet nie spojrzał na poncz. Był całkowicie skoncentrowany na Jill i ona to zauważyła.

Odpowiedział mu Brayden, któremu oczy błyszczały ciekawością naukowca, gdy obserwował nauczycieli krzątających się przy rozlanym napoju.

– To chyba skutek reakcji chemicznej, jeśli dobrze zgaduję. Może dosypano do ponczu zwykłej sody do pieczenia albo zainstalowano tam jakieś urządzenie mechaniczne?

Spojrzałam znacząco na Eddiego.

– Ktoś zrobił kawał – oświadczyłam. – Każdy miał do niego dostęp.

Dampir popatrzył na mnie, a potem przeniósł wzrok na Jill. Powoli skinął głową.

– Rozumiem. Powinniśmy cię stąd zabrać – zwrócił się do niej. – Nigdy nic nie wiadomo...

– Nie, nie – sprzeciwiłam się. – Zabierz stąd Angeline.

– Angeline? – upewnił się z niedowierzaniem. – Ale jak...?

Wskazałam mu ją, stojącą w towarzystwie Treya na parkiecie. Oboje wpatrywali się ze zdumieniem w skutki eksplozji.

– Nie wiem, jak tu weszła – przyznałam. – Ale to bez znaczenia. Musi wyjść. Pani Weathers prawie ją przyłapała.

W oku Eddiego pojawił się błysk zrozumienia.

– I w krytycznym momencie wybuchł poncz?

– Otóż to.

Chłopak powrócił wzrokiem do Jill i się uśmiechnął.

– W samą porę.

Odwzajemniła jego uśmiech.

– Mieliliśmy szczęście. – Patrzyli na siebie i niemal się zawstydzili, że muszą to przerwać.

– Idź do niej – zwróciłam się do Eddiego.

Posłał ostatnie spojrzenie Jill i już go nie było. Nie słyszałam, co powiedział Angeline, lecz wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nie zniesie sprzeciwu. Widziałam, że Trey nie oponuje, i Angeline w końcu się poddała. Eddie pospiesznie wyprowadził ją na zewnątrz, a ja odnotowałam z ulgą, że pani Weathers i pozostali niczego nie zauważyli.

– Jill – powiedziałam. – Lepiej będzie, jeśli ty i Micah także stąd wyjdziecie. Nie musisz tego robić natychmiast... ale wkrótce.

Jill skinęła głową ze smutną miną.

– Rozumiem.

Nawet jeśli nikt jej nie połączył z incydentem, lepiej, żeby wyszła. Dostrzegłam, że ludzie zaczynają się zbierać przy stoliku i tak jak Brayden zastanawiają się, co mogło być przyczyną niezwykłego zdarzenia. Jill zniknęła w tłumie. Brayden oderwał się od widowiska. Chciał mi coś powiedzieć, ale nagle popatrzył na didżeja.

– O nie – mruknął strapiony.

– Co? – spytałam, na poły oczekując, że stolik ze sprzętem się załamał albo głośnik stanął w płomieniach.

– Ta piosenka. Zamówiłem ją dla ciebie, a... prawie się skończyła.

Nadstawiłam uszu. Nie znałam tej melodii. Była wolna, romantyczna i sprawiła, że poczułam... wyrzuty sumienia. Sentymentalny gest Braydena został zniweczony szalonymi wyczynami mojej „rodziny”. Wzięłam go za rękę.

– Jeszcze się nie skończyła. Chodźmy.

Zatańczyliśmy ostatnią minutę, lecz widziałam, że Brayden jest rozczarowany. Chciałam mu to jakoś wynagrodzić i mimo tego, co się stało, uratować dla nas tę imprezę.

– Noc jest jeszcze młoda – zażartowałam. – Zamówię dla ciebie piosenkę, a ty postarasz się odgadnąć, która to.

Biorąc pod uwagę, że nie słucham radia, pewnie nie będzie to kłopotliwe. Zamówiłam i dołączyłam do Braydena na kolejny wolny kawałek. Wciąż czułam się lekko zdenerwowana, ale powtarzałam sobie, że jest już po wszystkim. Jill wyszła. Eddie zajął się Angeline. Musiałam tylko się rozluźnić i...

Poczułam wibrację telefonu. Włożyłam go do małej czerwonej torebki z materiału, którą przewiesiłam przez ramię. Ginęła w fałdach sukni. Przeprosiłam Braydena i przerwałam taniec, żeby odebrać wiadomość. Adrian. Pisał: „Musimy pogadać”.

„Świetnie – pomyślałam ze ściśniętym sercem. – Czy ten wieczór może potoczyć się jeszcze gorzej?”

Odpisałam: „Jestem zajęta”.

„Nie zajmę ci dużo czasu. Jestem w pobliżu” – brzmiała odpowiedź.

Teraz się przeraziłam. „Co to znaczy w pobliżu?”

Odpowiedź była tak fatalna, jak się spodziewałam. „Na parkingu”.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

DOBRY BOŻE – WYMAMROTAŁAM.

– O co chodzi? – spytał Brayden. – Wszystko w porządku?

– Trudno powiedzieć. – Włożyłam telefon do torebki. – Nie mam na to najmniejszej ochoty, ale muszę załatwić coś na zewnątrz. Wrócę najszybciej, jak zdołam.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Zawahałam się.

– Nie, poradzę sobie. – Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, lecz uznałam, że lepiej nie mieszać do tego Braydena. – Zaraz wrócę.

– Sydney, poczekaj. – Brayden złapał mnie za ramię. – To... to jest ta piosenka, którą zamówiłaś, prawda? – Ta, którą tańczyliśmy, właśnie się skończyła i grano nowy... nie, właściwie stary kawałek. Miał ze trzydzieści lat.

Westchnęłam.

– Zgadłeś. To nie potrwa długo, obiecuję.

Był ciepły, przyjemny wieczór. Od dawna zapowiadano deszcz. Idąc w stronę parkingu, przypominałam sobie zalecenia Wolfe'a. Rozglądaj się. Wypatruj ludzi, którzy kręcą się przy samochodach. Nie wchodź w ciemności. Upewnij się, że...

– Adrian!

W jednej chwili zapomniałam o ostrożności. Adrian leżał na moim samochodzie.

Podbiegłam do niego tak szybko, jak mogłam w nowej sukience.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknęłam. – Złaż natychmiast! – Odruchowo szukałam zadrapań i wgnieceń w karoserii.

Dodatkową zniewagą zagrażającą Latte był papieros w ręku Adriana chłopak rozciągnięty na masce gapił się w niebo. Gromadziły się chmury, ale od czasu do czasu prześwitywała zza nich połówka księżyca.

– Wyluzuj, Sage. Nawet go nie zadrasnę. Jest zaskakująco wygodny jak na samochód rodzinny. Spodziewałem się...

Obrócił do mnie głowę i znieruchomiał. Jeszcze go nie widziałam w takim stanie. W szoku upuścił papierosa.

– Ach! – krzyknęłam, rzucając się na niedopałek, żeby nie uszkodził mi wozu. Upadł bezpiecznie na asfalt, a ja natychmiast go przydeptałam. – Zejdiesz wreszcie?

Adrian powoli usiadł z wytrzeszczonymi oczami. Zsunął się z maski, a ja stwierdziłam, że karoseria pozostała nienaruszona, choć postanowiłam obejrzeć ją później dokładniej.

– Sage... Co ty masz na sobie?

Westchnęłam, patrząc na sukienkę.

– Wiem. Jest czerwona. Nie zaczynaj. Mam już dość tych komentarzy.

– Zabawne – mruknął. – Nigdy nie miałbym dość patrzenia na ciebie w tej sukience.

Zrobiło mi się gorąco. Co chciał przez to powiedzieć? Czyżbym wyglądała tak dziwnie, że nie mógł oderwać wzroku od widowiska? Bo przecież... nie był to chyba komplement...

Natychmiast przywołałam się do porządku, nakazując sobie myśleć o chłopcu, którego zostawiłam w środku.

– Adrian, jestem na randce. Po co przyjechałeś? I dlaczego leżysz na moim wozie?

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, Sage. Nie rozkładałbym się tutaj, gdyby wpuszczono mnie do środka – odparł. Otrząsnął się już i znów przybrał nonszalancką pozę, opierając się plecami o Latte. Przynajmniej stał, więc ryzyko uszkodzenia karoserii zmalało.

– To normalne. Raczej nie wpuszczają dwudziestolatków na imprezy dla licealistów. Czego chcesz?

– Porozmawiać.

Miałam nadzieję, że powie coś więcej, ale milczał wściekły. Była sobota, cały dzień kręciłam się po kampusie i spokojnie mógł do mnie zadzwonić. Wiedział, że wieczorem idę na imprezę. Wciągnęłam w nozdrza zapach alkoholu i poczułam, że cokolwiek zrobi dziś Adrian, nie będę zdziwiona.

– Dlaczego nie mogłeś z tym poczekać do jutra? – spytałam. – Musiałeś się zjawić i... – Zmarszczyłam brwi i rozejrzałam się wokół. – Jak się tu właściwie dostałeś?

– Przyjechałem autobusem – wypalił z dumą. – O wiele łatwiej

dotrzeć tutaj niż do Carlton. – Adrian uczył się w college’u Carlton i nie mając samochodu, był zdany na publiczne środki transportu. Po raz pierwszy w życiu.

Miałam nadzieję, że to Sonia albo Dymitr go podrzucili i wkrótce po niego przyjadą. Szybko porzuciłam tę myśl. Żadne z nich nie przywiozłoby Adriana po alkoholu.

– Rozumiem, że mam cię teraz odwieźć – powiedziałam.

– Hej, sam przyjechałem i sam wrócę. – Sięgnął po papierosa, a ja stanowczo pokręciłam głową.

– Nie pal – rzuciłam ostro. Wzruszył ramionami i schował paczkę do kieszeni. – Jednak cię odwiozę. Zbiera się na burzę. Nie każę ci przecież maszerować w deszczu. – Na potwierdzenie moich słów niebo rozświetliła kolejna błyskawica, a moja sukienka zaszeleściła z podmuchem wiatru.

– Słuchaj – zaprotestował Adrian. – Nie chcę być...

– Sydney? – Brayden szedł w naszą stronę przez parking. – Wszystko w porządku?

Nie było w porządku.

– Będę musiała cię na krótko opuścić – oznajmiłam. – Odwiozę brata do domu. Poczekasz na mnie? – Czułam się źle, proponując mu takie rozwiązanie. Brayden nie miał żadnych znajomych w mojej szkole.

– Może poszukałbyś Treya?

– Jasne – bąknął niepewnie. – Mogę też pojechać z wami.

– Nie – odparłam szybko, bo nie wyobrażałam go sobie z pijanym Adrianem w samochodzie. – Wracaj i baw się dobrze.

– Ładna toga. – Adrian zwrócił się do Braydena.

– To jest chiton – poprawił Brayden. – Grecki.

– Racja. Zapomniałem, że to był wasz motyw przewodni. – Adrian zmierzył go wzrokiem, zerknął na mnie i powrócił do Braydena. – Co myślisz o kostiumie naszej dziewczyny? Niesamowity, co? Wygląda w nim jak Kopciuszek. Grecki Kopciuszek.

– W jej stroju prawie nie ma elementów greckich – stwierdził Brayden. Skrzywiłam się. Wiedziałam, że nie zamierzał być obcesowy, ale jego słowa mnie zabolęły. – Kreacja jest nieprecyzyjna pod względem historycznym. Wygląda co prawda bardzo ładnie, ale biżuteria

została źle dopasowana, a w dodatku ta tkanina była nieznana starożytnym Greczynkom. Podobnie jak jej kolor.

– Jak się nazywały te Greczynki? – Adrian próbował sobie przypomnieć. – Te błyskotliwe. Zmarszczył czoło, jakby każda komórka jego mózgu usiłowała odnaleźć brakujące słowo. Ku memu zdziwieniu udało mu się. – Hetery.

Naprawdę nie spodziewałam się, że zapamiętał cokolwiek z naszej rozmowy w San Diego. Próbowałam się nie uśmiechnąć.

– Hetery? – Brayden był jeszcze bardziej zdumiony niż ja. Spojrzał na mnie pytająco. – Tak... to chyba trafne skojarzenie. Pod warunkiem że jedwab był w ogóle znany w starożytnej Grecji, takie suknie mogłyby nosić tylko hetery, nie przeciętne greckie matrony.

– Ale one były prostytutkami, prawda? – drążył Adrian. – Te hetery?

– Niektóre z nich tak – zgodził się Brayden. – Ale nie wszystkie. Sądzę, że bardziej właściwe jest określenie „kurtyzany”.

Adrian doskonale udawał powagę.

– Twierdzisz zatem, że moja siostra ubrała się jak prostytutka.

Brayden zmierzył wzrokiem moją sukienkę.

– Cóż, tak, jeśli nadal rozmawiamy hipotetycznie...

– Wiecie co? – przerwałam im. – Naprawdę musimy już jechać. Za chwilę się rozpada. Zawiozę Adriana do domu i spotkamy się tutaj, dobrze? – Nie chciałam pozwolić, by Adrian dalej zabawiał się kosztem Braydena i moim. – Wyślę esemesa, gdy będę wracała.

– Pewnie – odparł Brayden głosem, który wcale nie brzmiał pewnie.

Odszedł, a ja zamierzałam wsiąść do samochodu, gdy zorientowałam się, że Adrian szamocze się z drzwiami od strony pasażera. Podeszłam do niego, wzdychając ciężko, i otworzyłam.

– Jesteś bardziej pijany, niż myślałam – oznajmiłam. – A i tak myślałam, że sporo wypiełeś.

Jakoś udało mu się wsiąść, a ja ponownie obeszłam samochód, gdy pierwsze krople deszczu zadzwoniły o szybę.

– Zbyt pijany, by Ślicznotka mogła to odczuć – stwierdził. – Daję jej wolny wieczór.

– Jakie to miłe z twojej strony – zakpiłam. – Choć zgaduję, że nie był to prawdziwy powód, dla którego się upiłeś. Ani dla którego tu przyjechałeś. Podsumowując, udało ci się jedynie zadrwić z Braydena.

– Nazwał cię prostytutką.

– Wcale nie! Manipulowałeś nim.

Adrian przesunął ręką po włosach i oparł się o szybę.

– To bez znaczenia. Jednak go nie lubię.

– Bo jest zbyt bystry? – rzuciłam. Przypomniałam sobie komentarze Eddiego i Jill. – I trudno zapamiętać jego imię?

– Nie. Myślę tylko, że stać cię na kogoś lepszego.

– Słucham?

Adrian nie odpowiedział, a ja musiałam zignorować ten wątek i skupić się na prowadzeniu auta. Burze, chociaż nieczęste, bywały gwałtowne w Palm Springs. Deszcz zalewał teraz ulice strugami wody, ograniczając widoczność. Całe szczęście, że Adrian mieszkał w pobliżu. Było to podwójne błogosławieństwo, bo kilka przecznic od swojego mieszkania oświadczył:

– Niedobrze mi.

– Nie – jęknęłam. – Tylko nie zabrudź mi samochodu. Już dojeżdżamy. – Minutę później stanęłam przed jego domem. – Wsiadaj. Natychmiast.

Posłuchał, a ja podążyłam za nim z parasolką. Idąc do budynku, zerknął na mnie i spytał:

– Mieszkamy na pustyni, a ty wozisz parasol?

– Oczywiście. Dlaczego nie?

Upuścił klucze, więc je podniosłam, zakładając, że szybciej otworzę drzwi. Odszukałam przycisk światła, ale nic się nie wydarzyło. Staliśmy przez chwilę w ciemności.

– Mam świece w kuchni – odezwał się Adrian, robiąc kilka chwiejnych kroków w tym kierunku. – Zapalę.

– Nie – sprzeciwiłam się, bo zobaczyłam w myślach, jak cały budynek staje w płomieniach. – Połóż się albo idź zwymiotować do łazienki. Znajdę te świece.

Wybrał kanapę, najwyraźniej więc nie czuł się tak źle, jak mu się wydawało. Znalazłam tylko świece zapachowe o aromacie sosny i



przyniosłam je do pokoju. Zapaliłam je. Stałam nad Adrianem i podałam mu szklankę wody.

– Wypij.

Ujął szklankę i nawet udało mu się usiąść, żeby wziąć kilka łyków. Potem oddał mi ją i opadł z powrotem na kanapę, zakrywając oczy ramieniem. Przyciągnęłam sobie krzesło i usiadłam przy nim. Sosnowe świece rzuciły słabe, migoczące światło.

– Dzięki, Sage.

– Dasz sobie radę, kiedy wyjdę? – spytałam. – Prąd na pewno włączą rano.

Nie odpowiedział na moje pytanie.

– Wiesz, nie piję po to, żeby się upić – wyznał. – To znaczy częściowo tak. Nawet w dużej części. Ale czasami tylko alkohol pozwala mi jasno myśleć.

– To bez sensu. Masz. – Znowu podałam mu wodę i jednocześnie zerknęłam na zegar w komórce, niepokojąc się o Braydena. – Wypij jeszcze.

Adrian posłuchał i mówił dalej, wciąż zasłaniając oczy ramieniem.

– Czy wiesz, jakie to uczucie, gdy coś bezustannie pochłania twoje myśli?

Już miałam mu oznajmić, że wychodzę, ale na dźwięk tych słów zrobiło mi się zimno. Jill mówiła coś podobnego, gdy objaśniała działanie mocy ducha.

– Nie – przyznałam szczerze. – Nie przeżyłam nic podobnego. Ale wyobrażam sobie, że to musi być straszne. Umysł to... coś, czym jestem. Wolałabym więc się z bólu fizycznego.

Nie mogłam go teraz zostawić. Po prostu nie mogłam. Napisałam do Braydena: „Zajmie mi to nieco dłużej, niż sądziłam”.

– To przerażające – potwierdził Adrian. – Dziwaczne. Nie mogę znaleźć innego słowa. Z jednej strony wiesz... wiesz, że coś jest nie tak. Że twoje myśli nie są twoje. Ale nic nie możesz z tym zrobić. Możemy polegać jedynie na własnym oglądzie rzeczywistości. Jeśli nie można zaufać swoim myślom, to co nam pozostaje? To, co mówią inni?

– Nie wiem – odparłam. Uprzytomniłam sobie, że moje życie jest w dużej mierze sterowane przez innych.

– Rose wyrecytowała mi kiedyś wiersz. Był tam taki wers: „Gdyby twoje oczy nie były otwarte, nie poznałbyś różnicy między śnieniem a jawą”. Wiesz, czego się boję? Że któregoś dnia będę miał oczy otwarte, a nie rozpoznam różnicy.

– Och, Adrian, nie. – Tak bardzo było mi go żal; usiadłam obok niego na podłodze. – To się nigdy nie stanie.

Westchnął.

– Na pewno nie pod wpływem alkoholu... Wycisza ducha i zwykle wówczas wiem, że jeśli coś wydaje mi się dziwne, to pewnie na skutek pijaństwa. Nie jest to najlepsze wytłumaczenie, ale dla mnie zawsze jakaś metoda, rozumiesz? Mogę się jakoś uspokoić, zamiast tracić do siebie zaufanie.

Brayden odpisał: „Jak długo?”. Odpowiedziałam zirytowana: „Piętnaście minut”.

Podniosłam wzrok na Adriana. Nie widziałam jego oczu, tylko zarys twarzy.

– Czy... dlatego się dziś upiłeś? Duch cię dręczył? Ostatnio miałam wrażenie, że dobrze sobie radzisz...

Odetchnął głęboko.

– Nie. Duch mnie nie męczy... w każdym razie nie bardziej niż zwykle. Upiłem się dzisiaj, bo... tylko w ten sposób mogłem się zmusić, żeby z tobą porozmawiać.

– Przecież rozmawiamy ze sobą bez przerwy.

– Muszę coś wiedzieć, Sage. – Odsłonił twarz i spojrzał na mnie, a ja nagle uświadomiłam sobie, jak blisko niego siedzę. Z wrażenia nie dosłyszałam, co powiedział. Tańczące cienie i blask świecy dodawały jego przystojnej twarzy niepokojącego uroku. – Czy poprosiłaś Lissę, żeby porozmawiała z moim ojcem?

– Co takiego? Ach, to. Zaczekaj chwilę. – Wzięłam komórkę i napisałam kolejną wiadomość do Braydena: „Lepiej umówmy się za pół godziny”.

– Wiem, że ktoś z nią rozmawiał w mojej sprawie – ciągnął Adrian. – Lissa mnie lubi, ale ma mnóstwo spraw na głowie. Sama nie wpadłaby na to, żeby przekonać Nathana Iwaszkowa, jak wspaniałego ma syna. To twoja robota.

– Nie rozmawiałam z nią – przyznałam. – Ale, hmm, poprosiłam Sonię i Dymitra, żeby się za tobą wstawili.

– A ona porozmawiała z moim starym.

– Pewnie tak.

– Wiedziałem – mruknął. Nie umiałam stwierdzić, czy to go zasmuciło, czy pocieszyło. – Wiedziałem, że ktoś ją do tego skłonił, i czułem, że to ty. Nikt inny by tego dla mnie nie zrobił. Nie wiem, co Lissa mu powiedziała, ale udało jej się go przekonać. Był pod wielkim wrażeniem. Wysłała mi pieniądze na wóz. I podnosi dochody. Znacznie.

– To chyba dobrze – bąknęłam. – Prawda?

Mój telefon rozświetlił się kolejną wiadomością od Braydena. „Za pół godziny skończy się impreza”.

– Ale dlaczego? – spytał Adrian. Usiadł na podłodze obok mnie. Wyglądał niemal na zrozpaczonego. Przysunął się jeszcze bliżej, lecz już po sekundzie wydawał się zażenowany tym, co robi. Odchylił się lekko. – Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego się za mną wstawiłaś?

Zanim odpowiedziałam, przyszła nowa wiadomość. „Zdążysz w ogóle wrócić?”. Wkurzyłam się, że Brayden nie wykazuje zrozumienia dla sytuacji. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, odpisałam: „Może powinieneś już wyjść. Zadzwoń jutro. Przepraszam”. Wyłączyłam telefon, żeby nie widzieć nowych wiadomości. Spojrzałam na Adriana, który wpatrywał się we mnie z żarem.

– Zrobiłam to, bo ojciec potraktował cię niesprawiedliwie. Zaslługujesz na więcej z racji tego, co robisz. Pan Iwaszkow powinien zrozumieć, że nie jesteś taki, jak mu się wydaje. Powinien zobaczyć cię takim, jakim jesteś naprawdę, a nie poprzez pryzmat swoich wyobrażeń i uprzedzeń wobec ciebie. – Adrian patrzył na mnie tak intensywnie, że nie mogłam przestać mówić. Nie mogłabym znieść tego jego spojrzenia w ciszy. Obawiałam się również, że jeśli zastanowię się nad tym, co mówię, odkryję, że odnosi się to również do mojej relacji z ojcem. – Powinno wystarczyć, że powiesz mu, kim jesteś. Pokażesz to... Ale on nie chce cię słuchać. Nie lubię, gdy trzeba prosić innych, by coś za kogoś zrobili, ale to było jedyne wyjście.

– Tak – powiedział w końcu Adrian. – Chyba poskutkowało. Dziękuję.

– Powiedział ci, jak skontaktować się z mamą?  
– Nie. Jego duma z syna najwyraźniej nie sięga tak wysoko.  
– Chyba mogę spróbować się dowiedzieć, gdzie ona jest –  
dodałam. – Albo... Dymitr mógłby, jestem tego pewna. Jak mówiłeś, na  
pewno przekazują więźniom listy.

Prawie się uśmiechnął.

– Znowu to robisz. Dlaczego? Czemu mi pomagasz?

Milion odpowiedzi cisnęło mi się na usta, poczynając od: „Bo tak  
trzeba” po: „Sama nie wiem”.

– Bo tak chcę – odparłam.

Tym razem naprawdę się uśmiechnął, ale było w tym coś  
mrocznego, zastanawiającego. Przysunął się znowu.

– Bo żal ci szaleńca?

– Nie jesteś szalony ani nie będziesz – zaprzeczyłam stanowczo. –  
Jesteś silniejszy, niż myślisz. Kiedy następnym razem przyjdzie ci coś  
podobnego do głowy, znajdź coś, na czym możesz się skupić, coś, co  
przypomni ci, kim jesteś.

– Co masz na myśli? Jakiś magiczny przedmiot?

– Nie musi być magiczny – odparłam po namyśle. – Proszę. –  
Zdjęłam z szyi złoty łańcuszek. – Mnie zawsze pomaga. Może tobie też  
się przysłuży. – Włożyłam mu go do ręki, a on chwycił moją dłoń, zanim  
zdążyłam ją cofnąć.

– Co to jest? – spytał, oglądając wisiołek. – Zaraz... Widziałem go.  
Zawsze to nosisz.

– Kupiłam go dawno temu w Niemczech.

Oglądał krzyżyk, nie puszczał mojej ręki.

– Nie ma żadnych ozdób ani tajemnych symboli. Jest zwyczajny.

– Dlatego mi się podoba – powiedziałam. – Ozdoby są  
niepotrzebne. Wiele wierzeń dawnych alchemików koncentrowało się  
wokół czystości i prostoty. I on właśnie taki jest. Może pomoże ci  
zachować jasność myśli.

Adrian podniósł wzrok na mnie.

Na jego twarzy malowały się uczucia, których nie umiałam  
odgadnąć. Jakby coś odkrył, coś niepokojącego. Odetchnął głęboko i  
przyciągnął mnie do siebie. Jego oczy pociemniały w świetle świecy, ale

nadal były zachwycające. Zacisnął palce na mojej dłoni, a ja poczułam, jak przenika mnie ciepło.

– Sage...

W tej chwili włączyli prąd i w pokoju zrobiło się jasno. Najwyraźniej, nie troszcząc się o rachunki za elektryczność, Adrian zostawił przed wyjściem wszystkie światła zapalone. Czar prysł i oboje się skrzywiliśmy, mrużąc oczy. Adrian odskoczył, zostawiając krzyżyk w mojej ręce.

– Czy nie powinnaś wracać na imprezę albo do dormitorium? – spytał obcesowo, nie patrząc na mnie. – Nie chcę cię zatrzymywać. Do diabła, nie powinienem był w ogóle zawracać ci głowy. Te esemesy były pewnie od Aideny?

– Od Braydena – poprawiłam, wstając. – Nic się nie stało. Już wyszedł, a ja wracam prosto do Amberwood.

– Przepraszam – powtórzył, idąc za mną do drzwi. – Popsułem ci wieczór.

– Tym? – Omal się nie roześmiałam, myśląc o wszystkich szalonych przypadkach, które niweczyły moje plany. – Nie. Potrzeba wiele więcej, by popsuć mi wieczór. – Zrobiłam kilka kroków i zatrzymałam się. – Adrian?

Dopiero teraz na mnie spojrzał, patrzył tym paraliżującym mnie wzrokiem.

– Tak?

– Następnym razem... kiedy będziesz chciał ze mną pomówić... o czymkolwiek... nie musisz pić, żeby się zebrać na odwagę. Po prostu ze mną porozmawiaj.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Niekoniecznie. – Sięgnęłam do klamki, ale zatrzymał mnie, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Sage?

Odwróciłam się.

– Tak?

– Wiesz, dlaczego go nie lubię? Tego twojego Braydena. – Tak się zdziwiłam, że poprawnie wymówił jego imię, że nie mogłam wykrztusić odpowiedzi, choć kilka od razu przyszło mi do głowy. – Z powodu tego,

co powiedział.

– Mianowicie? – Brayden mówił wiele i szczegółowo, trudno było mi się domyślić, o co dokładnie chodziło Adrianowi.

– „Nieprecyzyjna pod względem historycznym”. – Adrian wskazał mnie wolną ręką, bo druga wciąż spoczywała na moim ramieniu. – Kto, do diabła, może, patrząc na ciebie, powiedzieć „nieprecyzyjna pod względem historycznym”?

– Cóż – bąknęłam. – Miał rację.

– Ale nie powinien był tego mówić.

Przestąpiłam z nogi na nogę, czując, że powinnam już sobie pójść... ale nie mogłam.

– Posłuchaj, on już taki jest.

– Nie powinien był – powtórzył Adrian z niezwykłą powagą. Przysunął swoją twarz do mojej. – Nie obchodzi mnie, że nie jest typem emocjonalnym ani typem pochlebcy. Po prostu nie można zobaczyć cię w tej sukience, w całym tym ogniu i złocie, i gadać o anachronizmach. Na jego miejscu powiedziałbym: „Jesteś najpiękniejszą istotą chodzącą po ziemi”.

Wstrzymałam oddech na dźwięk tych słów i sposobu, w jaki je wymówił. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, czułam tylko, że powinnam wyjść, uciec od Adriana, uciec od tego, czego nie rozumiałam. Odsunęłam się i ze zdumieniem stwierdziłam, że drzę.

– Jesteś pijany – mruknęłam, kładąc rękę na klamce.

Przechylił głowę na bok i nie spuszczał ze mnie oczu.

– Niektóre słowa są prawdziwe, nawet jeśli wypowiada je pijak. Powinnaś o tym wiedzieć. Przez cały czas masz do czynienia z faktami.

– Tak, ale to nie... – Nie mogłam się z nim spierać, gdy patrzył na mnie w ten sposób. – Muszę już iść. Zaczekaj... nie wzięłaś krzyżyka.

Podaliśmy mu go.

Potrząsnął głową.

– Zachowaj go. Mam już coś, co pomoże mi zapanować nad moim życiem.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

NASTĘPNEGO DNIA miałam tak silne wyrzuty sumienia wobec Braydena, że do niego zadzwoniłam. Zazwyczaj porozumiewaliśmy się przez esemesy i maile.

– Przepraszam cię – zaczęłam. – Zwykle tak nie znikam. Naprawdę. To była bardzo ważna sprawa rodzinna. – Może trochę przesadzałam. A może nie.

– W porządku – odparł. Nie widziałam jego twarzy i nie miałam pojęcia, czy mówi szczerze. – I tak nastrój zaczynał już opadać.

Zastanawiałam się, co miał na myśli. Nastrój panujący na imprezie czy między nami.

– Pozwól się gdzieś zaprosić. Chciałabym ci to wynagrodzić – zaproponowałam. – Zawsze sam wszystko organizujesz. Teraz moja kolej. Stawiam obiad i nawet po ciebie przyjadę.

– Twoim subaru?

– Zgadzasz się czy nie?

Zgodził się. Ustaliliśmy, co trzeba, i rozłączyłam się w lepszym nastroju. Brayden nie był na mnie zły. Sprawa z Adrianem nie zepsuła naszej relacji. Wszystko wróciło do normy – przynajmniej dla mnie.

Następny dzień po imprezie spędziłam samotnie, chcąc nadrobić zaległości w lekcjach i nie stresować się zawiłościami życia towarzyskiego. Poniedziałkowy poranek oznaczał początek zajęć szkolnych, czyli powrót do pracy. Eddie wszedł do jadalni równocześnie ze mną i stanęliśmy razem w kolejce po posiłek. Pytał, po co Adrian pojawił się na tańcach, a ja odpowiedziałam oględnie, że po prostu się upił i potrzebował transportu do domu. Nie wspomniałam nawet, że za moim pośrednictwem królowa zrobiła coś w jego sprawie, ani o tym, że zostałam „najpiękniejszą istotą chodzącą po tej ziemi”. I z całą pewnością nie zająknęłam się słowem o tym, co czułam, gdy Adrian mnie dotknął.

Podchodząc z Eddiem do stolika, zobaczyłam niezwykłą scenę: Angeline starała się rozweselić Jill. Normalnie zganiłabym ją za to, że przyszła na tańce, ale nie zrobiła nic złego... tym razem. Poza tym zaniepokoiła mnie Jill. Widząc ją w ponurym nastroju, od razu

pomyślałam, że coś się stało Adrianowi. Eddie odezwał się pierwszy, bo dostrzegł coś, czego ja nie widziałam.

– Nie ma Micaha? – spytał. – Wyszedł wcześniej. Sądziłem, że dotrze tu pierwszy.

– Musiałeś spytać, co? – Angeline się skrzywiła. – Pokłócili się. Słowo daję, Eddie wyglądał na bardziej zmartwionego niż Jill.

– Jak to? Nic mi nie mówił. Co się stało? W sobotę wydawało mi się, że świetnie się razem bawicie.

Jill kiwnęła głową z posepną miną, nawet na niego nie patrząc znad pełnego talerza. Nie tknęła jedzenia. Dostrzegłam, że miała w oczach łzy.

– Tak. Tak świetnie, że wczoraj zapytał mnie, czy nie chciałabym spędzić Święta Dziękczynienia z jego rodziną. Pochodzą z Pasadeny. Micah miał nadzieję dostać pozwolenie na opuszczenie szkoły i porozmawiać o tym z wami.

– Brzmi nieźle – wtrącił ostrożnie Eddie.

– Święta z rodziną to poważna sprawa! Spotykamy się na terenie szkoły, ale jeśli zaczniemy razem wyjeżdżać... – Westchnęła. – Za szybko się to dzieje. Jak długo mogę przed nim ukrywać, kim jestem? A nawet gdyby to nie był problem, pozostaje kwestia bezpieczeństwa. Przecież przyjechałam tu po to, żeby się ukryć. Nie powinnam spotykać się z nieznajomymi.

Jill zrobiła kolejny krok na drodze do uświadomienia sobie trudności związanych z jej zażyłą znajomością z człowiekiem.

– Wygląda na to, że dużo o tym myślałaś – rzuciłam neutralnym tonem.

Potrząsnęła głową, jakby do tej pory nie zauważyła mojej obecności.

– Tak, chyba tak. – Przyglądała mi się chwilę i zdziwiło mnie, że jej wzburzenie nieco złagodniało. Uśmiechnęła się. – Bardzo ładnie dziś wyglądasz, Sydney. W tym świetle... zadziwiająco.

– Uhm, dzięki – bąknęłam, nie mając pojęcia, skąd to nagłe zainteresowanie. Byłam pewna, że wyglądam tak samo jak zwykle. Nie zmieniłam fryzury ani makijażu, a ubrałam się w białą bluzkę i wełnianą szkolną spódniczkę. Uznałam, że potrzebuję powrotu do normalności po



szaleństwie kolorów.

– Ta lamówka w kolorze burgunda wydobywa bursztynową barwę twoich oczu – ciągnęła Jill. – Nie tak wyraziście jak jaskrawa czerwień, ale naprawdę świetnie. Oczywiście w każdym kolorze wyglądasz wspaniale, nawet w pastelach.

Eddie wciąż myślał o Micahu.

– O co się pokłóciliście?

Jill oderwała ode mnie wzrok, co przyjąłem z ulgą.

– Och, powiedziałam mu, że nie jestem pewna, czy z nim pojadę. Może by się z tym pogodził, gdybym podała mu choć jeden konkretny powód. Ale ja po prostu spanikowałam na myśl o wszystkich problemach i bredziłam coś o naszym wyjeździe do Dakoty Południowej lub ewentualnej wizycie rodziny. Wspomniałam też chyba, że wy możecie się nie zgodzić... Plotłam trzy po trzy. Było oczywiste, że szukam wymówek, więc spytał wprost, czy mam go już dosyć. Odparłam, że to skomplikowane. Chciał wiedzieć, co to znaczy, a ja oczywiście nie mogłam mu wytłumaczyć i... – Jill wyrzuciła ręce w górę. – Pokłóciliśmy się.

Nie wiedziałam, że Święto Dziękczynienia albo spotkanie z rodziną chłopaka to przełom w związku. Rodzina Braydena także mieszkała w Kalifornii... Czy to znaczy, że wkrótce i ja powinnam ich poznać?

– Micah nie potrafi się długo gniewać – zapewnił Eddie. – Poza tym jest rozsądny. Po prostu powiedz mu prawdę.

– Jaką? Że jestem ostatnia z rodu królewskich wampirów, a panowanie mojej siostry zależy od tego, czy przeżyję w ukryciu? – spytała z niedowierzaniem.

W oczach Eddiego rozbłysło rozbawienie, choć widziałam, że próbuje zachować powagę ze względu na Jill.

– Można i tak. Ale proponuję sprzedać mu uproszczoną wersję. Że nie jesteś gotowa na poważny związek. Lubisz go, ale wolałabyś trochę zwolnić tempo. To się trzyma kupy. Masz piętnaście lat i spotykasz się z nim dopiero od miesiąca.

Rozważała jego słowa.

– Nie wydaje ci się, że będzie wściekły?

– Nie, jeśli mu naprawdę na tobie zależy – odparł bez wahania Eddie. – Zrozumie i uszanuje twój wybór. Będzie szczęśliwy, że może spędzać z tobą czas.

Zastanawiałam się, czy Eddie nie mówi przypadkiem o sobie, ale nie powiedziałam tego głośno. Tymczasem Jill się rozpromieniła.

– Dzięki – zwróciła się do Eddiego. – Nie myślałam o tym w ten sposób. Masz absolutną rację. Jeśli Micah nie zaakceptuje moich uczuć, nasz związek i tak nie miałby szans. – Zerknęła na zegar ścienny i poderwała się. – Spróbuję go znaleźć od razu – oświadczyła i już jej nie było.

„Dobra robota, Eddie – pomyślałam. – Właśnie pomogłeś dziewczynie swoich marzeń wrócić do jej chłopaka”.

Napotkałam jego spojrzenie i zrozumiałam, że przyszło mu do głowy dokładnie to samo.

Angeline patrzyła za odchodzącą Jill. Zmrużyła niebieskie oczy z namysłem.

– Nawet jeśli się pogodzą, to nie na długo. W ich sytuacji... To się nie może udać.

– Sądziłam, że wierzysz w związki ludzi i wampirów – zdziwiłam się.

– Jasne. U nas to nie problem. Nawet w twoim świecie. Ale Jill to szczególny przypadek. Musi się trzymać na uboczu i dbać o swoje bezpieczeństwo, żeby pomóc rodzinie. Nie osiągnie tego, chodząc z Micahem, i wie o tym, chociaż bardzo by chciała, żeby było inaczej. Na koniec wybierze poczucie obowiązku. Jest ważniejsze niż marzenia. Jill to rozumie.

Zaraz potem Angeline oznajmiła, że musi wracać do siebie, żeby nadrobić zaległości w lekcjach. Gapiliśmy się na nią bez słowa.

Eddie pokręcił głową ze zdumieniem.

– Jeszcze nie słyszałem Angeline tak...

– ...powściągliwej? – podsunęłam.

– Raczej zdecydowanej.

Roześmiałam się.

– Daj spokój, często taka bywa.

– Wiesz, co miałem na myśli – upierał się. – To, co powiedziała,

było absolutnie prawdziwe. I... mądre. Rozumie Jill i jej sytuację.

– Myślę, że w ogóle rozumie więcej, niż sądzimy – odparłam, przypominając sobie, że od czasu ostatniego wybryku zachowywała się znacznie lepiej. – Potrzebowała tylko czasu, żeby się przystosować, co rozumiem, biorąc pod uwagę, jak wielką przeżywa zmianę. Rozumiałbyś, o czym mówię, gdybyś widział jej dom.

– Może źle ją oceniałem – przyznał Eddie, chyba zaskoczony, że to powiedział.

Spodziewałam się, że Trey zmyje mi głowę za to, że zostawiłam Braydena samego na imprezie. Ale nie było go na pierwszej lekcji. Zaniepokoiłam się, lecz przypomniałam sobie, że jego kuzyn nadal jest w mieście i pewnie zaangażował Treya w jakieś „sprawy rodzinne”. Wierzyłam w rozsądek kolegi i uznałam, że poradzi sobie, cokolwiek się dzieje. Tylko skąd ma te skaleczenia?

Wchodząc do gabinetu panny Terwiliger, zorientowałam się, że wyraźnie na mnie czekała, co przyjąłam za zły znak. Zwykle pracowała przy swoim biurku i tylko kiwała mi głową na powitanie, a ja natychmiast wyjmowałam swoje książki. Tego dnia stała za biurkiem z założonymi rękami i wpatrywała się w drzwi.

– Panna Melbourne. Ufam, że przyjemnie spędziła pani weekend? Z całą pewnością była pani królową balu w Halloween.

– Widziała mnie pani? – spytałam, na poły oczekując, iż oglądała imprezę przez kryształową kulę czy coś w tym rodzaju.

– Oczywiście. Byłam tam jako opiekunka. Miałam stanowisko przy didżeju, więc zdziwiłam się, że pani mnie nie zauważyła. Z drugiej strony mój strój nie rzucił się w oczy. Muszę przyznać, że miała pani na sobie szykowną kreację w stylu neogreckim.

– Dziękuję. – To był dzień komplementów pod moim adresem, chociaż w ustach nauczycielki nie zabrzmiały tak dziwnie jak w ustach Jill.

– A zatem... – Panna Terwiliger przeszła do interesów. – Pomyślałam, że powinnyśmy dziś omówić niektóre zaklęcia, które pani badała dla potrzeb mojego projektu. Przepisywanie ich to jedno, a zrozumienie – zupełnie co innego.

Poczułam ucisk w żołądku. Już udało mi się stworzyć sobie w

miarę komfortowe warunki pracy. Ograniczałam się do niemal bezmyślnego tłumaczenia i przepisywania zaklęć. Dopóki nie musiałam się w nie zagłębiać, udawałam, że nie mam do czynienia z prawdziwą magią. Teraz się przestraszyłam, bo nie wiedziałam, do czego zmierza panna Terwiliger. Nie mogłam się jej sprzeciwić, bo przystałam na pewne reguły, a do tej pory nie oczekiwała ode mnie niczego, co mogłoby zagrozić mnie albo komuś innemu.

– Czy byłaby pani tak miła i zamknęła drzwi? – spytała nauczycielka, a ja zdenerwowałam się jeszcze bardziej. – Chciałabym porozmawiać o książce, którą pani ostatnio wysłałam: tej o zaklęciach ochronnych.

– Nie mam jej przy sobie – odparłam z ulgą. – Ale jeśli pani sobie życzy, mogę po nią pójść do dormitorium. – Gdybym dobrze obliczyła pory odjazdu autobusu szkolnego, to znaczy celowo je pomyliła, droga zajęłaby mi sporo czasu.

– Nie trzeba. Tamten egzemplarz miał służyć wyłącznie pani prywatnym celom. – Podniosła książkę z biurka. – Mam swój. Zajrzyjmy do niego, dobrze?

Nie potrafiłam ukryć niechęci. Usiadłyśmy przy moim uczniowskim biurku i panna Terwiliger otworzyła książkę na spisie treści. Został podzielony na trzy części: *Obrona*, *Zaplanowany atak* i *Nagły atak*. Każda obejmowała kilka stopni zaawansowania.

– Obrona uwzględnia wiele czarów ochronnych i zaklęć unikających – ciągnęła nauczycielka. – Dlaczego, pani zdaniem, umieszczono je na pierwszym miejscu?

– Ponieważ najlepszym sposobem na wygraną walkę jest jej uniknięcie – odparłam bez zastanowienia. – Staje się zbyt techniczna.

Była zaskoczona moją odpowiedzią.

– Tak... dokładnie.

– Tak twierdzi Wolfe – wyjaśniłam. – Instruktor kursu samoobrony, na który się zapisałam.

– Cóż, ma rację. Większość zaklęć w tej części książki służy właśnie temu celowi. To na przykład... – Przerzuciła kilka kartek. – Jest bardzo proste, lecz nad wyraz skuteczne. To zaklęcie ukrycia. Uwzględnia użycie kilku przedmiotów, czego można się spodziewać po

zaklęciu dla początkujących, lecz jest bardzo użyteczne. Trzeba sporządzić amulet i zdobyć odrobinę pokruszonego gipsu. Wystarczy w odpowiedniej chwili dodać gips do amuletu i zaczyna działać. Dzięki temu zaklęciu można stać się prawie niewidzialnym i bezpiecznie opuścić miejsce zagrożenia, zanim magia przestanie działać.

Mimo całej swojej niechęci do magii nie uroniłam ani jednego słowa z jej wypowiedzi. Zapytałam bezwiednie:

– Prawie niewidzialnym?

– Nie można całkiem zniknąć, jeśli przeciwnik wie o naszej obecności – wyjaśniła panna Terwiliger. – Chociaż oczywiście na wyższym poziomie zaawansowania stosuje się czary, które mogą tego dokonać. Początkujący adept staje się niewidzialny, jeśli ktoś nie spodziewa się go zobaczyć.

Pokazała mi inne zaklęcia, większość najprostszych, z użyciem amuletów, które wymagały podobnych sposobów aktywacji. Jedno z nich, które panna Terwiliger nazwała średnio zaawansowanym, działało nieco inaczej. Ten, kto chciał rzucić czar, musiał mieć amulet ochronny, bo zaklęcie oślepiało tymczasowo wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu. Wysłuchałam tego opisu z oburzeniem. Nie bulwersowało mnie ukrywanie się za zasłoną magii, lecz oślepienie? Wywoływanie dezorientacji albo usypianie wbrew woli? To się równało przekroczeniu granicy: nie wolno zmuszać ludzi do działania, korzystając przy tym z niewłaściwych i nienaturalnych metod.

Z drugiej strony... w głębi duszy dostrzegałam użyteczność magii. Po napaści przewartościowałam sobie wiele rzeczy. I choć niechętnie to przyznawałam, zaczęłam dopuszczać możliwość, że przekazanie Soni próbki krwi mogło służyć dobrem celom. Mogłoby. Jeszcze nie byłabym w stanie tego zrobić.

Czekałam cierpliwie, gdy panna Terwiliger przerzucała kolejne kartki książki, i zastanawiałam się, w co ona gra. Na koniec, gdy zostało pięć minut do końca zajęć, powiedziała:

– Na następny poniedziałek przeciwicz wybrane zaklęcie i napisz o nim pracę, jak wtedy, gdy wykonałaś amulet ognia.

– Panno Terwiliger... – zaczęłam.

– Tak, tak – westchnęła, zamykając książkę. Wstała. – Dobrze znam

twoje obiekcje, wiem, że sądzisz, iż ludzie nie powinni sięgać po taką moc i podobne brednie. Szanuję twoje prawo do własnego zdania. Nikt ci nie każe używać magii. Proszę tylko, byś zgłębiła proces sporządzania amuletu.

– Nie mogę – odparłam stanowczo. – Nie zrobię tego.

– To tak jakbyś robiła sekcję żaby na biologii – upierała się.

– Możliwe – ustąpiłam z posępną miną. – Który amulet miałabym wykonać?

– Który zechcesz.

Nie spodobało mi się to.

– Wolalabym, żeby to pani zdecydowała.

– Nie wygłupiaj się – odparła. – Masz prawo wybrać temat pracy semestralnej, więc skorzystaj z niego i w tym przypadku. Nie interesuje mnie, na które zaklęcie się zdecydujesz, dopóki wywiążesz się z zadania. Znajdź coś, co cię zacieka.

I na tym właśnie polegał problem. Kazać mi wybierać, zmuszała mnie do zagłębiania się w magię. Łatwiej było mi unikać problemu, gdy po prostu wykonywałam polecenia panny Terwiliger. Teraz sama musiałam wykazać inicjatywę, zainteresować się zagadnieniem.

Długo zwlekałam, czego nigdy nie robię, gdy muszę odrobić pracę domową. Może liczyłam na to, że zadanie zniknie albo że nauczycielka zmieni zdanie. Poza tym miałam cały tydzień. Nie musiałam się spieszyć.

Zdawałam sobie sprawę, że nie mam żadnych zobowiązań wobec Lii, ale uznałam, że powinnam zwrócić jej suknię. Kiedy tylko panna Terwiliger mnie wypuściła, spakowałam kostiumy swój i Jill do plastikowych worków i pojechałam do centrum. Jill zasmuciła konieczność oddania stroju, ale przyznała, że tak będzie lepiej.

Lia miała inne zdanie.

– I co ja mam z nimi zrobić? – spytała, gdy weszłam do jej butiku. W jej uszach kołysały się olśniewające kolczyki z kryształami górskimi. – Zostały skrojone na miarę.

– Na pewno można je przerobić. Poza tym nosimy raczej typowe rozmiary. – Podałam jej wieszaki, a Lia ostentacyjnie skrzyżowała ręce na piersi. – Są bardzo piękne. Naprawdę doceniamy twoją pracę. Ale nie

możemy ich zatrzymać.

– Zatrzymacie je – oświadczyła.

– Jeśli ich nie weźmiesz, zostawię je na ladzie – ostrzegłam.

– A ja każę je odesłać do waszego dormitorium.

Jęknęłam.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne? Nie potrafisz przyjąć odmowy? W Palm Springs roi się od dziewczyn. Nie potrzebujesz Jill.

– Otóż to! – przyklasnęła. – Te wszystkie dziewczyny są do siebie podobne. A Jill jest inna. Naturalna i nie ma świadomości swoich atutów. Kiedyś wyrośnie na piękną kobietę.

– Kiedyś – powtórzyłam. – Ale jeszcze nie teraz.

Lia spróbowała innego podejścia.

– Tym razem urządzamy kampanię reklamową szali i kapeluszy. Maski nie wchodzi w grę, ale okulary słoneczne owszem, szczególnie że zdjęcia będą w plenerze. Jeśli się zgodzisz...

– Lia, proszę cię. Daj spokój.

– Posłuchaj do końca – nalegała. – Urządzimy sesję zdjęciową. Potem przejrzysz wszystkie ujęcia i wyrzucisz te, które naruszają wasze obyczaje religijne.

– To wykluczone – powtórzyłam. – Zostawiam te suknie.

Położyłam je na ladzie i wyszłam, nie słuchając protestów Lii i obietnic, jak wiele mogłaby zrobić dla Jill.

„Może kiedyś – myślałam. – Kiedyś wszystkie problemy Jill się skończą”. Ale coś mi mówiło, że nie zdarzy się to w najbliższej przyszłości.

Byłam lojalną klientką Spencera, ale po drodze zobaczyłam małą francuską kafejkę. A właściwie poczułam stamtąd silny zapach kawy. Nie musiałam wracać do szkoły, więc wstąpiłam na filiżankę. Miałam przy sobie książkę z listy lektur i postanowiłam poczytać ją przy stoliku. Jednocześnie korespondowałam z Braydenem, który zainteresował się, co czytam, i wymienialiśmy się ulubionymi cytatami z Tennessee Williamsa.

Minęło ledwie dziesięć minut, gdy poczułam na sobie cień przesłaniający popołudniowe słońce. Zobaczyłam dwóch nieznanomych chłopaków. Byli trochę starsi ode mnie, jeden jasnowłosy i niebieskooki,

a drugi o ciemnej czuprynie i opalonej skórze. Nie zachowywali się wrogo, lecz z rezerwą. Obaj byli dobrze zbudowani, jak ludzie, którzy regularnie uprawiają sport. Przyjrzałam im się dokładniej i uświadomiłam sobie, że jednego poznaję. Ten ciemnowłosy podszedł do mnie i do Soni na ulicy i twierdził, że zna ją z Kentucky.

Zmartwiałam. Cały tydzień wmawiania sobie, że jest dobrze, wziął w łeb. Czułam się jak w pułapce. Tylko fakt, że znajdowaliśmy się w miejscu publicznym, wśród ludzi, pozwolił mi zachować pozory opanowania.

– Słucham? – odezwałam się.

– Musimy z tobą porozmawiać, alchemiczko – oznajmił blondyn.

Nie okazałam zdumienia najmniejszym gestem.

– Chyba mnie z kimś pomyliliście.

– Nikt inny nie nosi wytatuowanej lilii – zauważył ten drugi.

Przedstawił się jako Jeff, ale mógł podać fałszywe imię. – Chcielibyśmy zabrać cię na mały spacer.

Tego dnia ukryłam tatuaż pod makijażem, ale miałam świadomość tego, że musieli mnie obserwować od dłuższego czasu i wiedzieli, kim jestem.

– Nic z tego – odparłam. Nie potrzebowałam rad Wolfe’a, by wiedzieć, że nie mogę się zgodzić. Tutaj byłam bezpieczna. – Jeśli chcecie rozmawiać, siadajcie albo do widzenia.

Opuściłam wzrok na książkę, jakbym w ogóle się nie przejęła, ale serce biło mi jak szalone i musiałam się bardzo starać, żeby zapanować nad drżeniem rąk. Po chwili usłyszałam zgrzyt metalu przesuwanego po podłodze i obaj usiedli naprzeciwko mnie. Spojrzałam na ich beznamietne twarze.

– Musicie wejść do środka, żeby złożyć zamówienie – poinformowałam. – Kelnerki nie obsługują na zewnątrz.

– Nie przyszedliśmy rozmawiać o kawie – powiedział Jeff. – Tylko o wampirach.

– Dlaczego? Kręcicie horror? – spytałam.

– Wiemy, że się z nimi zadajesz – oświadczył blondas. – Także z tą strzygą, Sonią Karp.

Mój tatuaż służył między innymi ukrywaniu informacji o świecie



wampirów. Powstrzymywał mnie przed rozmowami na ten temat. Ponieważ ci dwaj wiedzieli już o istnieniu morojów i strzyg, tatuaż nie mógł cenzurować moich wypowiedzi, postanowiłam więc sama się pilnować. Coś mi mówiło, że powinnam udawać głupią.

– Wampiry nie istnieją – odparłam. – Jeśli to jakiś kawał...

– Wiemy, czym się zajmujesz – ciągnął blondyn. – Alchemicy nie lubią wampirów, dlaczego im pomagasz? Jakim cudem wasze bractwo straciło dystans i zapomniało o pierwotnym powołaniu? Kilkaset lat temu działaliśmy wspólnie w imię światła, by usunąć wszystkie wampiry z powierzchni ziemi. Ale wy zdradziliście naszą misję.

Chciałam zaprotestować, lecz zobaczyłam błysk złota w uchu Jeffa. Nosił mały kolczyk, kółko z czarną kropką w środku. Nie mogłam się powstrzymać.

– Twój kolczyk to symbol słońca... Złota. – W tej samej chwili zrozumiałam wszystko: ten sam znak znajdował się na mieczu, który zabraliśmy z alejki.

Chłopak dotknął kolczyka i potwierdził ruchem głowy.

– My nie zapomnieliśmy o pierwotnym celu naszej służby. Służymy światłości. Nie ciemności, w której czają się wampiry.

Nadal udawałam, że nic nie wiem o wampirach.

– To wy napadliście na mnie i na moją koleżankę w zeszłym tygodniu.

Żaden z nich nie zaprzeczył.

– Twoja „koleżanka” jest stworem mroku – stwierdził blondyn. – Nie wiem, jakich czarów używa, że wygląda jak zwykłe wampiry, ale nie damy się zwieść. Ona jest zła. Zabije ciebie i wielu innych.

– Oszalałeś – oświadczyłam. – Pleciesz trzy po trzy.

– Po prostu nam powiedz, gdzie ma swoje leże – ciągnął Jeff. – Wiemy, że nie mieszka w tym apartamencie po drugiej stronie centrum. Obserwujemy to miejsce. Nie wróciła tam po naszym ataku. Jeśli nie chcesz nam pomóc czynnie, po prostu powiedz, gdzie ją znaleźć, a sami oczyszcimy świat ze zła.

„Obserwujemy to miejsce”. Mówili o mieszkaniu Adriana. Przeszedł mnie dreszcz. Od jak dawna nas szpiegowali? I jak intensywnie? Siedzą pod domem w samochodzie czy są bardziej

nowocześni i zainstalowali kamery i podsłuch? Wolfe ostrzegał przed atakami na parkingach, ale nie wspomniał o włamaniach do mieszkań. Poczułam ulgę, że najwyraźniej nic nie wiedzieli o domu Clarence'a. To oznaczało, że nie przeprowadzili szczegółowego śledztwa. Żaden nie chodził za Sonią. Ale dlaczego chodzili za mną? Czy wiedzieli, że uczę się w Amberwood?

To, co mówili, ukazywało istnienie rzeczywistości, o jakiej do tej pory nie odważyłam się nawet pomyśleć. Rzeczywistości, w której działały sprzyjające przeciwnym celom siły nieznanе wszystkim alchemikom.

Łowcy wampirów istnieli naprawdę.

W jednej chwili w mojej głowie pojawiło się wiele zatrważających pytań. Co to oznacza dla morojów? Czy Jill znalazła się w niebezpieczeństwie?

A Adrian?

– Jedyne, co mogę zrobić, to zadzwonić na policję – oznajmiłam. – Nie wiem, kim jesteście ani dlaczego macie obsesję na punkcie mojej koleżanki, ale żadna z nas nic wam nie zrobiła. Jesteście szaleńcami, jeśli sądzicie, że powiem wam, gdzie ona jest, żebyście mogli ją napastować.

Miałam niezwykle szczęście, bo w tej samej chwili zobaczyłam na ulicy patrol policyjny. Tamci dwaj podążyli za moim spojrzeniem i bez wątpienia odgadli moje myśli. W każdej chwili mogłam wezwać pomoc. Nie zgłosiliśmy wprawdzie pobicia w alejce, ale wystarczy, jeśli teraz oskarżę tych dwóch o napastowanie. Wstali jak na komendę.

– Popelniasz wielki błąd – rzucił Jeff. – Mogliśmy wyeliminować problem przed wiekami, gdybyście z nami współpracowali. Najpierw usunęlibyśmy strzygi, a potem morojów. Ale wasze podejrzone konszachty omal wszystkiego nie zepsuły. Na szczęście my nadal podążamy drogą prawdy.

Z przestachem sobie uświadomiłam, że nie mówili o wampirach ogólnie, jak o jakiejś nieznanеj rasie, a o „morojach” i „strzygach”, co oznaczało, że sporo o nich wiedzieli.

Blondyn rzucił mi jakąś wydrukowaną własnym sumptem broszurkę.

– Poczytaj sobie, a może zobaczysz światło. Będziemy w kontakcie.

– Na waszym miejscu nie kontaktowałabym się więcej – ostrzegłam. – Jeśli znów wejdziecie mi w drogę, nie poprzestaniemy na miłej pogawędce. – Zabrzmiało to groźniej, niż się spodziewałam. Może to Dymitr i Wolfe przeze mnie przemawiali.

Jeff parsknął śmiechem.

– Szkoda, że jesteś moim książkowym – rzucił. – Masz ducha łowczyni.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

NIE TRACIŁAM CZASU i od razu zwołałam wszystkich na naradę. Sprawa była poważna. Nie znałam jeszcze rozmiarów zagrożenia, ale nie mogłam ryzykować. Wybrałam dom Clarence'a, ponieważ łowcy jeszcze go nie odkryli. Denerwowałam się tym spotkaniem, ale nie dlatego, że była to siedziba wampirów – czułabym się równie nieswojo w bunkrze alchemików.

Określenie „łowcy” było chyba jednak na wyrost. Sądząc po tym, co wypisywali w broszurce, uważali się za „wojowników światła”. Chyba nie zasługiwali na tak szumny tytuł, szczególnie że słowo „otchłań” napisali przez samo „h”. Z lektury wynikało również, że pośród ludzi czai się zło, a wojownicy stanowią siłę zdolną je wyplenić. Nawoływali się do gotowości i trwania w czystości. W broszurce nie było mowy o wampirach, co mnie ucieszyło. Nie wspomiano też o związkach grupy z alchemikami.

Przed wyjazdem Eddie sprawdził, czy w Latte nie podłożyli sprzętu pozwalającego nas śledzić. Już samo podejrzenie, że mogli to zrobić, było przerażające, podobnie jak świadomość, że obserwowali mnie podczas wizyt u Adriana. Przekroczyli wszelkie granice. Tylko mój brak wiary w ich rzeczywiste możliwości sprawiał, że jakoś się trzymałam.

– Mało prawdopodobne, by dysponowali tak nowoczesnym sprzętem – powiedziała Eddiemu, gdy zaglądał pod podwozie. – Ta broszurka wygląda, jakby została powielona w latach osiemdziesiątych na domowej kopiarce. Nie wiem, czy mają je od dawna, czy też używają przedpotopowego sprzętu... Ale nie wyglądają mi na szczególnie postępowych.

– Niewykluczone – zgodził się Eddie lekko zduszonym głosem. – Ale nie możemy ryzykować. Nie wiemy, do czego są zdolni. Na pewno próbują skontaktować się z alchemikami, by uzyskać dostęp do waszej technologii.

Ciarki mnie przeszły. To była śmiała myśl: że alchemików i tych odszczepieńców coś może łączyć. Nie wierzyłam w taką ewentualność, gdy rozmawialiśmy o tym z Adrianem, i nawet teraz trudno było ją

przyjąc do wiadomości, mimo że dowodów wciąż przybywało. Zyskałam jednak informacje, które mogłam przekazać zwierzchnikom, nie narażając się na wysmianie. Nie słyszałam nigdy o łowcach, lecz wydawało się realne, że gdzieś, kiedyś próbowali nawiązać z nami kontakt. Miałam nadzieję, że któryś z alchemików będzie umiał mi pomóc.

Eddie wyczołgał się spod Latte.

– Jest czysto. Możemy jechać.

Jill i Angeline czekały obok spięte i niespokojne. Jill uśmiechnęła się do Eddiego z podziwem.

– Nie wiedziałam, że się na tym znasz. Nawet bym nie pomyślała.

Eddie otarł pot z czoła.

– Sądziłaś, że szkolenie strażników ogranicza się do wymierzania ciosów i kopniaków?

Zaczerwieniła się.

– Szczerze mówiąc, tak.

– A mógłbyś mi opowiedzieć kiedyś więcej o tym szkoleniu? – poprosiła Angeline. – Chyba powinnam to wiedzieć.

– Jasne – odparł z powagą Eddie, a Angeline pojaśniała.

Zauważyłam, że od kiedy nieco spoważniała i zaczęła zachowywać się powściągliwie, chłopak poczuł się znacznie swobodniej w jej towarzystwie. Poprawiła też swoje zachowanie w szkole i dzięki temu mogła wziąć udział w spotkaniu. Co prawda wciąż jeszcze była zawieszona, ale udało mi się uzyskać dla niej specjalną przepustkę, gdy oświadczyłam, że wybieramy się na rodzinną ceremonię religijną. Podobna wymówka pomogła mi w ubiegłym miesiącu, by zabrać Jill na karmienie. Angeline mogła wyjść, ale było to obwarowane licznymi warunkami: miała wrócić najpóźniej po dwóch godzinach, a cenę za wieczór na wolności stanowił dodatkowy dzień zawieszenia.

Pojechaliśmy inną drogą niż zazwyczaj, a Eddie bez przerwy obserwował tyły, by zyskać pewność, że nikt nas nie śledzi. Jednocześnie próbował mnie nauczyć, jak wypatrywać prześladowców, gdy będę zdana na siebie. Ze zdenerwowania prawie go nie słuchałam. Prowadziłam spięta, lecz bezpiecznie dotarliśmy do Clarence'a. Adrian już tam na nas czekał. Dymitr musiał być wcześniej w mieście i zabrał

go w drodze powrotnej, bez wątpienia zachowawszy te same środki ostrożności co Eddie.

Złożyłam już obu dampirom pobieżną relację ze spotkania z łowcami, ale wszyscy chcieli usłyszeć więcej. Usiedliśmy jak zwykle w salonie, a Dymitr chodził w tę i z powrotem po pokoju, gotów w każdej chwili odeprzeć niespodziewany atak. Clarence spoglądał na nas z fotela nieobecnyim wzrokiem. Ożywił się dopiero, gdy wyjęłam broszurę.

– To oni! – wykrzyknął, a ja się przestraszyłam, że zerwie się z miejsca i wyrwie mi kartki z ręki. – Ich symbole! – Większość znaków wygrawerowanych na mieczu widniała na okładce broszurki. – To kółko. Pamiętam kółko.

– Symbol złota – potwierdziłam. – Choć oni uważają go za symbol słońca. Mają obsesję na punkcie światła i ciemności.

Clarence rozglądał się wokół w popłochu.

– Wrócili! Musimy uciekać. Przybyłem do tego miasta, by się przed nimi ukryć, ale mnie znaleźli. Nie mamy czasu do stracenia. Gdzie Dorothy? Gdzie Lee? Muszę się spakować!

– Panie Donahue – zaczęłam jak najłagodniejszym tonem. – Oni nie wiedzą, że pan tu jest. Dom jest bezpieczny. – Miałam nadzieję, że brzmieć przekonująco.

– Ona ma rację – poparł mnie Dymitr. – A nawet gdyby tu dotarli, nie pozwoliłbym pana skrzywdzić. – W jego głosie była taka pewność i siła, że wszyscy uwierzylibyśmy mu, nawet gdyby napadła nas wataha strzyg. – Wszystko w porządku – dodał. – Jest pan bezpieczny.

– Jeśli to prawda, co mówisz – wtrąciła Sonia – to mnie grozi niebezpieczeństwo.

Wydawała się zadziwiająco spokojna w tych okolicznościach. Ja bym tak nie potrafiła.

– Tobie też nic nie zrobią – rzucił ostro Dymitr. – Szczególnie jeśli nie będziesz opuszczać domu.

– Nasze badania... – zaczęła.

– Znacznie ważniejsze jest twoje bezpieczeństwo – uciął Dymitr. Jego spojrzenie mówiło, że nie zamierza dyskutować w tej kwestii. – Powinnaś wrócić na dwór. I tak zamierzałaś tam pojechać. Po prostu zrobisz to wcześniej.

Sonia nie wyglądała na uszczęśliwioną takim obrotem sprawy.

– I mam was tu zostawić?

– Możliwe, że nam nic nie grozi – odezwał się Eddie, choć napięcie na jego twarzy sugerowało, że myśli inaczej. – Z tego, co mówiła Sydney i co wypisali w tym swoim manifestie, widać, że ich celem są strzygi, nie moroje. – Spojrzał na Jill. – Co nie znaczy, że nie powinniśmy pozostać czujni. Skoro nadal widzą w Soni strzygę, kto wie, co im jeszcze strzeli do głowy. Ale nie martw się. Nie pozwolę im się do ciebie zbliżyć. – Jill była bliska omdlenia.

– Zgadzam się – potwierdziłam. – Traktują wprawdzie morojów jako zagrożenie, ale niedorównujące strzygom.

– Tak jak alchemicy – zauważył Adrian. Siedział w kącie pokoju i do tej pory nie brał udziału w rozmowie. Nie widziałam go od czasu pamiętnego wieczoru ani nie miałam z nim kontaktu, co wcześniej nam się nie zdarzało. Nawet gdy nie wysyłał mi patetycznych relacji z przebiegu eksperymentów, niemal zawsze miał w zanadrzu jakieś błyskotliwe uwagi, które przekazywał w esemesach.

– To prawda – przyznałam z uśmiechem. – Ale my nie dybiemy na wasze życie. Nawet na strzygi.

– Jest inny problem – włączył się Dymitr. – Ci wojownicy są przekonani, że Sonia pozostała strzygą, lecz w magiczny sposób udaje jej się to ukrywać.

– Ale nie wiedzą nic o tobie – zauważyłam. Dymitr przyjął to na pozór obojętnie, lecz wiedziałam, że niechętnie wspomina okres swojej przemiany. – O ile mi wiadomo... zajmowałaś wśród strzyg znacznie wyższą pozycję niż Sonia. Jeśli zatem nie ścigają również ciebie, nie mają kontaktów międzynarodowych, a w każdym razie nie obejmują one Rosji.

Angeline splotła ręce i pochyliła się do przodu. Popatrzyła na Clarence'a z anielsko słodkim uśmiechem.

– Skąd pan o nich wie? Jak pan się na nich natknął?

W pierwszej chwili Clarence zareagował przerażeniem, lecz uprzejmość dziewczyny nieco go rozluźniła.

– Cóż, zabili moją siostrzenicę.

Wiedzieliśmy, że w rzeczywistości zabił ją Lee, ale stary moroj nie

dopuszczał tego do świadomości, podobnie jak śmierci syna.

– Był pan przy tym? – drążyła Angeline. – Czy w ogóle pan ich widział?

– Nie byłem przy śmierci Tamary – przyznał Clarence. Miał przy tym nieobecny wzrok, jakby powrócił wspomnieniami do tamtych wydarzeń. – Ale wiedziałem, jakich śladów szukać na miejscu zbrodni. Już raz wcześniej się z nimi zetknąłem. Mieszkałem wtedy w Santa Cruz. Oni upodobali sobie Kalifornię. I Południowy Zachód. Mają fioła na punkcie słońca.

– Co się wydarzyło w Santa Cruz? – spytał Dymitr.

– Grupa młodych upatrzyła sobie mnie za cel. Próbowali mnie zabić.

Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– Zatem polują również na morojów – powiedział głośno Eddie i przysunął się do Jill.

Clarence pokręcił głową.

– Zazwyczaj tego nie robią. Marcus twierdził, że ich celem są strzygi. Ale tamci byli młodzi i niezdyscyplinowani. Działali na własną rękę bez wiedzy zwierzchników. Zakładam, że podobna grupa napadła na Tamarę.

– Kim jest Marcus? – zaciekałam się.

– Marcus Finch. Ocalił mnie kilka lat temu. Przepędził napastników, a później dogadał się z ich bractwem, żeby kazali im się trzymać z dala ode mnie. – Clarence zadrżał. – Ale nie miałem ochoty tam zostawać. Zabrałem Lee i wyjechaliśmy. Wtedy na jakiś czas zamieszkaliśmy w Los Angeles.

– Czy ten Marcus – ciągnęłam – jest strażnikiem?

– Człowiekiem. Był wówczas mniej więcej w twoim wieku. Znał łowców.

– Zapewne, skoro się z nimi skontaktował – mruknął Dymitr. – Ale musiał być nastawiony przyjaźnie wobec morojów, skoro panu pomógł?

– O, tak – przyznał Clarence. – Nawet bardzo przyjaźnie.

Dymitr zerknął na mnie.

– Myślisz, że...

– Tak – potwierdziłam, uprzedzając jego pytanie. – Spróbuję go



odnaleźć. Potrzebne nam rzetelne informacje nie pochodzące bezpośrednio od tych oszołomów. Poza tym złożę w tej sprawie oficjalny raport.

– Ja także – dodał Dymitr.

Clarence nie był wprawdzie takim ekspertem w sprawie łowców, jakim wydawał się tajemniczy Marcus, ale miał zadziwiająco dużo informacji. Tylko że do tej pory nie chcieliśmy go słuchać. Potwierdził, że łączy ich kult światła. Koncentrowali się na tropieniu strzyg, starannie planując swoje łowy. Stosowali rytualne kary, szczególnie wobec młodszych członków bractwa, na przykład tych, którzy prześladowali Clarence'a. Moroj zdołał ustalić, że grupa surowo traktowała rekrutów, podkreślając wagę dyscypliny i doskonalenia się.

Angeline musiała wracać, więc wkrótce zaczęliśmy się żegnać. Ustaliliśmy, że odwiezę Adriana, bo Dymitr nie powinien się pokazywać w pobliżu jego mieszkania, na wypadek gdyby łowcy zechcieli pojechać za nim do domu Clarence'a. Poza tym widziałam, że dampir chce jak najszybciej podjąć inne działania: zorganizować powrót Soni na dwór i naradzić się ze strażnikami, co przedsięwziąć, gdyby trzeba było ewakuować stąd Jill. Widziałam po jej minie, co sądzi o takiej ewentualności. Obie zadomowiłyśmy się w Amberwood.

Podczas gdy Dymitr udzielał ostatnich instrukcji Eddiemu, odciągnęłam Sonię na bok.

– Zastanawiałam się nad czymś – zaczęłam.

Przyjrzała mi się bacznie, zapewne odczytując moją aurę oraz język ciała.

– O co chodzi? – spytała.

– Jeśli chcecie... jeśli wam na tym naprawdę zależy, możecie pobrać próbkę mojej krwi.

Zdobyłam się na naprawdę wielką rzecz. Czy całkiem dobrowolnie? Nie. Absolutnie. Nadal instynktownie obawiałam się oddawania krwi morojom, nawet dla celów naukowych. Ale po wczorajszym incydencie i po napaści w alejce zmieniłam swój punkt widzenia. Wampiry nie były jedynymi potworami. Właściwie wcale nimi nie były w porównaniu z łowcami wampirów. Jak mogłam kogokolwiek oceniać na podstawie rasy? Coraz częściej uświadamiałam sobie, że

ludzie są tak samo zdolni do niegodziwości jak wampiry do dobra. Gdybym oceniała po czynach, musiałabym uznać Sonię i Dymitra za wzór szlachetności. Walczyli przeciwko najwyższemu złu i choć wzdragałam się na myśl o oddaniu swojej krwi, czułam, że powinnam im pomóc.

Sonia zdawała sobie sprawę, że to dla mnie wielkie poświęcenie. Nie okazała emocji – żadnych okrzyków radości – tylko kiwnęła głową z powagą.

– Mam przy sobie potrzebne narzędzia. Jeśli jesteś tego pewna, mogę od razu pobrać próbkę.

Od razu? Właściwie czemu nie. Najlepiej było to już mieć za sobą, szczególnie że Sonia niedługo miała wyjechać. Zrobiłyśmy to w kuchni, ze względu na higienę. Było tam czystiej niż w salonie. Sonia nie miała wykształcenia medycznego, ale przeprowadziła zabieg jak wykwalifikowana pielęgniarka. Miała antyseptyczne rękawiczki i nową strzykawkę. Postępowała zgodnie z procedurami i po szybkim nakłuciu pobrała próbkę mojej krwi.

– Dziękuję, Sydney – powiedziała, wręczając mi bandaż. – Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Bardzo nam pomogłaś.

– Chciałam pomóc – zapewniłam ją. – Naprawdę.

Uśmiechnęła się.

– Wiem. A każde wsparcie jest nam teraz potrzebne. Byłam jedną z nich i... – Spoważniała. – Musimy powstrzymać to zło. Może twoja krew ujawni nam sposób.

Nagle poczułam, że mogę odegrać poważną rolę w walce ze złem, a może nawet je powstrzymać. Zaraz potem tę myśl zastąpił atak paniki. Nie. Nie, nie byłam nikim szczególnym. Nie chciałam być. Tylko pomagam, ale na pewno nic z tego nie wyjdzie.

Wróciłam do pokoju po przyjaciół. Adrian i Jill rozmawiali o czymś z poważnymi minami. Eddie i Angeline także coś ustalali. Usłyszałam, jak Angeline mówi:

– Na wszelki wypadek będę częściej towarzyszyła Jill w szkole. Nie możemy sobie pozwolić na przypadkowe ryzyko ani na to, by ktoś ją rozpoznał.

Eddie skinął głową, najwyraźniej zaskoczony inicjatywą Angeline.

– Zgoda.

„Zdumiewające” – pomyślałam.

Wkrótce zaczęliśmy się zbierać. Gdy podjechałam pod dom Adriana, zobaczyłam coś, co mną wstrząsnęło. Oniemiałam z zachwytu. Zatrzymałam Latte gwałtownie – chyba nigdy jeszcze nie zaparkowałam wozu tak niezręcznie – i wyskoczyłam na zewnątrz.

– Co to jest? – westchnęłam.

– Och! – rzucił lekko Adrian. – Mój nowy samochód.

Cofnęłam się kilka kroków i przystanąłam onieśmielona, jakbym stała przed królem.

– Ależ to kabriolet ford mustang z 1967 roku. – Czułam, że oczy wychodzą mi z orbit. Obeszłam samochód dookoła. – Tamtego roku producenci wprowadzili poprawki do konstrukcji tego modelu i powiększyli go, żeby dotrzymać kroku konkurencji usprawniającej moc silników. To pierwszy model z wklęsłymi lampami tylnymi, a zarazem ostatni, aż do roku 1974, w którym umieszczono wielkie litery FORD na masce.

– Co to za kolor? – spytał Eddie obojętnie.

– Wiosenna żółć – wyjaśniliśmy oboje z Adrianem.

– Powiedziałbym raczej: cytrynowy szyfon – odparł Eddie. – Może da się go przemalować.

– Nie! – wykrzyknęłam. Rzuciłam torebkę na trawę i delikatnie dotknęłam karoserii. Nowiutki mustang Braydena nagle wydał mi się zupełnie przeciętny. – Widać, że był odmalowywany, ale to ten klasyczny kolor. Jaki ma kod silnika? C, prawda?

– Uhm... nie jestem pewien – bąknął Adrian. – Wiem tylko, że ma silnik V-8.

– To oczywiste. A 289 – rzuciłam niecierpliwie. – Chcę wiedzieć, jaką ma moc.

– Pewnie wypisano to w dokumentach – rzucił niepewnie Adrian.

W tej chwili dotarło do mnie, co powiedział wcześniej. Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– To naprawdę twój wóz?

– Tak – potwierdził. – Mówiłem ci. Staruszek dał mi pieniądze.

– I wybrałeś właśnie jego? – Zajrzałam do środka przez szybę. –

Ładny. Czarne wnętrze, ręczna skrzynia biegów.

– Tak. – Adrian miał niewyraźną minę. – W tym właśnie problem.

Odwróciłam się do niego.

– Dlaczego? Ta czerń wygląda świetnie. Skórzane obicia są w doskonałym stanie. Podobnie jak reszta.

– Nie chodzi o obicia, ale o skrzynię biegów. Nie umiem tak prowadzić.

Zamarłam.

– Nie umiesz?

– Ja też nie – odezwała się Jill.

– Ty nie masz prawa jazdy – przypomniałam jej.

Moja mama nauczyła mnie prowadzić długo przed tym, jak dostałam prawo jazdy. Umiałam obsługiwać zarówno automatyczną, jak i ręczną skrzynię biegów. Nie powinnam się dziwić, że nie wszyscy znają tę drugą sztukę, choć wydawało mi się to niepowetowaną stratą. Problem był oczywisty.

– Dlaczego, na Boga, kupiłeś samochód z ręczną skrzynią biegów? Są dziesiątki innych modeli, nowych i wyposażonych w automaty. Byłoby milion razy prościej.

Adrian wzruszył ramionami.

– Podobał mi się kolor. Pasuje do ścian w salonie.

Eddie prychnął.

– Ale nie umiesz prowadzić tego auta – zauważyłam.

– To nie może być aż tak trudne. Pojeżdżę sobie po ulicy i jakoś to wykombinuję.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Co takiego? Oszalałeś? Zepsujesz go, jeśli nie wiesz, co robić!

– Więc jakie mam wyjście? – spytał. – Ty mnie nauczysz?

Popatrzyłam na pięknego mustanga.

– Tak – potwierdziłam stanowczo. – Jeśli to konieczne, żeby go ocalić.

– Ja też mogę cię nauczyć – wtrącił Eddie.

Adrian zignorował go i wbił wzrok we mnie.

– To kiedy zaczynamy?

Odtworzyłam w myślach plan lekcji, wiedząc, że najpierw muszę

porozmawiać z alchemikami o wojownikach światła. I nagle uderzyła mnie prosta myśl.

– W tym tygodniu jedziemy do Wolfe’a. Weźmiemy twój wóz.

– Naprawdę chcesz mnie uczyć – spytał z powątpiewaniem – czy może raczej się nim przejechać?

– Jedno i drugie – odparłam niezawstydzona tym wyznaniem.

Musieliśmy wracać ze względu na Angeline. Minęłam trzy przecznice, gdy uświadomiłam sobie, że zostawiłam na trawniku torebkę. Zawróciłam z jękiem i podjechałam znowu pod dom Adriana. Torebka leżała na miejscu, ale mustanga nie było.

– Gdzie samochód?! – wykrzyknęłam z przestachem. – Przecież nikt nie ukradłby go tak szybko.

– Och... – Jill odezwała się z tyłu lekko zdenerwowanym głosem. – To Adrian nim pojechał.

Więź okazywała się użyteczna jako źródło informacji, ale przestraszyłam się bardziej, niż gdyby ktoś naprawdę ukradł samochód.

– Co zrobił?

– Nie odjechał daleko – dodała pospiesznie. – Chciał go tylko przestawić. Na tej ulicy są jakieś dziwne obostrzenia dotyczące nocnego parkowania.

Skrzywiłam się.

– Cieszę się, że go nie odholują, ale powinien był mnie poprosić o przestawienie wozu! Bardzo łatwo popsuć skrzynię biegów!

– Na pewno wszystko będzie dobrze – mruknęła Jill dziwnym tonem.

Nie odpowiedziałam. Jill nie znała się na motoryzacji. Żadne z nich zresztą nie miało o niej pojęcia.

– To jak wpuścić brzdąca do sklepu z porcelaną – mruknęłam. – Co on sobie myślał?

Nikt mi nie odpowiedział.

Dowiozłam nas do Amberwood na czas i od razu schroniłam się w swoim cichym pokoju. Upewniwszy się, że moim podopiecznym nic już nie grozi, napisałam maila do Donny Stanton – wysoko postawionej alchemiczki, z którą z niewyjaśnionych przyczyn miałam naprawdę dobre układy. Streściłam jej wszystko, co zdołaliśmy ustalić na temat

łowców. Zrobiłam nawet zdjęcia ich broszurki i dołączyłam do maila. Zastanawiałam się, co jeszcze mogę napisać.

Dopiero gdy wyczerpałam wszystkie możliwości (i kilkakrotnie sprawdziłam skrzynkę odbiorczą), zajęłam się lekcjami. Jak zwykle nie miałam wiele do nadrobienia, z wyjątkiem jednego przedmiotu.

Zajęć u panny Terwiliger.

Jej głupia książka oskarżycielsko leżała na moim biurku. Miałam jeszcze kilka dni na przetestowanie zaklęcia i nie musiałam od razu zabierać się do pracy. Zdążyłam też przyzwycząć się do myśli, że nie uda mi się wymigać od tego zadania, więc biorąc pod uwagę czas niezbędny do przygotowania wielu składników, może lepiej było wziąć się wreszcie do roboty.

Zabrałam książkę do łóżka i otworzyłam na spisie treści, żeby przejrzeć zaklęcia polecane wcześniej przez nauczycielkę. Na widok większości żołądek mi się skręcał, bo instynktownie wyczuwałam, że nie powinno się ich stosować. Magia jest dla wampirów, nie dla ludzi.

Nadal w to wierzyłam, chociaż analityczna strona mojego umysłu nie mogła powstrzymać się przed oceną użyteczności niektórych zaklęć obronnych w różnych sytuacjach. Ostatnie wydarzenia przewartościowały wiele moich poglądów, co zaowocowało między innymi decyzją o oddaniu krwi. Czy magia była złem? Tak. Ale zaklęcie oślepiające bardzo przydałoby się wówczas w alejce. Inny czar, tymczasowo unieruchamiający napastnika, mogłam zastosować, gdybym chciała uciec przed łowcami w kawiarni. Zaklęcie działało zaledwie trzydzieści sekund, lecz tyle wystarczyłoby mi, by się oddalić na bezpieczną odległość.

Dalej przeglądałam spis treści. Wszystkie zaklęcia były złe, a zarazem... użyteczne. Gdybym nie widziała, jak działa czar ognia, którym podpalałam strzygi, nie uwierzyłabym, że to możliwe. A jednak.

Tak wielka moc... Możliwość obrony...

Natychmiast skarciłam się w duchu. Nie potrzebowałam nadnaturalnej mocy. Tak samo myślał ten szaleniec Liam i dlatego pragnął przemienić się w strygę. Z drugiej strony... Czy rzeczywiście tak samo? Nie pragnęłam nieśmiertelności. Nie chciałam też nikogo krzywdzić. Zależało mi wyłącznie na bezpieczeństwie moim i bliskich

osób. Kurs Wolfe'a wiele mnie nauczył, lecz poznane tam wskazówki nie okazały się przydatne, jeśli łowcy wampirów zaatakują mnie i Sonię. A wiedziałam, że tamci nie zamierzają zrezygnować.

Powróciłam do lektury spisu treści i wybrałam ostatecznie kilka użytecznych zaklęć, które mogłabym przygotować. Zdaniem panny Terwiliger ktoś taki jak ja miał wielki potencjał magiczny dzięki wrodzonym talentom (w co nie do końca wierzyłam) oraz rygorystycznemu treningowi w dziedzinie odmierzania składników i drobiazgowości w analizie szczegółów. Bez trudu oceniłam, ile potrzebuję czasu na opracowanie jednego zaklęcia.

    Nie wiedziałam tylko, które wybrać.

    Decyzja okazała się bardzo prosta.

    Miałam czas wypróbować wszystkie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

WÓZ ADRIANA PROWADZIŁO SIĘ JAK MARZENIE.

Kiedy usiadłam za kółkiem, zapomniałam o bożym świecie. Ledwo pamiętałam, że mam jechać na trening do Wolfe'a, a po drodze nauczyć Adriana obsługi drążka do zmiany biegów. Wsłuchiwałam się w szum silnika i chłonełam zapach skórzanych obić. Wyjeżdżając z dzielnicy Adriana, musiałam się powstrzymać, by nie skręcić w zatłoczone centrum Palm Springs. Samochód aż się prosił, by wypuścić go na ulicę. Podziwiałam mustanga Braydena, ale ten wóz byłam gotowa czcić.

– Czuję się tu jak intruz na cudzej randce – rzucił Adrian, gdy wyjechaliśmy na autostradę. Poczulałam się bezpieczniej, upewniwszy się, że nikt za nami nie podąża. – Jakbym wam obojgu przeszkadzał. Zrozumiem, jeśli postanowisz mnie gdzieś wysadzić.

– Co mówiłeś?

Właśnie badałam, jak szybko osiągniemy zamierzoną prędkość, wsłuchując się w silnik i próbując go wyczuć. Mustang był w doskonałym stanie. Ludziom często się wydaje, że klasyczne wozy są kosztowne. Są, ale tylko te dobrze zakonserwowane. Większość, o które nie dba się latami, w końcu zaczyna się sypać. Dlatego wymagają gruntownego remontu i sprzedaje się je za niską cenę. Nie dotyczyło to jednak auta Adriana. Poprzedni właściciel znał się na rzeczy. Mustang chyba nigdy nie opuścił Kalifornii, co oznaczało, że nie był narażony na surowe zimy. Musiał kosztować fortunę i tym trudniej było mi zrozumieć, dlaczego Adrian kupił wóz, którego nie potrafił prowadzić.

Jęknęłam.

– Przepraszam... Nie wiem, o czym myślałam – skłamałam. Zastanawiałam się, ile wyniesie mnie mandat, jeśli zechcę ustalić, jaką maksymalną prędkość mogę osiągnąć. – Powinnam od początku udzielać ci szczegółowych wskazówek. Obiecuję, że tak będzie, gdy tylko wyjedziemy od Wolfe'a. Tymczasem omówimy podstawy. To jest sprzęgło...

Ale Adrian nie przejął się specjalnie moim zaniedbaniem. Był chyba rozbawiony i z uśmiechem słuchał moich wyjaśnień.

Wolfe wyglądał równie podejrzanie jak za pierwszym razem: miał



tę samą przepaskę na oku i te same bermudy. Miałam nadzieję, że przynajmniej je wyprał. Gdy tylko zebrała się grupa, zaczął trening i mimo niechlujnego wyglądu zachowywał się jak kompetentny instruktor. Przypomniiał krótko, że powinniśmy przede wszystkim unikać konfliktów i rozglądać się uważnie w każdej sytuacji, ale potem skoncentrował się na bardziej praktycznych metodach samoobrony.

Poprzednim razem Adrian skarżył się, że te zajęcia to „nudziarstwo”, więc sądziłam, że się ucieszy z możliwości przećwiczenia kilku manewrów. Tymczasem jego dobry humor ulotnił się bez śladu. Więcej, odniosłam wrażenie, że napina się coraz bardziej, podczas gdy Wolfe objaśniał, co mamy robić w parach.

Kiedy przeszliśmy do ćwiczeń, Adrian miał już głęboko nieszczęśliwą minę.

– Co się dzieje? – spytałam. Przypomniłam sobie, jak spanikował, gdy spróbowałam zaatakować go z nienacka. Może się nie spodziewał, że jednak będzie musiał tutaj walczyć. – To podstawowe chwyt. Nie pobrudzisz się.

Wolfe bez przerwy podkreślał wagę prostoty i refleksu. Nie uczył nas, jak się bić, ale jak odwracać uwagę napastnika i wiać. Większość technik ćwiczyliśmy na manekinach, bo nie mogliśmy przecież pakować sobie nawzajem palców do oczu. Adrian powtarzał wszystko sumiennie, chociaż w milczeniu. Zorientowałam się w końcu, że jego problemem była praca w parze ze mną.

Wolfe również to zauważył, chodząc po sali.

– Hej! Nie będzie mogła ci się wyrwać, jeśli jej porządnie nie chwycisz. Nie robi ci krzywdy. Ani ty jej.

Ruch, który właśnie ćwiczyliśmy, bardzo by mi się przydał tej nocy, gdy napadnięto nas w alejce. Chciałam się go nauczyć i frustrowało mnie, że Adrian uczestniczył w zadaniu bez zaangażowania. Miał mnie objąć w pasie i spróbować zakryć mi usta. Zrobił to jednak tak niezdarne, że nie musiałam się wysilać, by mu się wyrwać.

Dopiero gdy Wolfe przystanął obok, Adrian bardziej się postarał, ale znów przestał się przykładać, kiedy instruktor sobie poszedł.

– Zamieńmy się – zaproponowałam zrozpaczona. – Teraz ty spróbuj mi się wyrwać. Niech te próby cokolwiek nam dadzą.

Nigdy bym nie pomyślała, że to Adrian będzie miał problemy na treningu. Spodziewałam się raczej, że to mnie dotykanie go nastręczy trudności, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Nie myślałam o nim jako o wampirze. To był Adrian, mój partner na zajęciach. Potrzebowałam go, by się czegoś nauczyć. Podchodziłam do sprawy pragmatycznie. Gdybym go nie znała, pomyślałabym, że boi się mnie dotknąć, co było pozbawione sensu. Moroje nie mają takich problemów. Czy to ze mną coś jest nie tak? Dlaczego Adrian tak unika kontaktu fizycznego?

– O co chodzi? – nie wytrzymałam, gdy siedzieliśmy już w samochodzie i wracaliśmy do miasta. – Rozumiem, że nie jesteś typem atlety, ale co się z tobą działo na treningu?

Adrian unikał mojego wzroku i wpatrywał się w szybę.

– To chyba po prostu nie moja działka. Z początku chciałem się zabawić w bohatera, ale teraz... sam już nie wiem. To kiepski pomysł. Nie spodziewałem się, że tyle będę musiał się napocić. – Wychwyciłam w jego głosie ten lekceważący, znużony ton, którego już dawno nie słyszałam.

– A co z dokańczaniem tego, co zaczęliśmy? – drażyłam temat. – Mówiłeś, że to się u ciebie zmieniło.

– Tylko w odniesieniu do malarstwa – wyjaśnił pospiesznie. – Przecież chodzę na zajęcia. Nie zarzuciłem malowania. Po prostu nie mam ochoty dłużej uczyć się walki. Nie denerwuj się. Dostałem zastrzyk gotówki i zwrócę ci pieniądze za kurs. Nic na tym nie stracisz.

– Nie chodzi o pieniądze – upierałam się. – Mogłeś na tym zyskać. Szczególnie że Wolfe nie uczy nas trudnych rzeczy. Nie musimy się na siebie rzucać bez opamiętania, jak Eddie i Angeline. Nie możesz wytrwać do końca? – Znowu pomyślałam, że to ja jestem przyczyną. – Może nie chcesz ćwiczyć ze mną? Czy... coś jest ze mną nie tak?

– Nie! Oczywiście, że nie. Absolutnie nie – zaprzeczył Adrian. Kątem oka dostrzegłam, że w końcu na mnie spojrział. – Może to kwestia tego, że mam ostatnio wiele nowych rzeczy do opanowania. Na przykład skrzynię biegów. A do tej pory nawet nie zacząłem.

Miałam ochotę uderzyć się w czoło. Byłam tak sfrustrowana przebiegiem zajęć, że zupełnie zapomniałam o nauce jazdy. Poczulałam się jak idiotka, choć nadal byłam wściekła na Adriana za to, że sobie

odpuszcza Wolfe'a. Zerknęłam na zegar. Tego wieczoru miałam coś do zrobienia w Amberwood, ale musiałam mu wynagrodzić swoje gapiostwo.

– Poćwiczymy trochę bliżej twojego domu – obiecałam. – Nie będziemy się spieszyć, pokażę ci wszystko, co powinieneś opanować. Może nawet pozwolę ci prowadzić wokół domu, jeśli skoncentrujesz się na moich wskazówkach.

Adrian w jednej chwili zmienił się nie do poznania. Rozluźnił się i wyraźnie poweselał. Nie rozumiałam tej reakcji. Fascynowały mnie samochody i uwielbiałam je prowadzić, ale on miał w tej kwestii o wiele więcej do opanowania niż na prostym treningu u Wolfe'a. Dlaczego tamto wydawało mu się trudne, szczególnie w porównaniu z obsługą sprzęgła?

Zostałam z nim jeszcze przez godzinę. Adrian słuchał pilnie każdego mojego słowa. Gdy o coś pytałam, raz odpowiadał jak ktoś świetnie zorientowany w sprawie, a innym razem całkowicie się gubił w kwestiach, które – mogłabym przysiąc – rozumiał w trakcie mojego wykładu. Po godzinie poczułam się na tyle pewnie, by pozwolić mu poprowadzić na pustej ulicy z niewielką prędkością.

– Wygląda na to, że będziemy musieli odbyć jeszcze kilka lekcji – oświadczyłam, gdy skończyliśmy. Zaparkowałam za jego domem i wracaliśmy piechotą przed główne wejście, gdzie zostawiłam Latte. – Tylko nie wyjeżdżaj sam dalej niż na kilometr. Sprawdziłam przebieg. Dowiem się wszystkiego.

– Przyjąłem – odparł z uśmiechem. – To kiedy następna lekcja? Wpadniesz do mnie jutro wieczorem?

– Nie mogę – odparłam. – Umówiłam się z Braydenem.

Zaskakująco cieszyłam się na to spotkanie. Chciałam wynagrodzić Braydenowi fakt, że zostawiłam go samego na imprezie, ale potrzebowałam również odrobiny normalności, w każdym razie takiej, na jaką było nas oboje stać. A zaczynałam się czuć coraz bardziej nieswojo w towarzystwie Adriana...

– Och. – Jego uśmiech zgasł. – Cóż. Rozumiem. Miłość, romans, te sprawy.

– Wybieramy się do muzeum włókiennictwa – wyjaśniłam. –

Ciekawe miejsce, chociaż nie bardzo romantyczne.

Adrian przystanął z wrażenia.

– To tutaj mieści się muzeum włókiennictwa? A co tam jest do oglądania?

– No, tkaniny. Właśnie otwarto wielką wystawę...

Zatrzymałam się pod drzwiami budynku i zobaczyłam, że tuż za Latte stoi znajomy samochód wypożyczony przez Sonię i Dymitra. Zerknęłam pytająco na Adriana.

– Spodziewałeś się ich dzisiaj?

– Nie – odparł. – Ale dałem im klucze, więc mogą do mnie wejść w dowolnym momencie. Często korzystają z tej sposobności: on pożera moje zapasy, a ona używa kosmetyków do włosów.

Weszłam za nim do środka.

– Mam nadzieję, że przyjechał tylko Dymitr.

Rewelacje o łowcach wampirów skazywały Sonię na areszt domowy. W każdym razie tak myślałam. Ale gdy weszłam do mieszkania, zobaczyłam ją na kanapie Adriana. Dymitra nie było. Morojka podniosła głowę znad laptopa.

– Dzięki Bogu jesteś – przywitała mnie. – Jill powiedziała, że pojechaliście gdzieś razem, a ja muszę z tobą pogadać.

Poczułam, że to nie będzie przyjemna rozmowa, ale zdenerwowało mnie co innego.

– Co ty tu robisz? – spytałam z lękiem, jakby napastnicy mogli tu wtargnąć w każdej chwili. – Miałaś nie opuszczać domu Clarence’a do chwili wyjazdu.

– Wyjeżdżam pojutrze – oznajmiła i wstała. Oczy jej błyszczały. – Ale najpierw musiałam się z tobą zobaczyć.

– Przyjechałabym do ciebie – zaprotestowałam. – Nie powinnaś wychodzić.

– Nic mi się nie stanie – zapewniła. – Poza tym nikt mnie nie śledził, a sprawa jest poważna. – Sonia była naprawdę przejęta.

Poważniejsza niż ryzyko schwymania przez łowców wampirów? Trudno było mi w to uwierzyć.

Adrian skrzyżował ręce na piersi i spoglądał na nią z dezaprobatą. Zaskoczył mnie.

– No dobrze, stało się. O co chodzi?

– Mamy wyniki badania krwi Sydney – wyjaśniła Sonia.

Zamarłam.

„Nie – pomyślałam. – Nie, nie, nie”.

– Podobnie jak krew Dymitra, twoja również nie wykazała szczególnych właściwości fizycznych – ciągnęła. – Nie znaleźliśmy niczego niezwykłego w składzie czy przeciwciałach.

Poczułam ulgę. Więc miałam rację. Nie było we mnie nic niezwykłego, żadnych tajemniczych cech. Jednocześnie... ogarnął mnie żal.

– Tym razem wysłaliśmy próbkę do laboratorium morojów – ciągnęła Sonia. – Jeden z analityków, który włada żywiołem ziemi, natrafił na ślad tej magii w twojej krwi. Podobnie jak ja z Adrianem wyczuliśmy moc ducha w krwi Dymitra. Technik oddał twoją próbkę do przebadania morojom władającym innymi żywiołami i oni również wykryli ślady mocy, jakimi się posługują.

Znów poczułam ściskanie w gardle. To było jak emocjonalna huśtawka. Ogarnęły mnie mdłości.

– Magia... w mojej krwi? – I nagle wszystko zrozumiałam. – Oczywiście. – Dotknęłam policzka. – Mój tatuaż jest nasączony krwią wampirów. Oto cała tajemnica. Nasycono go magią morojów władających wszystkimi żywiołami. Badanie wykazało te właściwości.

Mimo wszystko się wzdrygnęłam. Znalazłam wprawdzie logiczne wyjaśnienie dziwnego odkrycia, ale z drugiej strony się go przestraszyłam. Oburzały mnie praktyki magiczne panny Terwiliger, lecz pocieszałam się, że źródła stosowanej przez nią magii były zewnętrzne. A teraz uświadomiłam sobie, że sama mam magię we krwi. Przeróżające odkrycie. Ale nie powinnam się mu dziwić.

Sonia skwapliwie mi przytaknęła.

– Tak, oczywiście. Jednak coś w tej mieszance odstrasza strzygi. Być może znaleźliśmy klucz do naszej zagadki!

Nieoczekiwanie Adrian zrobił kilka kroków w moją stronę, jakby próbował w ten sposób mnie... chronić.

– Więc dowiedziałaś się, że krew alchemików ma w sobie magię – powiedział. – Cóż, to raczej oczywiste. Sprawa zamknięta. Czego

jeszcze od niej chcesz?

– Drugiej próbki, żeby rozpocząć badania – rzuciła gorączkowo Sonia. – W laboratorium zużyli wszystko, co mieliśmy. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale chciałabym, żeby jakiś moroj... spróbował smaku twojej krwi. Nie wiemy, czy i dla nas będzie równie niestrawna jak dla strzyg. Oczywiście idealnie byłoby posłużyć się świeżą krwią, ale nawet ja nie poprosiłabym cię o takie poświęcenie. Użyjemy więc próbki i...

– Nie! – Cofnęłam się z przerażeniem. – To wykluczone. Czy wiesz, do czego mnie namawiasz? Nie pozwolę wam spróbować mojej krwi, nieważne, czy z fiolki, czy prosto z szyi. Wiem, że bez przerwy korzystacie z usług karmicieli, ale ja do nich nie należę. Nie powinnam była się zgadzać za pierwszym razem. Nie chcę brać w tym udziału. Eksperymentujcie z mocą ducha. Przypadek Lee dowodzi, że powinniście przede wszystkim badać odmienione strzygi.

Mimo mojej gwałtownej reakcji Sonia nie dawała za wygraną. Powtarzała swoje, choć nieco łagodniejszym tonem.

– Rozumiem twój lęk, ale pomyśl o możliwościach! Jeśli jakieś cechy twojej krwi odstraszą strzygi, możesz ocalić niezliczone istnienia!

– Alchemicy są zagrożeni tak samo jak wszyscy – odparłam. – Tatuż nie chroni nas przed strzygami, jeśli do tego zmyślasz. Sądzisz, że w przeszłości żaden z nas nie został przemieniony w strzygę?

– No, nie – bąknęła niepewnie, co mnie ośmieliło.

– Zatem cechy magiczne, które wykryliście w mojej krwi, nie mają znaczenia w tym względzie. Służą innym celom. Nawet jeśli krew alchemików nie smakuje strzygom, nie zapobiega przemianie. Nam się to również przydarza – mówiłam chaotycznie, ale się tym nie przejmowałam.

Sonia była wyraźnie zbита z tropu.

– Czy wszyscy alchemicy mają niesmaczną krew? Jeśli tak, to jakim cudem strzygi ich przemieniały?

– Może to kwestia indywidualna – odparłam. – A może zdarzają się strzygi bardziej obojętne na skład krwi. Nie wiem. Tak czy owak, nie na nas powinniście się koncentrować.

– Albo to ty masz w sobie coś szczególnego – stwierdziła Sonia.

Nie. To nie wchodziło w rachubę. Nie chciałam być badana, oceniana, zamykana w szklanych klatkach jak Keith. Wykluczone. Modliłam się, by nie dostrzegła, jak bardzo jestem przestraszona.

– Ona jest szczególna pod wieloma względami – rzucił sucho Adrian. – Ale nie w kwestii krwi. Dlaczego próbujesz ją zmusić do udziału w badaniach?

Sonia posłała mu groźne spojrzenie.

– Nie robię tego dla siebie i dobrze o tym wiesz! Próbuję ratować nasz lud. I wszystkie istoty. Nie chcę, by na świecie przybywało strzyg. Nikt nie zasłużył na tak okrutny los. – Z jej oczu wyzierała udręka, gdy przypomniła sobie, czego doświadczyła. – Ta niepohamowana żądza krwi i całkowita obojętność na innych... Nie możecie sobie wyobrazić, jak to jest. Być pustym. Chodzącym koszmarem, zobojętniałym na własną groźbę...

– Ciekawe spostrzeżenia – zauważył Adrian – biorąc pod uwagę, że świadomie przemieniłaś się w strzygę.

Sonia zbladła, a ja poczułam się rozdarta. Byłam wdzięczna Adrianowi, że stanął w mojej obronie, lecz zrobiło mi się jej żal. Kiedyś wytłumaczyła mi, że to skutki uboczne działania mocy ducha – te same, które przysparzały takiej udręki Adrianowi – sprawiły, że zdecydowała się na przemianę. Ale żałowała tej decyzji bardziej niż czegokolwiek w życiu. Chętnie poddałaby się za to karze, ale żaden sąd nie wiedziałby, jak ją osądzić.

– Popełniłam błąd – odparła chłodno. – I dostałam nauczkę. Dlatego tak bardzo mi zależy na ocaleniu innych.

– W takim razie znajdź inny sposób i nie wciągaj w to Sydney! Znasz jej stosunek do nas... – Adrian urwał i spojrzał na mnie, a ja ze zdziwieniem wychwyciłam gorycz w jego głosie. – Wiesz, co o nas myślą alchemicy. Jeśli będziesz naciskać Sydney, możesz mieć z nimi problem. A skoro jesteś taka pewna, że to oni znają odpowiedź, poproś o ochotników, którzy poddadzą się twoim eksperymentom.

– Pomogę ci – zaproponowałam. – Skontaktuję cię ze zwierzchnikami albo sama z nimi porozmawiam. Na pewno im również zależy na tym, by położyć kres przemianom w strzygi.

Sonia nie odpowiadała i Adrian odgadł przyczynę jej milczenia.

– Ona wie, że ci odmówią, Sage. Dlatego zwraca się bezpośrednio do ciebie i dlatego nie wysłała twojej krwi do laboratorium alchemików.

– Dlaczego nie rozumiecie, jakie to jest ważne? – spytała Sonia, która w swoim przekonaniu działała wyłącznie dla dobra wszystkich. Poczułam się winna i rozdarta.

– Ależ rozumiemy – przyznał Adrian. – Sądzisz, że nie chcę, żeby wszystkie bestie zniknęły z powierzchni ziemi? Chcę! Ale nie wolno zmuszać innych, by działali wbrew sobie.

Sonia długo mu się przyglądała.

– Pozwalasz, by uczucia brały górę nad rozsądkiem. Twoje emocje zaprzepaszczą wielką szansę, jaką mamy.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Zatem ucieszysz się, że już za dwa dni nie będziesz musiała mnie oglądać.

Sonia zrobiła taką minę, jakby zamierzała zaprotestować, ale się rozmyśliła. Wyszła bez słowa, jak ktoś pokonany. Długo nie mogłam ochłonąć. Teoretycznie miała rację... ale nie umiałam przystać na jej prośbę.

– Nie chciałam jej urazić – powiedziałam w końcu.

Adrian nie okazał współczucia dla Soni.

– To ona uraziła ciebie. Znała twoje stanowisko.

Mimo wszystko źle się z tym czułam. Byłam jednak przekonana, że jeśli teraz ulegnę, poproszą mnie o kolejne ustępstwa. Przypomniałam sobie, jak Sonia i Adrian poddali Eddiego i Dymitra mocy ducha i się wzdrygnęłam. W żadnym razie nie mogłam ryzykować, że zostanę w to wciągnięta. I tak już przekroczyłam granicę.

– Wiem... ale jest mi ciężko. Lubię Sonię. Zgodziłam się oddać próbkę krwi i dlatego uznała, że ma prawo poprosić o więcej.

– To bez znaczenia – odparł. – Nie to nie.

– Jednak opowiem o sprawie alchemikom – postanowiłam. – Może zechcą pomóc.

Nie sądziłam, żeby ktoś robił mi wyrzuty z powodu jednej próbki krwi. Ostatecznie alchemicy sami prowadzą wiele eksperymentów. Może nawet pochwalą mnie za to, że tak stanowczo sprzeciwiłam się prośbom o kolejne badanie.



Adrian wzruszył ramionami.

– Byłoby świetnie. Ale nie obwiniaj się, jeśli się nie zgodzą.

– W każdym razie dziękuję za rycerską obronę – zażartowałam. – Może bardziej zaangażowałbyś się w trening u Wolfe’a, gdybyś miał bronić kogoś innego, a nie siebie?

Znów się uśmiechnął.

– Po prostu nie toleruję przemocy.

– Mimo wszystko powinieneś pojechać ze mną na zajęcia – nalegałam. – Będziesz miał szansę się na mnie odegrać.

Nagle spowaźniał i odwrócił wzrok.

– Sam nie wiem, Sage. Zobaczymy. Tymczasem poprzestańmy na nauce jazdy, oczywiście tylko wtedy, gdy nie będziesz umówiona ze swoim chłopakiem.

Niedługo potem wyszłam. Dziwne zachowanie Adriana lekko mnie skonsternowało. Czyżby znów ujawniły się szkodliwe skutki uboczne mocy ducha? W jednej chwili był śmiały i gotowy do walki, w drugiej przygnębiony i zniechęcony. Możliwe, że kryła się za tym jakaś prawidłowość, ale ja jej nie dostrzegałam.

Po powrocie do Amberwood poszłam prosto do biblioteki, żeby wypożyczyć książkę na angielski. Panna Terwiliger ostatnio trochę mi odpuściła, żebym miała więcej czasu na opanowanie zaklęć. Ponieważ te indywidualne zajęcia pod jej kierownictwem zajmowały mi więcej czasu niż normalne lekcje, z przyjemnością skupiłam się na nowym zadaniu. Wychodząc z działu literatury angielskiej, zauważyłam Jill i Eddiego siedzących obok siebie przy stole. Właściwie mnie to nie zdziwiło. Zaskakujące było to, że nie zauważyłam przy nich Micaha.

– Cześć. – Przysiadłam się do nich. – Żmudne zadanie?

– Czy wiesz, jak dziwnie jest powtarzać ostatnią klasę? – odezwał się Eddie. – A w dodatku nie mogę sobie bimbać. Muszę mieć dobre stopnie, żeby utrzymać się w tej szkole.

Uśmiechnęłam się.

– Cóż, każda wiedza jest warta wysiłku.

Eddie stuknął palcem w stertę kartek leżących na stoliku.

– Tak? To może wiesz, jak nazywała się pierwsza kobieta, która dostała Pulitzera za powieść?

– Edith Wharton – odparłam bez namysłu. Eddie zapisał nazwisko na kartce, a ja zwróciłam się do Jill.

– Co u ciebie? Gdzie Micah?

Jill oparła brodę na dłoni i posłała mi dziwne spojrzenie. Niemal... rozmarzone. Otrząsnęła się jednak i miałam wrażenie, że jest lekko zawstydzona i przestraszona. Spojrzała na książkę.

– Przepraszam. Podziwiałam właśnie, jak ładnie ci w tych kolorach. O co pytałaś?

– O Micaha – powtórzyłam.

– Och. Tak. Ma... coś do zrobienia.

Z całą pewnością była to najbardziej zdawkowa odpowiedź, jakiej mi kiedykolwiek udzieliła. Próbowałam sobie przypomnieć, co ostatnio słyszałam o nich obojgu.

– Udało wam się w końcu dogadać, tak?

– Tak. Chyba tak. Zrozumiał moje nastawienie do świątecznych wizyt. – Rozjaśniła się. – Rozmawialiśmy o tym z Eddiem. Myślisz, że moglibyśmy urządzić wielkie przyjęcie u Clarence'a z okazji Święta Dziękczynienia? Nie miałby chyba nic przeciwko temu? Wszyscy pomogliśmy w przygotowaniach i urządzilibyśmy świetną zabawę. Tylko udajemy, ale ja naprawdę czuję się z wami jak w rodzinie. Eddie twierdzi, że potrafi przyrządzić indyka.

– Myślę, że Clarence byłby zachwycony – odparłam zadowolona, że Jill poweselała. Po chwili dotarło do mnie, co powiedziała, i popatrzyłam na Eddiego z niedowierzaniem. – Potrafisz przyrządzić indyka? Gdzie się tego nauczyłeś? – Wiedziałam, że dampirey od najmłodszych lat spędzają okrągły rok w szkole. Nie mają dużo czasu na zajęcia kulinarne.

– Hej – rzucił z powagą. – Każda wiedza jest warta wysiłku.

Jill parsknęła śmiechem.

– Mnie też nie chciał powiedzieć.

– Angeline twierdzi, że umie gotować – dodał Eddie. – Rozmawialiśmy o tym przy śniadaniu. Zna się ponoć także na indykach, więc jeśli połączymy siły, może nam się udać. Oczywiście Angeline zechce sama upolować ptaka.

– Pewnie tak – przyznałam zdumiona, że Eddie był gotów

współpracować z Angeline. W dodatku mówił o niej z sympatią, nie krzywiąc się przy tym. I dobrze. Nie potrzebowaliśmy animozji w naszym kręgu. – Znalazłam to, po co przyszłam, więc pójdę do siebie. Zobaczymy się rano.

– Na razie – rzucił Eddie.

Jill nic nie powiedziała, ale kiedy na nią zerknęłam, zobaczyłam, że znów mi się przygląda tym dziwnym zachwyconym spojrzeniem. Westchnęła z zadowoleniem.

– Adrian świetnie się dziś z tobą bawił.

Omam nie przewróciłam oczami.

– Przed waszą więzią nic się nie ukryje. Ale nie bawił się równie świetnie przez cały czas.

– Mylisz się – zapewniła z głupekowatym uśmieszkiem. – Jest zachwycony, że jego samochód podoba ci się bardziej niż jemu, i uważa, że robisz fantastyczne postępy na kursie samoobrony. Wcale mnie to nie dziwi. Jesteś doskonała we wszystkim i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie przywiązujesz wagi do tego, co robisz, a przecież bez przerwy opiekujesz się innymi, nie myśląc o sobie.

Nawet Eddie wydawał się lekko zbity z tropu tym oświadczeniem. Wymieniliśmy zaintrygowane spojrzenia.

– Tak – rzuciłam nieswoim głosem, nie wiedząc, jak potraktować ten nieoczekiwany hołd. Uznałam, że najlepiej będzie się wycofać. – Dzięki. Zobaczymy się później. Hej, skąd to masz?

– Co? – spytała, mrugając.

Miała na szyi jedwabny, barwny szal. Przywodził na myśl pawie ogon. Coś mi przypominał, ale nie wiedziałam co.

– Ten szal. Widziałam go już przedtem.

– Och. – Przesunęła palcami po gładkiej tkaninie. – Lia mi go dała.

– Słucham? Kiedy się widziałyście?

– Wpadła wczoraj do dormitorium, żeby oddać nam sukienki. Nie wspomniałam ci o tym, bo wiedziałam, że odmówiłabyś ich przyjęcia.

– Słusznie – rzuciłam ostrym tonem.

Jill westchnęła.

– Proszę, zatrzymajmy je. Są takie ładne. Poza tym wiesz, że ona znów je przywiezie.

– Później to załatwimy. Teraz opowiedz o tym szalu.

– To drobny prezent. Lia próbowała mnie namówić na pokaz kolekcji szali...

– Tak, mnie też o tym wspominała. I o tym, że nikt cię nie rozpozna. – Potrząsnęłam głową, bo nieoczekiwanie ogarnęła mnie złość. Czy już na nic nie miałam wpływu? – Nie mogę uwierzyć, że zrobiła to za moimi plecami! Proszę, powiedz, że się z nią nie wymknęłaś na sesję zdjęciową.

– Nie, nie – zapewniła szybko Jill. – Oczywiście, że nie. Ale... Nie sądzisz, że udałoby się jej jakoś ukryć moją twarz?

Staralam się mówić łagodnie. Ostatecznie byłam zła na Lię, nie na Jill.

– Może tak, a może nie. Wiesz, że nie wolno nam ryzykować.

Jill kiwnęła głową ze smutkiem.

– Tak.

Wyszłam poirytowana i omal nie zderzyłam się z Treyem. Nie zareagował na moje powitanie i zorientowałam się, że był jeszcze bardziej wzburzony niż ja. Miał zmęczony wzrok, wydawał się wyczerpany.

– Wszystko w porządku? – zagadnęłam.

Zdobył się na słaby uśmiech.

– Tak, tak. Nadmiar obowiązków. Ale dam radę. A co u ciebie? Czyżby znów musieli cię wyrzucać z biblioteki? A może sama poczułaś się zmęczona ośmiogodzinną pracą?

– Wpadłam tylko po jedną książkę – odparłam. – I spędziłam tam dziesięć minut. Prawie cały wieczór przebywałam poza szkołą.

Jego uśmiech zgasł i zastąpiły go zmarszczone brwi.

– Umówiłaś się z Braydenem?

– Z nim spotykam się jutro. Miałam spotkanie rodzinne.

Trey jeszcze bardziej się zasępił.

– Często wychodzisz, Melbourne. Masz mnóstwo znajomych poza szkołą.

– Nie tak dużo – zapewniłam. – Nie prowadzę życia imprezowiczki, jeśli to sugerujesz.

– Uważaj na siebie. Chodzą słuchy, że nie jest bezpiecznie.

Przypomniałam sobie, jak ostatnio martwił się również o Jill. Zwykle starałam się wiedzieć, co w trawie piszczy, ale nie słyszałam żadnych alarmujących wieści.

– Czyżby w Palm Springs wzrosła przestępczość? Nic mi o tym nie wiadomo.

– Po prostu bądź ostrożna – powiedział.

Ruszył swoją drogą, ale go zawołałam.

– Trey?! Nie chcę się wtrącać, ale cokolwiek się zdarzy... zawsze możesz ze mną pogadać – zaryzykowałam.

Uśmiechnął się smutno.

– Zapamiętam.

Kręciło mi się w głowie, gdy wróciłam do siebie. Adrian, Jill, Trey. Jeśli wliczyć w to Eddiego i Angeline, którzy nieoczekiwanie zaczęli się dogadywać, wszystko w moim życiu stanęło na głowie. „Na tym polega twoja praca” – pomyślałam.

Zadzwoiłam do Donny Stanton. Nigdy nie byłam pewna, w jakiej strefie czasowej przebywa, więc nie martwiłam się późną porą. Odebrała od razu i nie wydała mi się senna, co przyjąłabym za dobry znak. Do tej pory nie odpisała na mój e-mail o wojownikach, więc byłam ciekawa, co powie. Stanowili zbyt poważne zagrożenie, by ich zlekceważyć.

– Panna Sage – powiedziała. – Zamierzałam do pani zadzwonić. Ufam, że Dragomirówna ma się dobrze?

– Jill? Tak. Dzwonię w innej sprawie. Pisałam do pani o wojownikach światła.

Alchemiczka westchnęła.

– Właśnie w tej kwestii zamierzałam się z panią skontaktować. Mieliście z nimi nowe problemy?

– Nie. I zdaje się, że już nas nie śledzą. Może zrezygnowali.

– To mało prawdopodobne. – Milczała dłuższą chwilę. – W każdym razie sądząc na podstawie naszych wcześniejszych obserwacji.

Zamarłam, po prostu odebrało mi mowę.

– Obserwacji? To znaczy, że o nich wiedzieliście? Miałam nadzieję, że to tylko... Sama nie wiem. Banda lokalnych oszołomów.

– Niestety nie. Natykaliśmy się na nich w przeszłości. Sporadycznie. Ale wygląda na to, że działają w różnych miejscach.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Dlaczego uczono mnie, że łowcy wampirów zaprzestali działalności setki lat temu?

– Szczerze? – spytała Stanton. – Większość alchemików nie wie o ich istnieniu. Są wśród nas ludzie o bardzo radykalnych poglądach. Lepiej, by się nie dowiedzieli o tych odszczepieńcach. Nie powiedziałabym o nich nawet pani, ale w tej sytuacji powinniśmy panią przygotować.

– Odszczepieńcach? Więc mieli z nami coś wspólnego? – Zrobiło mi się niedobrze.

– Odłączyli się bardzo dawno temu – ciągnęła Stanton z niesmakiem. – Dziś prawie nie ma między nami podobieństw. Są zbuntowani i dzicy. Nie rozprawiliśmy się z nimi jeszcze tylko dlatego, że polują na strzygi. Ale sprawa z Sonią Karp jest bardziej złożona. Nie grozili jej więcej?

– Nie. Widziałam się z nią dziś wieczorem... Przy okazji, pojawił się kolejny problem, o którym chciałabym porozmawiać.

Zrelacjonowałam pokrótce przebieg eksperymentów, nie pomijając faktu, że oddałam próbkę swojej krwi. Podkreśliłam, że działałam dla dobra nauki i że byłam oburzona, gdy ponownie poproszono mnie o to poświęcenie. Poszło gładko.

– Bardzo słusznie. To wykluczone – odparła Stanton bez wahania.

Większość decyzji w kręgach alchemików zapada po długich debatach, nawet gdy rozstrzygający głos ma ktoś tak wysoko postawiony jak ona. Jej zdecydowana reakcja uświadomiła mi, że oddanie krwi wampirom było tak bardzo sprzeczne z naszymi zasadami, że Stanton nie musiała się nawet konsultować w tej kwestii.

– To ludzie powinni analizować skład krwi. Propozycja tej morojki nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do jej prawdziwych intencji. Nie pozwolimy się wykorzystywać do udziału w tych eksperymentach. Wpierw powinni się skoncentrować na ocalonych strzygach. Poza tym, o ile nam wiadomo, moroje łakną naszej krwi dla swoich prywatnych celów.

Nie podejrzewałam moich przyjaciół o złe intencje i próbowałam taktownie to podkreślić.

– Sonia szczerze wierzy, że to pomoże im zabezpieczyć się przed strzygami. Po prostu nie rozumie naszego stanowiska.

– To oczywiste – zgodziła się Stanton. – Jak oni wszyscy.

Powróciliśmy do wątku łowców wampirów. Alchemicy prowadzili śledztwo w naszym rejonie. Stanton nie chciała, bym szukała informacji na własną rękę, ale miałam natychmiast zgłaszać wszelkie nowe fakty. Podejrzała, że wojownicy światła mają kryjówkę w okolicy. Kiedy tylko alchemicy dowiedzą się, gdzie ukrywają się łowcy, natychmiast „się z nimi rozprawią”. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale ton zwierchniczki przyprawił mnie o dreszcze. Jak zauważyła wcześniej, nie byliśmy nastawieni agresywnie... ale doskonale potrafiliśmy rozwiązywać nasze problemy.

– Jeszcze jedno – przypomniałam sobie tuż przed końcem rozmowy. – Czy dowiedziała się pani czegoś o Marcusie Finchu?

Próbowałam namierzyć tego tajemniczego sprzymierzeńca Clarence’a, ale nie natrafiłam na jego ślad. Miałam nadzieję, że Stanton udało się ustalić więcej.

– Nie. Ale wciąż go szukamy. – Umilkła. – Panno Sage... Chciałabym podkreślić, że jesteśmy niezwykle zadowoleni z pani pracy. Napotkała pani więcej przeszkód, niż przewidywaliśmy, a poradziła pani sobie ze wszystkim skutecznie i właściwie. Nawet to, jak pani funkcjonuje w towarzystwie morojów, jest godne podziwu. Ktoś słabszy mógłby ulec prośbie tej Karp. Pani jej odmówiła i skontaktowała się ze mną. Jestem dumna, że na panią postawiłam.

Poczułam ucisk w klatce piersiowej. Była dumna. Nie przypominałam sobie, bym ostatnio usłyszała taki komplement. Może kiedyś z ust matki, ale z pewnością żadnego z alchemików. Przez długie lata żywiłam nadzieję, że coś podobnego powie ojciec, lecz ostatecznie się poddałam. Stanton nie była nikim bliskim, ale jej słowa mnie uszczęśliwiły. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję docenienia.

– Dziękuję pani – bąknęłam, gdy odzyskałam zdolność mowy.

– Oby tak dalej – dorzuciła. – Zabiorę panią stamtąd, kiedy tylko zdołam, i przeniosę do innej placówki, gdzie nie będzie pani musiała tak często się z nimi kontaktować.

Cały mój świat zawalił się w jednej chwili. Opadły mnie wyrzuty sumienia. Ona naprawdę dała mi szansę, a ja ją oszukałam. Nie byłam taka jak Liam, gotów sprzedać swoją duszę strzygom, ale nie pozostałam neutralna. Nauka jazdy. Święto Dziękczynienia. Co powiedziałyby Stanton, usłyszawszy o moich poczynaniach? Oto zbierałam pochwały, na które nie zasługiwałam. Gdybym była naprawdę lojalna wobec alchemików, zachowywałamby się inaczej. Ograniczyłamby kontakty z Jill i resztą towarzystwa do minimum. Nie uczyłamby się w Amberwood, tylko zajęła mieszkanie w mieście. Odwiedzałamby podopiecznych, jedynie gdyby to było absolutnie konieczne.

Gdybym potrafiła tak postępować, stałabym się naprawdę dobrą alchemiczką.

Naraz uświadomiłam sobie, że wówczas byłabym również rozpaczliwie samotna.

– Dziękuję pani – powtórzyłam.

Na inną odpowiedź nie umiałam się zdobyć.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

NASTĘPNEGO RANKA przy śniadaniu zauważyłam z ulgą, że Jill nie posyła mi już roziskrzonych spojrzeń. Pojawił się Micah i choć nie wydawali się tak zajęci sobą jak dotychczas, gawędzili z ożywieniem o naukowym projekcie Jill. Także Eddie i Angeline pograżyli się w rozmowie o planie działania, gdy dziewczynie przywróca prawa uczennicy. Niebieskie oczy Angeline błyszczały, a ja zrozumiałam, że ona naprawdę coś czuje do Eddiego. Nie narzucała mu się z przekory. Byłam ciekawa, czy chłopak zdaje sobie z tego sprawę.

Pewnie powinnam się czuć jak piąte koło u wozu, ale cieszyłam się, że moja mała rodzina tak dobrze funkcjonuje. Po rozmowie ze Stanton przeżywałam wprawdzie coś w rodzaju konfliktu lojalności, ale nie było przecież nic złego w radości z tego, że znajomi się dogadują. Poczulałabym się jeszcze lepiej, gdyby i Trey zachowywał się normalnie, ale nie przyszedł na lekcję historii. Nie miałam wątpliwości, że wytłumaczy wszystko sprawami rodzinnymi, lecz znów opadły mnie podejrzenia, że owa rodzina jest odpowiedzialna za jego siniaki. Czy powinnam to komuś zgłosić? Ale komu? Nie chciałam wyciągać pochopnych wniosków, a to z kolei uniemożliwiało mi podjęcie jakiegokolwiek działania.

Na historii siedziałam jak zwykle z Eddiem. Tuż przed dzwonkiem nachyliłam się do niego.

– Zauważyłeś, że Jill ostatnio dziwnie się wobec mnie zachowuje?  
– zapytałam szeptem o inną sprawę, która mnie ostatnio niepokoiła.

– Ma sporo problemów – odparł, instynktownie próbując jej bronić.

– Tak, wiem, ale musiałeś wczoraj coś zauważyć. Pamiętasz, w bibliotece. Wiem, że nie jestem przesadnie bystra w tych sprawach, ale można by pomyśleć, że mnie podrywała.

Eddie parsknął śmiechem.

– To prawda, że wychwalała cię pod niebiosa, ale nie powinnaś się obawiać romantycznych komplikacji. Po prostu szuka z tobą kontaktu. Z jednej strony chciałaby być nieustraszoną wojowniczką, która bez lęku staje do walki... – Urwał, spoglądając z mieszaniną dumy i uniesienia. – Z drugiej zaś obserwuje cię i widzi, że są inne dziedziny, w których

można osiągnąć wielkość.

– Dzięki – odparłam. – Może i tak. A skoro mowa o odwadze... – Przyjrzałam mu się z zaciekawieniem. – Dlaczego już jej nie szkolisz? Nie chcesz, by się doskonaliła w walce?

– Ach, to. Cóż... jest kilka powodów. Po pierwsze musiałem się skupić na treningu Angeline. Po drugie nie chcę, by Jill zaprzętała sobie tym głowę. To ja mam jej bronić.

Spodziewałam się takiej odpowiedzi. Ale nie tego, co usłyszałam dalej.

– Poza tym... nie czuję się swobodnie w tak bliskim kontakcie z Jill. Wiem, że dla niej to nic nie znaczy... ale dla mnie owszem.

Znowu wykazałam się brakiem taktu.

– Chcesz powiedzieć, że wolałbyś jej nie dotykać?

Eddie się zaczerwienił.

– Chcę powiedzieć, że nie miałbym nic przeciwko temu. Więc lepiej, jeśli będę trzymał dystans.

Mogłam to zrozumieć. Zostawiłam Eddiego z jego demonami i zajęłam się swoimi, wciąż zachodząc w głowę, co się przytrafiło Treyowi. Miałam nadzieję, że jeszcze dotrze przed końcem zajęć, ale on wcale nie przyszedł. Nie pojawił się do końca mojej sesji z panną Terwiliger, a liczyłam, że znajdzie mnie, by pożyczyć notatki.

– Coś cię trapi – zauważyła nauczycielka, gdy pakowałam się po dzwonku. – Martwisz się, że nie zdążysz z projektem?

– Nie. – Przygotowałam już dwa zaklęcia, ale z całą pewnością nie zamierzałam jej o tym mówić. – Niepokoję się o Treya. Nie chodzi na lekcje. Może pani wie, co się z nim dzieje? Oczywiście jeśli może mi pani to powiedzieć.

– Sekretariat powiadamia nas, jeśli jakiś uczeń nie będzie obecny w danym dniu, ale nie podają powodów. Jeżeli to cię uspokoi, nieobecność pana Juareza została zgłoszona tego ranka. Nie zniknął bez wieści.

Miałam na końcu języka uwagę, że niepokoi mnie jego sytuacja domowa, ale się powstrzymałam. Potrzebowałam więcej dowodów.

Z powodu lęku o Treya, pracy dla panny Terwiliger, kłopotu z wojownikami, Braydena i innych moich niezliczonych problemów nie mogłam trwonić ani chwili. Mimo to zaraz po lekcjach pojechałam do

Adriana z ważną misją. W drodze na kurs samoobrony wspomniał, że nie zdążył oddać mustanga do przeglądu. I chociaż w mojej ocenie samochód działał sprawnie, nalegałam, by jak najszybciej odstawił go do mechanika, co oczywiście oznaczało, że to ja musiałam znaleźć dobry warsztat i umówić się na przegląd. W serwisie zaproponowano mi termin tuż przed moją randką w muzeum włókiennictwa, ale byłam pewna, że zdążę to załatwić.

– Gość, który mi go sprzedał, wydawał się godny zaufania – powiedział Adrian, gdy zostawiliśmy wóz w warsztacie.

Mechanik obiecał zająć się autem w pierwszej kolejności i kazał nam poczekać na miejscu. Warsztat znajdował się na przedmieściach i Adrian zaproponował spacer po okolicy.

– Podczas jazdy próbnej spisywał się bez zarzutu, więc uznałem, że wszystko jest w porządku.

– To nie znaczy, że nie ma ukrytych usterek. Lepiej być przezornym – odparłam, wiedząc, że zrzędzę. – Gorzej, że kupiłeś auto, którego nie umiesz prowadzić. – Kątem oka dostrzegłam, że Adrian lekko się uśmiechnął.

– Z twoją pomocą stanę się profesjonalistą w mgnieniu oka. Oczywiście jeśli nie chcesz mi dłużej pomagać, sam do wszystkiego dojdę.

Jęknęłam.

– Dobrze wiesz, co na to odpowiem... O!

Znajdowaliśmy się w bogatej dzielnicy. Tutejsi mieszkańcy zajmowali prawdziwe rezydencje. Przystanęliśmy przed jedną z nich, która wyglądała jak skrzyżowanie meksykańskiej hacjendy z kolonialną willą na jakiejś plantacji. Wielka budowla z gankiem wspartym na kolumnach i różowymi stiukowymi ścianami. Dziedziniec porastała bujna roślinność. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do domu kołysały się trawy i wysokie palmy. Drzewa tworzyły egzotyczny szpaler.

– Cudo – mruknęłam. – Uwielbiam architekturę. W innym życiu na pewno wybrałabym ją na kierunek studiów, nie zajmowałabym się chemią ani wampirami.

Idąc dalej, oglądaliśmy podobne widoki. Każdy kolejny dom przyćmiewał poprzednie. Wszystkie chroniły wysokie ogrodzenia i

żywopłoty.

– Ciekawe, co ukrywają. Pewnie baseny.

Adrian przystanął przed inną rezydencją, tak żółtą jak jego samochód. Ona również miała eklektyczny charakter i wyglądała jak południowo-zachodnia wariacja na temat średniowiecznego zamku z wieżyczkami.

– Ciekawa kompilacja – zauważył.

Obróciłam się, wiedząc, że wytrzeszczam oczy.

– Czyżbyś właśnie użył słowa „kompilacja”?

– Tak, Sage – odparł cierpliwie. – Używamy go często na lekcjach malarstwa, gdy mieszamy różne barwy. Poza tym umiem korzystać ze słownika. – Odwrócił się ode mnie i oglądał dom, po czym zatrzymał wzrok na ogrodniku, który strzygł żywopłot. Na wargach Adriana pojawił się chytry uśmiezek. – Chcesz obejrzyć tył posiadłości? Chodźmy.

– Co chcesz... – Zanim zdążyłam dokończyć, Adrian ruszył przed siebie granitową ścieżką biegnącą przez trawnik prosto do miejsca, w którym pracował jakiś mężczyzna. Nie chciałam w tym uczestniczyć, ale poczucie obowiązku nie pozwoliło mi zostawić Adriana. Pospieszyłam za nim.

– Czy właściciele są w domu? – zaczął.

Ogrodnik przerwał pracę i spojrzał na niego.

– Nie.

– A kiedy wrócą?

– Po szóstej.

Byłam zdumiona, że facet udziela mu odpowiedzi. Gdyby to mnie ktoś tak wypytywał, uznałabym, że to potencjalny włamywacz. I nagle ujrzałam rozmarzony wzrok mężczyzny. Wszystko stało się jasne.

– Adrian...

Nie spuszczał wzroku z ogrodnika.

– Zaprowadź nas na tyły.

– Oczywiście.

Ogrodnik upuścił sekator i ruszył do bocznej furtki. Próbowałam zwrócić uwagę Adriana, ale już mnie wyprzedził. Nasz przewodnik stanął przed bramką, wystukał kod i wprowadził nas do ogrodu.

Wszelkie protesty zamarły mi na ustach.

Z tyłu posiadłość zajmowała trzy razy większy teren niż od frontu. Okalały ją drzewa palmowe. Tarasowy ogród porastały obficie rośliny, zarówno tutejsze, jak sprowadzone z daleka. Uwagę przyciągał duży owalny basen: turkusowa tafla wody kontrastowała z szarym granitem. Po jednej stronie dostrzegłam stopnie prowadzące do mniejszego kwadratowego zbiornika. Mógłby pomieścić zaledwie kilka osób, ale woda spływała stamtąd kaskadą do większego basenu. Luksusowego wystroju dopełniały stojące obok latarnie i stoliki.

– Dzięki – rzucił Adrian do ogrodnika. – Wracaj do pracy. Możemy tu zostać. Poradzimy sobie.

– Oczywiście – powtórzył mężczyzna i odszedł drogą, którą przyszedliśmy.

Wróciłam do rzeczywistości.

– Adrian! Użyłeś magii wpływu. To... to jest...

– Fantastyczne? – Podszedł do stopni wiodących na górny basen. – Tak, wiem.

– To jest złe! Wszystko. Włamanie, wkroczenie na cudzy teren i magia... – Zadrzałam mimo nieznośnego upału. – Niemoralne. Nie wolno kontrolować umysłów innych istot. Wiesz o tym! To prawo obowiązujące w świecie morojów i alchemików.

– Przecież nie robię mu krzywdy. – Adrian wspiał się na krawędź basenu i się rozejrzał. Słońce połyskiwało w jego brązowych włosach, tworząc orzechowe refleksy. – Uwierz mi, tego gościa łatwo jest kontrolować. Ma słabą wolę.

– Adrian...

– Daj spokój, Sage. Nie robimy nic złego. Podziwiał widoki.

Obawiałam się tam podejść. Moroje tak rzadko używali magii w mojej obecności, że bez trudu mogłam udawać, iż ona nie istnieje. Widząc, jak podstępnie poczyną sobie Adrian, dostałam gęsiej skórki. Zgodnie z tym, co oświadczyłam pannie Terwiliger podczas rozmowy o zaklęciach, uważałam, że nikt nie ma prawa manipulować innymi.

– No, chodź – ponaglił mnie Adrian. – A może obawiasz się, że i na ciebie rzucę czar?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyłam szczerze.

W głębi duszy czułam, że Adrian nie mógłby mnie skrzywdzić. Niechętnie dołączyłam do niego, sądząc, że dzięki temu szybciej wyjdziemy. Stałam obok niego na krawędzi i oniemiałam. Basen nie wydawał się z dołu tak wysoki, a tymczasem rozciągał się stamtąd oszałamiający widok na góry: majestatyczne ostre szczyty rysujące się na błękitnie nieba. Woda lśniła pod nami, a kaskada nadawała wszystkiemu wygląd mistycznej oazy.

– Nieźle, co? – zauważył i usiadł na krawędzi małego basenu. Podwinął nogawki dżinsów, a potem zdjął buty i skarpetki.

– Co ty wyprawiasz? – spytałam.

– Korzystam z możliwości. – Włożył nogi do wody. – Mogłabyś choć raz złamać zasady. Przecież to nie jest aż tak złe. Nic nie niszczy.

Zawahałam się, ale woda kusiła mnie tak bardzo, jakby i ona miała zdolność czarowania. Usiadłam, zdjęłam buty i włożyłam gołe nogi do wody. Była zaskakująco zimna – wspaniale zimna w tym upalnym dniu.

– Mogłabym do tego przywyknąć – przyznałam. – Ale co będzie, jeśli właściciele wrócą wcześniej?

Adrian wzruszył ramionami.

– Spokojnie, wyłgam się z tego.

Nie uspokoił mnie tym zapewnieniem. Powróciłam do kontemplacji wspaniałego widoku i luksusowej posiadłości. Nie mam szczególnie bogatej wyobraźni, ale przypominałam sobie, co mówiłam o innym życiu. Jak by to było mieć taki dom? Mieszkać w jednym miejscu? Spędzać dni przy basenie, prażyć się na słońcu i nie martwić się losem ludzkości? Rozmarzyłam się i straciłam poczucie czasu.

– Musimy wracać do warsztatu! – wykrzyknęłam.

Zerknęłam na Adriana i zauważyłam ze zdziwieniem, że przygląda mi się z zadowoloną miną. Odniosłam wrażenie, że bada moją twarz. Kiedy zorientował się, że to widzę, szybko odwrócił wzrok, a potem natychmiast przywołał swoją zwyczajową kpiącą minę.

– Mechanik może poczekać – oznajmił.

– Tak, ale niedługo mam się spotkać z Braydenem. Będę... – Dopiero teraz uważniej przyjrzałam się Adrianowi. – Coś ty narobił? Spójrz na siebie! Nie wolno ci tak długo przebywać na silnym słońcu.

– Nie jest tak źle.

Kłamał i oboje o tym wiedzieliśmy. Było późne popołudnie, ale prażyło niemiłosiernie. Odczuwałam to, mimo że chłodziłam nogi w wodzie. Oczywiście i mnie jako człowiekowi groził udar czy poparzenia skóry, ale kocham słońce i jestem dość odporna na jego działanie. W przeciwieństwie do wampirów.

Adrian dosłownie spływał potem, który wsiąkał mu we włosy i koszulę. Na twarzy miał różowe plamy. Widziałam już coś podobnego u Jill, gdy zmuszono ją do uprawiania sportu na świeżym powietrzu w ramach lekcji wuefu. Bez natychmiastowej interwencji takie rumieńce zamieniają się w poparzenia. Zerwałam się na równe nogi.

– Musimy stąd natychmiast wyjść, zanim twój stan się pogorszy. Co ci przyszło do głowy?

Miał stanowczo nonszalancką minę, a przecież lada chwila mógł tam zemdleć.

– Warto było. Wyglądałaś na... szczęśliwą.

– Oszalałeś – mruknęłam.

– Robiłem już głupsze rzeczy. – Przyglądał mi się z uśmiechem. Miał przy tym lekko nieobecny wzrok. – Cóż znaczy odrobina szaleństwa? Kazano mi prowadzić eksperymenty... Dlaczego miałbym nie sprawdzić, co jest jaśniejsze: twoja aura czy słońce?

Zaniepokoił mnie sposób, w jaki na mnie patrzył i mówił, i przypomniałam sobie słowa Jill o obłędzie zagrażającym morojom obdarzonym mocą ducha. Adrian nie sprawiał wrażenia szalonego, lecz wyraźnie coś się w nim zmieniło. Gdzieś zniknął sarkazm. Odtworzyłam w myślach tamten wiersz o śnieniu i jawie.

– Chodźmy – powtórzyłam, wyciągając do niego rękę. – Nie powinienesz być używać magii ducha. Musimy cię stąd jak najszybciej zabrać.

Ujął mnie za rękę i podniósł się niepewnie. Znów przeniknęła mnie fala prądu i ciepła jak kiedyś i nasze oczy się spotkały. Przez chwilę mogłam myśleć tylko o tym, co powiedział: „Wyglądałaś na szczęśliwą”.

Otrząsnęłam się szybko i pospiesznie wyprowadziłam go z ogrodu. W warsztacie okazało się, że mechanik jeszcze nie skończył, ale

dostaliśmy trochę wody dla Adriana i schroniliśmy się w klimatyzowanym wnętrzu. Napisałam do Braydena: „Będę godzinę później z powodu spraw rodzinnych. Przepraszam”. Odpowiedź przyszła pół minuty później: „Zostanie nam tylko godzina na zwiedzenie muzeum”.

– To stanowczo za mało czasu – oświadczył Adrian z powagą. Nie zdawałam sobie sprawy, że czyta mi przez ramię.

Zabrałam mu komórkę sprzed nosa i zaproponowałam Braydenowi, żebyśmy poprzestali na wczesnym obiedzie. Zgodził się.

– Wyglądam koszmarnie – mruknęłam, przeglądając się w lustrze. Upał i mnie dał się we znaki. Byłam spocona i potargana.

– Nie przejmuj się – powiedział Adrian. – Jeśli nie dostrzegł, jak fantastycznie wyglądałaś w tej czerwonej sukience, teraz też nie zauważy, jak wyglądasz. – Zawahał się. – Ale nie masz czym się martwić. Wyglądasz ślicznie jak zawsze.

Chciałam go zganić za te kpiące komentarze, ale patrząc na niego, zorientowałam się, że jest absolutnie szczery. Ugryzłam się w język i pospiesznie poszłam sprawdzić, co z samochodem, żeby ukryć rumieniec.

Mechanik już skończył – nie znalazł żadnych usterek – więc wyruszyliśmy z Adrianem do miasta. Przez całą drogę zerkałam na niego z obawą, że lada chwila zemdleje.

– Przestań się zamartwiać, Sage. Nic mi nie jest – uspokajał mnie. – Chociaż... poczułbym się lepiej, gdybym zjadł lody. Nawet ty musisz przyznać, że to dobry pomysł.

Trafił w sedno, ale nie mogłam dać mu satysfakcji.

– Co jest z tymi mrożonymi deserami? Dlaczego wciąż masz na nie ochotę?

– Bo mieszkamy na pustyni.

To był niepodważalny argument. Podjechaliśmy pod dom Adriana, gdzie przesiadłam się do swojego auta. Przedtem zasypałam jednak Iwaszkowa informacjami na temat odwodnienia i konieczności odpoczynku.

– Dziękuję za miłe chwile nad basenem – dodałam jeszcze. – Omal nie dostałaś udaru, to naprawdę niezwykle.



Posłał mi przekorny uśmiech.

– Może kiedyś przekonasz się do magii wampirów.

– Nie – zaprzeczyłam gwałtownie. – Nigdy się do niej nie przekonam.

Jego uśmiech natychmiast zgasł.

– Oczywiście – mruknął. – To na razie.

Pojechałam na obiad. Wybrałam włoską restaurację wypełnioną aromatem czosnku i sera. Brayden siedział przy stoliku w kącie sali, sącząc wodę i znosząc groźne spojrzenia kelnerki, która zapewne nie mogła się doczekać, kiedy złoży zamówienie. Usiadłam naprzeciwko niego i położyłam obok torbę.

– Bardzo cię przepraszam – zaczęłam. – Miałam coś do załatwienia z hm... bratem.

Jeśli się na mnie złościł, to tego nie okazał. Taki już był. Obrzucił mnie jednak badawczym spojrzeniem.

– Uprawialiście sport? Wyglądasz, jakbyś przebiegła maraton.

Nie chciał mnie obrazić, ale trochę zrzędła mi mina. Przypomniałam sobie, na co zwrócił uwagę Adrian. Brayden nie miał nic do powiedzenia na temat mojego kostiumu na Halloween, a zauważył coś takiego?

– Byliśmy w Santa Sofia na przeglądzie jego wozu.

– Ładna okolica. Nieco dalej autostradą można dojechać do Parku Narodowego Joshua Tree. Byłaś tam?

– Nie, tylko o nim czytałam.

– To wręcz ikona. Ma fascynujące położenie geologiczne.

Podeszła kelnerka, więc czym prędzej zamówiłam mrożoną latte. Brayden z ożywieniem opowiadał mi o parku i wkrótce zaczęliśmy naszą zwyczajową dyskusję. Nie znałam dokładnych danych na temat ukształtowania geologicznego tego obszaru, lecz dostatecznie dużo wiedziałam na temat geologii, by rozumieć, o czym mówił. Właściwie swobodnie mogłam się przełączyć na automatycznego pilota i jednocześnie rozmyślać o Adrianie. Wspominałam jego reakcję na widok mojej czerwonej sukienki. A dziś przyznał, że chciał mnie uszczęśliwić i że to było warte jego cierpień.

– Co o tym sądzisz?

– Hmm? – Zorientowałam się, że jednak zgubiłam wątek.

– Pytałem, która z pustyń robi na tobie większe wrażenie – powtórzył Brayden. – Większość zachwyca się regionem Mojave, ale ja wolę Kolorado.

– Ach... – Powróciłam do znajomej rzeczywistości. – Tak, Mojave. Wolę formacje skalne.

Jedliśmy, dyskutując o zaletach różnych regionów, a Brayden promieniał mocniej z każdą chwilą. Uświadomiłam sobie, że jest szczęśliwy, mogąc rozmawiać z kimś, kto intelektualnie dotrzymuje mu kroku. W żadnym z poradników randkowych nie było wprawdzie wzmianki o docieraniu do serca mężczyzny drogą dyskusji akademickich, ale nie miałam nic przeciwko temu. Z Braydenem miło się gawędziło, choć nie było to dla mnie szczególnie ekscytujące. Pocieszałam się, że to dopiero początki naszego związku. Z pewnością wkrótce poczuję motyle w brzuchu.

Rozmawialiśmy jeszcze długo po posiłku. Kelnerka przyniosła nam niezamawianą kartę deserów, a ja zaskoczyłam przy tej okazji samą siebie.

– O! – zawołałam. – Nie zdawałam sobie sprawy, że mam aż tak wielką ochotę na lody. Zwykle raczej mi się to nie zdarza.

Może pot i upał przesiąkły do mojego żołądka... a może wciąż miałam w głowie Adriana.

– Rzeczywiście przy mnie nigdy nie zamawiasz deseru. – Brayden odsunął swoją kartę. – Nie za dużo cukru?

Znów wygłosił uwagę, którą można było opacznie zrozumieć. Czy mnie osądzał? Uważał, że nie powinnam sobie pozwalać na słodczyce? Nie wiedziałam, ale to mi wystarczyło, by zamknąć menu i położyć na jego karcie.

Nie zaplanowaliśmy nic rozrywkowego na resztę wieczoru, więc postanowiliśmy po prostu pójść na spacer. Zrobiło się nieco chłodniej i wciąż jeszcze było dostatecznie jasno, by nie obawiać się niespodziewanej napaści wojowników światła. Co oczywiście nie znaczyło, że zlekceważyłam nauki Wolfe'a. Bacznie rozglądałam się dookoła, wypatrując podejrzanych sygnałów.

Doszliśmy do niewielkiego parku i znaleźliśmy ławkę na uboczu.

Usiedliśmy i przyglądaliśmy się dzieciom bawiącym się po drugiej stronie trawnika, kontynuując rozmowę o obserwacji ptaków w Mojave. W pewnym momencie Brayden objął mnie ramieniem. Gdy wyczerpaliśmy temat, siedzieliśmy dalej w milczeniu.

– Sydney...

Oderwałam wzrok od dzieci, zaskoczona niepewnym tonem Braydena, który jeszcze przed chwilą stanowczo bronił wyższości kosa górskiego nad kosem zachodnim. Teraz jego orzechowe oczy złagodniały, a wieczorne światło wydobyło z nich złotawy odcień, całkowicie skrywając zielone cętki. Posmutniałam.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, pochylił się nade mną i pocałował mnie. Tym razem wypadło nieco lepiej, ale wciąż nie kojarzyło się z pełnymi namiętności scenami, jakie oglądałam w filmach. Brayden oparł dłoń na moim ramieniu i delikatnie przyciągnął mnie do siebie. Pocałunek trwał dłużej niż poprzednie, a ja znów próbowałam się rozluźnić i skoncentrować tylko na dotyku jego warg.

Nieoczekiwanie odsunął się pierwszy, trochę zbyt obcesowo jak na mój gust.

– Ja... przepraszam – rzucił, odwracając wzrok. – Nie powinienem był.

– Dlaczego? – spytałam ze zdziwieniem. Nie chodziło o to, że tęskniłam za takim pocałunkiem, ale znajdowaliśmy się w romantycznej okolicy o zachodzie słońca. Idealne miejsce do całowania.

– Jesteśmy w miejscu publicznym. Zachowałem się raczej wulgarnie.

Wulgarnie? Siedzieliśmy w cieniu drzew i nie widziałam nikogo w pobliżu. Brayden westchnął z niepokojem.

– Chyba trochę mnie poniosło. To się więcej nie powtórzy.

– Nic się nie stało – zapewniłam.

Nie zauważyłam, żeby go cokolwiek poniosło, ale co ja mogłam wiedzieć? Moim zdaniem nie ma nic złego w chwili zapomnienia. Czyż nie na tym polega namiętność? Z drugiej strony w tej kwestii również brakowało mi doświadczenia. Czułam tylko, że ten pocałunek bardzo przypominał ostatni: było przyjemnie, ale nie euforycznie. Ogarnęło mnie przygnębienie. Coś było ze mną nie tak. Wszyscy mi powtarzali, że

jestem kompletnie nieprzystosowana. Czy dotyczyło to również spraw sercowych? Może po prostu jestem oziębła i do końca życia już nic nie poczuję?

Brayden chyba źle odczytał moje rozterki i uznał, że mnie zirytował. Wstał i wyciągnął rękę.

– Chodźmy do tej herbaciarni na następnej przecznicy. Urządzili wystawę jakiegoś miejscowego malarza. Myślę, że ci się spodoba. Poza tym w herbacie nie ma kalorii, prawda? Jest lepsza niż deser.

– Racja – przyznałam bez humoru.

We włoskiej restauracji podawali lody o smaku granatów, co wydawało mi się bardzo smakowitą propozycją. Wstałam i w tej chwili oboje przestraszyliśmy się sygnału mojego telefonu.

– Halo?

– Sage? To ja.

Nie miałam powodu wściekać się na Adriana, nie po tym, co dla mnie zrobił, ale zirytowało mnie, że mi przeszkadza. Bardzo się starałam, by wieczór z Braydenem był udany, a Adrian teraz to burzył.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Jesteś jeszcze w mieście? Musisz tu natychmiast przyjść.

– Wiesz, że jestem z Braydenem – odparłam. Adrian zachował się wyjątkowo natarczywie. – Nie zostawię go, żeby cię zabawiać.

– Nie chodzi o mnie. – Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że ton jego głosu brzmi inaczej niż zwykle. Poczułam ucisk w klatce piersiowej. – Sonia zniknęła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– MIAŁA OPUŚCIĆ MIASTO – przypomniałam.

– Dopiero jutro.

Racja. Kiedy rozmawiałam z Sonią poprzedniego wieczoru, mówiła, że wyjeżdża za dwa dni.

– Jesteś pewien, że zniknęła? – spytałam. – Może po prostu gdzieś wyszła.

– Bielikow też jest przestraszony. Twierdzi, że nie wróciła do domu wczoraj wieczorem.

Omiał nie upuścić komórki. Wczoraj? Tak długo jej nie widzieli? Minęły niemal dwadzieścia cztery godziny.

– Jak to możliwe, że nikt tego nie zauważył aż do tej pory? – zirytowałam się.

– Nie wiem – odparł Adrian. – Przyjedziesz? Proszę, Sydney.

Zmięklam, gdy zwrócił się do mnie po imieniu. Zwykle robił to tylko w wyjątkowych sytuacjach. Ale przecież nie mogłam im pomóc. Soni nie było już całą dobę. Pewnie już nie żyła, jeśli dopadli ją ci szaleńcy z mieczami.

Brayden słuchał z niedowierzaniem i rozczarowaniem, gdy oświadczyłam, że muszę się z nim pożegnać.

– Ale przecież... To znaczy... – Rzadko mu się zdarzało tak zaniemówić.

– Przepraszam – powiedziałam szczerze. – Wiem, że się spóźniłam i nie mogliśmy zwiedzić muzeum. Ale to pilna sprawa rodzinna.

– W twojej rodzinie wciąż zdarzają się jakieś pilne sprawy.

„Nawet sobie nie wyobrażasz” – pomyślałam i przeprosiłam go jeszcze raz.

– Naprawdę bardzo mi przykro. – Omiał nie dodałam, że mu to wynagrodzę, a przecież obiecywałam to samo w noc Halloween. To właśnie dzisiaj miałam wszystko naprawić. – Przepraszam.

Mieszkanie Adriana znajdowało się tak blisko, że mogłam tam podejść piechotą, lecz Brayden nalegał, że mnie zawiezie, bo już zaczynało się zmierzchać. Chętnie przyjął tę propozycję.

– Ooo! – zawołał, gdy podjechaliśmy pod dom. – Ładny mustang.

– C rocznik 67 – odparłam automatycznie. – Ma doskonały silnik. Należy do mojego brata. Znów nim jeździł! Mam nadzieję, że niedaleko. A to co?

Brayden powędrował spojrzeniem za moim wzrokiem.

– Jaguar?

– Najwyraźniej. – Smukły czarny samochód stał zaparkowany tuż obok mustanga.

– Ale skąd się tu wziął?

Brayden, rzecz jasna, nie znał odpowiedzi. Przeprosiłam go jeszcze raz i zapewniłam, że się odezwę. Nie próbował mnie pocałować. Był zbyt rozczarowany przedwczesnym zakończeniem wieczoru, a ja zbyt zaniepokojona zniknięciem Soni. Natychmiast o nim zapomniałam, wchodząc po schodach. Miałam poważniejsze problemy.

– Należy do Clarence’a – wyjaśnił Adrian, gdy otworzył mi drzwi.

– Słucham? – Nie zrozumiałam.

– Jaguar. Pomyślałem, że cię zaintrygował. Stary pozwolił Bielikowowi nim przyjechać, bo Sonia zabrała ich wynajęty wóz. – Adrian się odsunął, a ja weszłam, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Że też trzymał go w garażu przez cały czas, gdy tam mieszkałem. Powiedział, że zupełnie o nim zapomniał! A ja się tłukłem autobusami!

W innych okolicznościach parsknęłabym śmiechem. Ale zapomniałam o rozbawieniu na widok miny Dymitra. Chodził po pokoju jak zwierzę w klatce, emanował frustracją i lękiem.

– Jestem idiotą – mrucał. Nie wiedziałam, czy mówi do siebie, czy do nas. – Nie zauważyłem, że wczoraj nie wróciła, a dziś przez pół dnia sądziłem, że pracuje w ogrodzie!

– Dzwoniłeś na jej komórkę? – Wiedziałam, że to głupie pytanie, lecz musiałam działać metodycznie.

– Tak – potwierdził Dymitr. – Nie odpowiada. Sprawdziłem, czy nie zmieniono jej pory odlotu, a potem rozmawiałem z Michałem. Nic nie wiedział. Tylko go zdenerwowałem.

– Może słusznie – mruknęłam, przysiadając na brzegu sofy. To się nie mogło dobrze skończyć. Wiedzieliśmy, że wojownicy mają obsesję na punkcie Soni, a ona wyszła sama i do tej pory nie wróciła.

– Dopiero teraz usłyszałem, że was wczoraj odwiedziła – dodał

Dymitr. Zatrzymał się i popatrzył na nas. – Wspominała, że się dokądś wybiera?

– Nie – zaprzeczyłam. – My... mieliśmy małe nieporozumienie.

Dymitr kiwnął głową.

– Adrian mi powiedział.

Zerknęłam na Adriana i zrozumiałam, że on również nie ma ochoty rozwijać tego wątku.

– Posprzeczałyśmy się – przyznał. – Sonia nalegała, żeby Sydney poddała się eksperymentom, a ona odmówiła. Sonia nie dawała za wygraną, więc się wtrąciłem i wreszcie ustąpiła. Nie wspomniała jednak, że się dokądś wybiera.

Twarz Dymitra pociemniała.

– Zatem wszystko mogło się zdarzyć. Mogli ją po prostu porwać z ulicy albo pojechała gdzieś sama i tam ją dopadli.

Albo już jej nie ma. Dymitr mówił tak, jakby Sonia wciąż żyła, ale ja nie podzielałam tej pewności. Łowcy, którzy na nas napadli, z całą pewnością zamierzali ją zabić na miejscu. Skoro nie wróciła do domu na noc, należało założyć, że ją gdzieś wytropili. Dwadzieścia cztery godziny to zbyt długo, by trzymać przy życiu „stworę ciemności”. Przyglądając się dłużej Dymitrowi, odkryłam, że on również tak myślał. Podtrzymywał tylko w sobie nadzieję, że jeszcze może coś zrobić, że nie jest bezsilny.

Podszedł do drzwi.

– Idę na policję.

– Chcesz zgłosić zaginięcie? – spytał Adrian.

– Tak, a co ważniejsze, podjąć poszukiwania tego wozu. – Jeżeli ją porwali... – Zawahał się. – ...mogli ją ukryć, a wtedy niełatwo będzie ją namierzyć. Jednak trudniej ukryć wóz niż kobietę. Podam opis policji, powiadomią nas, jeśli zauważą taki samochód. – Chwycił za klamkę i obrócił się do nas. – Na pewno nic nie pamiętacie? Może wspomniała coś, co naprowadzi nas na jej ślad?

Oboje z Adrianem powtórzyliśmy, że nie. Dymitr wyszedł, udzielając nam zbędnych instrukcji, byśmy natychmiast go powiadomili, jeśli coś nam się przypomni lub – jakimś cudem – Sonia się pojawi. Jęknęłam, gdy wyszedł.

– To przeze mnie! – wybuchnęłam.

Adrian spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Niby dlaczego?

– Sonia przyjechała tutaj, wyszła z domu, chociaż nie powinna, z mojego powodu. Prosiła o próbkę. Kto wie, jakby się to potoczyło, gdybym jej nie odmówiła? Może gdyby wyszła stąd kilka minut później, łowcy już by odjechali. Albo gdyby nie była tak zdenerwowana naszą rozmową, łatwiej mogłaby się obronić.

W głowie krążyło mi milion myśli. Sonia, która wychodowała dla mnie lilię. Która rozmawiała z królową, by wstawić się za Adrianem. Pokazywała mi suknię ślubną. Pracowała bez wytchnienia, by powstrzymać strzygi i odkupić swoje winy. Tej Soni nie było teraz z nami.

– Może, może, może... – Adrian usiadł obok mnie na sofie. – Nie wolno ci tak myśleć, a już na pewno nie możesz się obwiniać o działania jakichś odszczepieńców.

Miał rację, ale nie poczułam się lepiej.

– Powinnam zadzwonić do alchemików. Mają kontakty także w policji.

– To pewnie dobry pomysł – zgodził się ostrożnie. – Mam złe przeczucia co do tych gości. Nawet jeśli... zostawili Sonię przy życiu, nie wiem, jak ją znajdziemy. Nie znam żadnego cudownego czy magicznego rozwiązania.

Zamarłam.

– O mój Boże!

– Co? – spytał niespokojnie. – Przypomniałaś coś sobie?

– Tak... ale nie to, co myślisz.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Nie, nie, nie. Ta myśl była szalona. Nie powinnam jej nawet brać pod uwagę. Dymitr miał rację. Musimy się skoncentrować na tradycyjnych metodach poszukiwań.

– Sage? – Adrian dotknął lekko mojego ramienia, a ja podskoczyłam. – Dobrze się czujesz?

– Nie wiem – odparłam miękko. – Właśnie wpadłam na szalony pomysł.



– Witaj w moim świecie.

Odwróciłam głowę, przestraszona czekającą mnie decyzją. Rozważałam... cóż, niektórzy mogliby się upierać, że nie odbiegało to tak daleko od tego, co robiłam do tej pory. A jednak problem tkwił w różnicy między wyborem a koniecznością. Nie miałam w tym względzie wątpliwości. To byłby wybór. Akt wolnej woli.

– Adrian... Co byś powiedział, gdybym znała metodę na odnalezienie Soni, ale taką, która sprzeciwia się moim przekonaniom?

Nie odpowiedział od razu.

– A wierzysz w szansę ocalenia Soni? Jeśli tak, w żaden sposób nie sprzeciwisz się swoim przekonaniom.

To była pokrętna logika, lecz dodała mi otuchy. Wyjęłam komórkę i wystukałam numer, którego niemal nigdy nie używałam, choć bez przerwy dostawałam z niego wiadomości. Usłyszałam znajomy głos już po dwóch sygnałach.

– Panna Terwiliger? Mówi Sydney.

– Panna Melbourne. W czym mogę pani pomóc?

– Muszę się z panią spotkać. To raczej... Nie, nie raczej. To bardzo pilna sprawa. Czy jest pani w szkole?

– Nie. Wiem, że to zdumiewające, ale czasem bywam w domu. – Urwała. – Oczywiście zapraszam panią do siebie.

Nie wiem dlaczego, ale poczułam się nieswojo. A przecież spędziłam już mnóstwo czasu u Clarence'a. Mieszkanie nauczycielki z pewnością nie mogło wyglądać bardziej ponuro niż domostwo wampira. Ta nauczycielka była jednak czarownicą, więc nie wiedziałam, czego mam się spodziewać: nudnych mieszczkańskich mebli czy raczej chatki z piernika.

Przełknęłam ślinę.

– Czy w domu ma pani również zestaw ksiąg z zaklęciami tak jak w szkole?

Adrian uniósł brew, słysząc słowo „zaklęcia”.

Panna Terwiliger zwlekała z odpowiedzią.

– Tak – odparła w końcu. – Nawet więcej.

Podawała mi adres. Zanim się rozłączyłam, Adrian już się zdecydował.

– Jadę z tobą – oznajmił.

– Nawet nie wiesz dokąd.

– Fakt – przyznał – ale brak danych jeszcze nigdy mnie nie powstrzymał. Poza tym wiem, że to ma coś wspólnego z Sonią, i to mi wystarczy. Miałaś przerażoną minę. Nie ma mowy, żebym cię tam puścił samą.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– Bywałam już w bardziej ryzykownych sytuacjach. A ty nie jesteś moim zwierzchnikiem, by mi na coś pozwalać lub nie. – Adrian wydawał się szczerze zaniepokojony i poczułam, że nie mogę mu odmówić... Szczególnie że naprawdę się bałam. – Musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz, dokąd pojedziemy, ani nie zdradzisz, co się tam wydarzy.

– Szlag. Co jest grane, Sage? – spytał. – Będziemy składać ofiary ze zwierząt czy co?

– Adrian – upomniałam go spokojnie.

Znowu spoważniał.

– Słowo. Ani mru-mru, chyba że zmienisz zdanie.

Nie musiałam drażnić tematu, by wiedzieć, że mogę mu zaufać.

– Dobrze więc. Ale zanim wyjdziemy, będę potrzebowała twojej szczotki do włosów...

Panna Terwiliger mieszkała w Vista Azul, na przedmieściach w pobliżu Amberwood. Ku memu zdumieniu dom prezentował się całkiem zwyczajnie: mały i dobrze dopasowany do sąsiedztwa. Gdy dotarliśmy na miejsce, było już dobrze po zachodzie słońca i zbliżała się pora ciszy nocnej w dormitorium. Panna Terwiliger zaprosiła nas do środka. Wnętrze bardziej odpowiadało moim oczekiwaniom. Były tam wprawdzie telewizor i nowoczesne umeblowanie, ale znalazło się również mnóstwo świec i posążków różnych bogów i bogiń. W powietrzu unosił się zapach kadzidełek. W ciągu pięciu minut naliczyłam też co najmniej trzy koty i nie miałam wątpliwości, że kryło się ich tam więcej.

– Witam, panno Melbourne. – Panna Terwiliger obrzuciła Adriana zaciekawionym spojrzeniem. – Witam również pani przyjaciela.

– To mój brat – oznajmiłam. – Adrian.

Panna Terwiliger, dobrze zaznajomiona ze światem morojów, uśmiechnęła się.

– Tak. Oczywiście. Uczęszcza pan do Carlton, mam rację?

– W rzeczy samej – potwierdził Adrian. – A pani wstawiennictwo pomogło mi się tam dostać, prawda? Bardzo dziękuję.

– Cóż... – Nauczycielka wzruszyła ramionami. – Zawsze chętnie pomagam błyskotliwym uczniom, szczególnie tym, którzy zaopatrują mnie w kawę. A zatem cóż to za pilna sprawa was do mnie przywiodła o tak późnej porze?

Zdażyłam już zerknąć na wielki regał stojący w salonie. Półki uginały się pod starymi oprawionymi w skórę tomami, takimi jak te, nad którymi kazała mi pracować.

– Czy... zna pani zaklęcie, które pozwala kogoś odnaleźć? – spytałam, choć wypowiedzenie każdego słowa sprawiało mi ból. – Wiem, że takie istnieją. Natrafiłam na nie kilka razy podczas pracy. Ale może pani poleciłaby któreś szczególnie.

Panna Terwiliger zaśmiała się cicho, a ja odwróciłam wzrok.

– No, no. To sprawa z całą pewnością warta późnej wizyty. – Znajdowaliśmy się w jadalni i nauczycielka odsunęła rzeźbione drewniane krzesło, żeby usiąść. Jeden z kotów otarł się o jej nogę. – Oczywiście jest wiele zaklęć odnajdujących, ale wszystkie niedostępne na twoim poziomie zaawansowania. Co oczywiście wynika z ustawicznej niechęci do ćwiczeń.

Nachmurzyłam się.

– A czy pani potrafi któreś zastosować?

Potrząsnęła głową.

– Nie. To twój problem. Sama musisz to zrobić.

– Jak, skoro są poza moim zasięgiem? – zaprotestowałam. – Proszę. To kwestia życia i śmierci.

Nie miałam najmniejszej ochoty brukać się czarami. I tak już za bardzo się odsłoniłam.

– Spokojnie. Nie namawiałabym cię, gdyby to było niemożliwe – odparła. – Ale musimy mieć przedmiot, który połączy nas z poszukiwaną osobą. Są zaklęcia, które tego nie wymagają, ale ich nie zdołasz rzucić.

Wyjęłam z torebki szczotkę Adriana.

– Może być kosmyk włosów?

– Wyśmienicie! – stwierdziła, będąc wyraźnie pod wrażeniem mojej zapobiegawczości.

Zapamiętałam, jak Adrian się skarżył, że Sonia używa jego osobistych przedmiotów. Wiedziałam, że regularnie czyści szczotkę (nie spodziewałabym się niczego innego po osobie, która tak obsesyjnie dbała o fryzurę), ale widziałam na niej kilka rudych kosmyków. Ostrożnie wyciągnęłam najdłuższy.

– Co mam robić? – spytałam. Staralam się panować nad sobą, lecz ręce mi się trzęsły.

Adrian zwrócił się do mnie.

– Czy ona mówi serio? – Urwał i zastanawiał się. – Czary? Zaklęcia? Nie zrozum mnie źle. Piję krew i panuję nad umysłami, ale nigdy nie słyszałem czegoś podobnego.

– To tak jak ja jeszcze przed miesiącem! – westchnęłam. – Niestety, to się dzieje naprawdę. Co gorsza, ona jest przekonana, że mam talent. Pamiętasz może, jak jedna ze strzyg w twoim mieszkaniu nagle stanęła w płomieniach?

– Wydarzyło się coś takiego, chociaż potem o tym zapomniałem...

– Zmarszczył czoło. – Byłem oszołomiony ukąszeniem.

– Cóż, to nie był przypadek, tylko... magia. – Pokazałam pannę Terwiliger. – Użyłam zaklęcia.

Adrian szeroko otworzył oczy.

– Jesteś czymś w rodzaju mutanta? Władasz żywiołem ognia? To oczywiście komplement. Wysoko cię oceniam.

– Nie użyłam magii wampirów – wyjaśniłam, czując niejasno, że powinnam się ucieszyć, iż Adrian wykazał przyjazną postawę wobec „mutanta”. – Nie mam wewnętrznej łączności z żywiołami. Niektórzy ludzie mają dostęp do magii, którą czerpią z otoczenia. To brzmi niewiarygodnie, ale... cóż. Naprawdę podpaliłam tę strzygę.

Widziałam, że Adrian przyswaja usłyszane informacje, gdy panna Terwiliger do nas wróciła. Przyniosła księgę w czerwonej skórce i przerzuciła kilka kartek. Zaglądaliśmy jej przez ramię.

– To nie po angielsku – zauważył Adrian.

– Napisano je w grece – rzuciłam, odczytując opis przygotowań. –

Nie trzeba wielu składników.

– Głównie dlatego, że wymaga przede wszystkim koncentracji – wyjaśniła panna Terwiliger. – Jest bardziej skomplikowane, niż wygląda. Rzucenie tego czaru zajmie ci co najmniej kilka godzin.

Spojrzałam na ozdobny stary zegar.

– Nie mam tyle czasu. Zaraz będzie cisza nocna.

– To się da załatwić – rzuciła nauczycielka. Wzięła ze stołu telefon komórkowy i wystukała numer z pamięci. – Desiree? Mówi Jaclyn. Tak, doskonale. Dziękuję. Mam tu Sydney Melrose, pomaga mi w niezwykle ważnym projekcie. – Omal nie przewróciłam oczami. Doskonale pamiętała moje nazwisko, gdy okazało się to potrzebne. – Obawiam się, że nie zdąży wrócić przed ciszą nocną, i zastanawiam się, czy nie pozwoliłabyś jej na spóźnienie. Tak... tak, wiem. Ale to naprawdę ważne dla mojej pracy, a biorąc pod uwagę jej nienaganne zachowanie, trudno podejrzewać, że będzie nadużywała tego przywileju. Z całą pewnością jest uczennicą ze wszech miar godną zaufania.

Zauważyłam, że Adrian uśmiechnął się przy tym ostatnim zdaniu.

Po trzydziestu sekundach mogłam cieszyć się wolnością.

– Kim jest Desiree? – spytałam, gdy panna Terwiliger zakończyła rozmowę.

– Opiekunką pani dormitorium.

– Naprawdę? – Zdumiałam się na myśl o matronie, jaką była pani Weathers. Nigdy bym nie zgadła, że ma na imię Desiree. Kojarzyłam je raczej z kimś uwodzicielskim i zmysłowym. Może opiekunka prowadziła skandaliczne podwójne życie poza murami szkoły. – Więc mogę nie wracać na noc?

– Tak daleko bym się nie posuwała – odparła panna Terwiliger. – Ale z pewnością zdąży pani rzucić zaklęcie. Mogę pani pomóc w zgromadzeniu składników.

Stuknęłam palcem w księgę. Zapomniałam o lęku, gdy ponownie odczytywałam przydługą listę. Szczegóły działają na mnie kojąco.

– Ma pani wszystko, co trzeba?

– Naturalnie.

Panna Terwiliger poprowadziła nas korytarzem z kuchni do miejsca, w którym spodziewałam się znaleźć sypialnię. Rzeczywiście, w

jednym z pokoi zobaczyłam łóżko, ale dalej odkryłam coś zgoła innego: warsztat. Było to dziwne pomieszczenie, coś pomiędzy chatą czarownika a laboratorium szalonego naukowca. Znajdowały się tam różne nowoczesne sprzęty, takie jak kubki, zlewozmywak czy palniki, ale reszta pochodziła z minionej ery: fiołki z olejkami, suszone zioła, a także zwoje pergaminu i staroświeckie kociołki. Zioła i różne inne rośliny stały rzędem na parapecie ciemnego okna. Zobaczyłam dwa koty i byłam przekonana, że w salonie widziałam inne.

– Na pozór panuje tu bałagan – powiedziała panna Terwiliger – ale śmiem twierdzić, że pracownia jest wystarczająco uporządkowana, nawet jak dla pani.

Po bliższej inspekcji stwierdziłam, że miała rację. Wszystkie rośliny i małe fiołki były opatrzone etykietami w porządku alfabetycznym. Różne narzędzia także posegregowano według rozmiaru i materiału, z jakiego je wykonano. Środek pomieszczenia zajmował wielki stół z gładkiego kamienia. Położyłam na nim księgę, uważając, żeby nie przewrócić strony.

– Co dalej? – spytałam.

– Trzeba stworzyć zakłęcie – odparła. – Im więcej pani robi samodzielnie, tym silniejsze się okaże. Oczywiście może się pani do mnie zwrócić w razie problemów ze składnikami. Ale im bardziej się pani skoncentruje i zaangażuje w przygotowania, tym lepiej.

– A gdzie mam pani szukać? – spytałam niespokojnie. Nie podobała mi się myśl o pracy w jej dziwnym laboratorium, ale jeszcze bardziej nie chciałam zostać w nim sama.

Pokazała drzwi, którymi weszliśmy.

– Będę w pobliżu. Zabawię pani brata, bo naprawdę powinna pani zostać sama.

Coraz bardziej się niepokoiłam. Z początku nie chciałam, by Adrian mi towarzyszył, a teraz wolałabym mieć go przy sobie.

– Czy mogę przynajmniej napić się kawy?

Zachichotała.

– Normalnie bym się zgodziła, szczególnie gdyby chodziło o sporządzenie amuletu albo eliksiru. Ale będzie pani pracowała głównie umysłem, a magia jest skuteczniejsza, jeśli myśli są czyste, wolne od

substancji wpływających na stan mentalny.

– Zabrzmiało znajomo – mruknął Adrian.

– Dobrze. – Wzięłam się w garść. – Pora brać się do roboty. Sonia czeka. – „Pod warunkiem że jeszcze żyje” – dodałam w myślach.

Panna Terwiliger wyszła, nakazując, bym ją zawołała przed ostatnim etapem przygotowań. Adrian zwlekał, chciał zamienić ze mną parę słów.

– Na pewno dasz sobie radę? Z tego, co wiem o alchemikach, raczej nie pochwalacie takich metod.

– To prawda – przyznałam. – Mówiłam ci, że znalazłam rozwiązanie wbrew moim przekonaniom, wbrew wszystkiemu, czego mnie nauczono. Dlatego właśnie nie możesz się wygadać. Słyszałeś tę jej uwagę, że nie ćwiczę? Już od dawna usiłuje mi wmówić, że mam jakieś magiczne zdolności, które powinnam rozwijać, a ja wciąż jej odmawiam, bo to nie w porządku. Kazała mi czytać księgi z zaklęciami w ramach indywidualnego programu nauczania w nadziei, że przyswoję je przez skórę.

– To nie w porządku. – Adrian pokręcił głową. – Nie musisz tego robić. Nie musisz robić niczego wbrew swojej woli.

Uśmiechnęłam się słabo.

– Chcę odnaleźć Sonię.

Adrian miał poważną minę.

– Rozumiem. Będę obok, na herbatce z jej kotami, czy co tam dla mnie przygotowała. Jeśli będę ci potrzebny, zawołaj. Możemy stąd wyjść w każdej chwili. Wyprowadzę cię, choćby nie wiem, co się działo.

Poczułam ucisk w piersi i przez chwilę cały świat zamknął się w jego zielonych oczach.

– Dziękuję.

Adrian wyszedł i zostałam sama. Prawie. Jeden z kotów, lśniący czarny, o żółtych ślepiach, położył się na wysokiej półce i przyglądał mi się ciekawie, jakby się zastanawiał, czy naprawdę potrafię to zrobić. Zatem było nas dwoje.

W pierwszej chwili nie mogłam się ruszyć. Miałam dobrowolnie odprawiać czary. Wszystkie argumenty przytaczane w sporach z panną Terwiliger uleciały z wiatrem. Trzęsłam się i dusiłam. A potem

pomyślałam o Soni. O dobrej, dzielnej Soni. Poświęciła mnóstwo energii i czasu, by zrobić to, co trzeba. Byłam jej coś winna.

Jak powiedziałam pannie Terwiliger, zaklęcie wydawało się zwodniczo proste. Nie wymagało nawet połowy starań, jakie włożyłam w przygotowanie amuletu ognia. Musiałam tylko podgrzać wodę w miedzianym kociołku, dodać składniki, w większości olejki odmierzane z aptekarską dokładnością. Wkrótce w powietrzu unosił się zapach bergamotki, wanilii i heliotropu. Niektóre kroki wydały mi się całkowicie zbędne, jak podczas przygotowań do pierwszego zaklęcia. Miałam na przykład wrzucić do wywaru trzynaście listków świeżej mięty, jeden po drugim, odliczając przy tym głośno po grecku. Liście gotowały się przez trzynaście minut, a potem trzeba je było wyjmować po jednym, łyżką z drewna różanego krzewu.

Panna Terwiliger poinstruowała mnie przed wyjściem, bym się skoncentrowała na przygotowaniach i celu. Zaczęłam rozmyślać o Soni i o tym, że chcę ją odnaleźć, błagając w duchu, by nic się jej nie stało. Kiedy wreszcie miałam za sobą pierwszy etap, zorientowałam się, że minęła prawie godzina. Ledwo zauważyłam upływ czasu. Otarłam dłonią czoło, zdumiona, że spociłam się aż tak. Poszłam poszukać panny Terwiliger i Adriana, nie wiedząc, czego się spodziewać. Nie robili nic dziwnego: oglądali telewizję. Oboje podnieśli głowy na mój widok.

– Gotowe? – spytała.

Kiwnęłam głową.

– Pachnie herbatą – zauważył Adrian, gdy weszli za mną do laboratorium.

Panna Terwiliger zajrzała do kociołka i skinęła głową z aprobatą.

– Wygląda doskonale. – Nie wiedziałam, jakim cudem doszła do tego wniosku, ale przyjęłam to za dobrą monetę. – Teraz będziesz potrzebowała srebrnego talerza, prawda? – Przeglądała naczynia na półkach i coś tam znalazła. – Proszę. Użyj tego.

Sięgnęłam po okrągły talerz o średnicy ponad trzydziestu centymetrów. Był gładki, bez ozdób, wypolerowany tak mocno, że odbijał światło prawie jak lustro. Pech chciał, że spojrzałam na taflę i zobaczyłam, że moje włosy oraz makijaż... Nosiły wyraźne ślady trudów tego dnia. W towarzystwie innych osób poczułam się tym spięta.



Postawiłam talerz na stole i wylałam filiżankę naparu z kociołka na srebrną taflę. Wszystkie niepłynne składniki już usunęłam i woda była idealnie przejrzysta. Kiedy się wygładziła, powrócił efekt zwierciadła. Panna Terwiliger wręczyła mi miseczkę z *galbanum*. W księdze podawano, że ten składnik powinien spłonąć podczas ostatniej fazy przygotowań. Podpaliłam go świeczką i w powietrzu uniósł się gorzki zapach, kontrastujący ze słodkim aromatem płynu.

– Ma pani ten włos? – spytała panna Terwiliger.

– Oczywiście. – Położyłam go na gładkiej tafli wody. Z jednej strony pragnęłam, by coś się stało, by sypnęło iskrami albo pokazał się dym – ale czytałam instrukcję i wiedziałam, co się wydarzy. Podsunęłam taboret do stołu i usiadłam, zbliżając twarz do talerza.

– Teraz mam zajrzeć?

– Teraz – potwierdziła. – Umysł powinien być jednocześnie skoncentrowany i otwarty. Proszę myśleć o elementach zaklęcia i magii, jaką zawierają, a także o pragnieniu odnalezienia poszukiwanej osoby. Jasność umysłu to podstawa. Musi pani być diabelnie skupiona.

Spojrzałam w dół na swoje odbicie i starałam się robić to wszystko, co mi kazano. Nic się nie wydarzyło.

– Nic nie widzę.

– Naturalnie – odparła. – Minęła ledwie minuta. Mówiłam, że to trudne zaklęcie. Może potrwać, zanim pani zgromadzi w sobie odpowiednią siłę i moc. Proszę się nie poddawać. Czekamy.

Wyszli, a ja tępo wpatrywałam się w wodę, zastanawiając się, jak długo to ma trwać. Początkowo byłam podekscytowana, bo zaklęcie wydało mi się proste. Teraz żałowałam, że nie wymagało więcej składników i nie polegało raczej na recytacji. Trudność tego zaklęcia polegała na tym, że opierało się na abstrakcyjnej sile woli i umiejętności skupienia. Wolę konkrety. Lubię wiedzieć dokładnie, co trzeba zrobić, żeby osiągnąć cel. Znać przyczyny i skutki.

A to? Gapiłam się w wodę w nadziei, że mój umysł jest „diabelnie” skoncentrowany. Niby jak miałam to ocenić? A nawet gdyby udało mi się osiągnąć maksymalne skupienie, i tak będę musiała poczekać, aż pokaże się to, czego szukam. Ale nie powinnam wątpić w powodzenie. Sonia. Tylko ona teraz się liczy. Musiałam skierować całą energię na

pragnienie odnalezienia jej.

Powtarzałam to sobie, a czas płynął. Wielokrotnie miałam ochotę przerwać i zapytać pannę Terwiliger, co robić, ale zmuszałam się do wpatrywania się w talerz. „Sonia, Sonia. Skup się na Soni”. Nic. Gdy ból pleców stał się nie do wytrzymania, wstałam, żeby się rozciągnąć. Czułam zeszywniałe mięśnie. Poszłam do salonu. Od czasu, gdy ostatnio tam zaglądałam, minęło półtorej godziny.

– Pojawiło się coś? – spytała panna Terwiliger.

– Nie – zaprzeczyłam. – Chyba coś źle robię.

– Czy jest pani dostatecznie skoncentrowana? Myśli pani o niej? O jej znalezieniu?

Miałam już serdecznie dosyć słowa „koncentracja”. Moje obawy związane z używaniem magii zostały zastąpione przez wściekłość i poczucie bezsilności.

– Tak, tak i tak – odparłam. – Mimo to nie zadziałało.

Wzruszyła ramionami.

– I dlatego właśnie załatwiłam pani późny powrót do szkoły. Proszę spróbować jeszcze raz.

Adrian posłał mi współczujące spojrzenie i wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Zamierzałam wyjść, lecz coś mnie zaniepokoiło.

– A jeśli ona nie żyje? – spytałam. – Czy to może być powód, dla którego nic nie widzę?

Panna Terwiliger potrząsnęła głową.

– Nie. Na pewno by się pani zorientowała.

Wróciłam do warsztatu i ponownie skupiłam się na wodzie... z tym samym skutkiem. Gdy znów zajrzałam do panny Terwiliger, nie minęła nawet godzina.

– Na pewno coś robię nie tak – upierałam się. – Albo pokręciłam coś w przygotowaniach. Po prostu mnie to przerasta.

– Na pewno nie popełniła pani najmniejszego błędu – odparła. – I nie, nie przerasta pani to zadanie. Niestety, nikt inny nie może aktywować tego zaklęcia.

Byłam zbyt zmęczona, by kwestionować ezoteryczne brednie. Chcąc nie chcąc, powlokłam się do laboratorium. W pewnej chwili

poczułam, że ktoś za mną idzie, i odwróciłam się gwałtownie. Na widok Adriana westchnęłam.

– Miałeś mi nie przeszkadzać – przypomniałam.

– Nie zamierzam tu zostać – odparł. – Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Tak... to znaczy: sama nie wiem. Na tyle, na ile to możliwe w tych okolicznościach. – Wskazałam srebrny talerz. – Może powinniśmy sobie to darować i wyjść.

Rozważał moją sugestię, lecz w końcu pokręcił głową.

– To nie jest dobry pomysł.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– A co się stało z: „nie musisz robić niczego wbrew sobie” i z rycerską postawą mojego obrońcy?

Na wargach Adriana igrał uśmieszek.

– Cóż. Wtedy chodziło o kwestię przekonania. Przekroczyłaś już tę granicę. Teraz tylko dopadło cię zwątpienie i po prostu nie wierzysz, że ci się uda. Nie powinno tak być.

– Zwątpienie?! – wykrzyknęłam. – Adrian, wpatruję się w tę miskę od dwóch godzin! Jest wpół do drugiej. Jestem wykończona, potrzebuję kawy i bolą mnie dosłownie wszystkie mięśnie. W dodatku za chwilę zwymiotuję od zapachu tych kadzidełek.

– Przyznaję, że sytuacja jest parszywa – zgodził się ze mną. – Ale pamiętam, jak nam powtarzałaś, że trzeba zaciskać zęby w obliczu trudności i robić to, co do nas należy. Chcesz powiedzieć, że nie możesz pomóc Soni?

– Zrobiłabym wszystko, żeby ją ocalić! Wszystko, co jest w mojej mocy. Ale tutaj nie poradzę.

– No, nie wiem – zastanawiał się. – Miałem czas, żeby pogadać z Jackie – poprosiła, żebym tak się do niej zwracał – i dowiedziałem się mnóstwa rzeczy na temat ludzkiej magii. Możecie wiele zdziałać.

– To jest złe – wymamrotałam.

– A jednak próbujesz w ten sposób odnaleźć Sonię. – Adrian zawahał się, jakby wahał jakąś decyzję, a potem podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. – Zdaniem Jackie posiadasz wielki naturalny dar. Jeszcze nie spotkała kogoś tak utalentowanego jak ty.

Twierdzi, że gdybyś zechciała trochę poćwiczyć, takie zaklęcia byłyby dla ciebie błahostką. Zresztą powiedziała, że i teraz sobie poradzisz. Ja jej wierzę. Nie dlatego, że masz magiczne zdolności, ale widziałem, jak podchodzisz do każdego zadania. Uda ci się. Tobie wszystko się udaje.

Byłam tak wyczerpana, że miałam ochotę się rozpłakać. Chciałam się poddać, żeby mnie stąd wyprowadził zgodnie z obietnicą.

– W tym problem. Do tej pory mi się udawało, ale teraz obawiam się, że zawiodę. Nie znam tego uczucia. Przeraża mnie. Szczególnie że tym razem chodzi o życie.

Adrian wyciągnął rękę i musnął palcami lilię na moim policzku.

– Dziś w nocy nie poznasz tego uczucia, bo dopniesz swego. A ja będę przy tobie tak długo, jak będzie trzeba, dobrze?

Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam się uspokoić.

– Dobrze.

Adrian wyszedł, a ja znów usiadłam nad talerzem, starając się zignorować zmęczenie ciała i umysłu. Rozmyślałam o tym, co powiedział, że na pewno mi się uda. Wierzył we mnie. Co ważniejsze, myślałam też o Soni i desperacko pragnęłam jej pomóc.

W mojej głowie kłębiły się najróżniejsze myśli, gdy tak wpatrywałam się w niezmaconą tafłę wody. Unosił się na niej włos Soni: czerwona kreska na srebrnej powierzchni. Nie wiem, kiedy rozjarzył się jak iskra płomienia, a potem jaśniał coraz mocniej i mocniej, aż nabrał wyraźniejszego kształtu i utworzył krąg ze stylizowanymi promieniami. „Słońce – pomyślałam. – Ktoś namalował pomarańczowe słońce na kawałku dykty i powiesił je na ogrodzeniu z łańcucha”. Materiał był marny, lecz artysta bardzo się postarał, starannie odmierzając jednakową długość promieni. Brzydkie ogrodzenie sugerowało, że znajdują się tam jakieś zabudowania przemysłowe, obok dostrzegłam coś w rodzaju transformatora. Wokół rozciągał się brunatny, opuszczony teren i tylko pasmo gór w oddali podpowiedziało mi, że to miejsce znajduje się gdzieś w pobliżu Palm Springs. Przypominało okolicę, w której mieszkał Wolfe, poza miastem, z dala od wypielęgnowanej zieleni. Za płotem zobaczyłam duży, niski budynek.

– Au!

Wizja rozviała się, gdy uderzyłam głową o podłogę. Spadłam ze

stołka.

Udało mi się usiąść. Świat wirował, czułam pustkę w żołądku. Minęły trzy sekundy, a może trzy godziny, gdy usłyszałam głosy i kroki. Czyjeś silne ramiona chwyciły mnie i pomogły wstać. Przytrzymałam się stołu, a Adrian podniósł taboret i pomógł mi usiąść. Panna Terwiliger odsunęła srebrny talerz i zastąpiła go zwykłym kuchennym, napełnionym serem i krakersami. Obok postawiła szklankę soku pomarańczowego.

– Proszę to zjeść – poleciła. – Poczuj się pani lepiej.

Byłam tak skołowana i słaba, że się nie wzbraniałam. Jadłam i piłam, jakbym głodowała przez tydzień, a Adrian i panna Terwiliger czekali cierpliwie, aż skończę. Omal nie wylizałam talerza, ale w porę zorientowałam się, co robię.

– Krakersy i sok pomarańczowy?! – jęknęłam. – Sam tłuszcz i cukier, a jest już późno.

– Cieszę się, że doszłaś do siebie! – prychnął Adrian.

– Głód jest normalną reakcją przy częstym stosowaniu magii – wtrąciła panna Terwiliger. – Zaklęcia są wyczerpujące. Zwykle znacznie obniżają poziom cukru we krwi. Sok pomarańczowy stanie się pani najlepszym przyjacielem.

– Nic z tego, nie zamierzam... – Naraz westchnęłam głośno, bo w tej chwili przypomniałam sobie obrazy widziane na srebrnej tafli.

– Sonia! Chyba widziałam, gdzie jest.

Opisałam im wszystko, ale żadne z nas nie miało pojęcia, gdzie może znajdować się to miejsce.

– Jesteś pewna, że to było słońce? Z promieniami? – dopytywał Adrian. – Sądziłem, że łowcy używają starego alchemicznego symbolu: kółka z kropką w środku.

– Tak, ale to na pewno było... O, Boże. – Spojrzałam na Adriana. – Musimy natychmiast wracać do Amberwood.

– Nie może pani stąd wyjść w takim stanie – sprzeciwiła się panna Terwiliger stanowczym tonem belferki. – Nie sądziłam, że będzie to panią tak dużo kosztowało. Prześpicie się tutaj, a ja załatwię jutro wszystko z Desiree i władzami szkoły.

– Nie. – Wstałam i poczułam, że nogi się pode mną uginają. Przez

chwile walczyłam o utrzymanie równowagi. Adrian troskliwie otoczył mnie ramieniem, nie wierząc, że doszłam do siebie. – Muszę wracać. Wiem, jak sprawdzić, gdzie to jest.

Adrian słusznie zauważył, że opisany przeze mnie emblemat nie pasował do znaków znajdujących się na mieczu i w broszurce. Tamte symbole pochodziły z pradawnych czasów. Ten z mojej wizji stanowił ich współczesną wersję i nie pierwszy raz go widziałam.

Otoczone promieniami słońce wyglądało identycznie jak tatuaż Treya.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

NIE MOGLAM do niego po prostu pójść. Dziewczynom nie pozwalano swobodnie wchodzić do męskiego dormitorium nawet za dnia, a w godzinach ciszy nocnej było to prawie niemożliwe. Musiałam coś wymyślić, więc wioząc Adriana do domu, zadzwoniłam do Eddiego. Nie miałam wyrzutów sumienia. Wiedziałam, że można do niego telefonować o każdej porze, bo nigdy nie wyłączał dzwonka (zapewne ku wielkiej radości Micaha). Podejrzywałam, że idąc spać, kładł komórkę przy poduszce.

– Tak? – odezwał się przytomnie, jakby wcale nie spał.

Cały Eddie.

– Musisz obudzić Treya – oznajmiłam. – Sonia została porwana, przetrzymują ją w jakimś dziwnym miejscu opatrzonym symbolem podobnym do tatuażu Treya. Musimy go wypytać, co wie na ten temat.

W ten sposób Eddie dowiedział się o porwaniu Soni. Nie zapytał, jak została uprowadzona ani skąd wiem, gdzie jest. Zrozumiał, że życie morojki znalazło się w niebezpieczeństwie, i to mu wystarczyło, by działać natychmiast. Nie miałam pojęcia, jak sobie poradzi z Treyem, ale sama nie miałabym szans z nim porozmawiać przed rankiem. Musieliśmy spróbować.

– Dobrze – odparł Eddie. – Zajmę się tym. Oddzwonię do ciebie.

Rozłączyliśmy się, a ja stłumiłam ziewnięcie.

– No to nie mamy nic więcej do roboty. Czekamy na raport Eddiego.

– Mam nadzieję, że nie pobije Treya – mruknął Adrian. Zwinął się na siedzeniu pasażera i tylko w ten sposób okazał, że on również jest zmęczony o tej porze. Już dawno zmienił tryb życia na ludzki. – Wtedy nie dowiedzielibyśmy się zbyt wiele.

Skrzywiłam się.

– Jeśli Trey jest w to zamieszany, nie będę go oszczędzać. Chociaż... nie wierzę, że tak jest.

– Ludzie oszukują się nawzajem. Spójrz na siebie. Sądzisz, że twój kolega wie, iż należysz do tajnego bractwa, które ukrywa wampiry przed światem?

– Szczerze mówiąc... tak. – Zatrzymałam się na czerwonym świetle, rozmyślając o dziwnym zachowaniu Treya. – Wie, że Jill jest morojką, wydaje mi się to niemal pewne. Nie zorientował się od razu, ale potem wciąż mi powtarzał, żebym ją ukrywała. A po napaści na Sonię prosił, bym zadbała o swoje bezpieczeństwo. – Nagle dotarła do mnie straszna prawda. – On wiedział, że się znamy z Sonią. Prawdopodobnie wiedział również o napaści, ale się z tym nie zdradził!

– Nic dziwnego, jeśli ta grupa nie współpracuje z wami – wtrącił łagodnie Adrian. – Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, odnoszę wrażenie, że twój przyjaciel przeżywa konflikt i próbował cię ostrzec.

– Nie jestem taka pewna. Och, Adrian. – Zatrzymałam się i zobaczyłam żółtego mustanga oświetlanego przez latarnie. – Zostawiłam samochód przed domem. Masz szczęście, że go nie odholowano.

– Przetawię go – zapewnił. – I nie patrz tak na mnie. Nie odjadę dalej niż na kilometr, tak jak kazałaś.

– Tylko ostrożnie – poprosiłam.

Otworzył drzwi Latte i zerknął na mnie.

– Na pewno chcesz wracać do szkoły? Będiesz tam uwięziona aż do rana.

– I tak niewiele zdziałam, a chcę być na miejscu, żeby jak najszybciej porozmawiać z Treyem. Tymczasem wszystko w rękach Eddiego.

Adrian nie miał ochoty się ze mną rozstawać, ale w końcu skinął głową.

– Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała. Postaram się odnaleźć Sonię we śnie. Choć do tej pory próbowałam na próżno.

Jedną z najbardziej zadziwiających zdolności morojów władających mocą ducha była możliwość przenikania do cudzych snów.

– Może po prostu nie śpi?

– Albo otumanili ją jakimś świństwem.

Nie poprawił mi humoru tą uwagą. Na odchodnym posłał mi przeciągłe spojrzenie. Wróciłam do Amberwood, gdzie senny wartownik machnął tylko ręką, pozwalając mi przejechać. Pani Weathers dawno poszła do domu, a jej nocna zmienniczka obojętnie przyjęła mój późny powrót. Wchodziłam po schodach, gdy odezwał się mój telefon. Dzwonił



Eddie.

– Trwało to wieki, ale w końcu obudziłem jego współlokatora – obwieścił.

– I?

– Nie ma go. Nie wrócił na noc. Miał jakąś pilną sprawę rodzinną.

– Nie mówił, kiedy wróci? – Zaczynałam myśleć, że te jego „sprawy rodzinne” były bardziej podejrzane, niż sobie wyobrażałam. Zapewne nie on jeden nosił słoneczny tatuaż.

– Nie.

Tej nocy na przemian zapadałam w sen i się budziłam. Mój organizm potrzebował odpoczynku po dużym wysiłku, jakim było rzucanie zaklęć, ale brak wiadomości o Soni nie pozwalał mi poddać się zmęczeniu. Budząc się, zerkałam na komórkę w obawie, że nie usłyszałam dzwonka, chociaż nastawiłam ją na najgłośniejszy tryb. W końcu dałam za wygraną i wstałam parę godzin przed śniadaniem. Wzięłam prysznic, ubrałam się i nastawiłam kawę w ekspresie. Nareszcie kampus zaczął się budzić, chociaż tymczasem niewielka była z tego korzyść.

Zadzwoiłam do dwóch miejsc. Po pierwsze do Spencera, żeby się dowiedzieć, czy Trey jest w pracy. Nie spodziewałam się go tam znaleźć, ale spytałam, czy pokazywał się w ciągu ostatnich dni. Okazało się, że nie. Potem zadzwoniłam do Stanton i zgłosiłam zaginięcie Soni. Poinformowałam ją, że mamy trop prowadzący do mojego szkolnego kolegi i łowców wampirów oraz że Sonia jest prawdopodobnie przetrzymywana w budynku za miastem. Nie powiedziałam, jak do tego doszłam, a Stanton zbyt przejęła się porwaniem, by zadawać więcej pytań.

Odnalazłam moją „rodzinę” przy śniadaniu. Siedzieli razem z Micahem w kafeterii zachodniego kampusu. Zatroskane miny Eddiego, Angeline i Jill powiedziały mi, że już wiedzą o Soni. Micah gawędził o czymś z rozbawieniem i odniosłam wrażenie, że jego obecność powstrzymuje resztę od podjęcia ważniejszego tematu. Gdy chłopak nachylił się do Eddiego, żeby go o coś zapytać, mruknęłam do Jill:

– Zabierz go stąd.

– Mam mu kazać sobie pójść? – odszepnęła.

– Albo wyjdźcie razem.

– Ale ja chcę...

Przygryzła wargę, a Micah na powrót się do niej odwrócił. Mała miała nieszczęśliwą minę, ale szybko się rozpromieniła, co często u niej ostatnio obserwowałam. Wskazała głową talerz Micaha.

– Hej, kończysz już? Muszę zajrzeć do panny Yamani. Pójdiesz tam ze mną?

– Oczywiście – odparł z uśmiechem.

Kiedy odeszli, popatrzyłam na Eddiego i Angeline.

– Trey się pojawił? – spytałam.

– Nie – zaprzeczył Eddie. – Byłem u niego jeszcze raz rano. Jego współlokator mnie znienawidził. Na jego miejscu też bym tak zareagował.

– Oszaleję! – Miałam ochotę walić głową o mur. – Jesteśmy tak blisko i nic nie możemy zrobić. A każda minuta działa na niekorzyść Soni.

Eddie się skrzywił.

– Jesteś pewna, że ona jeszcze żyje?

– Żyła wczoraj wieczorem – odparłam.

Oboje gapili się na mnie ze zdumieniem.

– Skąd wiesz?! – bąknęła Angeline.

– Uhm, cóż, ja... Niemożliwe! – Szczeka mi opadła. – To Trey!

Trey z podkrążonymi oczami właśnie wszedł do kafeterii. Wilgotne włosy świadczyły o tym, że przed chwilą brał prysznic, a siniaki i zadrapania na jego skórze nie dałyby się już wytłumaczyć potyczkami na boisku futbolowym.

Eddie zerwał się, zanim zdążyłam coś powiedzieć, więc obie z Angeline za nim pobiegłyśmy. Miałam niemal pewność, że Eddie złapie Treya za fraki przy wszystkich, ale on tylko przed nim stanął i uniemożliwił mu podejście do kolejki. Zbliżyłam się do nich w chwili, gdy mówił:

– Dziś obejdiesz się smakiem. Idziesz z nami.

Trey zaczął protestować, ale zobaczył Angeline i mnie. Nieoczekiwanie dołączyła do nas również Jill, której udało się zgubić gdzieś Micaha. Chłopak spochmurniał i skinął głową ze znużeniem.

– Wyjdźmy na zewnątrz.

Tuż za drzwiami Eddie chwycił Treya i popchnął go na ścianę budynku.

– Gdzie jest Sonia Karp?! – ryknął, ku najwyższemu zdziwieniu zatrzymanego. Eddie był szczupły i umięśniony, ale ludzie przeważnie nie doceniali jego siły.

– Cofnij się, Eddie! – syknęłam, niespokojnie rozglądając się na boki. I ja chciałam się natychmiast dowiedzieć prawdy, ale nic byśmy nie wskórali, gdyby napatoczył się teraz któryś z nauczycieli i uznał, że prześladowujemy kolegę.

Eddie puścił Treya, ale mierzył go groźnym wzrokiem.

– Gdzie ją więzicie?

Trey nareszcie odzyskał zdolność reagowania.

– Skąd o tym wiecie?

– To my zadajemy pytania – odparował Eddie. Nie dotykał Treya, ale stał tak blisko, że nie pozostawiał wątpliwości co do swoich zamiarów. – Czy Sonia żyje?

Trey zawahał się i byłam niemal pewna, że zaprzeczy.

– Tttak. Jak do tej pory.

Eddie znów nie wytrzymał. Chwycił go za koszulkę i przyciągnął do siebie.

– Przysięgam, że jeśli ty i twoi popaprani kumple choćby ją tkniecie...

– Eddie – rzuciłam ostrzegawczo.

Znieruchomiał, a potem puścił Treya, lecz już się nie odsunął.

– Trey – zaczęłam tym samym stanowczym tonem, którym zwracałam się do Eddiego. Ostatecznie byliśmy przyjaciółmi. – Musisz nam pomóc. Powiedz, jak odnaleźć Sonię.

Potrząsnął głową.

– Nie mogę, Sydney. Dla waszego dobra. Ona jest zła. Nie wiem, jak zdołała was oszukać i ukryć swoją prawdziwą tożsamość, ale nie możecie jej ufać. Zniszczy was. Pozwólcie nam zrobić, co trzeba.

Mówił jak tamci wojownicy, lecz coś w jego postawie sugerowało, że nie powinnam mu wierzyć. Ludzie śmiali się z mojego braku obycia towarzyskiego, ale czułam, że Trey nie do końca zgadza się z poglądami

swojej grupy.

– Nie jesteś taki jak oni, Trey – powiedziałam. – Znam cię i wiem. Nie zabiłbyś niewinnej kobiety.

– Nie jest niewinna. – Znów wychwyciłam w jego głosie sprzeczne uczucia. Nie był pewien. – To potwór. Znacie je. Wiecie, do czego są zdolne. Nie mówię o takich jak ona... – Pokazał głową Jill. – Ale o tych drugich. Nieumarłych.

– Czy Sonia wygląda na nieumarłą? – spytał Eddie. – Ma czerwone oczy?

– Nie – przyznał Trey. – Ale mamy inne dowody. Świadków, którzy ją widzieli w Kentucky. Raporty o jej ofiarach.

Trudno było zachować zimną krew w tej sytuacji. Widziałam Sonię jako strzygę. Budziła grozę i przy pierwszej okazji zabiłaby nas wszystkich na miejscu. Trudno przyjąć do wiadomości, że przemiana powoduje utratę kontroli nad zmysłami i duszą. A jednak traci się przy niej dostęp do ludzkich czy też morojskich cech i staje zgoła odmienną istotą. Sonia dopuszczała się naprawdę strasznych czynów, ale teraz była już kimś innym.

– Ona się zmieniła – powiedziałam. – Nie jest już jedną z nich.

Trey zmrużył oczy.

– To niemożliwe. Zwodzi was. Używa... sam nie wiem... jakiejś czarnej magii.

– W ten sposób nic nie osiągniemy – warknął Eddie. – Dzwon po Dymitra. Zmusimy go, by wyśpiewał, gdzie ją ukrywają. Włamałem się do więzienia, więc to nie powinno być trudniejsze.

– Tak sądzisz? – Trey uśmiechnął się ponuro. – To miejsce za elektrycznym ogrodzeniem, pełne uzbrojonych ludzi. Ściśle strzeżone. Nie można tam po prostu wejść.

– Dlaczego pozostawiliście ją przy życiu? – odezwała się Angeline. Zaraz jednak uświadomiła sobie, jak dziwnie to zabrzmiało i się poprawiła. – Oczywiście się z tego cieszę, ale skoro uważacie ją za tak mroczną istotę, czemu po prostu jej nie zabiliście? – Spojrzała na nas. – Przepraszam.

– To dobre pytanie – uspokoił ją Eddie.

Trey zwlekał z odpowiedzią. Chyba przeżywał konflikt między

lojalnością wobec grupy a chęcią usprawiedliwienia się przed nami.

– Urządzono nam turniej – wyznał w końcu. – Zwycięzca zdobędzie prawo dokonania rytualnego mordu.

– O mój Boże... – wymamrotała Jill.

– Stąd twoje siniaki – wypaliłam. Moje podejrzenia o przemocę domową nie były więc dalekie od prawdy. – Walczycie ze sobą, by zasłużyć na prawo zabicia kobiety, która nic wam nie zrobiła.

– Przestań to powtarzać! – wykrzyknął Trey ze szczerym wzburzeniem. – Nie jest niewinna.

– A jednak nie jesteś tego pewien – zauważyłam. – Mam rację? Nie jesteś przekonany o słuszności tego, co robicie.

Spróbował uniku.

– Tego oczekuje ode mnie rodzina. Wszyscy musimy poddać się próbie. Wtedy, w alejce, ponieśliśmy porażkę. Straciliśmy prawo do pozbawienia jej życia i Rada ogłosiła turniej, by dać nam szansę odkupienia winy i udowodnienia, że jesteśmy tego warci.

Wzdrygnęłam się na myśl, że walczą o pozwolenie na dokonanie morderstwa, lecz znacznie bardziej poruszyła mnie druga część jego wypowiedzi.

– Byłeś tam! – mruknęłam z niedowierzaniem. – W tamtej alejce... To ty mnie trzymałeś!

Przypomniałam sobie zaskoczenie mojego napastnika i jego wahanie.

Mina Treya potwierdziła moje przypuszczenia.

– Wiedziałem, że się z nimi zadajesz. Potrafię ich wypatrzyć, choć was dwojga nie rozpoznałem od razu – zwrócił się do Eddiego i Angeline, a potem znów przeniósł wzrok na mnie. – Od razu wiedziałem, co oznacza twój tatuaż. Zignorowałem go jednak w przekonaniu, że nie masz nic wspólnego z naszą sprawą. Myślałem, że opiekujesz się nieszkodliwymi wampirami, więc nie spodziewałem się zobaczyć ciebie tamtej nocy. Nigdy na ciebie nie polowałem. Nadal nie chcę cię skrzywdzić, dlatego powinniście odpuścić.

– Mam tego dosyć – zniecierpliwił się Eddie. I tak długo milczał. – Wtargniemy do ich kryjówek i...

– Zaraz, zaraz... – Coś mi zaświtało w głowie, lecz był to szalony

pomysł. – Trey, powiedziałaś, że Eddie nie może po prostu tam wejść, ale ja...

– O czym ty mówisz? – spytał podejrzliwie Trey.

– Wiesz, kim jestem i czym się zajmuję. – Potwierdził ruchem głowy. – Dawniej nasze bractwa działały w porozumieniu. Ci dwaj, którzy do mnie podeszli na ulicy, sugerowali nawet, że powinnam z wami współpracować. Wojownicy potrzebują zasobów alchemików.

– I co... chcesz pohandlować? – Trey zmarszczył czoło.

– Nie. Chcę tylko porozmawiać z waszą Radą. Wyjaśnić, że Sonia nie jest... taka jak kiedyś. Jest z nami moroj, który włada szczególną magią. Mógłby nawet zademonstrować...

– Nie – przerwał mi Trey. – Żaden z nich nie może tam wejść. Tolerujemy ich, ale z daleka. Wy, hybrydy, także nie dostaniecie pozwolenia na wejście. – Znow zwrócił się do Eddiego i Angeline. Nigdy nie słyszałam tego określenia, lecz jego negatywny wydźwięk był jasny.

– W porządku – zgodziłam się. – Tylko ludzie. Jestem człowiekiem. Twoje bractwo chce współpracować z moim. Zaprowadź mnie do nich. Przyjdę bez broni. Porozmawiam z waszymi przywódcami i...

– Nie, Sydney – sprzeciwił się Eddie. – Nie możesz tam pójść sama! Na litość boską, oni próbowali ściąć głowę Soni. Pamiętasz, co mówił Clarence o swoich prześladowcach?

– Nie krzywdzimy ludzi – zachnął się Trey. – Nic jej nie grozi.

– Wierzę ci – powiedziała. – I wiem, że nie pozwoliłbyś mnie skrzywdzić. Nie jesteś ciekaw, jakim cudem Sonia stała się tym, kim jest? Potrafisz dopuścić do siebie myśl, że twoi ludzie są w błędzie? Twierdzisz, że tolerujecie morojów. Ona jest jedną z nich. Pozwól mi to wyjaśnić. Proszę tylko o to.

– Oraz o gwarancję bezpieczeństwa – dorzuciła Angeline, która była równie oburzona jak Eddie. On sam poparł jej uwagę skinieniem głowy. – Skoro tak podkreślacie znaczenie honoru, musicie obiecać, że nic jej się nie stanie.

– Honor każe nam czynić to, co robimy – przytaknął Trey. – Jeśli damy słowo, że będzie bezpieczna, tak będzie.

– Więc ich zapytaj – ponagliłam. – Proszę. Zrób to dla mnie. Jako przyjaciel.

Po twarzy Treya przemknął ból. Kiedyś oświadczył, że jest mi winien przysługę w zamian za pomoc w ujawnieniu afery tatuażowej. Takie słowa zobowiązują, zwłaszcza kogoś, kto tak wysoko ceni honor. Wyczuwałam też, że w tej sytuacji chodzi o coś więcej. Trey i ja naprawdę się zaprzyjaźniliśmy i mieliśmy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziłam. Oboje należeliśmy do grup, które chciały kontrolować nasze życie, często w sposób, jaki nam nie odpowiadał. Oboje mieliśmy również dominujących ojców. Gdybyśmy nagle nie stanęli po przeciwnych stronach barykady, moglibyśmy się nieźle uśmieć z tej sytuacji.

– Zapytam – obiecał. Poczułam, że on również zdał sobie sprawę z podobieństwa między nami. – Dla ciebie. Ale nie mogę niczego zagwarantować.

– Do roboty! – ryknął Eddie. – Nie mamy czasu do stracenia. Sonia również.

Trey nie zaprzeczył. Zawahałam się, bo nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Czy powinniśmy go teraz wypuszczać? Może lepiej byłoby go zawieźć do Dymitra? A Sonia... Ile czasu naprawdę jej zostało?

Zwróciłam się do Treya.

– Musisz się z nimi natychmiast skontaktować. Nie pójdziesz na lekcje. – Był to zapewne pierwszy i ostatni raz, gdy podjęłam taką decyzję.

– Przysięgam, że zaraz do nich zadzwonię – powiedział.

Odezwał się dzwonek, obwieszczając koniec naszej rozmowy. Gdyby istniał choć cień szansy, że możemy dotrzeć do Soni od razu, z pewnością wszyscy natychmiast byśmy tam pojechali. Pozwoliliśmy Treyowi odejść do jego pokoju. Świeżo ułaskawiona Angeline poszła razem z Jill do klasy, a my z Eddiem skierowaliśmy się na lekcję historii.

– To był błąd – mruknął Eddie ponuro, patrząc za odchodzącym Treyem. – Na pewno teraz się ulotni i stracimy jedyną szansę na odnalezienie Soni.

– Nie ucieknie – odparłam. – Znam go. Jest dobrym człowiekiem i nawet jeśli uważa, że strzygi trzeba wytępić, nie jest w stu procentach

przekonany co do winy Soni. Zrobi, co w jego mocy. I tak już się czuje rozdarty między tym, co mu wmawiano całe życie, a tym, co widzi na własne oczy.

„Czy to ci nie brzmi znajomo?” – spytał głos w mojej głowie.

Miałam nadzieję, że Trey odpowie mi od razu, choćby na lekcji chemii. Ale nie zjawił się i chyba w ogóle zniknął ze szkoły. Podejrzewałam, że takie decyzje wymagają zastanowienia, a moja cierpliwość i wiara zostały nagrodzone pod koniec dnia, gdy przyszedł od niego esemes: „Wciąż badam grunt. Niektórzy chcą rozmawiać. Innych trzeba przekonać”.

Zdaniem Eddiego nie było to dobrze rokujące oświadczenie, ale uznałam, że Trey w ogóle by się nie odezwał, gdyby po prostu wyjechał z miasta. Eddie chciał się spotkać z Dymitrem i omówić strategię działania w nowych okolicznościach. Postanowiliśmy pojechać wszyscy razem do centrum. Powiadomiłam całą „rodzinę”, że spotykamy się za pół godziny przed dormitorium wschodnim. Pierwsza zjawiła się Jill i zatrzymała się gwałtownie na mój widok.

– Sydney! Twoja fryzura.

Podniosłam na nią wzrok znad esemesa, w którym zamierzałam powiadomić Braydena, że nie mogę się z nim spotkać w ten weekend.

– Coś z nią nie tak?

– Jest pięknie wystylizowana. Doskonale pasuje do twojej twarzy.

Gapiła się na mnie z niezrozumiałym zachwytem.

– Cóż, to zasługa dobrego strzyżenia – bąknęłam i spróbowałam zmienić temat. – Przykro mi, że musiałaś się pozbyć Micaha.

Potrzebowała kilku sekund, by się otrząsnąć.

– Och, to nic. I tak ostatnio trudno nam się dogadać.

– Naprawdę? – Wydawało mi się, że Micah był ostatnio w świetnym nastroju. – Macie jakieś problemy?

– Ja mam. Naprawdę go lubię. Uwielbiam towarzystwo jego i jego przyjaciół. Ale wciąż myślę o tym, że nic więcej między nami nie będzie. Tak jak dziś rano. Tyle się dzieje, a ja nie mogę mu o tym opowiedzieć. Nie znoszę go okłamywać, a wciąż coś przed nim ukrywam. Prędzej czy później będę musiała się określić i z nim zerwać. Wiem, że już to mówiłam, ale teraz jestem coraz bliższa ostatecznej



decyzji.

– W razie czego możesz na nas liczyć – zapewniłam szczerze, chociaż myśl o płaczącej Jill, która mogłaby się do mnie zwrócić z prośbą o wsparcie, sprawiła, że poczułam się bezradnie. Może znajdę na ten temat jakąś książkę.

Uśmiechnęła się krzywo.

– To głupie. Nie chciałabym szukać pocieszenia gdzie indziej i nadal zależy mi na Micahu, ale zauważyłam ostatnio, jak fajny jest Eddie.

– Fantastyczny – potwierdziłam.

– Związki morojów z wampirami odradza się w późniejszym wieku, ale tymczasem... Znałam kilka takich par u świętego Władimira. – Roześmiała się z zakłopotaniem. – Wiem, wiem... Nie powinnam tak myśleć. Dwóch chłopaków naraz to za dużo. A jednak... im częściej myślę o Eddiem, zauważam, jaki jest odważny i silny. Zrobiłby dla nas wszystko, wiesz? Jak jakiś bohater z książek. Ale jest tak zaangażowany w służbę, że nie zainteresuje się kimś takim jak ja. Nie ma czasu na randki.

– Szczerze mówiąc – powiedziałam – sądzę, że byłby bardzo zainteresowany.

Jill wytrzeszczyła oczy.

– Serio?

Musiałam starannie dobierać słowa, żeby nie zdradzić tajemnicy Eddiego. Prosił mnie, bym nie mieszała się w jego prywatne sprawy.

– Bez przerwy wychwala twoją mądrość i kompetencje. Jestem pewna, że chętnie się z tobą umówi. – Eddie powtarzał również, że nie jest godzien jej miłości, ale z tym problemem łatwo można było się uporać, gdyby Jill zrobiła krok w jego stronę.

Mała zamyśliła się i nie mówiłyśmy już na ten temat, gdy nadeszli Eddie i Angeline. Pojechaliśmy do Adriana, gdzie wysadziłam Jill i dwoje wampirów, a sama postanowiłam jeszcze coś załatwić. Oczekiwanie na wiadomości od Treya było udręką i potrzebowałam czymś zająć myśli. Poza tym zaczynało mi już brakować niektórych alchemicznych składników, a nie chciałam wejść do obozowiska wojowników bez wyposażenia.

Mój telefon zadzwonił, gdy pakowałam zakupy. Zobaczyłam, że to Trey, i wyszłam przed sklep zielarski.

– W porządku – obwieścił. – Możesz tam wejść. Spotkają się z tobą dziś wieczorem, ale tylko z tobą.

Ogarnęły mnie niepokój i podniecenie. Więc już wieczorem. Zaskakująco szybko, lecz przecież na tym mi właśnie zależało. Musieliśmy uwolnić Sonię.

– Zabiorę cię tam o siódmej – ciągnął Trey. – I... cóż, przykro mi, ale będę musiał zawiązać ci oczy. Będę też sprawdzał, czy nikt za nami nie jedzie. Jeśli coś odkryję, odwołamy spotkanie.

– Rozumiem – odparłam, choć perspektywa podróży z zawiązanymi oczami lekko mnie przestraszyła. – Będę gotowa. Dzięki, Trey.

– Jeszcze jedno – dodał. – Chcemy odzyskać miecz.

Umówiliśmy się, że przyjedzie po mnie do Adriana, bo miałam wrażenie, że Dymitr i Eddie będą chcieli mnie przedtem poinstruować w wielu kwestiach. Zadzwoniłam do nich natychmiast po rozmowie z Treyem. Powiadomiłam też Stanton. Powinnam była skontaktować się z nią wcześniej, ale czekałam na definitywną odpowiedź od Treya.

– Nie podoba mi się, że pojedziesz tam sama – powiedziała. – Choć jest mało prawdopodobne, by chcieli zrobić ci krzywdę. Pamiętaj, że oni są inni niż my, lecz skoro jest szansa na uwolnienie tej Karp... cóż. Oszczędziłoby nam to kłopotu z morojami. – Wywnioskowałam z jej tonu, że choć wierzyła, iż nic mi nie grozi, nie miała nadziei na ocalenie Soni. – Uważaj na siebie.

W mieszkaniu Adriana panowało wyczuwalne napięcie. Dymitr, Eddie i Angeline byli bardzo niespokojni, pewnie dlatego, że nie mogli wziąć udziału w akcji. Zdziwiłam się, że i Adrian wyraźnie się denerwował. Jill spoglądała na niego z troską, zresztą bez przerwy wymieniali spojrzenia, przesyłając sobie niesłyszalne dla innych wiadomości. Po dłuższym czasie Adrian odwrócił wzrok od małej, jakby dał jej znak, że to koniec pogawędki. Jill westchnęła i poszła do kuchni, gdzie zebrali się już pozostali.

Chciałam coś powiedzieć Adrianowi, ale Eddie mnie zawołał.

– Debatujemy, czy powinniśmy dać ci broń – zaczął.

– Odpowiedź brzmi nie – odparłam bez wahania. – Zawiążą mi oczy. Nie sądzisz, że mnie przeszukają?

– Musi być jakiś sposób... – mruknął Dymitr. Mieszkanie było klimatyzowane, więc miał na sobie swój nieodłączny skórzany płaszcz. – Nie puszcze cię tam bezbronnej.

– Nic mi nie grozi – sprzeciwiłam się, czując, że powtarzam to samo przez cały dzień. – Są lekko stuknięci, ale Trey twierdzi, że można im zaufać.

– Sonia nie dostała żadnych gwarancji – zauważył Dymitr.

– Ale broń nie pomoże mi jej ocalić – odparłam. – Muszę polegać wyłącznie na rozumie, a pod tym względem jestem uzbrojona po zęby.

Mimo wszystko dampiry były niezadowolone. Dalej się spierały, więc zostawiłam je, żeby poszukać czegoś do picia. Adrian zawołał do mnie z salonu:

– Mam dietetyczną colę.

Otworzyłam lodówkę pełną napojów. Było tam również więcej jedzenia, niż kiedykolwiek widziałam. Kolejny dowód hojności Nathana Iwaszkowa. Chwyciłam colę i usiadłam obok Adriana na sofie.

– Dzięki – rzuciłam, otwierając puszkę. – To druga najlepsza rzecz po lodach.

Uniósł brew.

– Po lodach? To przecież deser, Sage.

– Fakt – przyznałam. Z ulgą podjęłam przyziemny wątek. Miałam dość napięcia. – Twoja wina, że wczoraj o nich wspomniałeś. Od tamtej pory myślę tylko o lodach. Miałam ochotę zamówić je po kolacji z Braydenem, ale mnie odwiódł od tego pomysłu. Pewnie dlatego popadłam w obsesję. Znasz to? Jeśli nie możesz czegoś mieć, natychmiast bardziej tego pragniesz.

– Znam – przyznał z goryczą. – Ciągłe mi się to przydarza.

– Czemu jesteś taki przygnębiony? Ty także uważasz, że powinnam być uzbrojona? – Naprawdę trudno wyczuć nastroje Adriana.

– Nie, zgadzam się z tobą – odparł. – Ale nie podoba mi się, że w ogóle tam jedziesz.

– Muszę pomóc Soni – powiedziałam.

Spojrzał mi w oczy i się uśmiechnął.

– Wiem. Żałuję, że nie mogę ci towarzyszyć.  
– Ach tak? Chciałbyś mnie chronić i w razie czego stamtąd wyprowadzić, jak odgrażałeś się wczorajszej nocy? – zakpiłam.  
– Gdyby było trzeba. Ciebie i Sonię. Przerzuciłbym was sobie przez ramię. Po męsku, nie?  
– Bardzo – zgodziłam się zadowolona, że znów żartuje.

Ale zaraz spoważniał.

– Chciałbym cię o coś spytać. Co cię bardziej przeraża: wejście do siedliska szaleńców i zabójców, którzy są ludźmi, czy bezpieczne towarzystwo dziwnych wampirów i półwampirów? Wiem, co o nas myślą alchemicy, ale chciałbym usłyszeć, jak silna jest twoja lojalność wobec swojej rasy. Czy czyjś charakter ma drugorzędne znaczenie wobec przynależności rasowej?

Było to zaskakująco głębokie pytanie jak na Adriana. Przypomniałam sobie bunkier, w którym widziałam Keitha. Jego ojciec nie dbał o morale syna, dopóki ten nie bratał się z wampirami. Wojownicy także nie potrafili przyjąć słów prawdy, jeśli była sprzeczna z ich przekonaniem. Zerknęłam w stronę kuchni, gdzie wampiry nadal zawzięcie debatowały, jak najlepiej zadbać o bezpieczeństwo moje i Soni, choćby wiązało się to z ryzykiem po ich stronie.

Powróciłam wzrokiem do Adriana.

– Wybrałabym wampiry. Lojalność wobec swoich ma granice.

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy, ale nie poświęciłam temu więcej uwagi. Byłam zdumiona własną reakcją, którą alchemicy uznaliby za wielką zdradę.

Eddie i Angeline wyszli później, żeby przynieść nam obiad, a ja pozwoliłam im wziąć mój samochód, pod warunkiem że to Eddie będzie prowadził. Podczas ich nieobecności Dymitr usiłował nauczyć mnie kilku chwytów samoobrony, ale nie zdołałabym ich opanować w tak krótkim czasie. Myślałam o przestrogach Wolfe'a, który kazał nam unikać niebezpiecznych miejsc. Co by powiedział na wiadomość, że zamierzałam wkroczyć do siedliska uzbrojonych łowców wampirów?

Eddie i Angeline wrócili po dłuższym czasie, wściekli, że kazano im czekać na zamówienie.

– Bałam się, że nie zdążymy – rzucił Eddie – i pojedziesz na misję

z pustym żołądkiem.

– Nie wiem, czy zdołam coś przełknąć – przyznałam. Pomimo początkowej brawury coraz bardziej się denerwowałam. – Zatrzymaj samochód, na wszelki wypadek.

Eddie już wrzucił kluczyki do mojej torebki.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Wzruszył ramionami i wyłowił klucze. Zauważyłam, że Adrian obserwuje go spod zmrużonych powiek, wyraźnie czymś zdenerwowany. Nie zaprzętałam sobie nim głowy. Wstał i podszedł do Eddiego. Odeszli razem dalej i zdaje się, że kłócili się szeptem, raz po raz zerkając w moją stronę. Pozostali czuli się zażenowani tą sytuacją i usiłowali rozmawiać na neutralne tematy. Co do mnie, popatrywałam na wszystkich, czując, że coś się dzieje za moimi plecami.

Trey zadzwonił punktualnie o siódmej i oznajmił, że czeka pod domem. Wstałam i wzięłam miecz, a potem odetchnęłam głęboko.

– Życzcie mi powodzenia.

– Odprowadzę cię – oświadczył Adrian.

– Adrian – rzucił ostrzegawczo Dymitr.

Moroj przewrócił oczami.

– Wiem, wiem. Nie martw się. Przecież obiecałem.

Obiecał? Ale co? Nie musiał mnie daleko odprowadzać, bo mieszkał na parterze, ale gdy tylko wyszliśmy, przystanął i położył mi ręce na ramionach. Poczułam dreszcz wywołany jego dotykiem i tym nieoczekiwanym gestem. Zazwyczaj okazywał czułość jedynie wobec Jill.

– Sage – zaczął. – Potraktuj to poważnie. Uważaj na siebie. I nie zgrywaj bohaterki, mamy ich tu pod dostatkiem. Cokolwiek się zdarzy, chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie miałem wątpliwości co do twojej decyzji. Jest roztropna i po prostu odważna.

– Zabrzmiało, jakbym już poniosła porażkę – mruknęłam.

– Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu... wiedz, że ci ufam.

– W porządku – bąknęłam zaintrygowana. Znów odniosłam wrażenie, że coś przede mną ukrywają. – Mam nadzieję, że mój plan się powiedzie.

Powinnam była już odsunąć się od Adriana i odejść, ale coś mnie powstrzymywało. Zwlekałam, bo czułam się przy nim swobodnie i bezpiecznie. Czekał mnie spacer prosto do paszczy lwa. Stałam przy nim jeszcze chwilę, a potem odsunęłam się niechętnie.

– Proszę, bądź ostrożna – powtórzył. – Wracaj bezpiecznie.

– Wrócę. – Instynktownie zdjęłam łańcuszek z krzyżykiem i wcisnęłam mu go do ręki.

– Tym razem naprawdę go zatrzymaj. Przechowasz go do mojego powrotu. Jeśli nerwy cię zawiodą, wystarczy, że na niego spojrzysz i przypomnisz sobie, że muszę po niego wrócić. Pasuje do khaki i neutralnych barw.

Bałam się, że go nie przyjmie, ale tylko skinął głową i zacisnął palce na krzyżyku. Odeszłam, czując, że oddanie krzyżyka lekko mnie osłabiło, choć miałam nadzieję, że wzmocniło Adriana. Mój własny niepokój nagle wydał mi się nieważny. Chciałam, by Adrian poczuł się lepiej.

Usiadłam obok Treya w samochodzie i od razu zwróciłam mu miecz. Chłopak miał naprawdę nieszczęśliwą minę.

– Na pewno chcesz przez to przejść?

Dlaczego wszyscy wciąż mnie o to pytali?

– Tak, na pewno.

– Pokaż komórkę.

Podaliśmy mu telefon, a on go wyłączył i oddał mi razem z opaską na oczy.

– Ufam, że sama to zrobisz.

– Dzięki.

Uniosłam ręce, żeby zakryć sobie oczy, i po raz ostatni popatrzyłam na dom. Adrian wciąż tam stał z rękami w kieszeniach i zmartwioną miną. Widząc, że na niego patrzę, uśmiechnął się lekko i uniósł rękę w geście... pożegnania? Błogosławieństwa? Nie wiedziałam, lecz poczułam się lepiej. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, był błysk krzyżyka w słońcu. Zaraz potem zawiązałam sobie oczy i zatopiłam się w mroku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

WIDZIAŁAM NA FILMACH, że ludzie z zawiązanymi oczami wiedzieli, dokąd ich prowadzono. Może niektórzy mają jakiś ukryty zmysł, który pozwala im się lepiej orientować w terenie, ale ja go nie mam. Wystarczyło, że samochód skręcił kilka razy, i już się pogubiłam. Nie wiedziałam nawet, czy jeszcze jesteśmy w Palm Springs. Poza tym Trey wybrał zapewne jakąś okrężną drogę, by się upewnić, że nikt nas nie śledzi. Wyczułam jedynie moment, gdy wyjechaliśmy na autostradę, chociaż nie miałam pojęcia, w którą stronę się skierowaliśmy ani jak długo trwała ta podróż.

Trey był milczący, ledwo odpowiadał na moje pytania.

– Kiedy przystąpiłeś do łowców wampirów?

– Wojowników światła – poprawił mnie. – Urodziłem się jako jeden z nich.

– To dlatego tak często uskarżasz się na presję rodziny i jej wysokie oczekiwania? I dlatego twój ojciec żąda, byś był nadzwyczajnie sprawny fizycznie?

Przyjęłam jego milczenie jako potwierdzenie i drażylałam temat, chcąc uzyskać od niego jak najwięcej informacji.

– Jak często umawiacie się na te swoje, uhm, spotkania? Czy zawsze poddają was tak brutalnym próbom? – Do niedawna nic nie sugerowało, że Trey ma zgoła inne obowiązki niż pierwszy lepszy szkolny atleta, który dba o dobre oceny, pracuje i prowadzi aktywne życie towarzyskie. Biorąc pod uwagę ilość zajęć mojego kolegi, trudno było sobie wyobrazić, że miał jeszcze czas dla wojowników.

– Nie spotykamy się regularnie – wyjaśnił. – W każdym razie ja nie uczestniczę we wszystkich zgromadzeniach. Wzywają nas zwykle, gdy planują polowanie. Czasem urządzamy turnieje, żeby się sprawdzić. Nasi przywódcy podróżują po całym kraju i zwołują nas do różnych miejsc. Musimy być stale gotowi.

– Gotowi na co?

– Na dzień, kiedy przyjdzie nam stoczyć bitwę i uwolnić świat od hańby wampirów.

– Naprawdę wierzysz, że zdołacie unicestwić je wszystkie? I że to

jest słuszne?

– Widziałaś je kiedykolwiek? – odpowiedział pytaniem. – Złe, nieumarłe wampiry?

– Owszem, nie raz.

– I nie uważasz, że należy je wyplenić?

– Nie to staram ci się powiedzieć. Możesz mi wierzyć, że nie bronię strzyg. Po prostu Sonia nie jest jedną z nich.

Trey umilkł.

Po jakimś czasie wyczułam, że skręcamy z autostrady. Podjechaliśmy jeszcze kawałek prostą drogą, a potem samochód zwolnił i skręcił na zwirową drogę. Zatrzymaliśmy się i Trey opuścił szybę.

– To ona? – spytał nieznajomy męski głos.

– Tak – potwierdził Trey.

– Wyłączyłaś jej komórkę?

– Tak.

– Wprowadź ją. Zostanie przeszukana.

Usłyszałam zgrzyt otwieranej bramy. Znowu ruszyliśmy, teraz po żwirze, i zatrzymaliśmy się na jakimś miękkim podłożu. Trey wyłączył silnik. Otworzył drzwi w tej samej chwili, gdy ktoś inny otworzył moje od zewnątrz. Poczułam nagłą dotyk ręki na ramieniu.

– Wsiadaj.

– Ostrożnie – ostrzegł Trey.

Wprowadzono mnie do jakiegoś pomieszczenia. Dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi i wtedy ktoś zdjął mi przepaskę z oczu. Znalazłam się w surowym wnętrzu o nieotynkowanych ścianach. Z sufitu zwisały nieosłonięte żarówki. Wokół mnie i Treya stało czworo ludzi: trzech mężczyźni i jedna kobieta. Wszyscy mieli po dwadzieścia parę lat. Dwóch poznałam wcześniej w kawiarni, gdy mnie zagadnęli. Wszyscy byli uzbrojeni.

– Opróżnij torebkę – polecił mi Jeff, chłopak z szopą ciemnych włosów i złotym kolczykiem w kształcie starożytnego symbolu słońca.

Posłusznie wyrzuciłam zawartość torebki na prowizoryczny stolik zrobiony z płyty ułożonej na bryłach węgla. Przejrzeli wszystko, a kobieta mnie obszukała, zapewne pod kątem urządzeń lokalizujących. Miała źle ufarbowane włosy i trwale skrzywioną minę, ale przynajmniej



zachowywała się profesjonalnie.

– Co to jest? – Blondas z kafejki podniósł małą plastikową torebkę z suszonymi ziołami i kwiatami. – Nie wyglądasz na ćpunkę.

– *Potpourri* – odparłam natychmiast.

– Nosisz je w torebce? – spytał z niedowierzaniem.

Wzruszyłam ramionami.

– Noszę wiele różnych rzeczy, lecz przed przyjazdem tutaj wyjęłam z torebki wszystkie kwasy i chemikalia.

Chłopak uznał, że susz jest nieszkodliwy, i odrzucił go na stosik z przejrzanymi przedmiotami, pośród których znalazły się moja portmonetka, balsam do rąk i drewniana bransoletka. Zauważyłam tam także parę kolczyków. Złote dyski ozdobione wyrafinowanymi zakrętasami i inkrustowane drobnymi klejnocikami. Były piękne, ale nigdy wcześniej ich nie widziałam.

Oczywiście postanowiłam to ukryć, szczególnie że kobieta zainteresowała się moim telefonem.

– Powinniśmy zniszczyć tę komórkę.

– Wyłączyłem ją – zapewnił Trey.

– Ale ona może ją włączyć, a wtedy łatwo nas namierzą.

– Nie robi tego – upierał się Trey. – Nie popadajmy w paranoję.

Nikt w realnym świecie nie nosi przy sobie urządzeń lokalizujących.

– Zdziwiłbyś się – odparła.

Trey wyciągnął rękę.

– Daj mi tę komórkę. Przechowam ją. Powinniśmy uszanować fakt, że przyjechała tu w dobrych zamiarach.

Kobieta wahała się, ale Jeff skinął głową na znak zgody. Trey wsunął mój telefon do kieszeni, a ja odetchnęłam z wdzięcznością. Miałam w niej mnóstwo zapisanych numerów, których odtworzenie stanowiłoby wielką trudność. Po przeszukaniu pozwolono mi wrzucić wszystko z powrotem do torby i zabrać ze sobą.

– W porządku – zawyrokował Blondas. – Idziemy na arenę.

Na arenę? Zachodziłam w głowę, o czym on mówi. Moja wizja ze srebrnego talerza nie objęła szczegółowego planu budynku. Wiedziałam tylko, że jest parterowy i mocno zniszczony. Pokój, w którym się znajdowaliśmy, pasował do moich wcześniejszych wyobrażeń. Jeśli

staroświeckie broszurki wojowników odzwierciedlały ich styl, „arena” powinna znajdować się w jakimś garażu.

Myliłam się.

Wojownicy światła nie przywiązywali wagi do otoczenia na innych obszarach swojej działalności, lecz całą energię wyraźnie skupili na urządzeniu tego miejsca, noszącego oficjalną nazwę Areny Boskich Promieni Świętego Złota. Została zbudowana na podwórku otoczonym kilkoma budynkami. Chociaż podwórko to za mało powiedziane. Obszar był naprawdę rozległy, wysypany piaskiem, jak miejsce, w którym zaparkowaliśmy. Nie dostrzegłam luksusów ani nowinek technicznych. Rozglądając się wokół, przypomniałam sobie, że według słów Treya wojownicy przybyli do miasta w tym tygodniu.

Skoro zaaranżowali to miejsce w tak krótkim czasie... Cóż, byli niezwykle sprawni. Trochę się przestraszyłam. Po obu stronach dziedzińca ustawiono po dwa rzędy drewnianych ławek, na których zasiadało około pięćdziesięciu widzów po każdej stronie, głównie mężczyzn w różnym wieku. Ich oczy, podejrzliwe, a nawet wrogie, wpatrywały się we mnie. Czułam ich wzrok wwiercający się w mój tatuaż. Czy wszyscy słyszeli o alchemikach i znali naszą historię? Ci ludzie byli ubrani zwyczajnie, ale tu i ówdzie dostrzegałam błyski złota. Wielu nosiło nowoczesne lub starożytne symbole słońca na spinkach, kolczykach i innych przedmiotach.

Część ławek była prawie pusta. Na jednej zobaczyłam trzech mężczyzn, mniej więcej w wieku mojego ojca, którzy siedzieli obok siebie. Byli ubrani w żółte szaty wyszywane złotymi wzorami, które lśniły w pomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Na głowach mieli złote hełmy z inkrustowanym starym symbolem słońca – kółkiem z kropką w środku. Oni również mi się przyglądali, więc szłam przed siebie z wysoko podniesioną głową, by odwrócić ich uwagę od moich drżących rąk. Nie przydałabym się Soni, okazując onieśmienie.

Wokół areny na masztach łopotały proporce różnych kształtów i rozmiarów. Uszyte z bogatych, ciężkich tkanin przypominały średniowieczne sztandary. Z pewnością nie pochodziły z aż tak odległych czasów, lecz nadawały otoczeniu szlachetny nastrój. Wzory na proporcach bardzo się różniły. Niektóre wyglądały na autentyczne i

ukazywały stylizowane postaci rycerzy walczących z wampirami. Zrobiło mi się zimno na ich widok. Naprawdę cofnęłam się w czasie do początków istnienia bractwa o równie bogatej historii jak historia alchemików. Wizerunki na innych sztandarach były bardziej abstrakcyjne, przedstawiały starożytne symbole alchemiczne. Jeszcze inne, zupełnie współczesne, ukazywały słońce, jakie widziałam na plecach Treya. Ciekawe, czy ten nowoczesny wzór miał przemawiać do gustu młodzieży.

Przez cały czas myślałam, że przygotowanie tego miejsca zajęło im niecały tydzień. Podróżują z tymi wszystkimi sztandarami, gotowi w jednej chwili urządzić arenę w dowolnym miejscu, by przeprowadzić na niej turniej lub egzekucję. Może byli prymitywni, lecz przez to nie mniej niebezpieczni.

I chociaż publika zgromadzona na ławkach wyglądała jak przypadkowa zbieranina ochotniczej milicji, odetchnęłam z ulgą, widząc, że nie jest uzbrojona. Tylko moja eskorta miała przy sobie broń. Naliczyłam dwanaście karabinków, co znacząco osłabiło stan moich nerwów, ale pogodziłam się z rzeczywistością w nadziei, że trzymają broń głównie na pokaz. Doszliśmy do rzędu pustych ławek i przystanęliśmy. Trey zajął miejsce u mego boku.

– Stoisz przed Wysoką Radą wojowników światła – oznajmił i wskazywał ich kolejno: – Mistrz Jameson, Mistrz Angeletti oraz Mistrz Ortega. To jest Sydney Sage.

– Witamy cię serdecznie, młodsza siostró – odezwał się Mistrz Angeletti ze śmiertelną powagą. Miał długą, zmierzwioną brodę. – Już dawno nasze grupy powinny zawrzeć uzdrawiającą zgodę. Będziemy znacznie silniejsi, gdy odłożymy na bok różnice i się zjednoczymy.

Obdarzyłam go najuprzejmiejszym z uśmiechów i postanowiłam pominąć fakt, że alchemicy nie przyjmą do swoich szeregów uzbrojonych po zęby zelotów.

– Miło mi panów poznać. Dziękuję za pozwolenie na tę wizytę. Chciałabym z wami porozmawiać o...

Mistrz Jameson powstrzymał mnie gestem dłoni. Miał nienaturalnie małe oczy w porównaniu z resztą twarzy.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw pragniemy ci

zaprezentować, jak doskonale szkolimy naszą młodzież do walki w wielkiej krucjacie. Tak jak wy dążycie do doskonałości i zdyscyplinowania umysłu, my doskonalimy nasze ciała.

Na niewypowiedzianą komendę drzwi, którymi weszliśmy, znów się otworzyły. Na arenę weszła znajoma postać: Chris, kuzyn Treya. Miał na sobie tylko dresowe spodnie, a na jego nagich plecach widniał tatuaż w kształcie promienistego słońca. Z gniewną miną wojownika stanął pośrodku areny.

– Zdaje się, że poznałaś już Chrisa Juareza – ciągnął Mistrz Jameson. – Jest jednym z finalistów w ostatniej odsłonie turnieju. Drugiego wojownika oczywiście także znasz. To ironia losu, że kuzyni będą ze sobą walczyć, ale obaj zawiedli w pierwszej próbie pokonania wroga.

Obróciłam się do Treya z najwyższym zdumieniem.

– Ty? Ty również stajesz do zawodów o prawo do zamordowania Soni? – wyjąkałam. Przestraszona szybko zwróciłam się do Rady. – Powiedziano mi, że będę miała szansę wstawić się za Sonią.

– Tak będzie – wtrącił Mistrz Ortega tonem, który sugerował, że i tak nic nie wskóram. – Ale najpierw musimy wyłonić naszego zwycięzcę. Wojownicy, zajmijcie miejsca.

Dopiero teraz zauważyłam, że Trey także był w spodniach do ćwiczeń i wyglądał, jakby się wybierał na trening piłki nożnej. Zdjął koszulkę i, nie wiedząc, co z nią zrobić, podał ją mnie. Przyjęłam ubranie, nie spuszczając z niego wzroku. Nadal nie wierzyłam w to, co widzę. Na krótko spotkaliśmy się spojrzeniem, ale Trey zaraz odszedł, by dołączyć do kuzyna, a Mistrz Jameson zaprosił mnie, bym usiadła.

Trey i Chris stanęli naprzeciwko siebie. Poczułam się nieco zakłopotana widokiem dwóch chłopaków z obnażonymi torsami, chociaż nie miało się między nimi wydarzyć nic niestosownego. Patrząc na Chrisa, miałam takie samo wrażenie, jak gdy ujrzałam go po raz pierwszy. On i Trey byli doskonale wysportowani, mieli silne, umięśnione ciała poddawane regularnemu treningowi. Jedyłą przewagą Chrisa był jego wzrost, co odnotowałam już wcześniej. Jego wzrost?! Nagle wróciło do mnie żywe wspomnienie napaści w alejce. Nie widziałam twarzy napastników, lecz ten, który trzymał w dłoni miecz,

był wysoki. Zatem to Chris otrzymał zadanie zabicia Soni.

W drzwiach stanął kolejny człowiek w długiej szacie. Była nieco inaczej skrojona niż strój członków Rady i jeszcze bardziej lśniła złotem. Nowy miał na głowie perukę, jaką mógłby nosić kapłan. I rzeczywiście, okazał się kapłanem, gdyż Chris i Trey przed nim uklękli. Namaścił im czoła olejkiem i wypowiedział błogosławieństwo, którego słów nie dosłyszałam. Potem, ku mojemu zdumieniu, uczynił na ramieniu znak przeciwko złu – alchemiczny znak.

Ten gest, bardziej niż przekonania o złych na wskroś wampirach oraz wspólna obu bractwom wiedza o starożytnych symbolach, uświadomił mi, że nasze organizacje były niegdyś spowinowaczone. Znak przeciw złu to krzyż kreślony na ramieniu prawą ręką. Przetrwał wśród alchemików od starożytnych czasów. Przeszedł mnie dreszcz. Naprawdę mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

Kiedy kapłan skończył, na przód wyszedł inny mężczyzna i wręczył obu kuzynom krótkie drewniane maczugi, jakich czasem używa policja do rozpędzania tłumów. Trey i Chris zwrócili się przeciwko sobie w agresywnych pozach, zaciskając palce na pałkach. Na widowni rozległ się szmer podnieconych głosów, które łaknęły widoku przemocy. Wokół zawodników wznosił się pył wzbudzany powiewami wieczornej bryzy, ale żaden z nich nie zwracał na to uwagi. Zerknęłam z niedowierzaniem na Radę.

– Będą walczyli na pałki? – spytałam. – Przecież mogą się pozabijać!

– Ależ nie – odparł Mistrz Ortega stanowczo zbyt spokojnie. – Od lat nie mieliśmy ofiar podczas turnieju. Oczywiście zawodnicy odnoszą obrażenia, ale to ich tylko wzmacnia. Wszyscy nasi młodzieńcy uczą się znosić ból i nie przerywać walki.

– Młodzieńcy – powtórzyłam. Odszukałam wzrokiem jasnowłosą dziewczynę, która mnie tu przyprowadziła. Stała w pobliżu i trzymała u boku broń. – A młode kobiety?

– Nasze kobiety także są twarde – zapewnił Mistrz Ortega. – Wysoko je cenimy. Ale nawet nie pomyślelibyśmy o posyłaniu ich do walk na arenie czy na łowy wampirów. Częściowo dlatego, że dbamy o ich bezpieczeństwo. Walczymy ze złem dla ich dobra oraz dla

przyszłości naszych dzieci.

Mężczyzna, który przyniósł pałki, ogłaszał teraz zasady głośno i dźwięcznie, by słyszeli go wszyscy obecni. Odnotowałam z ulgą, że Juarezowie nie mieli się bić jak popadnie. Obowiązywał ich pewien układ. Wolno im było trafiać tylko w wymienione miejsca. Ciosy zadawane w niedozwolony sposób były karane. W trakcie walki przyznawano im punkty. Zwycięzcą miał zostać zawodnik, który pierwszy zdobędzie ich pięć.

Ale już kilka chwil po rozpoczęciu walki zorientowałam się, że to nie będzie czysta gra. Chris od razu przystąpił do ataku, uderzając Treya w bark tak silnie, że się skrzywiłam. Żadny krwi tłum gwizdał i ryczał, a zwolennicy Treya wydawali pełne niezadowolenia syki. Trey nie odpowiedział atakiem i widziałam, że długo zapamięta ten cios. Obaj walczący byli szybcy i czujni, sprawnie unikali się nawzajem. Tańczyli na arenie, wypatrując błędu przeciwnika. Wokół nich unosiły się kłęby pyłu, który przywierał do ich spoconych ciał. Zorientowałam się, że pochylałam się do przodu i zaciskam pięści. Zaszło mi w ustach i nie mogłam wydobyć z siebie dźwięku.

Pod pewnymi względami ta walka przypominała trening Eddiego i Angeline. Oni również starali się unikać ciosów, odgrywając role strażnika i strzygi. Ale na arenie dwóch chłopaków usiłowało jednocześnie zadać sobie jak najwięcej obrażeń. Obserwowałam Chrisa i Treya ze ściśniętym żołądkiem. Nie znoszę przemocy, zwłaszcza w tak barbarzyńskiej formie. Miałam wrażenie, że przeniosłam się w czasy gladiatorów.

Okrzyki tłumu stawały się coraz głośniejsze. Ludzie powstawali z miejsc i zagrzewali kuzynów do walki. Ich wrzaski toczyły się echem w pustynną noc. Mimo że Trey został zaatakowany jako pierwszy, dobrze sobie radził. Widziałam, jak wymierza kolejne ciosy Chrisowi, i zastanawiałam się, co jest gorsze: fakt, że mój przyjaciel jest bity, czy to, że sam bije.

– To jest straszne – mruknęłam, gdy wreszcie odzyskałam głos.

– Obaj są doskonali – sprzeciwił się Mistrz Angeletti. – Nic dziwnego, bo ich ojcowie także są niezrównanymi wojownikami. Oni również za młodu często mierzyli się w walce. Siedzą tam, w pierwszym

rzędzie.

Spojrzałam, gdzie wskazywał, i zobaczyłam dwóch mężczyzn w średnim wieku siedzących obok siebie z radosnymi minami i wykrzykujących słowa zachęty do swoich synów. Na pierwszy rzut oka widać było, że są spokrewnieni.

Wszyscy czterej Juarezowie byli nieodrodnymi przedstawicielami swojego klanu. Ojcowie wiwatowali równie głośno jak pozostali widzowie turnieju i nie okazywali najmniejszego wzruszenia, gdy któryś z chłopców zbierał cięgi. Przypominali mi mojego ojca i ojca Keitha. Dla nich liczyły się tylko honor rodziny i zasady panujące w grupie.

Straciłam rachubę punktów, gdy Mistrz Jameson oznajmił:

– Teraz będzie ciekawie. Następny cios wyłoni zwycięzcę. Zawsze rozpiera mnie duma, gdy zawodnicy dorównują sobie nawzajem. Wówczas wiem, że nasza służba ma sens.

Nie zgadzałam się z nim. Łzy napłynęły mi do oczu, choć nie byłam pewna, czy na skutek suchego, zapyłonego powietrza, czy raczej ze strachu. Trey i Chris spływali potem, ich piersi unosiły się i opadały ze zmęczenia. Obaj byli podrapani i pokaleczeni jeszcze przed walką, a teraz zdobyli nowe rany. Napięcie na arenie sięgało zenitu. Czekano, kto zada ostateczny cios. Kuzyni spowolnili trochę tempo i mierzyli się wzrokiem, świadomi, że nadeszła chwila prawdy. Rozstrzygające uderzenie. Pierwszy zaatakował promienny Chris. Celował pod żebra Treya. Wstrzymałam oddech i zerwałam się na równe nogi, podobnie jak większość widzów. Po arenie przetoczył się ogłuszający ryk. Sądząc po wyrazie twarzy Chrisa, mógł świętować zwycięstwo. Zastanawiałam się, czy już wyobraża sobie śmiertelny cios, jaki zada Soni. Zachodzące słońce skąpało jego twarz w krwistoczerwonym świetle.

Często widywałam Eddiego podczas walki i zaczęłam już się orientować w podstawowych zasadach, ale dopiero w tej chwili coś zrozumiałam. Atak Chrisa był zbyt pospieszny i niezręczny, więc Trey musiał uniknąć ciosu. Odetchnęłam z ulgą i opadłam na siedzenie. Ci, którzy oczekiwali, że zostanie wyeliminowany, krzyczeli z oburzenia.

Trey zyskał szansę, by odpłacić się Chrisowi. Zesztywniałam z napięcia. Czy to rzeczywiście poprawi sytuację, jeśli Trey „wygra” prawo do odebrania komuś życia? Niepotrzebnie się martwiłam. Trey nie

wykorzystał szansę. Patrzyłam na niego ze zmarszczonym czołem. Coś było z nim nie tak. Jest coś takiego jak rytm walki, w którym instynkt i automatyczne reakcje przejmują kontrolę. Miałam wrażenie, że Trey celowo przeciwstawia się instynktowi, który podpowiadał mu: uderz teraz! Zamiast zaatakować, odsłonił się i przyjął uderzenie Chrisa, które rzuciło go na ziemię. Dotknęłam dłonią piersi, jakbym też poczuła ten cios.

Tłum oszalał. Nawet szacowni Mistrzowie zerwali się z miejsc, by głośno wyrazić swój aplauz i dezaprobatę zarazem. Powstrzymałam się, by nie wstać. Chciałam biec do Treya, upewnić się, czy nic mu nie jest, ale wiedziałam, że moja eskorta strzeli do mnie albo mnie znokautuje, gdy zrobię pierwszy krok. Odprężyłam się trochę, gdy zobaczyłam, że Trey chwiejnie wstaje. Uśmiechnięty od ucha do ucha Chris klepnął go w plecy, podczas gdy tłum skandował imię zwycięzcy.

Pokonany Trey usunął się pośpiesznie z areny. Jego ojciec posłał mu pełne dezaprobaty spojrzenie, ale nic nie powiedział. Człowiek, który przyniósł pałki, podszedł do Chrisa z mieczem, który im zwróciłam. Chris uniósł go nad głowę, a tłum ryknął jeszcze głośniejsze. Mistrz Jameson siedzący obok mnie wstał i krzyknął:

– Wprowadzić bestię!

Nie nazwałabym tak Soni Karp, którą czterech uzbrojonych wojowników wyciągnęło na środek zakurzonej areny. Ledwo powłóczyła nogami i nawet z dużej odległości widziałam, że otumanili ją narkotykami. To dlatego Adrian nie mógł do niej dotrzeć we śnie. Dlatego nie mogła posłużyć się własną magią, by uciec. Miała potargane włosy, a na sobie to samo ubranie, w którym widziałam ją ostatniego wieczoru u Adriana. Nie zauważyłam jednak, by poza tym ucierpiała fizycznie.

Wstałam, lecz jasnowłosa dziewczyna natychmiast położyła mi rękę na ramieniu, zmuszając mnie, bym usiadła. Wpatrywałam się w Sonię, rozpaczliwie pragnąc jej pomóc, ale byłam bezsilna. Przetykając lęk i wściekłość, usiadłam z ociąganiem i zwróciłam się do Rady.

– Obiecaliście, że będę mogła coś powiedzieć. – Przypomniałam sobie, że przywiązują wielką wagę do honoru. – Daliście mi słowo. To nic nie znaczy?



– Nasze słowo jest święte – zachnął się Mistrz Ortega. – Będziesz miała swoją szansę.

Za plecami Soni pojawili się dwaj ludzie niosący wielki drewniany klocek z uchwytami na ręce. Wyglądał jak rekwizyt z filmu o średniowieczu. Poczułam ściskanie w żołądku, gdy uświadomiłam sobie, co to jest: katowski pieniek. Wokół gęstniały cienie, więc wniesiono zapalone pochodnie, rzucające złowieszcze migoczące światło na arenę. Nie mogłam uwierzyć, że jestem w Kalifornii i że mamy dwudziesty pierwszy wiek. Miałam wrażenie, że zostałam przeniesiona do jakiegoś barbarzyńskiego zamczyska.

Bo łowcy byli barbarzyńcami. Jeden ze strażników Soni popchnął ją tak mocno, że upadła na kolana. Położył potem jej głowę na pniu i uwięził ręce w skórzanych uchwytach. Morojka była półprzytomna, ten mężczyzna nie musiał wkładać tyle siły w swoje czynności. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że zamierzają pozbawić życia kobietę niestawiającą oporu, która pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie jest. Wszyscy głośno domagali się jej krwi. Ogarnęły mnie mdłości.

Mistrz Angeletti wstał i na arenie zapadła cisza.

– Przybyliśmy tutaj z różnych części kraju, by wziąć udział w wielkim wydarzeniu. Dzień, w którym chwytny strzygę, to rzadki i błogosławiony moment.

„Ponieważ ona nie jest strzygą – pomyślałam ze złością. – Żywej nigdy by nie schwytali”.

– Prześladowają one ludzi takich jak my, ale dzisiaj wyślemy jedną z nich do piekła. A jest to bestia szczególnie podstępna, skoro do tej pory skrywała swoją prawdziwą naturę. Udawała mniej niebezpieczną istotę, należącą do morojów, z którymi pewnego dnia także się rozprawimy. – W tłumie rozległy się pomruki aprobaty. – Zanim jednak tego dokonamy, jedna z naszych sióstr alchemiczek pragnie przemówić w imieniu tego stwora.

Pomruki ucichły i zastąpiły je gniewne spojrzenia skierowane na mnie. Nie wiedziałam, czy strażnicy, którzy do tej pory celowali we mnie, wymierzą w swoich ziomków, jeśli ci mnie zaatakują. Mistrz Angeletti uniósł ręce i uciszył ich.

– Okażcie szacunek naszej młodszej siostrze – powiedział. –

Alchemicy są z nami spokrewnieni, dawniej byliśmy jednością. Wielka zaprawdę będzie chwila, gdy ponownie zjednoczymy nasze siły.

Usiadł i wskazał ręką na mnie. Nie zrobił nic więcej, więc zrozumiałam, że mogę teraz coś powiedzieć. Nie byłam pewna, jak przedstawić im swoją prośbę ani gdzie stanąć. To Rada podejmowała decyzje, ale czułam, że wszyscy powinni mnie słyszeć. Wstałam, czekając, aż dziewczyna z karabinem każe mi usiąść, ale nie zrobiła tego. Powoli, ostrożnie, ruszyłam w dół wzdłuż rzędów ławek i zatrzymałam się na arenie, pamiętając, by nie zbliżyć się do Soni. Uznałam, że ci ludzie nie przyjęliby tego dobrze.

Stałam na wprost Rady, ale obróciłam lekko głowę w bok z nadzieją, że mój głos potoczy się po całej widowni. Zdarzało mi się zdawać raporty i prowadzić prezentacje, lecz zawsze w salach konferencyjnych. Nigdy nie musiałam się zwracać do gniewnego tłumu, a już na pewno nie przemawiać do tak wielkiej grupy w sprawie wampirów. Większość twarzy kryła się w cieniu, ale mogłam sobie wyobrazić ich obłąkane, żądne krwi oczy zwrócone na mnie. Zaschło mi w gardle i – co zdarzało mi się niezwykle rzadko – nagle poczułam, że mam w głowie pustkę. Po chwili udało mi się jakoś odsunąć strach (choć z pewnością nie uporałam się z nim na dobre) i przypomniałam sobie, co mam mówić.

– Popelniacie błąd – zaczęłam. Zabrzmiało to słabo, więc odchrząknęłam i spróbowałam nateńczyć głos. – Sonia Karp nie jest strzygą.

– Mamy na to dowody z Kentucky – przerwał mi Mistrz Jameson.  
– Naoczni świadkowie widzieli, jak dokonywała mordu.

– Bo wówczas była jeszcze strzygą. Ale to się zmieniło. – Ciągłe się bałam, że tatuaż nie pozwoli mi mówić na ten temat, ale ci ludzie zdawali sobie sprawę z istnienia wampirów. – W ubiegłym roku alchemicy zdobyli nowe ciekawe informacje. Musicie wiedzieć, że moroje, których nazywacie „łagodnymi czartami”, praktykują magię żywiołów. Niedawno dowiedzieliśmy się o istnieniu rzadkiej magii związanej ze zdolnościami parapsychoicznymi i uzdrawianiem. Ta moc ma zdolność przywracania strzyg do dawnego życia: człowieka, dampira czy też moroja.

Kilka głosów gniewnego sprzeciwu szybko urosło we wrzawę. Tak działa mentalność tłumu. Mistrz Jameson znów musiał go uciszyć.

– To – powiedział po prostu – jest niemożliwe.

– Mamy udokumentowane przypadki trzech, nie, czterech osób, którym to się przytrafiło. Troje morojów i dampir byli niegdyś strzygami, a teraz odzyskali swoje pierwotne osobowości i dusze. – Może nie powinnam mówić o Lee w czasie terażniejszym, ale nie musiałam opowiadać im wszystkiego. Poza tym opowieść o byłej strzydze, która na powrót pragnęła się w nią przemienić, nie pomogłaby mojej sprawie. – Spójrzcie na nią. Czy wygląda jak strzyga? Stoi na słońcu. – Niewiele tego słońca zostało, ale nawet gasnące promienie zabiłyby strzygę. Sądząc po tym, jak się pociałam ze strachu, można by pomyśleć, że stoję w upalnym południowym słońcu. – Powtarzacie, że jest to złudzenie wywołane czarną magią, ale czy kiedykolwiek widzieliście ją jako strzygę w Palm Springs?

Nikt nie przyznał mi racji od razu. W końcu Mistrz Angeletti oznajmił:

– Pokonała naszych wojowników w walce. To oczywiste, że przybrała wówczas swoją prawdziwą postać.

Zachnęłam się.

– Nic podobnego. Pokonał was Dymitr Bielikow, jeden z największych żyjących wojowników dampirów. Bez urazy, lecz mimo długiego treningu w sztukach walki wasi żołnierze zostali obezwładnieni bez trudu. – Odpowiedziały mi agresywne spojrzenia i uświadomiłam sobie, że powinnam była oszczędzić sobie tego ostatniego komentarza.

– Dałaś się zwieść – orzekł Mistrz Angeletti. – Nic dziwnego, skoro wasi ludzie od dawna zadają się z morojami. Nie jesteście tacy jak my, nie walczyacie z nimi. Nie musicie się konfrontować ze strzygami. Są to złe, krwiożercze stwory, które muszą zginąć.

– Zgadzam się. Ale Sonia do nich nie należy. Spójrzcie na nią. – Poczułam przyływ odwagi, a mój głos rozbrzmiewał coraz wyraźniej i silniej o pustynnym zmierzchu. – Wciąż się przechwalacie, że schwytałyście straszliwą bestię, a ja widzę tylko otumanioną narkotykami i związaną kobietę. Brawo. Macie zaiste godną przeciwniczkę.

Teraz już żaden z członków Rady nie traktował mnie tak

wyrozumiałe jak na początku.

– Po prostu ją ujarzmiliśmy – odparł Mistrz Ortega. – Należy nam się uznanie, że sobie z nią poradziliśmy.

– Ujarzmiliście niewinną bezbronną kobietę. – Nie wiedziałam, czy takie postawienie sprawy mi pomoże, ale uznałam, że nie zaszkodzi, na wypadek gdyby jednak hołdowali rycerskiej postawie wobec kobiet. – Wiem, że w przeszłości również zdarzało wam się pomylić. Słyszałam o Santa Cruz. – Nie miałam pojęcia, czy to ta sama grupa napastowała Clarence’a, ale liczyłam, że Rada przynajmniej o tym słyszała. – Część waszych gorliwych wyznawców zaatakowała niewinnego moroja. Wtedy to Marcus Finch powiedział wam o tym incydencie. Teraz także nie jest za późno, by skorygować omyłkę.

Ku memu zdziwieniu Mistrz Ortega się uśmiechnął.

– Marcus Finch? Czyżby stał się waszym bohaterem?

Nie wiedziałam. Nawet go nie znałam. Ale skoro ten człowiek zdołał przekonać tych szaleńców, musiał mieć olej w głowie.

– Dlaczego nie? – spytałam. – Potrafił odróżnić prawdę od fałszu.

Mistrz Angeletti parsknął śmiechem.

– Nie spodziewałem się takiej pochwały jego „rozumu” z ust alchemiczki. Sądziłem, że macie ustalone poglądy w tej kwestii.

– O czym pan mówi? – To nie była pora na dyskusje, ale mnie zaintrygował.

– Marcus Finch zdradził alchemików – wyjaśnił Angeletti. – Nie wiedziałaś? Zbuntowany alchemik to chyba ostatnia osoba, na którą powinnaś się powoływać.

Zaniemówiłam. Czy on powiedział... że Marcus Finch był alchemikiem? Nie. To niemożliwe. Gdyby tak było, Stanton wiedziałaby coś o tym. „Chyba że cię okłamała” – usłyszałam ostrzegawczy głos w mojej głowie.

Mistrz Jameson najwyraźniej usłyszał już dosyć.

– Doceniamy, że tu przybyłaś, i szanujemy twoją próbę opowiedzenia się za tym, w co wierzysz. Cieszymy się również, że miałaś okazję się przekonać, jak staliśmy się silni. Mam nadzieję, że opowiesz o tym swojemu bractwu. Twoje starania dowodzą jednego, o czym wiemy od dawna: nasze grupy potrzebują siebie nawzajem. Z całą

pewnością alchemicy zgromadzili przez lata wiedzę, która może być dla nas użyteczna, a wy moglibyście skorzystać z naszej siły. W tej drugiej kwestii – zerknął na Sonię i się nachmurzył – niezależnie od twoich intencji zostałaś oszukana. Nawet gdyby istniała najmniejsza szansa, że naprawdę jest morojką... nie możemy ryzykować. Ona sama może wierzyć, że została odmieniona, ale podświadomie pozostała strzygą.

Znów odebrało mi mowę, choć wcale nie dlatego, że poczułam się pokonana. Mistrz Jameson mówił niemal tak samo jak ojciec Keitha, gdy oznajmiał mi, że jego syn zostanie odwieziony do ośrodka reedukacji. Pan Darnell twierdził ni mniej, ni więcej, że nie można ryzykować, iż moroje nadal wywierają choćby najslabszy wpływ na Keitha. Uznał, że sytuacja wymaga radykalnego posunięcia. „Jesteśmy tacy sami – pomyślałam. – Alchemicy i wojownicy. Rozdzieliły nas lata, ale pochodzimy z tego samego źródła, zarówno w naszych celach, jak w działaniu na oślep”.

I wtedy Mistrz Jameson wypowiedział te wstrząsające słowa:

– Nawet jeśli jest morojką, strata będzie niewielka. Kiedyś i tak na nich zapolujemy, gdy już uporamy się ze strzygami.

Zamarłam. Jasnowłosa dziewczyna podeszła do mnie i siłą odprowadziła do pierwszego rzędu. Nie opierałam się, byłam zbyt wstrząśnięta tym, co usłyszałam. Zamierzali targnąć się na morojów? Więc Sonia mogła być ich pierwszą ofiarą, a potem przyjdzie kolej na resztę moich przyjaciół. Na Adriana...

Mistrz Angeletti przywrócił mnie do rzeczywistości. Uczynił zamaszysty gest w stronę Chrisa i powiedział:

– Boską mocą, która została ci dana, byś zaprowadzał czystość i światłość na tym świecie, dostałeś prawo unicestwienia bestii. Czyń swoją powinność.

Chris uniósł miecz, a w jego oczach dostrzegłam fanatyczny błysk. Był uszczęśliwiony. Pragnął to uczynić. Zabić. Dymitr i Rose zabijali wiele razy, ale oboje mówili mi, że nie czuli przy tym radości. Chętnie robili to, co było słuszne, i chronili innych, ale nie znajdowali przyjemności w zadawaniu śmierci. Uczono mnie, że istnienie wampirów jest złem, ale teraz miałam być świadkiem prawdziwego okrucieństwa. Miałam przed sobą prawdziwe bestie.

Chciałam krzyknąć, rzucić się na arenę i zasłonić Sonię. Za chwilę miała zginąć bystra i dobra istota. I nagle, bez ostrzeżenia, ciszę panującą na arenie rozdarł wystrzał. Chris znieruchomiał. Zerknęłam na swoją uzbrojoną eskortę, myśląc, że to oni postanowili odegrać rolę egzekutorów. Byli równie zaskoczeni jak ja – w każdym razie większość. Dwoje z nich nie okazywało żadnych emocji, ponieważ leżeli na ziemi.

Na arenę wpadli Dymitr i Eddie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

GRZMIAŁO OD HUKU WYSTRZAŁÓW. Kilku wojowników padło na ziemię. Uświadomiłam sobie, że Dymitr i Eddie nie są sami, bo żaden z nich nie miał broni. Strzelano z dachów budynków otaczających arenę. Na widowni zapanował chaos, bo ludzie pozrywali się z miejsc, by dołączyć do walki. Wstrzymałam oddech, widząc, że większość była jednak uzbrojona. Mimo szoku zauważyłam, że wojownik leżący obok mnie nie krwawił. Dostrzegłam wbłą w jego ramię małą strzałkę. Więc te „kule” musiały jedynie usypiać. Kim byli napastnicy?

Odwrociłam się w stronę wejścia i zobaczyłam kilka osób o wyglądzie strażników, które wdarły się na arenę i walczyły z wojownikami, także z Chrisem. Dzięki temu wsparciu Dymitr i Eddie mogli uwolnić Sonię. W pewnej chwili dostrzegłam wśród walczących kosmyk blond włosów i rozpoznałam smukłą postać Angeline. Dymitr sprawnie przeciął więzy na rękach Soni i razem z Eddiej ją podnieśli. Jakiś zapalczywy wojownik rzucił się na nich, lecz Angeline powaliła go na ziemię jednym ruchem, jakby to był śpiewak z zespołu motywacyjnego.

Któryś z Mistrzów obok mnie krzyknął:

– Chwytajcie alchemiczkę! Będzie zakładniczką! Będą negocjować!

Alchemiczkę. Racja. Mówił o mnie.

W ferworze walki nikt go nie usłyszał – z jednym wyjątkiem. Jasnowłosa dziewczyna zdołała uniknąć strzału ze strzykawki. Skoczyła w moją stronę. Poczułam przyływ adrenaliny i nagle przestałam się bać. Z reflekssem, jakiego u siebie nie podejrzewałam, sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam rzekome *potpourri*. Rozerwałam torebkę i rozrzuciłam wokół siebie płatki, wykrzykując łacińską inkantację, którą można przetłumaczyć jako: „już niewidoczna”. W porównaniu z zaklęciem odpędzającym, to było dziecinnie łatwe. Naturalnie wymagało użycia woli, ale siła magii tkwiła przede wszystkim w składnikach i nie musiałam się specjalnie koncentrować na wypowiedzianych słowach. Niemal natychmiast poczułam jej moc, a wraz z nią nieoczekiwane podniecenie.

Dziewczyna krzyknęła i upuściła broń, podnosząc ręce do oczu. Okrzyki Mistrzów siedzących obok upewniły mnie, że i oni znaleźli się pod wpływem czaru. Rzuciłam zaklęcie oślepiające, które miało ich unieszkodliwić na pół minuty. W głębi duszy nadal czułam, że magia jest złem, ale jednocześnie ogarnęło mnie uczucie triumfu, że zdołałam powstrzymać tych fanatyków choćby na krótko. Nie traciłam cennego czasu. Zerwałam się z miejsca i pobiegłam przez arenę do wyjścia.

– Sydney!

Nie wiem, jakim cudem usłyszałam swoje imię w tym hałasie. Obróciłam się i zobaczyłam, że Eddie i Angeline wynoszą Sonię z pola walki. Przystanęli na chwilę i dostrzegłam wyraz bezradności na twarzy Eddiego, który rozglądał się wokół. Mogłam odgadnąć jego myśli. Chciał, żebym uciekła z nimi. Większość wojowników popędziła na środek areny, usiłując zapobiec ucieczce Soni. Prześcignęli mnie, odgradzając od przyjaciół murem. Nadal mogłam uniknąć walki, lecz nie zdołałabym się już prześlizgnąć niezauważona, szczególnie że wiele osób nadal wykrzykiwało coś o „alchemiczne”.

Pokręciłam głową, dając Eddiemu znak, by uciekali beze mnie. Widziałam, że jest niezdecydowany, ale miałam nadzieję, że nie będzie próbował się po mnie przedrzeć. Pokazałam mu wyjście nagłym ruchem. To Sonia miała prawdziwe kłopoty. Sama mogłam sobie poradzić. Nie czekając na to, co zrobi Eddie, obróciłam się i ruszyłam w swoją stronę. Miałam przed sobą otwartą przestrzeń i nie mogłam się schować, ale zasadzało się na mnie mniej napastników.

Budynki otaczające arenę miały okna i drzwi. Szłam w tę stronę, chociaż nie dysponowałam niczym, czym mogłabym rozbić szyby. Dwoje drzwi było zamkniętych na kłódki. Pierwsze, które spróbowałam pchnąć, miały jakiś niewidoczny zamek i nie chciały się otworzyć. Gorączkowo podbiegłam do drugiego wyjścia i usłyszałam za sobą krzyk. Jasnowłosa dziewczyna odzyskała wzrok i ruszyła za mną w pogoń. Nacisnęłam kłamekę. Bez efektu. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam to, co wojownicy błędnie wzięli za balsam do rąk. Był to rozpylacz, którym sprawnie rozsiałam kwas na metalowej kłamece. Stopiła się na moich oczach. Miałam nadzieję, że otworzyłam w ten sposób również zamek. Pchnęłam drzwi ramieniem i ustąpiły. Teraz odważyłam się



zerknąć za siebie. Dziewczyna leżała na ziemi. Kolejna ofiara środka usypiającego.

Odetchnęłam z ulgą i wyszłam przez drzwi. Spodziewałam się, że odkryję za nimi kolejny garaż, jak ten, do którego mnie zaprowadzono po przyjeździe, ale znalazłam się w budynku mieszkalnym. Puste korytarze prowadziły w niewiadomych kierunkach. Poczułam się zagubiona. Wszyscy walczyli na arenie. Mijałam prowizoryczne sypialnie, w których wstawiono łóżka i częściowo nierozpakowane walizki i plecaki. Gdy zobaczyłam pomieszczenie przypominające biuro, zawahałam się. Na wielkich składanych stołach leżały dokumenty. Może znalazłyby się tu jakieś użyteczne informacje o wojownikach.

Miałam wielką ochotę to sprawdzić. Wojownicy stanowili tajemnicę dla alchemików. W tych dokumentach mogło być wiele cennych danych. Może również coś, co pozwoliłoby nam ocalić morojów? Po krótkiej chwili niezdecydowania poszłam dalej. Strażnicy używali środków usypiających, lecz ich przeciwnicy mieli prawdziwą broń, której nie zawahaliby się użyć przeciwko mnie. Lepiej było uciec, niż dać się zabić dla garści informacji.

Dotarłam nareszcie na drugą stronę budynku i wyjrzałam przez okno w jakiejś sypialni. Na zewnątrz było tak ciemno, że prawie nic nie widziałam. Tutaj nikt nie zadbał o pochodnie. Wiedziałam jedynie, że jestem już daleko od areny. Byłoby mi znacznie wygodniej, gdyby na zewnątrz prowadziły jakieś drzwi. Musiałam jednak zrobić sobie własne. Chwyciłam krzesło i cisnęłam nim w okno. Zdumiałam się, bo szyba pękła od razu. Kilka fragmentów szkła mnie uderzyło, ale nic mi się nie stało. Wspięłam się na krzesło i wyszłam przez okno, nie kalecząc rąk.

Zanurzyłam się w ciepłą noc. Nie było w pobliżu żadnych świateł, tylko otwarta czarna przestrzeń. Uznałam, że znajduję się po przeciwnej stronie budynku, do którego przywiózł mnie Trey. Nie widziałam żadnej drogi, nie słyszałam też odgłosów autostrady, którą przyjechaliśmy. Panowała tu cisza, którą przyjęłam za dobry znak. Miałam nadzieję, że wszyscy wojownicy, którzy normalnie patrolowali ten teren, włączyli się do walki ze strażnikami. Jeśli uda się bezpiecznie wyprowadzić Sonię, strażnicy lada chwila zaczną się wycofywać i może zabiorą mnie ze sobą po drodze. Jeśli nie, mogę dojść do I-10 i złapać stopa.

Ogrodzony teren był rozległy i nieznajomy. Obchodząc go dookoła, wciąż nie widziałam autostrady i zaczynałam czuć się nieswojo. Dokąd doszłam? Nie minęło dużo czasu, od kiedy uciekłam z areny, więc chyba nie oddaliłam się znacznie. Być może już mnie ścigali. Pozostawał jeszcze jeden problem: ogrodzenie było pod napięciem elektrycznym. Może lepiej zapomnieć o autostradzie i po prostu dojść do brzegu posiadłości, a stamtąd...

Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię. Krzyknęłam.

– Spokojnie, Sage. Nie jestem uzbrojonym po zęby szaleńcem. Szaleńcem tak, ale nieuzbrojonym.

Patrzyłam z niedowierzaniem na wysoką ciemną postać.

– Adrian? – Wzrost się zgadzał, sylwetka także. Stopniowo nabierałam pewności. Jego dotyk mnie uspokoił. Przestałam dygotać. Jak dobrze było zobaczyć przyjazną twarz... zobaczyć jego. Omal nie wpadłam mu w objęcia. – To ty! Jak mnie znalazłeś?

– Jesteś tu jedynym człowiekiem z żółto-fioletową aurą – wyjaśnił. – Nietrudno cię wypatrzyć.

– Ale jak znalazłeś to miejsce?

– Pojechałem za resztą. Zakazali mi to robić, ale... cóż. – W słabym świetle księżyca ledwo zauważyłam, że wzruszył ramionami. – Jestem z natury nieposłuszny. Gdy Castile wyłonił się z Sonią i zaczął bełkotać, że wybiegłaś przez jakieś drzwi, postanowiłem obejść teren. Tego pewnie też by mi zabronili, ale strażnicy byli zajęci.

– Jesteś szalony – warknęłam, choć jednocześnie cieszyłam się, że nie zostałam sama na tym pustkowiu. – Wojownicy są tak rozwścieczeni, że pewnie strzelaliby do moroja bez ostrzeżenia.

Adrian chwycił mnie za rękę. Przekomarzał się ze mną, ale był w pełni świadomy grożącego nam niebezpieczeństwa.

– W takim razie lepiej się stąd wynosimy – rzucił stanowczo.

Poprowadził mnie w kierunku, z którego przyszłam, i okrążyliśmy budynek z drugiej strony. Nie widziałam jeszcze świateł autostrady, ale wkrótce skręciliśmy biegiem w stronę odległego krańca posiadłości. Staralam się dotrzymać kroku Adrianowi, wciąż trzymając go za rękę.

– Dokąd biegniemy? – spytałam.

– Strażnicy zaparkowali na tyłach posiadłości, żeby nikt ich nie

zauważył. Rozbroili tam część ogrodzenia. Mam nadzieję, że przejdiesz przez płot?

– Oczywiście. Mam szóstkę z wufu – podkreśliłam. – Pytanie, czy ty przejdiesz, panie palaczu.

Już widziałam zarys wysokiego ogrodzenia przesłaniającego gwiazdy.

– Tutaj, za tymi krzakami – powiedział Adrian. Nie widziałam żadnych krzaków, ale ufałam jego wzrokowi. – Dalej biegnie lokalna droga, którą przyjechali strażnicy. Zaparkowałam przy niej.

Zatrzymaliśmy się przed ogrodzeniem, próbując złapać oddech. Spojrzałam w górę.

– Jesteś pewien, że nie jest pod napięciem?

– Nie było, kiedy tędy przechodziliśmy – odparł Adrian, lecz wychwyciłam nutę niepewności w jego głosie. – Myślisz, że zdołali się ogarnąć i ponownie włączyli prąd?

– Nie – przyznałam. – Ale chciałabym mieć pewność. – Wprawdzie większość komercyjnych ogrodzeń nie może zrobić poważnej krzywdy, ale lepiej wiedzieć.

Rozejrzał się.

– Może rzucę jakimś kijem?

– Drewno nie przewodzi prądu. – Sięgnęłam do torebki i znalazłam coś: metalowy długopis z uchwytem z pianki. – Pianka powinna mnie zabezpieczyć, jeśli płot jest gorący. – Starając się nie krzywić, wyciągnęłam rękę i dotknęłam płotu długopisem, na poły oczekując, że duży ładunek elektryczności rzuci mnie na ziemię. Nic się nie stało. Powoli przesuwając długopisem po płocie, pamiętając, że przepływ prądu w niektórych ogrodzeniach bywa przerywany.

– Chyba jest bezpiecznie – rzuciłam z ulgą i obróciłam się do Adriana. – Możemy... Ach!

Oślepił mnie snop jasnego światła, a moje oczy już zdążyły się przyzwyczaić do ciemności. Usłyszałam jednocześnie zdumiony krzyk Adriana.

– To ta dziewczyna! – zawołał męski głos. – I... jeden z nich!

Światło latarki zsunęło się z mojej twarzy i chociaż nadal byłam lekko oślepiona, dostrzegłam dwie postaci biegnące w naszą stronę. Czy

byli uzbrojeni? Myślałam gorączkowo. Tak czy nie, stanowili oczywiste zagrożenie. Wszyscy wojownicy lubili okładać się nawzajem w wolnych chwilach, w przeciwieństwie do mnie i Adriana.

– Nie ruszać się! – krzyknął jeden z nich. W blasku opuszczonej latarki zalśniło ostrze noża. Więc mieliśmy większe szanse, niż gdyby wycelował w nas pistolet, ale i tak nie było najlepiej. – Zabieramy was z powrotem.

– Powoli – dodał drugi. – Nie próbujcie żadnych numerów.

Na ich nieszczęście miałam jeszcze parę asów w rękawie. Szybko wsunęłam długopis do torebki i wyjęłam z niej kolejny podarunek od panny Terwiliger: wąską drewnianą bransoletkę. Zanim wojownicy zdążyli zareagować, przełamałam drewnianą obręcz na cztery części i rozrzuciłam je na ziemi, wykrzykując kolejną łacińską inkantację. Znowu poczułam moc magii. Mężczyźni krzyczeli – rzuciłam na nich zaklęcie dezorientujące, które zaburzało również wzrok. Działo podobnie jak czar oślepienia na wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu.

Rzuciłam się na nich i powaliłam jednego z napastników. Upadł, oszołomiony czarem. Drugi był tak zdezorientowany, że upuścił latarkę i chwiał się na nogach. Na wszelki wypadek wymierzyłam mu kopniaka w pierś, żeby unieruchomić go na dłużej, i przy okazji zabrałam latarkę. Nie potrzebowałam jej wprawdzie, mając przy sobie wszystkowiedzącego Adriana, lecz chciałam, by tamci dwaj nie mogli swobodnie poruszać się w ciemności, gdy czar przestanie działać.

– Sage! Coś ty mi zrobiła?

Obróciłam się i zobaczyłam, że Adrian przywarł do ogrodzenia i bezradnie usiłował podciągnąć się w górę. Zapomniałam, że zaklęcie działa na wszystkich znajdujących się w pobliżu.

– Och – jęknęłam. – Przepraszam.

– Przepraszam? Mam bezwładne nogi!

– Ściśle mówiąc, tylko ucho środkowe. Dalej. Chwyć się płotu i wspinaj. Jedną ręką za drugą.

Sama też się wspinałam, ponaglając go. Nie było to trudne zadanie, ogrodzenie nie zostało zaopatrzone w druty kolczaste i nie było już naładowane prądem. Poza tym Adrian poczuł się pewniej, gdy miał pod

sobą twardą powierzchnię płotu. Mimo to trochę trwało, zanim znaleźliśmy się na szczycie. To zaklęcie utrzymywało się nieco dłużej niż czar oślepiający, ale zdawałam sobie sprawę, że kiedy Adrian się od niego uwolni, wojownicy także odzyskają sprawność.

Wbrew przeszkodom dotarliśmy na szczyt. Przejście na drugą stronę okazało się znacznie trudniejsze i musiałam się nieźle nagimnastykować, by pomóc Adrianowi i nie stracić równowagi. Nareszcie ustawiłam go w odpowiedniej pozycji do zejścia.

– W porządku – oświadczyłam. – Teraz rób to, co do tej pory, tylko w odwrotnym kierunku, jedna ręka po drugiej...

Coś się omsknęło – albo jego ręka, albo stopa – i Adrian poleciał w dół. Nie spadał długo, bo był wysoki, ale nie był w stanie wylądować na nogach. Skrzywiłam się.

– ...albo możesz wybrać krótszą drogę w dół – dokończyłam.

Szybko do niego zeszłam i pomogłam mu wstać. Na szczęście nie ucierpiał, wciąż był tylko lekko otępiący czarem. Objęłam go ramieniem i pozwoliłam mu się na sobie oprzeć, a potem niezdarnie ruszyłam biegiem w stronę, gdzie, jak twierdził, zaczynała się droga. Po krótkiej chwili zobaczyłam zresztą jej zarys w ciemności. Właściwie trudno było nazwać to „biegiem”. Wlokłam ze sobą Adriana, co nas znacznie spowalniało. Ale powoli oddalaliśmy się od ogrodzenia i to była nasza szansa. Oszołomiony Adrian poruszał się niezgrabnie i ciężko, a jego wysoki wzrost okazał się dodatkowym utrudnieniem. I nagle, bez ostrzeżenia, zaklęcie przestało działać. Adrian natychmiast odzyskał sprawność. Poruszał się pewniej i znacznie zręczniejszo. Teraz to on mnie prawie niósł, gdy potykaliśmy się o siebie, próbując dostosować krok.

– Dobrze się czujesz? – spytałam, puszczając go.

– Teraz już tak. Co to było, do diabła?

– Nieważne. Najważniejsze, że tamci dwaj też się już otrząsnęli. Mam nadzieję, że dostatecznie mocno im przyłożyłam, by spowolnić pościg – mruknęłam, lecz wydawało mi się to mało prawdopodobne. – Lepiej się pospieszmy.

Pobiegliśmy i chociaż Adrian miał płuca palacza, nadrobił tę wadę długimi nogami. Mógł mnie wyprzedzić bez trudu, lecz zwalniał, by biec obok. Kiedy tylko wysuwał się do przodu, chwycił mnie za rękę.

Słyszeliśmy już krzyki za plecami, więc wyłączyłam latarkę, by było nas trudniej zauważyć.

– Tam – rzucił Adrian. – Widzisz samochody?

Stopniowo w ciemności zmaterializowały się dwa SUV-y, a obok bardziej rzucający się w oczy żółty mustang.

– Ukryłeś go, nie ma co – mruknęłam.

– Większość strażników już odjechała – stwierdził Adrian. – Ale nie wszyscy.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ktoś chwycił mnie za ramię. Ruchem, z którego Wolfe byłby dumny, wymierzyłam wyuczzonego z wielkim trudem kopniaka w tył. Zaskoczyłam napastnika i puścił mnie, ale jego towarzysz popchnął mnie na ziemię.

W tej chwili od samochodów oderwały się trzy sylwetki i rzuciły się na naszych napastników. Dostrzegłam oryginalny płaszcz i zorientowałam się, że dowodzi nimi Dymitr.

– Uciekajcie! – zawołał do mnie i Adriana. – Wiesz, gdzie się spotykamy. Będziemy was osłaniać. Jedźcie szybko, bo na pewno będą was ścigać.

Adrian pomógł mi wstać i znów puściliśmy się biegiem. Chyba skręciłam kostkę podczas upadku, więc poruszałam się wolniej, ale Adrian pomógł mi się na sobie oprzeć. Mojemu sercu groziło, że lada chwila wyskoczy mi z piersi, nawet gdy dotarliśmy bezpiecznie do mustanga. Podprowadził mnie od strony pasażera.

– Dasz radę wsiąść?

– Nic mi nie jest. – Wsunęłam się na fotel i stwierdziłam, że ból kostki się wzmaga. Miałam nadzieję, że nie spowolniłam znacznie ucieczki. Nie mogłabym znieść myśli, że jestem odpowiedzialna za schwytanie Adriana.

Adrian szybko usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Usłyszeliśmy głośny warkot i już po chwili moroj dał z siebie wszystko, by wypełnić polecenie Dymitra, ruszając z prędkością, której mu pozazdrościłam. Na pustej lokalnej drodze nie spodziewaliśmy się patrolu policyjnego. Kilka razy zerkałam za siebie, ale gdy dotarliśmy do I-10, stało się oczywiste, że nikt nas nie ściga. Westchnęłam z ulgą i oparłam głowę na siedzeniu. Nie uspokoiłam się jeszcze. Nadal nie byliśmy bezpieczni.

– W porządku – zaczęłam. – Powiedz, jakim cudem mnie znaleźliście?

Adrian nie odpowiedział od razu. Po dłuższej chwili odezwał się z wyraźnym ociąganiem.

– Eddie włożył ci do torebki lokalizator. U mnie w mieszkaniu.

– Co takiego? To niemożliwe! Przeszukali mnie.

– Nie wiem, jaki przedmiot wybrał Eddie, ale dostał go od twoich ludzi. Kiedy tylko Trey potwierdził, że masz się z nimi spotkać, Bielikow zaczął wydzwaniać do wszystkich strażników przebywających w promieniu dwóch godzin jazdy i zrekrutował oddział wsparcia. Powiadomił też alchemików i przekonał, by dali nam trochę sprzętu.

W tym, co mówił, było tak wiele zdumiewających faktów, że nie wiedziałam, od czego zacząć. Uświadomiłam sobie, że mnóstwo się wydarzyło za moimi plecami. Nie pisnęli o tym słowa, nawet gdy już wszystko ustalili. Ale że alchemicy brali w tym udział? I pomogli strażnikom mnie wytropić?

– Kolczyki – domyśliłam się. – To stąd się wzięły. W jednym z nich musieli ukryć lokalizator. Nigdy bym nie zgadła.

– Nie dziwi mnie to, bo wiem, jak pracujecie.

Powoli kojarzyłam wszystkie fakty tego wieczoru. Teraz, kiedy strach minął, ogarnął mnie gniew.

– Okłamaliście mnie! Wszyscy! Powinniście mnie powiadomić, że planujecie najazd na wojowników! Dlaczego to przede mną ukryliście?

Westchnął.

– To nie była moja decyzja, możesz mi wierzyć. Powtarzałem im, że powinni cię wtajemniczyć. Ale oni bali się, że nie weźmiesz lokalizatora albo że niechcący się zdradzisz przed tymi świrami. Ja tak nie uważałem.

– A mimo to nic mi nie powiedziałaś – warknęłam gniewnie.

– Nie mogłem! Kazali mi przysiąc.

Jego zdrada zaboląła mnie najbardziej. Ufałam mu bezwarunkowo. Jak mógł mi to zrobić?

– Nikt nie wierzył, że zdołam przekonać wojowników, więc zaplanowaliście wszystko beze mnie. – Nieważne, że rzeczywiście nie zdołałam ich przekonać. – Ktoś powinien był mi powiedzieć. Ty.

Usłyszałam w jego głosie autentyczny ból i żal.

– Naprawdę chciałem. Ale byłem między młotem a kowadłem. Akurat ty powinnaś wiedzieć, jak to jest: znaleźć się między dwiema stronami, Sage. Poza tym nie pamiętasz już, co ci powiedziałem, zanim wsiadłaś do samochodu Treya?

Pamiętałam. Niemal każde słowo.

„Nieważne, co się stanie, chcę, żebyś wiedziała, iż nigdy nie wątpiłem w to, co zamierzasz zrobić. To roztropne i odważne”.

Zapaadłam się głębiej w fotel i poczułam, że zaraz się rozpłaczę. Adrian miał rację. Wiedziałam, ile kosztuje lojalność wobec przeciwnych stron. Rozumiałam jego położenie. Po prostu w duchu pragnęłam, by okazał największą lojalność właśnie mnie. „Próbował – przekonywał wewnętrzny głos. – Próbował ci powiedzieć”.

Miejsce spotkania, o którym Dymitr przypomniał Adrianowi, okazało się domem Clarence’a. Wewnątrz roіło się od strażników. Niektórzy opatrywali rany swoich towarzyszy. Nikt nie zginął w tej potyczce po żadnej ze stron, strażnicy bardzo się o to starali. Wojownicy światła byli przekonani, że wampiry są złe i zepsute. Nie warto było dolewać oliwy do ognia, a ten incydent i tak pogorszył sytuację. Nie miałam pojęcia, jak zareagują wojownicy. Może zaatakują teraz, nie zważając na nic. Podejrzewałam, że obie strony biorą pod uwagę taką ewentualność, ale pomyślałam z goryczą, że nikt nawet mi o tym nie wspomni.

– Wiem, że nie powinienem proponować ci pomocy w uzdrowieniu kostki – rzucił Adrian, gdy przeciskaliśmy się w grupie strażników. – Znajdź sobie jakieś miejsce w salonie, a ja przyniosę ci lód.

Chciałam zaprotestować, że sama mogę o siebie zadbać, ale ból w kostce był coraz silniejszy. Skinęłam więc głową i poszłam do salonu. Zastałam tam paru nieznanym strażników i rozpromienionego Clarence’a. Ku memu zaskoczeniu zobaczyłam również Eddiego i Angeline. Siedzieli obok siebie i... trzymali się za ręce?

– Sydney! – wykrzyknął Eddie. Natychmiast puścił dłoń Angeline, podbiegł do mnie i zaskoczył mocnym uściskiem. – Dzięki Bogu, nic ci nie jest. Czuję się okropnie, że musiałem cię tam zostawić. Nie taki był plan. Miałem cię wyprowadzić razem z Sonią.



– Cóż, może następnym razem ktoś raczy mnie wtajemniczyć w wasze plany – rzuciłam znacząco.

Eddie się skrzywił.

– Przepraszam cię za to. Naprawdę. My tylko...

– Wiem, wiem. Uznaliście, że się nie zgodzę albo że coś pójdzie nie tak, i tak dalej.

– Przykro mi.

Nie wybaczyłam mu do końca, ale byłam zbyt zmęczona, by ciągnąć tę rozmowę.

– Powiedz mi tylko jedno. – Obniżyłam głos. – Czy trzymaliście się z Angeline za ręce?

Zawstydził się, co wydawało się śmieszne po jego brawurowych wyczynach na arenie.

– Eee, tak. Tylko... rozmawialiśmy. To znaczy... może kiedyś się umówimy. Oczywiście nie w szkole, bo wszyscy myślą, że jesteśmy rodziną. Nic poważnego. Angeline jest jeszcze trochę nieprzystosowana, ale nie taka zła, jak myślałem. I naprawdę świetna w walce. Może powinienem przestać fantazjować o Jill i umówić się na normalną randkę. Jeśli pożyczysz mi swój samochód.

Byłam głęboko wstrząśnięta jego wyznaniem.

– Jasne – bąknęłam. – Na pewno nie stanę na drodze miłości.

Czy powinnam mu powiedzieć, że Jill jest bardziej dostępna, niż mu się wydaje? Nie chciałam się w to mieszać. Eddie zasługiwał na szczęście. Z drugiej strony zrobiło mi się głupio, że rozmawiałam o nim z Jill. Oby to nie skomplikowało wszystkiego.

Adrian wrócił z workiem lodu. Usiadłam w fotelu i oparłam stopę na podnóżku, a on położył zimny kompres na mojej kostce. Ból złagodniał i nieco się odprężyłam. Miałam nadzieję, że nic sobie nie zламаłam.

– Czyż to nie ekscytujące? – spytał Clarence. – Nareszcie sami mogliście zobaczyć łowców wampirów!

Nie podzielałam jego entuzjazmu, ale jedno musiałam mu przyznać.

– Miał pan rację. Przepraszam, że nie uwierzyłam w to wcześniej.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

– W porządku, moja droga. Sam pewnie także nie uwierzyłbym staremu wariatowi.

Odwzajemniłam jego uśmiech i coś sobie przypomniałam.

– Panie Donahue... wspominał pan, że jakiś człowiek, Marcus Finch, obronił pana przed łowcami za pierwszym razem.

Clarence z ożywieniem kiwał głową.

– Tak, tak. Miły młody człowiek z tego Marcusa. Bardzo chciałbym go jeszcze kiedyś spotkać.

– Był alchemikiem? – spytałam. Widząc zaintrygowane spojrzenie Clarence'a, pokazałam mu swój policzek. – Miał taki tatuaż jak mój?

– Jak twój? Nie, nie. Inny. Trudno mi go opisać.

Nachyliłam się bliżej.

– Ale nosił tatuaż na policzku?

– Tak. Nie widziałaś na zdjęciu?

– Jakim zdjęciu?

Clarence zamyślił się.

– Mógłbym przysiąc, że pokazywałem wam stare zdjęcia z czasów, gdy Lee i Tamara byli młodzi... Ach, jakież to były piękne czasy.

Bardzo się starałam nie okazać zniecierpliwienia. Chwile przytomności zdarzały się Clarence'owi bardzo rzadko.

– A Marcus? Ma pan również jego zdjęcie?

– Oczywiście. Piękne zdjęcie nas obu. Któregoś dnia je znajdę i ci pokażę.

Chciałam go poprosić, żeby poszukał od razu, ale w domu było tak tłoczno, że postanowiłam nie robić dodatkowego zamieszania.

Wkrótce zjawił się Dymitr wraz z ostatnią grupą strażników. Od razu zapytał o Sonię, która – jak mi powiedziano – odpoczywała w sypialni. Adrian zaoferował się, że ją uzdrowi, lecz Sonia była na tyle przytomna, że mu odmówiła, twierdząc, że potrzebuje tylko krwi i odpoczynku, by jej organizm usunął narkotyk.

Wysłuchawszy tych informacji, Dymitr przestał martwić się Sonią i podszedł do mnie. Obejrzał moją spuchniętą kostkę z perspektywy swojego wysokiego wzrostu.

– Przykro mi – powiedział. – Na pewno już wiesz, co się wydarzyło.

– O tym, że znalazłam się w niebezpieczeństwie, mając zaledwie połowę informacji? – spytałam. – Tak, słyszałam.

– Nie lubię kłamać ani uciekać się do półprawd – wyjaśnił strażnik. – Żałuję, że nie było innego wyjścia. Mieliśmy mało czasu i uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie. Nikt nie wątpił w twoje umiejętności negocjacji i oceny sytuacji. Nie wierzyliśmy jednak, że wojownicy okażą rozsądek i zechcą cię wysłuchać.

– Rozumiem, dlaczego nam nie ufacie. – Zobaczyłam, że Adrian zwiesił głowę, gdy zasugerowałam liczbę mnogą. Nie zrobiłam tego celowo, lecz uświadomiłam sobie, że zabrzmiało to bardzo protekcyjnie. Alchemicy i moroje, czyli my kontra oni. – Wciąż jednak nie mogę uwierzyć, że alchemicy poszli z wami na współpracę i zgodzili się mnie nie informować.

Nie było już wolnych krzeseł, więc Dymitr po prostu usiadł przy mnie na podłodze po turecku.

– Niewiele wiem na ten temat. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko i kiedy rozmawiałem z Donną Stanton, uznała, że będzie bezpieczniej, jeśli się nie dowiesz, co zamierzamy. Jeśli to ci poprawi samopoczucie, bardzo stanowczo podkreślała kwestię twojego bezpieczeństwa.

– Możliwe – odparłam. – Chociaż poczułabym się znacznie lepiej, gdyby zastanowiła się, co będę czuła, gdy dowiem się o tak rażącym braku zaufania.

– Pomyślała o tym – zapewnił Dymitr lekko zawstydzony. – Twierdziła, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, bo rozumiesz wagę niekwestionowania decyzji zwierzchników i wiesz, że działają zawsze w słusznej sprawie. Dodała, że jesteś wzorem alchemiczki.

Nie zadawaj pytań. Oni wiedzą, co jest najlepsze. Nie możemy ryzykować.

– Oczywiście – odparłam. – Nigdy niczego nie kwestionuję.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

SONIA POTRZEBOWAŁA KILKU DNI, by dojść do siebie, co opóźniło jej wyjazd do Pensylwanii. Gdy była gotowa, zaproponowałam, że odwiozę ją na lotnisko. Samochód z wypożyczalni został odnaleziony, ale Dymitr korzystał z niego, sprzątając po akcji. Wojownicy opuścili zajmowany teren w ciągu doby i okazało się, że po prostu go wynajęli. Prawie nie zostawili śladów swojej bytności, ale to nie zniechęciło strażników do przeszukania każdego centymetra tej przestrzeni.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała Sonia. – Wiem, jak bardzo musisz być zabiegana.

– To żaden problem. Jest weekend i ostatecznie jestem tu po to, by wam pomagać.

Roześmiała się cicho. Przez te kilka dni jej stan zadziwiająco się poprawił. Znowu wyglądała tak ładnie i promiennie jak zawsze. Rozpuściła kasztanowe włosy, które spływały płomienną falą wokół delikatnych rysów jej twarzy.

– To fakt, chociaż bez przerwy robisz znacznie więcej, niż do ciebie należy.

– Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa – powiedziałam szczerze. Zbliżyłam się do Soni i było mi smutno, że wyjeżdża. – Tam na arenie... naprawdę się bałam.

Spoważniała.

– To było straszne. Byłam otępiała i nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje. Ale pamiętam, co mówiłaś. Byłaś niesamowita, taka odważna. Skonfrontowałaś się z tłumem w mojej obronie. Wiem, jakie to musiało być trudne: przeciwstawić się swojej rasie.

– Ci ludzie nie są mojej rasy – sprzeciwiłam się i jednocześnie zadałam sobie pytanie, kto do niej należy. – Co teraz będzie z waszymi badaniami?

– Będę je kontynuowała na wschodzie. Dymitr również wkrótce do mnie dołączy, a na dworze są jeszcze inni badacze, którzy nam pomogą. Oczywiście obecność Adriana tutaj była niezwykle użyteczna, jako że włada żywiołem ducha, ale zebraliśmy mnóstwo informacji, nad którymi

możemy dalej pracować dzięki próbkom krwi i obserwacjom aury. Pozwolimy Adrianowi powrócić do malowania i w razie czego jeszcze się z nim skontaktujemy.

Wciąż nie mogłam się uporać z poczuciem winy, że odmówiłam oddania krwi, co pośrednio przyczyniło się do porwania Soni.

– Soniu, co do mojej krwi...

– Nie przejmuj się tym. – Nie pozwoliła mi dokończyć. – Słusznie zauważyłaś, że jestem natarczywa. Najpierw skupimy się na Dymitrze. Poza tym możemy wiele zyskać dzięki pomocy alchemików.

– Naprawdę? – Pamiętałam, że Stanton była przeciwna takiej współpracy. – Zgodzili się?

– Nie, ale obiecali się zastanowić.

Wybuchłam śmiechem.

– Z ich strony to rzeczywiście pozytywna odpowiedź.

Milczałam przez chwilę, zastanawiając się, czy w tej sytuacji moja krew nie będzie im już potrzebna. Pojawili się wojownicy, a poza tym moroje zyskali możliwość otrzymania pomocy od alchemików. Mieli ważniejsze sprawy. Mimo wszystko... coś nie dawało mi spokoju. Wołałabym nie brać udziału w tym eksperymencie, lecz wciąż dręczyło mnie pytanie: dlaczego strzygi nie chciały pić mojej krwi?

Sonia wspomniała o aurach i to z kolei nasunęło mi kolejne istotne pytanie.

– Soniu, co oznacza fioletowa barwa w aurze? Adrian twierdzi, że ją mam, ale nie chciał mi tego wyjaśnić.

– Typowe. – Zachichotała. – Fiolet... niech pomyślę. Z moich obserwacji wynika, że to złożona barwa. Duchowa, lecz pełna namiętności, przynależna tym, którzy kochają głęboko i jednocześnie poszukują wezwania z góry. Jest interesująca z powodu swojej głębi. Biel i prawdziwe złoto są kolorami związanymi z wyższą mocą i metafizyką, tak jak czerwień i oranż są połączone z miłością i podstawowymi instynktami. Fiolet łączy w sobie najwyższe jakości tych barw. Niestety nie umiem tego jaśniej wyłożyć.

– Nie, rozumiem – odparłam, parkując przy okrągłym podjeździe lotniska. – W pewnym sensie. Ale to raczej do mnie nie pasuje.

– Cóż, trudno opisywać aury w kategoriach ściśle naukowych. Ale

Adrian ma rację, ja też uważam, że masz w sobie te cechy. Tylko... – Zatrzymałyśmy się i Sonia popatrzyła na mnie z uwagą. – Nie zauważyłam ich wcześniej. Jestem przekonana, że zawsze otaczały cię fioletowe barwy, ale gdy na ciebie patrzyłam, widziałam tylko żółty kolor świadczący o wybitnym intelekcie. Adrian nie jest tak biegły w odczytywaniu aury jak ja, więc jestem zaskoczona, że zauważył coś, czego ja nie dostrzegłam.

Też mnie to zaskoczyło. Duchowość, namiętność... czy rzeczywiście posiadałam w sobie te cechy? I czy Adrian naprawdę w to wierzył? Na myśl o tym poczułam przyjemne ciepło. Błogość... i zmieszanie.

Miałam wrażenie, że Sonia chciała powiedzieć coś więcej, ale zmieniła zdanie. Odchrząknęła.

– Cóż. Jesteśmy na miejscu. Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie.

– Drobiazg – odparłam, mając w głowie fioletowe wizje. – Bezpiecznego lotu.

Otworzyła drzwi samochodu, ale coś sobie przypomniała.

– Mam coś dla ciebie. Clarence prosił, bym ci to dała.

– Clarence?

Sonia grzebała chwilę w torebce i znalazła kopertę.

– Proszę. Upierał się, bym ci to przekazała. Wiesz, jak potrafi się czasem przyczepić.

– Wiem. Dzięki.

Sonia wysiadła z bagażami, a mnie ciekawość kazała otworzyć kopertę przed odjazdem. W środku było zdjęcie przedstawiające Clarence'a w towarzystwie młodego mężczyzny, mniej więcej w moim wieku, który wyglądał na człowieka. Obejmowali się i uśmiechali do obiektywu. Nieznajomy miał proste, jasne włosy ledwo sięgające brody i olśniewająco niebieskie oczy kontrastujące z opaloną skórą. Był niewiarygodnie przystojny i chociaż jego oczy się uśmiechały, dostrzegłam w nich również lekki smutek.

Jego uroda zrobiła na mnie takie wrażenie, że nie od razu dostrzegłam tatuaż. Widniał na lewym policzku, abstrakcyjny wzór splątanych półksiężyców różnych rozmiarów i stylów, które tworzyły coś na kształt gałązki winorośli. Wyglądało to egzotycznie i po prostu

pięknie; nasycony atrament w kolorze indygo pasował do jego oczu. Przyglądając się uważniej rysunkowi, dostrzegłam pewne znajome elementy i mogłabym przysiąc, że zauważyłam również słaby blask złota okalającego niebieskie linie. Omal nie upuściłam zdjęcia. Półksiężycy zostały wytatuowane na alchemicznej lilii! Odwróciłam fotografię. Po drugiej stronie napisano tylko jedno słowo: Marcus.

Marcus Finch, o którym wojownicy twierdzili, że jest byłym alchemikiem. Marcus Finch, o którym alchemicy mówili, że nie istnieje. Nie można być „byłym alchemikiem”. W najgorszym wypadku winowajców odsyłano do specjalnych ośrodków, tak jak Keitha. Służbę podejmowaliśmy na całe życie. Nie można było jej porzucić. A jednak zakryta lilia mówiła sama za siebie. Jeśli zatem Marcus nie zmienił nazwiska, by ukryć się przed alchemikami, Stanton i reszta okłamali mnie, twierdząc, że go nie znają. Ale dlaczego? Tydzień temu powiedziałabym, że Stanton nie mogła mnie okłamać, lecz teraz, wiedząc, jak starannie dobierają informacje, musiałam się zastanowić.

Wpatrując się w fotografię dłuższą chwilę, zatopiłam się w niebieskich oczach. Potem schowałam ją i wróciłam do Amberwood, postanawiając nikomu nie mówić o swoim odkryciu. Skoro alchemicy chcieli przede mną ukryć istnienie Marcusa Fincha, pozwolę im na to, dopóki nie poznam przyczyny. Oznaczało to, że moim jedynym tropem pozostają Clarence i nieobecni wojownicy. Mimo wszystko zawsze to jakiś początek.

Kiedyś, gdzieś odnajdę Marcusa Fincha i uzyskam odpowiedzi.

Zdziwiłam się, widząc Jill przed wejściem do dormitorium. Ukryła się, rzecz jasna, w cieniu i mogła się cieszyć ładną pogodą, nie narażając się na silne promienie słońca. Nareszcie nadchodziła jesień, chociaż raczej nie kojarzę dwudziestu siedmiu stopni upału z rześką jesienną pogodą. Jill miała zamyśloną twarz, ale rozjaśniła się nieco na mój widok.

– Cześć, Sydney. Miałam nadzieję, że cię złapię. Już nie można cię odnaleźć, odkąd nie masz telefonu.

Skrzywiłam się.

– Wiem, muszę sobie załatwić nowy. Sama przez to cierpię.

Kiwnęła głową.

– Odwiozłaś Sonię?

– Odleciała na dwór, do Michaiła i, mam nadzieję, spokojniejszego życia.

– To dobrze – powiedziała Jill, a potem odwróciła wzrok, przygryzając dolną wargę.

Znałam ją wystarczająco, by zauważyć, że się zbiera, aby mi o czymś powiedzieć. Wiedziałam już także, że lepiej jej nie popędzać, więc czekałam cierpliwie.

– Zrobiłam to – wyznała. – Powiedziałam Micahowi, że to koniec... definitywny.

Poczułam wielką ulgę. Jedno zmartwienie mniej.

– Przykro mi – mruknęłam. – Musiało ci być ciężko.

Jill odgarnęła z twarzy kręcone loki.

– Tak i nie. Lubię go. Lubię jego towarzystwo jako kolegi i chciałabym, żeby nim pozostał. Ale nie wiem, co robi. Ciężko to przyjął, a nasi wspólni znajomi... cóż, mają do mnie pretensje. – Powstrzymałam jęk. Jill nareszcie zdobyła sobie dobrą pozycję w szkole, a teraz wszystko mogło się zawalić. – Ale tak będzie lepiej. Micah i ja pochodzimy z różnych światów, nie mogę wiązać swojej przyszłości z człowiekiem. Ostatnio dużo myślałam o uczuciach... o prawdziwej miłości... – Podniosła głowę i jej wzrok złagodniał. – Nie czułam tego. A chyba powinnam czuć, gdybym była z nim naprawdę związana.

Pomyślałam, że w jej wieku nie można chyba myśleć o prawdziwym związku, ale nic nie powiedziałam.

– Dasz sobie radę?

Oprzytomniała.

– Tak, chyba tak. – Uśmiechnęła się lekko. – A po jakimś czasie może Eddie zechce się ze mną umówić, poza kampusem oczywiście. Jesteśmy przecież „rodziną”.

Powtórzyła niemal dosłownie to, co usłyszałam w domu Clarence’a. Gapiłam się na nią ze zdumieniem.

– Ty nic nie wiesz... Sądziłam, że już słyszałaś, skoro dzielisz pokój z Angeline...

Jill zmarszczyła czoło.

– O czym ty mówisz? Czego nie wiem?



O, Boże. Dlaczego? Dlaczego to ja musiałam jej o tym powiedzieć? Czemu nie mogłam po prostu zaszyć się w swoim pokoju czy w bibliotece i poświęcić się jakiemuś przyjemnemu zajęciu, na przykład odrabianiu lekcji?

– Eddie, uhm, umówił się z Angeline. Nie wiem, kiedy mają tę randkę, ale postanowił dać jej szansę. – Do tej pory nie prosił mnie o pożyczanie samochodu, więc uznałam, że wielkie wydarzenie jeszcze nie nastąpiło.

Jill była wstrząśnięta.

– J–jak to? Eddie i Angeline? Przecież... on jej nie znosi...

– Coś się zmieniło – bąknęłam. – Nie jestem pewna co. Nie łączy ich wprawdzie głęboka miłość, ale zbliżyli się do siebie w ciągu ostatnich tygodni. Przykro mi. – Jill wydawała się bardziej zdruzgotana tą wiadomością niż zerwaniem z Micahem.

Spuściła głowę, walcząc ze łzami.

– W porządku. Nigdy go nawet nie zachęcałam. Pewnie myśli, że nadal spotykam się z Micahem. Na co niby miałby czekać? Powinien kogoś mieć.

– Jill.

– Już dobrze. Nic mi nie będzie. – Miała smutną minę i nagle jej twarz pociemniała jeszcze bardziej. – Och, Sydney. Będiesz na mnie wściekła.

Myślałam o Micahu i ta nieoczekiwana zmiana tematu wytrąciła mnie z równowagi.

– Za co?

Jill sięgnęła do plecaka i wyjęła błyszczące czasopismo. Był to jakiś kalifornijski periodyk turystyczny, z reportażami i reklamami tutejszych atrakcji. Otworzyłam na zaznaczonej stronie. Była tam reklama na całą stronę firmy Lii Di Stefano: kolaż zdjęć różnych jej projektów.

Jedna z fotografii przedstawiała Jill.

Chwilę trwało, zanim się ogarnęłam. Zdjęcie zrobiono z profilu, Jill miała na nosie okulary słoneczne i kapelusz na głowie, a na szyi bajecznie kolorowy szal, który podarowała jej Lia. Loki dziewczyny unosiły się lekko na wietrze, a rysy jej twarzy wyglądały po prostu

pięknie. Gdybym tak dobrze jej nie znała, nigdy bym jej nie rozpoznała w tej szykownej modelce – chociaż dla kogoś, kto wiedział, na co zwracać uwagę, byłoby oczywiste, że jest morojką.

– Jak?! – wybuchnęłam. – Jak to się stało?

Jill wzięła głęboki oddech, gotowa przyjąć na siebie winę.

– Kiedy podrzuciła nam kostiumy i podarowała mi ten szal, spytała, czy może mi zrobić zdjęcie, żeby ocenić kompozycję barw na fotografii. Miała dodatki w samochodzie, więc zgodziłam się je włożyć. Chciała udowodnić, że potrafi tak mnie zamaskować, że ukryje moją tożsamość. Ale nawet nie przyszło mi do głowy... Nie powiedziała, że wykorzysta to zdjęcie. Boże, straszna ze mnie idiotka.

Nie uważałam jej za idiotkę, lecz za chodzącą naiwność. Omal nie zgmiotłam tego czasopisma. Byłam wściekła na Lię. Chętnie bym ją zaskarżyła za wykorzystanie zdjęcia niepełnoletniej osoby bez pozwolenia, ale mieliśmy poważniejsze problemy. Jaki zasięg miała ta gazeta? Jeśli Lia umieściła zdjęcie Jill tylko w okręgu kalifornijskim, może nikt jej nie rozpozna. Mimo wszystko morojka jako modelka mogła budzić konsternację. Kto wie, jakie kłopoty z tego wynikną...

– Sydney, przepraszam – odezwała się Jill. – Jak mogę to naprawić?

– Nie możesz – odparłam. – Po prostu trzymaj się z daleka od Lii.

– Poczułam się chora. – Zajmę się tym. – Ale naprawdę nie wiedziałam jak. Mogłam się tylko modlić, żeby nikt nie rozpoznał jej na zdjęciu.

– Zrobię wszystko, co powiesz, jeśli coś wymyślisz. Ja... Och. – Podniosła wzrok na coś za moimi plecami. – Lepiej pogadamy później.

Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam Treya idącego w naszą stronę. Kolejny problem domagał się rozwiązania.

– Dobry pomysł – zgodziłam się. Złamane serce Jill i rozgłos musiały poczekać. Odeszła, gdy Trey stanął obok mnie.

– Melbourne – zaczął, próbując dawnego uśmiechu, ale marnie mu to wyszło.

– Nie sądziłam, że zostałeś w szkole – zdziwiłam się. – Myślałam, że odjechałeś z innymi.

Wojownicy rozproszyli się na wietrze. Trey wspominał, że przemieszczają się, szukając terenów „łowieckich”. Mistrz Angeletti

także mówił, że uczestnicy zjeżdżają się z całego kraju. Zapewne wszyscy powracali do swoich domów. Uznałam, że Trey także zniknie.

– Nie – odparł. – Chodzę do szkoły i tata chce, żebym został. Poza tym inni wojownicy nigdy nie mieli stałej bazy w Palm Springs. Przenoszą się tam, gdzie...

Nie mogłam dokończyć, więc zrobiłam to za niego.

– Pojawia się rzekome potwory, którym można urządzić brutalną egzekucję?

– To nie tak – sprzeciwił się. – Sądziłam, że ona jest strzygą. Nadal tak myślimy.

Przyjrzałam się chłopakowi, którego uważałam za przyjaciela. Byłam pewna, że nadal nim jest.

– Ty tak nie myślisz. Nie oddałbyś tej walki.

– Mylisz się – zaprotestował.

– Nie myślę się. Widziałam, że się zawahałeś, a mogłeś pokonać Chrisa. Nie chciałeś zwyciężyć. Nie chciałeś zabić Soni, bo nie miałeś pewności, czy jest strzygą.

Nie zaprzeczył.

– Nadal uważam, że trzeba je likwidować.

– Ja też. – Zastanowiłam się. – Chyba że znalazłby się sposób na ich ocalenie, ale to nie jest pewne. – Stawałam w obronie Soni, lecz nie chciałam ujawniać mu naszych sekretów. – Skoro wojownicy wciąż podróżują, co się stanie, gdy znów zawitają w te okolice? Albo do Los Angeles? Dołączysz do nich? Pojedziesz na kolejne łowy?

– Nie – odparł stanowczo. Hardo.

Obudził we mnie nadzieję.

– Więc postanowiłeś się od nich odłączyć?

Nie umiałam odczytać uczuć malujących się na twarzy Treya, ale nie były wesołe.

– Nie. To oni postanowili nas wykluczyć – mnie i tatę. Zostaliśmy wyrzutkami.

Gapiałam się na niego całkowicie zaskoczona. Nie pochwalałam metod tych ludzi ani udziału Treya w całej sprawie, lecz nie taki skutek próbowałam osiągnąć.

– Z mojego powodu?

– Nie. Tak. Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Pośrednio tak. Nie obwiniają cię wprost, alchemików także nie. Nadal pragną się z nimi połączyć. Uznali, że twoje zachowanie wyływało z mylnych założeń. Ale to ja ciebie wprowadziłem i przysięgłem, że nic nam z tego powodu nie grozi. Zarzucają mi, że dokonałem błędnej oceny sytuacji, która doprowadziła do naszej porażki. Inni również czują się odpowiedzialni: Rada, bo wyraziła zgodę na twoją wizytę, wartownicy, którzy nie powstrzymali napaści... Ale nie jest mi przez to lżej. Koniec końców wykluczono tylko mnie i tatę.

– Cóż... przykro mi. Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy.

– Naturalnie – zauważył rozsądnie, choć wciąż ponurym tonem – uważam, że słusznie mnie ukarali. To ja cię wprowadziłem. Ale konsekwencje musi ponieść także mój ojciec. I to jest najgorsze. – Trey starał się nie okazywać emocji, ale widziałam, co się z nim dzieje. Bardzo się starał zasłużyć na pochwałę ojca, a ściągnął na nich obu największe upokorzenie. Po chwili potwierdził moje przypuszczenia: – Ojciec poświęcił całe życie sprawie wojowników. Bardzo źle przyjął banicję. Muszę znaleźć sposób, by go przywrócili. Pewnie nie wiesz, gdzie mam szukać jakichś łatwych do zabicia strzyg?

– Nie – przyznałam. – Szczególnie że ich nie da się łatwo pokonać. – Zawahałam się, nie wiedząc, co powiedzieć. – Trey, co to oznacza dla nas obojga? Rozumiem, że nie możemy już się przyjaźnić... skoro zrujnowałam dzieło twojego życia.

Uśmiechnął się blade.

– Nic nie pozostaje zrujnowane wiecznie. Znajdę drogę powrotną. I jeśli nawet nie zabiję żadnej strzygi, kto wie? Może dowiem się czegoś więcej o was i zbuduję pomost między naszymi bractwami, doprowadzę do współpracy. Zyskałbym u nich punkty.

– Próbuj – odparłam dyplomatycznie, choć nie wierzyłam, że ma jakieś szanse. On także widział to po mojej minie.

– Cóż, wymyślę coś innego, wielkiego, by zwrócić uwagę wojowników i pogodzić ich z moim ojcem. Nie mam wyboru. – Spoważniał, a po chwili znów spróbował się uśmiechnąć, choć był to smutny grymas. – Wiesz, co jeszcze mnie boli? Że teraz nie mogę się już umówić z Angeline. Z tobą to inna sprawa, lecz nawet jako wyrzutek nie

mogę ryzykować przyjaźni z morojami czy dampirami. A już na pewno z nimi romansować. Zorientowałem się, kim ona jest, ale do tej pory mogłem udawać głupiego. Najazd na arenę zniweczył moje szanse. Wojownicy nie lubią dampirów ani morojów. Najchętniej by się ich wszystkich pozbyli, ale to zadanie przekracza tymczasem ich możliwości, więc odłożyli je na dalszą przyszłość.

Zadrzałam, bo przypomniałam sobie uwagę na temat ostatecznej rozprawy wojowników z morojami. Alchemicy z całą pewnością nie kochali dampirów ani morojów, lecz daleko było im do myśli o ich eksterminacji.

– Muszę już lecieć. – Trey sięgnął do kieszeni i podał mi przedmiot, który przyjąłem z wdzięcznością. Był to mój telefon. – Pomyślałem, że ci go brakuje.

– Tak! – Chwyciłam aparat i włączyłam. Nie wierzyłam już, że go znajdę, i zamierzałam kupić nowy. Zresztą komórka miała już trzy miesiące i była stanowczo przeterminowana. – Dzięki, że go przechowujesz. Och. – Rzuciłam okiem na ekran. – Przyszło milion wiadomości od Braydena. – Nie rozmawiałam z nim od nocy, kiedy zniknęła Sonia.

Uśmiechnął się złośliwie, co tak u niego lubiłam.

– Lepiej oddzwon. Prawdziwa miłość na nikogo nie czeka.

– Prawdziwa miłość?! – Potrząsnęłam głową. – Miło, że do nas wróciłeś.

Teraz uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Na razie.

Od razu napisałam do Braydena: „Przepraszam za ciszę w eterze. Przez trzy dni nie miałam telefonu”. Odpowiedział niemal natychmiast: „Jestem w pracy, niedługo mam przerwę. Wpadniesz?”. Zastanawiałam się. Nie musiałam akurat nikomu ratować życia i właściwie mogłam się urwać. Odpisałam, że już wyjeżdżam z Amberwood.

Kiedy weszłam do Spencera, Brayden podał mi moją ulubioną latte.

– Obliczyłem na podstawie godziny twojego wyjazdu, że będzie gorąca, gdy się zjawisz.

– Dzięki. – Wzięłam od niego kawę i pomyślałam z poczuciem

winy, że bardziej ucieszył mnie napój niż widok Braydena.

Powiadomił drugiego baristę, że schodzi na przerwę, i zaprowadził mnie do stolika w odległym końcu sali.

– Nie zajmę ci dużo czasu – zaczął. – Na pewno masz mnóstwo weekendowych zajęć.

– Właściwie zrobiło się trochę luźniej – odparłam.

Brayden wziął głęboki oddech. Zachowywał się z równą rezerwą i niepokojem jak wtedy, gdy pytał, czy się z nim jeszcze spotkam.

– Sydney – zaczął oficjalnym tonem. – Myślę, że nie powinniśmy się dłużej spotykać.

Zatrzymałam kubek w połowie drogi do ust.

– Zaraz... co takiego?

– Wiem, że będziesz załamana – dodał. – I przyznaję, że mnie również jest ciężko. Ale w świetle ostatnich wydarzeń zrozumiałem, że nie czujesz się jeszcze gotowa na związek.

– Ostatnich wydarzeń?

Skinął głową z powagą.

– Chodzi o twoją rodzinę. Kilkakrotnie odwoływałaś nasze spotkania ze względu na nich. I choć to oddanie godne podziwu, nie mogę być w tak ulotnej relacji.

– Ulotnej? – znów powtórzyłam po nim oszołomiona, ale zaraz wzięłam się w garść. – Pozwól, że postaram się to zrozumieć. Zrywasz ze mną.

Zastanowił się.

– Tak. Zrywam.

Czekałam na jakąś wewnętrzną reakcję. Bezbrzeżny żal. Uczucie, że serce mi pęka. Cokolwiek. Ale byłam tylko zaskoczona.

– Huh – mruknęłam.

Brayden uznał to za wystarczający przejaw smutku.

– Proszę, nie utrudniaj nam tego. Szczerze cię podziwiam. Jesteś najbystrzejszą dziewczyną, jaką znam. Ale nie mogę się wiązać z kimś tak nieodpowiedzialnym.

Wybałuszyłam na niego oczy.

– Nieodpowiedzialnym.

Brayden znów kiwnął głową.

– Tak.

Nie jestem pewna, gdzie to się zaczęło, w żołądku czy gdzieś w okolicach klatki piersiowej. Nagle ogarnęła mnie niepoohamowana wesołość. Nie mogłam przestać się śmiać. Musiałam odstawić kubek w obawie, że wyleję kawę. Ukryłam twarz w dłoniach, żeby otrzeć łzy.

– Sydney? – spytał niepewnie Brayden. – Czy ty masz atak hysterii?

Potrzebowałam niemal minuty, żeby się uspokoić i mu odpowiedzieć.

– Och, Brayden. To jest wydarzenie dnia. Dałeś mi coś, czego nigdy nie spodziewałam się dostać. Dziękuję. – Sięgnęłam po kawę i wstałam. Był kompletnie zdezorientowany.

– Uhm, proszę bardzo...

Wyszłam, zanosząc się od śmiechu. Przez ostatni miesiąc wszyscy szeroko rozwodzili się nad moim nadzwyczajnym poczuciem obowiązku, odpowiedzialnością, przykładem, jaki daję innym. Różne rzeczy o mnie mówiono. Ale nigdy, przenigdy, nikt nie zarzucił mi braku odpowiedzialności.

I właściwie mi się to spodobało.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

PONIEWAŻ TEGO DNIA nie mogło się wydarzyć już nic dziwniejszego, postanowiłam wstąpić do Adriana. Bardzo chciałam go o coś zapytać, a do tej pory nie miałam okazji.

Otworzył drzwi z pędzlem w dłoni.

– O – powiedział. – Cóż za nieoczekiwany widok.

– Przeszkadzam?

– Odrabiam lekcje. – Odsunął się na bok, żeby mnie wpuścić. – Spokojnie. Nie wpadnę w depresję, jeśli na chwilę odłożę pracę. Nie jestem tobą.

Weszłam do salonu i zauważyłam z radością, że znów rozstawił sztalugi i płótna.

– Odzyskałeś swoją pracownię.

– Tak. – Adrian odłożył pędzel i wytarł ręce w ścierkę. – Skoro moje mieszkanie przestało służyć jako centrum eksperymentalne, mogło powrócić do pierwotnego artystycznego rozkładu.

Oparł się o grubą sofę i przyglądał się, jak podchodzę do kolejnych płócien. Przy jednym zatrzymałam się na dłużej.

– Co to jest? Przypomina lilię.

– Zgadłaś – odparł. – Nie obraż się, ale wyszła mi znacznie lepiej niż twoja. Jeśli alchemicy zechcą kupić do niej prawa i wykorzystać jako swój emblemat, jestem gotów negocjować.

– Zapamiętam – obiecałam. Wciąż byłam rozbawiona zerwaniem z Braydenem i ta uwaga jeszcze poprawiła mi nastrój. Poczułam się tylko lekko zagubiona wśród obrazów Adriana, lecz jego malarstwo często tak na mnie działało. Lilia, mimo że wystylizowana i znacznie „lepsza” niż tatuaż na moim policzku, była łatwo rozpoznawalna. Namalował ją nawet złotą farbą. Naniósł na płótno szkarłatne plamy, wokół których nakreślił czysty zarys kwiatu w lodowo niebieskiej barwie. Robiło to niesamowite wrażenie, ale jeśli miało jakieś głębsze znaczenie, nie pojmowałam go.

– Jesteś w podejrzenie dobrym nastroju – zauważył Adrian. – Czyżby jakaś wyprzedaż w Nosimy khaki?

Porzuciłam artystyczne dywagacje i obróciłam się do niego.



– Nie. Brayden ze mną zerwał.

Adrian spoważniał.

– O. Cholera. Przykro mi. Czy... masz ochotę się napić? Albo...  
wypłakać?

Roześmiałam się.

– Nie. To dziwne, ale nic mi nie jest. Wcale się nie przejęłam. A  
powinam, prawda? Może coś jest ze mną nie tak.

Zielone oczy wpatrywały się we mnie z uwagą.

– Nie wydaje mi się. Nie każde zerwanie jest tragedią. Chociaż...  
może potrzebujesz pocieszenia.

Oderwał się od sofy i poszedł do kuchni. Patrzyłam z ciekawością,  
jak wyjmuje coś z lodówki i grzebie w szafce ze srebrną zastawą.  
Nareszcie wrócił do pokoju i podał mi solidną czarkę lodów o smaku  
granatów i łyżkę.

– A to skąd? – spytałam, przyjmując lody tylko dlatego, że mnie  
zaskoczył.

– Kupiłem dla ciebie. Miałaś ochotę na te o smaku granatu,  
prawda?

Przypomniałam sobie wieczór we włoskiej knajpce.

– No, tak... ale nie musiałeś tego robić...

– To było twoje życzenie – odparł rozsądnie. – A mieliśmy umowę.

– Jaką umowę?

– Pamiętasz, jak zaproponowałam, że wypijesz puszkę normalnej  
coli, jeśli ja nie będę palił przez cały dzień? Obliczyłem kalorie i wyszło  
na to samo. Jeśli możesz w to uwierzyć, w tym maleństwie mieszczą się  
cztery porcje.

Omial nie upuściłam czarki.

– Nie paliłeś przez cały dzień?

– Prawie cały tydzień – odparł. – Możesz zjeść wszystko, jeśli  
chcesz.

– Ale dlaczego to zrobiłeś? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Rzuciłaś mi wyzwanie. Poza tym palenie szkodzi zdrowiu, tak?

– Tak. – Wciąż byłam oszołomiona.

– Pałaszuj, bo się roztopią.

Oddałam mu lody.

– Nie mogę. Nie, kiedy patrzysz. To dziwaczne. Mogę zjeść później?

– Jasne – odparł i odniósł lody do lodówki. – Pod warunkiem że naprawdę zjesz. Znam cię.

Skrzyżowałam ramiona, gdy z powrotem stanął przede mną.

– Czyżby?

Utkwił we mnie stalowe spojrzenie.

– Może inni uważają, że twoja awersja do jedzenia jest urocza, ale nie ja. Widziałem, jak patrzysz na Jill. Oto ojcowski komentarz: nigdy w życiu nie będziesz miała jej figury. To niemożliwe. Jill jest morojką, a ty człowiekiem. Kwestia biologii. Masz doskonałą sylwetkę, za którą większość ludzi dałaby się zabić, i wyglądałabyś jeszcze lepiej, gdybyś odrobinę przytyła. Na początek ze dwa i pół kilograma. Tyle, żeby przykryć żebra i włożyć o numer większy stanik.

– Adrian! – wykrzyknęłam z oburzeniem. – Ty... oszalałeś? Nie masz prawa mówić mi takich rzeczy!

Kpił ze mnie w żywe oczy.

– Mam pełne prawo, Sage. Jestem twoim przyjacielem i nikt inny ci tego nie powie. Poza tym jestem królem niezdrowych nawyków. Sądzisz, że nie rozpoznam cudzych? Nie wiem, skąd ci się to wzięło – czy to kwestia wychowania, skutek towarzystwa morojów, czy twoja natura – ale powiadam ci, że nie musisz się odchudzać.

– Przygotowałeś się do tej interwencji.

– Mówię prawdę – odparł po prostu. – Wysłuchaj, bo dobrze ci życzę i chcę, żeby twoje ciało było równie zdrowe i zachwycające jak twój umysł.

– Nie słucham tego. – Odwróciłam się od niego, bo nie radziłam sobie z zalewem uczuć. Targały mną gniew, oburzenie, lecz pojawiła się również zaskakująca ulga. – Wychodzę. Nie powinnam była cię odwiedzać.

Zatrzymał mnie, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Zaczekaj... posłuchaj mnie. – Spojrzałam na niego niechętnie. Miał surową minę, lecz jego głos złagodniał. – To nie są złościwości. Jesteś ostatnią osobą, którą chciałbym zranić... Ale nie mogę patrzeć, jak

ranisz sama siebie. Możesz zlekceważyć moje słowa, ale ja nie mogłem dłużej milczeć. Więcej nie poruszę tego tematu. Sama kierujesz swoim życiem.

Odwróciłam wzrok, bo łzy napływały mi do oczu.

– Dzięki – wymamrotałam.

Powinłam się cieszyć, że odpuścił, a mimo to poczułam ból, jakby coś we mnie otworzył, coś, co do tej pory ignorowałam i trzymałam w zamknięciu. Brzydką prawdę, do której nie przyznawałam się sama przed sobą. Byłam hipokrytką, twierdząc, że interesują mnie wyłącznie fakty i dane. Mogłam się zgadzać z Adrianem albo nie, lecz w jednym miał absolutną rację: jeszcze nikt nie powiedział mi wprost tego, co on.

– A właściwie dlaczego przyszłaś? – spytał. – Na pewno nie po nowe fantastyczne logo dla alchemików?

Musiałam się roześmiać. Spojrzałam na niego, pragnąc mu pomóc w nieoczekiwanej zmianie tematu.

– Nie. Przyszłam z czymś znacznie poważniejszym.

Moja reakcja chyba sprawiła mu ulgę, bo w zamian posłał mi jeden z tych swoich kpiących uśmieszków.

– To musi być bardzo poważne.

– Tamtej nocy prowadziłeś mustanga bez najmniejszych problemów. Jakim cudem? – Jego uśmiech znikł. – Tak było – nalegałam. – Nawet ci ręka nie drgnęła. Sama nie jeżdżę lepiej. Pomyślałam, że ktoś inny udzielał ci lekcji, ale nawet nie zdążyłbyś tak szybko zdobyć podobnej biegłości. Prowadziłeś tak swobodnie, jakbyś całe życie używał ręcznej skrzyni biegów.

Adrian odwrócił się gwałtownie i odszedł w drugi koniec pokoju.

– Może mam naturalny talent – mruknął, nie patrząc na mnie.

Zabawne, jak nieoczekiwanie zamieniliśmy się rolami. Przed chwilą to on przypierał mnie do muru, zmuszając do konfrontacji z niewygodną kwestią. Teraz ja napierałam na niego. Podeszłam do okna i zmusiłam go, by spojrzał mi w oczy.

– Nie myślę się, prawda? – naciskałam. – Od dawna umiesz prowadzić!

– Nawet moroje nie dają prawa jazdy dzieciom, Sage – rzucił kpiąco.

– Nie wymiguj się od odpowiedzi.

Milczał, co uznałam za potwierdzenie moich podejrzeń, chociaż niewiele mogłam wyczytać z jego twarzy.

– Dlaczego udawałeś? – spytałam bezradnie. Wszyscy twierdzili, że jestem tak niewiarygodnie bystra, że potrafię kojarzyć fakty i dochodzić do zaskakujących wniosków. Ale w tej sytuacji czułam się bezradna, nie rozumiałam, co się dzieje. – Powiedz? Czemu chciałeś, bym sądziła, że nie potrafisz prowadzić?

Odniosłam wrażenie, że ma w zanadrzu milion odpowiedzi, których nie chce mi wyjawiać. W końcu potrząsnął tylko głową.

– Czy to nie jest oczywiste, Sage? Jasne, że nie. Zrobiłem to, by zyskać pretekst do przebywania z tobą. Wiedziałem, że mi nie odmówisz.

Teraz już nic nie rozumiałam.

– Ale... dlaczego? Po co?

– Po co? – powtórzył. – Bo w ten sposób mogłem cię mieć blisko.

Przyciągnął mnie do siebie, jedną ręką obejmując mnie w pasie, a drugą za szyję. Uniósł moją głowę i zbliżył usta do moich. Zamknęłam oczy i całe moje ciało poddało mu się w tym pocałunku. Byłam niczym. I wszystkim. Czułam, jak przenika mnie dreszcz, a w środku płonie ogień. Adrian przysunął się do mnie bliżej, a ja oplotłam dłońmi jego szyję. Jego usta były cieplejsze i bardziej miękkie, niż mogłam sobie wyobrazić, a jednocześnie niezwykle zachłanne i silne. Poczułam głód jego dotyku i przyciągnęłam go mocniej. Przesuwał palcami po mojej szyi, badając jej kształt, a każdy ich dotyk wzbudzał we mnie dreszcz.

Ale najwspanialsze było to, że ja, Sydney Katherine Sage, winna bezustannego analizowania otaczającego mnie świata, przestałam myśleć.

I to było fantastyczne.

W każdym razie do chwili, gdy odzyskałam rozum.

Nagle poczułam wielki niepokój i zdałam sobie sprawę z nieprzekraczalnych barier. Odsunęłam się od Adriana mimo protestów mojego ciała. Wiedziałam, że mam przerażone, wytrzeszczone oczy.

– Co... co ty wyprawiasz?

– Nie wiem – odparł z uśmiechem i zrobił krok w moją stronę. –

Lecz jestem pewien, że ty robiłaś to samo.

– Nie. Nie. Nie zbliżaj się! Nie możesz tego więcej zrobić. Rozumiesz? Nie możemy nawet... nie powinniśmy... O, mój Boże. Nie. Nigdy więcej. To było złe. – Dotknęłam palcami warg, jakbym chciała zetrzeć z nich jego pocałunki, ale przypomniałam sobie słodycz i ciepło jego ust, więc pospiesznie cofnęłam rękę.

– Złe? Ja tak nie myślę, Sage. Uważam, że nic lepszego nie przydarzyło mi się od długiego czasu – odparł, ale nie próbował się już zbliżyć.

Potrząsnęłam gwałtownie głową.

– Jak możesz tak mówić? Przecież wiesz! Nie ma... Ludzie i wampiry nie mogą... Nie. Nic nie ma prawa ich łączyć. Nas.

– Cóż, kiedyś musiało być inaczej – odparł, starając się o powagę.

– W przeciwnym razie nie istniałyby dampiry. Pomyśl też o stróżach.

– O stróżach? – Omal się nie roześmiałam, a to nie było zabawne. – Oni żyją w jaskiniach i toczą bójki przy ognisku nad potrawką z oposa. Jeśli chcesz wieść takie życie, twoja wola. Ale jeśli zamierzasz spędzić je w cywilizowanym świecie z nami wszystkimi, nie dotykaj mnie więcej. I co z Rose? Już nie jesteś w niej szaleńczo zakochany?

Adrian był stanowczo zbyt spokojny w tej sytuacji.

– Kiedyś byłem. Ale to było... prawie trzy miesiące temu? Naprawdę nie myślałem o niej od dawna. Nadal czuję się zraniony i wykorzystany, lecz... nie o niej teraz myślę. Nie jej twarz widzę, gdy zasypiam. I nie marzę o...

– Nie! – Cofnęłam się gwałtownie. – Nie chcę tego słuchać. Nie będę.

Zbliżył się do mnie kilkoma szybkimi krokami. Miałam za plecami ścianę i nie mogłam mu się wywinąć. Adrian chwycił moje dłonie i przycisnął je do piersi. Nachylił się niżej.

– Wysłuchasz mnie. Choć raz usłyszysz coś, co nie pasuje do twojego schludnego, uporządkowanego świata logiki i rozumu. Bo to nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Jesteś przerażona, ale uwierz mi, że i ja umieram ze strachu. Pytałaś o Rose. Dla niej starałem się być lepszy, zrobić na niej wrażenie, żeby mnie chciała. Ale kiedy jestem przy tobie, chcę być lepszy, bo... czuję, że to jest właściwe. Bo sam tego chcę.

Sprawiasz, że chcę być większy, niż jestem. Chcę się doskonalić. Inspirujesz każde moje działanie, każde słowo i spojrzenie. Patrzę na ciebie i widzę... światłość przemienioną w ciało. Powiedziałem to w Halloween i wierzę w każde słowo: jesteś najpiękniejszą istotą, jaka chodzi po tej ziemi. I nawet o tym nie wiesz. Nie masz pojęcia, jak jesteś piękna i jaki rozsiewasz wokół siebie blask.

Wiedziałam, że powinnam mu się wyrwać, uwolnić ręce z jego dłoni, ale nie mogłam. Jeszcze nie w tej chwili.

– Adrian...

– Wiem, Sage – ciągnął z płomiennym wzrokiem. – Wiem, co o nas myślicie. Nie jestem głupcem i wierz mi, że próbowałem wybić sobie ciebie z głowy. Ale nie ma takiej ilości alkoholu ani innej substancji, która by to zmieniła. Musiałem zrezygnować z treningów u Wolfe'a, bo zbyt ciężko było mi przebywać tak blisko ciebie, nawet jeśli tylko udawaliśmy walkę. Twój dotyk sprawiał mi nieopisany ból, bo dla mnie znaczył tak wiele, a dla ciebie nic. Powtarzałem sobie, że powinienem się trzymać z daleka od ciebie, a potem szukałem pretekstów... Ten samochód... Kupiłem go po to, by się do ciebie zbliżyć. Hayden jest dupkiem, ale dopóki się z nim umawiałaś, miałem powody, by zachowywać dystans.

Wciąż trzymał moje dłonie i z płonąca, przerażoną i zrozpaczoną twarzą otwierał przede mną swoją duszę. Moje serce biło jak szalone z nadmiaru emocji. Adrian miał nieprzytomne spojrzenie... jak wtedy, gdy opanowywał go duch i wodził na manowce. Modliłam się, by to właśnie była chwila obłądzenia wywołana przez magię. Na pewno była. Na pewno?

– Ma na imię Brayden – powiedziałam. Stopniowo opanowywałam strach. – I nawet gdyby nie istniał, masz milion powodów, by się do mnie nie zbliżać. Mówisz, że wiesz, co o was myślimy. Czy naprawdę? – Wyrwałam ręce i pokazałam swój policzek. – Wiesz, co naprawdę oznacza złota lilia? Jest obietnicą, przyrzeczeniem dochowania wierności wobec pewnego stylu życia i systemu przekonań. Tego nie można odrzucić. Tatuaż mi nie pozwoli, nawet gdybym chciała. Zresztą wcale nie chcę! Wierzę w to, co robimy.

Adrian patrzył mi prosto w oczy. Nie próbował już chwytać mnie za ręce, ale się nie odsunął. Poczulałam, że moje dłonie są boleśnie puste

bez jego rąk.

– Ten styl życia i system przekonań, których tak bronisz, to narzędzia do wykorzystywania. Traktują cię jak maszynę, nie dają prawa do myślenia. Zaslugujesz na więcej.

– Oczywiście, że system ma swoje słabe strony – przyznałam. – Ale najważniejsze są zasady, a ja się z nimi zgadzam. Istnieje rozłam między ludźmi a wampirami – między tobą a mną – którego nie sposób scalić. Jesteśmy zbyt różni. Nie pisane nam... być razem.

– Nikomu nic nie jest pisane – sprzeciwił się. – Sami decydujemy, kim jesteśmy. Powiedziałaś mi kiedyś, że nikt nie jest z góry przeznaczony na ofiarę okoliczności, że każdy ma prawo wyboru.

– Nie łap mnie za słówka – rzuciłam ostrzegawczo.

– Dlaczego nie? – spytał z uśmiechem. – Są diabelnie celne. Nie jesteś ofiarą. Niewolnicą lilii. Możesz być, kim chcesz. Możesz wybierać.

– Masz rację. – Odsunęłam się, nie napotykając na opór. – I nie wybieram ciebie. Chyba przeoczyłeś ten fakt.

Adrian znieruchomiał. Już się nie uśmiechał.

– Nie wierzę ci.

Przybrałam drwiącą minę.

– Niech zgadnę. Dlatego że odwzajemniłam twój pocałunek?

Dzięki niemu poczułam się bardziej żywa niż kiedykolwiek i czułam, że Adrian o tym wie.

Potrząsnął głową.

– Nie. Ponieważ nikt na świecie nie rozumie cię tak jak ja.

Czekałam na coś więcej.

– To wszystko? Nie rozwiniiesz szerzej zagadnienia?

Zielone oczy hipnotyzowały mnie.

– Nie ma takiej potrzeby.

Musiałam odwrócić wzrok, choć nie wiedziałam dlaczego.

– Skoro tak dobrze mnie znasz, zrozumiesz, dlaczego odchodzę.

– Sydney...

Ruszyłam pośpiesznie do drzwi.

– Do widzenia, Adrian.

Bałam się, że będzie próbował mnie zatrzymać. Gdyby to zrobił,

nie jestem pewna, czy potrafiłabym wyjść. Ale nie zrobił nic, by mnie powstrzymać. Dopiero w połowie drogi przez trawnik przed jego budynkiem odważyłam się zerknąć za siebie.

Adrian stał oparty o framugę i obserwował mnie z bólem. Moje serce pękało z żalu.

Lilia wytatuowana na policzku przypomniała mi, kim jestem.

Odwróciłam się i odeszłam, nie oglądając się więcej.